

Szczescie TM

Will Ferguson

Will Ferguson

SzczęścieTM

HappinessTM

Przełożyła Aldona Moźdzysłska

Caveat Emptor
(Swojego rodzaju sprostowanie)

To historia końca świata i jako taka opowiada o książkach kucharskich z dietetycznymi potrawami, guru poradników, zbiegach czołgających się przez kanały, przepracowanych redaktorach, krachu gospodarczym Stanów Zjednoczonych oraz zwiększającej się uprawie lucerny. Zdaje mi się, że jeden z jej bohaterów w pewnym momencie traci palec. To historia apokalipsy: "Miły czas apokalipsy". Opowiada o niszczycielskiej pladze szczęścia, o epidemii serdecznych uścisków i tajemniczej przyczepie na skraju pustyni...

Mogło być gorzej. Pierwsza wersja tego maszynopisu kończyła się zakrojoną na dużą skalę zbrojną agresją armii francuskojęzycznych Kanadyjczyków na Stany Zjednoczone. Naprawdę. Niestety mój bezduszny redaktor zlecił mi usunąć cały ten wątek, co każe nam postawić zasadnicze pytanie: zło konieczne czy zła konieczność?

(niepotrzebne powtórzenie, prawda? -- red.).

Szczęście™ zaczęło powstawać dwa i pół roku temu. Zapoczątkowała je uwaga, jaką pewien wydawca rzucił od niechcienia w odpowiedzi na moje spostrzeżenie -- a mianowicie takie, że autorzy poradników to najbardziej popieprzeni ludzie w świecie literatury. Wspomniana pani wydawca odparła w przelocie: "Coś ci powiem. Gdyby ktoś kiedyś napisał poradnik, który rzeczywiście spełniłby swoją rolę, mielibyśmy niezłe kłopoty". Mówiła o działalności wydawniczej w ogólności, ale gdy jej słowa tłukły się po mojej już i tak skołowanej głowie, zrozumiałem, że konsekwencje mogą się okazać o wiele gorsze niż moja znajoma przypuszcza. Gdyby ktoś kiedyś napisał

poradnik, który spełniłby swoją rolę, taki, który uleczyłby nas z wszelkich żalości i zgubnych nawyków, rezultat byłby katastrofalny.

Kolejne dwa lata zajęło mi nadanie owemu pomysłowi obecnej formy. Nadal wypełniałem inne zobowiązania, pracowałem nad publikacjami encyklopedycznymi i podręcznikami hokeja na trawie, lecz wciąż wracałem do mojego najważniejszego pomysłu, poddawałem go obróbce, zmieniałem kształt. W pewnym momencie bohaterowie tej książki wykonali coup d'etat i całkowicie przejęli kontrolę. Zaczęli mi dyktować przebieg akcji -- co oznacza, że nie czuję się odpowiedzialny za poczynania Edwina, May czy całej reszty.

To opowieść fikcyjna. Jest w całości wymyślona. O ile wiem, nie ma czegoś takiego jak drzewa Shilo, MK-47 czy naboje nafaszerowane magnezem. Łacińskie terminy, którymi Edwin hojnie szafuje, są prawdziwe, podobnie jak rozmaite teorie dotyczące samopomocy. "Nieprzetłumaczalne" również są autentyczne. Niektóre z nich pochodzą z notatek, jakie

zrobiłem podczas pobytu w Azji, ale większość zaczerpnąłem z fantastycznego leksykonu Howarda Rheingolda Jest na to takie słowo. I to mniej więcej wszystko. Cała reszta jest kłamstwem.

Pamiętajcie tylko, że akcja Szczęścia™ jest osadzona w przyszłości -- niezbyt odległej. Och, powiedzmy, że rzecz zaczyna się za pięć minut, licząc od teraz.

Część pierwsza
Życie na Grand Avenue

Rozdział pierwszy

Grand Avenue przechodzi przez samo serce miasta, wiedzie od Siedemdziesiątej Pierwszej Ulicy aż do nabrzeża, lecz chociaż jest ośmiopasmowa, a przez jej środek biegnie obsadzony drzewami bulwar, to wydaje się klaustrofobiczna i wąska.

Po obu jej stronach wznoszą się pionowe mury imponujących edwardiańskich gmachów, których fasady tworzą dwie ciągłe ściany. Wiele spośród tych budynków zostało zbudowanych podczas Wielkiego Boomu Potasowego pod koniec lat dwudziestych XX wieku i nosi wszystkie cechy owego okresu: ponure cechy kalwinistycznego kapitalizmu i posępną solidność. To budowle bez cienia uśmiechu. Na górze, tam gdzie siedzą aniołowie, Grand Avenue wygląda doprawdy pięknie, stanowi doskonały przykład architektonicznej godności, lecz w dole, na poziomie ulicy, jej obraz całkowicie się zmienia. To płatanina zaśmieconych, zapiaszczonych, hałaśliwych alejek pełnych spalin i wściekle trąbiących taksówek, szalonych, włóczących się żebraków i śpieszących do pracy urzędników. Świat nieustannej wrzawy, gdzie odgłosy ruchu ulicznego odbijają się echem od budynków, tworząc wieczny kakofoniczny ryk. Hałas nie milknie tu nigdy. Nie mając żadnego ujścia, więźnie w stojącej fali, niekończącym się sprzężeniu zwrotnym huku miasta. To szum Bogów.

Jeżeli jednak na górze dominuje wrażenie wizualne, a na poziomie ulicy -- słuchowe, to w labiryncie dzielnicy biznesowej najbardziej atakowany i narażony na szwank pozostaje zmysł powonienia. Tutaj, w chmurze wyziewów, pociągi z hukiem przetaczają się po niekończącej się wstędze Möbiusa utkanej z pracy, potu, soli i brudnej mamony. To karuzela, gdzie konie mają rozedmę płuc, farba schodzi z krzeselek, a odór cuchnących oddechów i wyziewów ciał krąży w oleistych wirach powietrznych -- jest samym powietrzem. Ciała wdychające dwutlenek węgla, przetwarzające spaliny, lepkie i sprasowane w tłoku porannej godziny szczytu. Warstwa na samym dnie miasta, jego najniższy poziom, utworzona jest ze smrodu.

Edwin Vincent de Valu (alias Ed, alias Eddie, alias Edwynne w okresie fascynacji poezją, kiedy jeszcze mieszkał w akademiku) wylania się z podziemi metra na rogu ulicy Fausta i Broadwayu niczym zwierzę wkraczające do strzelistego kanionu. Na Grand Avenue deszcz jest brudny, jeszcze zanim spadnie na ziemię. Edwin kiedyś poczuł kroplę na wierzchu dłoni i przystanął, dziwując się, że ta jedna kropelka wody już jest zabarwiona sadzą.

Edwin jest szczupłym, nadgorliwym młodym mężczyzną, wygląda jak strach na wróble, ma suche, sianowate włosy, które nigdy nie dają się uczesać z przedziałkiem.

Nawet w markowym płaszczu i wypolerowanych, bajeranckich butach od Dicanniego, Edwina de Valu cechuje brak obecności. Brak treści. Jest dość przeciętny, w każdym sensie tego słowa, a tłum pasażerów niemalże zwała go z nóg. W miejskim darwinizmie godziny szczytu Edwin musi wykonać ogromny wysiłek, by pozostać na powierzchni, musi się bardzo starać, by utrzymać głowę nad tonią. Nikt -- a już z pewnością nie Edwin -- nie podejrzewa, że los całego świata Zachodu wkrótce spocznie na jego szczupłych barkach.

Charakterystyczny dla wschodniej części miasta zapaszek skwaśniałego mleka i zastarzałego moczu, tak wszechobecny, że czuje się go na języku, powitał Edwina na Grand Avenue niczym znajome uderzenie w twarz. Jak oklepany motyw. To metafora czegoś innego. Gorszego.

Kiedy Edwin, w towarzystwie przyprawiających o mdłości wyziewów miasta, przeciął Grand Avenue, wraz z nawałnicą wygniecionych marynarek, wilgotnych koszul i skrzypiących dyplomatek, kiedy ryk ulicy zlał się w biały szum wokół niego...

podniósł wzrok i spojrzał tam, gdzie poranne słońce padało na krawędzie dachów, rzucając ironiczny złoty blask, niedosięgły i ledwo widoczny. I pomyślał sobie to samo, co mu zwykle przychodziło do głowy dokładnie w tym miejscu i zawsze w tej samej chwili: Nienawidzę tego pieprzonego miasta.

Pomimo eleganckich fasad i historycznych pretensji Grand Avenue to zaledwie bezładna zbieranina szafek na dokumenty, ustawionych w rzędzie, ściśniętych jedna za drugą, bezlitosnych i niemalże niemających końca. W tych szafkach mieszczą się agencje reklamowe, firmy konsultingowe, nielegalne zakłady zatrudniające pracowników na czarno i nowoczesne firmy zajmujące się tworzeniem oprogramowania, spółki piramidy i firmy inwestycyjne, małe marzenia i wielkie marzenia, dyrektorzy i gońcy, plastikowe bufety i anonimowe romanse, księgowi, adwokaci, ludzie gumy i kręgarze, finansisci i szarlatani, analitycy systemu, sprzedawcy kosmetyków i giełdowa finansjera, są tam areny wiecznie zmieniających się i absurdalnych widowisk nieodwzajemnionej żądzy.

Na Grand Avenue znajdziesz to wszystko i jeszcze trochę więcej. Najważniejsze jest jednak to, że można tu znaleźć wydawnictwa: niektóre ograniczające się zaledwie do tabliczki z nazwiskiem na drzwiach, trochę trybików w ogromnych imperiach multimediiów, takie, które przyczyniły się do wylansowania wielkiej literatury, inne odpowiedzialne za sukces Sidneya Sheldona -- a każde z nich pragnące zachować prestiżowy adres na Grand Avenue.

Wydawcy przenikają Grand Avenue niczym larwy termitów. W labiryncie boksów i korytarzy, które ciągną się za posepnymi edwardiańskimi fasadami, napotkacie dziesiątki wydawców, oblegających bagna słów, które roją się na stertach łajna, rodzą się w niewoli. Tutaj leżą wysokie sterty maszynopisów i gromadzą się ogromne stosy papieru. Tutaj kobiety bez makijażu i mężczyźni bez wycucia mody siedzą skuleni, z zatemperowanymi niebieskimi ołówkami w dłoniach, skrobiąc, skrobiąc, nieustannie skrobiąc na obszernych wynurzeniach najbardziej egoistycznych istot: pisarzy.

Oto trzewia bestii, wrzodzący żołądek wydawniczego świata tego kraju, a Edwin de Valu, przecinając Grand Avenue w drodze do swojego boksu w wydawnictwie Panderic Books Incorporated, zostaje wessany w sam środek tego grzęzawiska.

Panderic Inc. znajduje się blisko szczytu łańcucha pokarmowego. Nie dorównuje Cabal Clan, Bantamowi czy Doubleday, ale z pewnością przewyższa klasą inne oficyny średniej wielkości. Oznacza to, że w jego planie wydawniczym nie uświadczysz Johna Grishama czy Stephena Kinga, ale znajdzie się tu jeden czy dwóch Robertów Jamesów Wallerów. Co sezon Panderic wydaje pełen asortyment -- nie książek, lecz tytułów (w żargonie tego przemysłu książki zostają zredukowane do swej esencji) -- od najmodniejszych diet sławnych osób aż po dwudziestokilogramowe powieści gotyckie o wampirach. Panderic co roku wydaje ponad dwieście pięćdziesiąt tytułów. Z połowy ledwo-ledwo zwracają im się inwestycje, ponad jedna trzecia przynosi straty, a pozostała garstka daje zyski. Te magiczne tytuły, tych kilka opłacalnych inwestycji jakimś cudem napędza całe to rozłazące się w szwach przedsiębiorstwo. W świecie amerykańskich wydawnictw panuje opinia, że Panderic ma mocną pozycję finansową.

Co prawda specjalizuje się w literaturze faktu i powieściach obyczajowych, lecz niekiedy

-- i to przeważnie przypadkowo -- wydaje na świat prawdziwe dzieło, książkę tak pozbawioną humoru i rozwekłą, tak drętwą i pełną niejasności, że od razu wiadomo, iż to Wielka Literatura. W końcu to właśnie Panderic po raz pierwszy wydał

Imię tulipana, "intelektualną powieść grozy" osadzoną w średniowiecznym klasztorze w Bastylji; bohaterem był matematyk w średnim wieku, który został językoznawcą.

Autor, matematyk w średnim wieku, który został językoznawcą, wpadł do Panderica, rzucił na biurko opasły maszynopis niczym rękawicę oznaczającą wyzwanie na pojedynek i oznajmił, że jego dzieło to szczyt "postmodernistycznej hiperautentyczności". Następnie wypadł z pokoju prosto w objęcia swojej kariery aforysty i głównego mówcy (pięćset dolarów za aforyzm, sześć tysięcy za tekst przemówienia). A wszystko to pomimo faktu, a może dzięki niemu, że w całym życiu nie przyszła mu do głowy ani jedna klarowna myśl. Zaiste, wydawanie książek to przedziwny przemysł. Jak to niegdyś ujął Ray Charles: "Kurwa, nigdy nie wiadomo, co się może stać hitem".

Do tego właśnie świata, tej postmodernistycznej, hiperautentycznej rzeczywistości, wkroczył Edwin de Valu.

Edwin pracował dla Panderica od ponad czterech lat, odkąd porzucił zamiar zrobienia kariery jako zawodowy bon vivant. (Okazało się, że było bardzo niewiele wakatów na stanowisku bon vivanta). Pracuje na czternastym piętrze pod numerem 813

na Grand Avenue, w dziale literatury faktu. Dzisiaj, jak co dzień, wychodzi do Louiego (budka Louiego z hot dogami i piklami) po dwie kawy na wynos. Większość redaktorów w Pandericu preferuje bardziej wytworne, pretensjonalne kawiarnie, ale nie nasz Edwin. Cechuje go pewien brak wyrafinowania i pospolitość. O tak, Edwin należy do facetów, którzy wolą swoją kawkę Louiego od firmowej mieszanki z kawy prażonej na miejscu z Cafe Croissant. Nie, Edwin lubi kawę zwykłą i prawdziwą. Rzuca pieniądze na ladę i mówi:

-- Reszty nie trzeba.

-- Życzy pan sobie caffelatte mochaccino z cynamonem czy białą czekoladą migdałową?

-- pyta Louie, z mokrym cygarem w ustach i dwudniowym zarostem na podbródku (podbródkach).

W każdy powszedni dzień od czterech lat Edwin zatrzymuje się przy budce Louiego, cholera, codziennie, a Louie wciąż nie może go zapamiętać.

-- Z gałką muszkatołową i cynamonem -- mówi ze znużeniem. -- I szczyptą szafranu suszonego na słońcu. I z podwójną pianką.

-- Już się robi -- odpowiada Louie. -- Już się robi.

W holu budynku przy Grand Avenue numer 813 wszelkie odgłosy zostają raptownie stłumione: tu rozlega się tylko echo kroków, odległy brzęk wind, szemranie setek serc, które wkrótce mają ulec zawałowi. Cichnie nieustanny biały szum ruchu ulicznego na zewnątrz. Cichnie perkusyjna symfonia miasta.

Na Grand Avenue bardziej już się nie można zbliżyć do wybawienia.

Minęło kilka lat, zanim Edwin zrozumiał, że jednak pracuje na trzynastym piętrze.

Technicznie rzecz biorąc, adres Panderica brzmi: apartament numer 1407, ale to nie do końca prawda, gdyż pewnego dnia Edwin zauważył z roztargnieniem, że chociaż podwójny rząd guzików w windzie zaczyna się od par nieparzysty-parzysty (1-2, 3-4, 5-6...), to na górze porządek został odwrócony i teraz kolejność jest parzysty-nieparzysty (... 16-17, 18-19, 20-21). Dopiero kiedy prześledził kolejność liczb, doszedł do wniosku, co się stało: brakowało liczby 13. Pominięcie to wprowadziło zamieszanie i zakłóciło całą sekwencję. Panderic znajdował się nie na czternastym, lecz na trzynastym piętrze. Kiedy Edwin podzielił się swym odkryciem z innymi redaktorami, wszyscy zlekceważyli tę rewelację -- wszyscy oprócz redaktora książek

okultystycznych, który lekko pobladł.

Trzymając przed sobą dwa kubki kawy (ciekawe, dla kogo był przeznaczony ten drugi), Edwin pchnął ramieniem przeszklone drzwi biura i wszedł bokiem do świata słów. Świata słów i gorączkowego przerzucania papierów, świata, gdzie wylądowali wszyscy ci studenci filologii angielskiej, którzy tak świetnie się zapowiadali i mieli tak ogromny potencjał. Tutaj poprawiali błędy gramatyczne i maszynopisy, skrobali bez wytchnienia, marząc o dniu, kiedy otworzą okno, wyciągną ręce i dotkną złotych dachów nad miastem, sięgną tych wyżyn, do których dociera słońce... Ale na razie muszą redagować książki, projektować okładki, przemierzać długie, zielone, odblaskowe korytarze, robić ksero, dotrzymywać ostatecznych terminów, dzierżyć sekatory, którymi kastrują literaturę.

Było dopiero dziesięć po dziewiątej, a w Pandericu już roiło się jak w ulu. Dookoła biegali ludzie, z wielką determinacją śpieszący donikąd. Tutejsze rośliny były sztuczne, lecz mimo to wyglądały, jakby wędły z braku słońca.

Kiedy Edwin minął swój żaloszny boksik z tektury i taśmy klejącej, serce mu zamarło.

Na jego biurku piętrzył się wysoki stos papieru. Opasłe tomy maszynopisów. Breja.

Niezamawiana, nieprzysłana przez agenta, niekochana. Tutaj umierały marzenia. Oferty książkowe, listy z propozycjami, całe maszynopisy zalegały na biurkach redaktorów, jak stosy śmieci. Cały boks Edwina był nimi zavalony. "Co, u licha?". Kiedy dotarł do gabinetu May na końcu korytarza, znajdował się już w stanie wrzenia. Drzwi pokoju May jak zwykle były nie do końca otwarte, ale i nie do końca zamknięte. ("Uchylone" -- natychmiast podpowiedział mu jego redaktorski skąpy umysł, skracający powyższe zdanie do suchych faktów, jako że redaktorzy z zasady są nieprzychylni rozwlekłemu stylowi).

-- Co, u licha -- spytał, wchodząc do gabinetu May -- robi ta sterta śmieci na moim biurku? Wydawało mi się, że zatrudniłszy stażystkę.

May podniosła wzrok znad biurka.

-- I ja również mówię ci dzień dobry.

W wydawniczym świątku May Weatherhill uznawano za kobietę sukcesu. Była młodą profesjonalistką na źle opłacanym stanowisku o odpowiednio nadmuchanej nazwie funkcji: Zastępca Redaktora Naczelnego Działu Literatury Faktu, Bez Biografii, Ale Łącznie Z Aniołami i Molestowaniem Przez Kosmitów (którym to ostatnim elementem, zdaniem wielu, i tak powinien zajmować się dział beletrystyki). May była dość pulchna, dość nieśmiała i dość atrakcyjna. No, może "pulchna" to niezbyt trafne określenie. Raczej "mocno zbudowana". "Ja nie mam piersi -- żartowała. -- Ja mam biust.

Pod tym względem jestem w typie neowiktoriańskim". Edwin był chudy i sprężysty, May -- pełna fałdek i na wpół ukrytych wgłębień.

Co dziwne, i z czego May wcale nie zdawała sobie sprawy, najbardziej godnym uwagi atrybutem jej urody był nie biust, choć obfity, lecz usta, czerwone i lśniące jak wosk. Miały barwę nieistniejącą niemal nigdzie poza pudełkiem kredek. Zupełnie jakby zostały namalowane, rzeczywiście ulepione z wosku, przyklejone jako element imprezowego przebrania i nigdy nieusunięte. Kiedy ktoś rozmawiał z May, nigdy nie patrzył jej w oczy, lecz zawsze gapił się zafascynowany na jej usta. Jak większość redaktorów May była niemalże anemicznie blada -- lecz jej bladość wykraczała poza zwyczajność. May Weatherhill była zrobiona z porcelany -- miękkiej i cieplej, niemniej jednak porcelany. Pięknej i nietłukącej. Nawet kiedy się śmiała i nawet kiedy się uśmiechała, zawsze sprawiała wrażenie, jakby myślami była gdzie indziej. "Osjaniczne oczy" -- takiej aliteracji kiedyś użył Edwin. "Orzechowe" -- odparła. "Mylisz orzechowy odcień z grecką mitologią". "Może tak -- powiedział Edwin -- a może nie". May wiecznie przerzucała się z jednej diety na drugą, co zawsze wprawiało Edwina w osłupienie. Po

co komu dieta, jeśli ma osjaniczne oczy?

Lecz co najistotniejsze, May miała tę nieokreśloną cechę zwaną władzą. Władza ją otaczała, przenikała na wskroś, była jej ulubionymi perfumami. Działo się tak częściowo z powodu jej stanowiska w Pandericu, lecz, co ważniejsze, dlatego, że miała wpływ na Samego Wydawcę. ("I na jego jaja" -- jak zasugerował jeden z bardziej złośliwych redaktorów). May Weatherhill, kierowniczką średniego szczebla, zaufana Naczelnego, szefowa działu, zatrudniła Edwina de Valu i mogła go zwolnić. Mogła to zrobić w każdej chwili, tu i teraz, dosłownie pod wpływem kaprysu -- a Bóg mi świadkiem, że Edwinowi zdarzało się dawać powody do podjęcia takiej decyzji. A jednak nigdy jej nie podjęła. Nigdy nie stosowała wobec niego gróźb, zawołanych czy wypowiedzianych wprost, gdyż... cóż, był pewien incydent w hotelu Sheraton Timberland, który zmienił wszystko.

Po konferencji książkowej w północnej części stanu, pod wpływem szampana i zwykłej głupoty, Edwin i May, chichocząc, padli na łóżko, jak to się często zdarza przyjaciółom. Ledwo zdążyli się obejrzeć, już dyszeli ciężko, zdierali z siebie ubranie i zlizywali sobie nawzajem pot z karków -- co się nie zdarza przyjaciółom. Następnego dnia, podczas otępiającej prezentacji "uznanego pisarza" (czy też może uznanego agenta), May poczuła, jak po jej udzie powolutku płynie strużka -- nazwijmy ją "esencją Eda" -- i wtedy zrozumiała, że między nimi wszystko się zmieniło.

Nigdy o tym nie rozmawiali. Niekiedy krążyli wokół tego tematu, podchodząc niebezpiecznie blisko do krawędzi, ale nigdy nie wymienili słów, teraz wyklętych, "hotel Sheraton Timberland". Stały się one ich prywatnym Alamo, Waterloo, metaforą okresu przełomowego w ich przyjaźni.

May ostatnio zredagowała dziwny leksykon mało znanych słów, który nosił tytuł Nieprzetłumaczalne i stanowił żartobliwe spojrzenie na pewne zwroty niemające swego odpowiednika w języku angielskim. W angielskim nie da się wyrazić pewnych uczuć, całych pojęć -- z tej prostej przyczyny, że nie wymyślono słów, które by oddawały ich znaczenie. Brakuje w nim słów takich jak mono-no-aware -- "smutek rzeczy" -- japoński termin opisujący wszechobecny tragizm, który czai się tuż pod powierzchnią życia; jak słowo mokita, które pochodzi z języka kiriwina używanego na Nowej Gwinei, a oznacza "prawdę, o której nikt nie mówi". Odnosi się ono do pewnych wspólnych tajemnic, jak problem z alkoholem cioci Louise czy skrywany homoseksualizm wujka Freda. Albo incydent w hotelu Sheraton Timberland. Albo fakt, że Edwin jest żonaty. I one są mokita.

To właśnie zbliżyło do siebie Edwina i May i to ich dzieliło: cienka, nieprzepuszczalna ściana mokita.

"On jest żonaty, on jest żonaty" -- powtarzała sobie May za każdym razem, kiedy zaczynała tracić panowanie nad sobą. Za każdym razem, kiedy czuła pokusę, by go dotknąć, delikatnie pogłaskać po karku. "On jest żonaty". A jednak im częściej sobie powtarzała te słowa, tym seksowniej brzmiały.

-- Rzeczywiście mieliśmy stażystkę -- powiedziała teraz, uśmiechając się z wdzięcznością, kiedy Edwin postawił przed nią kubek kawy. Nie był to uśmiech znaczący, rozumiecie, i z pewnością nie kokieterystyczny, ot zwykły uśmiechek, który mówił: "Wiem, dlaczego codziennie przynosisz mi kawę. I wiem, że wiesz, że ja wiem.

Niemniej jednak zawsze mnie to rozczula". (May mogła wiele przekazać za pomocą jednego jedyne uśmiechu).

-- Więc dlaczego nie zajmuje się tymi śmieciami? -- spytał Edwin. -- Czy to takie trudne zapakować do kopert listy odmowne?

-- Stażystka odeszła. Pan Mead kazał jej myć samochód i oddawać ciuchy do pralni.

Okazuje się, że nie to miała na myśli, mówiąc, że szuka posady dla początkującego redaktora. Widocznie spodziewała się bardziej ambitnego zajęcia. Zdaje się, że teraz haruje w dokach. Powiedziała, że niczym się to nie różni od pracy tutaj.

Edwin upił łyk kawy.

-- Cholerni stażyści. Gdzie się podziała stara dobra amerykańska etyka pracy? -- Śmietanka w jego mochalatte się rozkrzepła -- czy tak to się mówi? -- tworząc całkiem apetyczną oleistą warstewkę nienasyconego tłuszczu. Cappucciny Louiego były najlepsze -- jeśli tak brzmi liczba mnoga od "cappuccino".

-- Dopóki nie znajdziemy nowej -- powiedziała May -- będziemy musieli sami wziąć się do roboty. Zebrałam wszystkie przesyłki z zeszłego tygodnia, około sto czterdzieści maszynopisów i pewnie tyle samo ofert, i rozdzieliłam je wśród redaktorów, mniej więcej na chybił trafił. Tobie dostało się chyba ze dwanaście i już wydrukowałam dla ciebie stosik odpowiedzi "po starannym rozważeniu".

-- Po co w ogóle zawracać sobie tym głowę? Nie lepiej zatrudnić do tego wytresowanego szympansa?

-- Pamiętasz Generała? Pamiętasz jego niezamówiony maszynopis z, tu cytuję, "obserwacjami z wojny w Kosowie"? Pamiętasz, jak szybko zmieniliśmy zdanie?

-- A, tak, Generał. Sam Wściekły Pies Mulligan. Jak mógłbym zapomnieć? Ostatnie bomby NATO jeszcze nie spadły na ziemię, a na półkach już się pojawiła Operacja "Bałkański Orzeł". O cały tydzień wyprzedziliśmy Doubleday i Bantama. To było...

-- Fantastyczne?

-- Nie, nie tego słowa szukam. To było straszne. Koszmarne. Jeśli o mnie chodzi, Bałkański Orzeł stanął jednocześnie apeks i nadir literatury jednorazowego użytku.

-- Apeks? Nadir? Uwielbiam, jak świntuszysz. -- Pożałowała tych słów w chwili, gdy je wypowiedziała, chciałaby mocje wykasować. -- Edwin, po prostu weź się do roboty, okay? Uporaj się z tymi śmieciami jak najszybciej, bo szykuje się jeszcze więcej.

-- Rzeka śmieci nigdy nie przestaje płynąć, co? -- bardziej stwierdził fakt, niż spytał.

-- Nigdy. To charakterystyczna cecha cywilizacji: niechciane, niezamawiane marzenia. Kupa śmieci to jeden z zasadniczych elementów życia. Pomyśl o sobie jako o, och, sama nie wiem, Syzyfie z szuflą. I nie zapominaj, że o dziesiątej mamy zebranie.

-- O Boże. To ten pierdoła już wrócił?

-- Edwin! Nie wolno ci tak o nim mówić. Na miłość boską, skończyłeś anglistykę, powinieneś mieć bogatszy zasób słów.

-- Przepraszam. Mea culpa. Mea maxima culpa. Chciałem spytać, czy ten gówniarz już wrócił?

Westchnęła. Było to westchnienie człowieka, który zrezygnował z prób zreformowania beznadziejnego przypadku.

-- Tak, pan Mead już wrócił. Przyleciał wcześniej rano i wzywa wszystkich do pokoju konferencyjnego numer dwa na dziesiątą -- punktualnie.

-- Jasne. Pokój dziesiąty na drugą.

-- Do widzenia, Edwin.

Odwrócił się do wyjścia, ale jeszcze przystanął.

-- A dlaczego ty nie masz żadnych śmieci na biurku?

-- Słucham?

-- Dlaczego nie wzięłaś kilku maszynopisów, kiedy je rozdzielałaś, wiesz, żeby połączyć się z nami w bólu?

-- W piątek wzięłam do domu ze trzydzieści maszynopisów i dwanaście ofert.

Załatwiłam je zeszłej nocy.

-- Ach, tak. -- Edwin zamilkł na nieco zbyt długo. Na tyle długo, by słowa May zdążyły zawisnąć w powietrzu. Na tyle długo, by podkreślić fakt, że May spędziła tę noc samotnie, z kotem, czytając oferty książek i maszynopisy przysłane pocztą. -- Chyba powinienem wracać już do swojego boksu -- powiedział w końcu. -- Za godzinę zaczyna się zebranie. Do tej pory pewnie zdążę przejrzeć większość śmieci.

May patrzyła, jak Edwin wychodzi. Wypiła kawę. Pomyślała o wszystkich tych mokitas, które zagracają nasze życie, nadając mu charakter i znaczenie.

Rozdział drugi

Edwin de Valu ściągnął ze sterty pierwszy z brzegu maszynopis. Pod ręką miał stos listów odmownych, gotowych do wysłania.

Pierwsza oferta pochodziła od pisarza z Vermontu, a list zaczynał się od słów: "Witam, panie Jones!" (Jones było fałszywym nazwiskiem, jakie podawali wszyscy redaktorzy, kiedy dzwonili pisarze pytający o redaktora zajmującego się nabywaniem nowych tytułów. Napis na przesyłce PILNE, DLA PANA JONESA! był wskazówką, że należy ją odłożyć na stertę odrzutów).

"Witam, panie Jones! Napisałem powieść o..." -- tylko tyle przeczytał Edwin.

W imieniu Panderica Inc. chciałbym panu podziękować za tę niezwykle interesującą propozycję. Niestety po starannym rozważeniu...

Edwin wziął ze sterty kolejny maszynopis. "Szanowny panie Jones, załączam moją powieść Księżyc Thoth-Aqogxnir. To pierwsza część trylogii, która..."

... i po długich naradach z żalem doszliśmy do wniosku, że Pańska książka nie wychodzi naprzeciw naszemu bieżącemu zapotrzebowaniu.

"Panie Jones! Moja książka Zbiegły prawnik to gwarantowany bestseller i z pewnością jest o wiele lepsza od wypocin pana Grubej Ryby Johna Grishama, zresztą wszyscy uważają, że jest świetna. PS By zaoszczędzić na papierze, użyłem pojedynczego odstępu między wierszami. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza".

... Życzymy panu powodzenia przy składaniu oferty w innym wydawnictwie i szczerze żałujemy, że tym razem nie możemy podpisać z Panem umowy.

"Szanowni Państwo! Jakże niewiele wiemy na temat konserwacji lodówek, choć to długa i fascynująca historia".

... Czy zastanawiał się Pan nad wysłaniem tego maszynopisu do HarperCollins lub Random House?

(Panderic od lat jest zwaśniony z HarperCollins i Random House i wszystkie te wydawnictwa regularnie podsyłają sobie własne odrzuty).

"Szanowny Panie Jones! «Uwaga! Uwaga! Uwaga! Na ziemię! Kryć się! Rozpalone do białości kule świstały nad głową agenta McDermitta, wyszkolonego do zabijania bosymi

rękami...». To początek mojej pełnej akcji powieści przygodowej Zabić kiler. Jeśli chce Pan poznać dalszy ciąg, będzie Pan musiał mnie poprosić o maszynopis i sam go przeczytać". Ale Edwin wsunął do koperty kolejny standardowy list z formułką "po starannym rozważeniu", uniemożliwiając sobie w ten sposób poznanie dalszych losów agenta McDermitta.

Zauważcie, że Edwin nie wywiesił wersu z "bosymi rękami" na tablicy informacyjnej w pokoju dla personelu, pełnej dziwnych wycinków i przykładów oburzająco złego stylu. Kolekcja ta znana była jako Ściana Złego Stylu. A również jako Perełki Z Niezamówionych Maszynopisów. A również jako Ze Sterty Odrzutów. Owe wyjątki z błyskotliwej prozy zawierały następujące teksty:

Stała na wzgórzu, a wiatr rozwiewał jej krucz jasne włosy.

Oraz:

Wyniósł z pożaru swą świeżo upieczoną żonę.

A także zdania należące już do klasyki:

Nic nie odpowiedziała. Przegryzła tylko dolną wargę i oblizała górną...

(co nakłoniło wielu redaktorów do wykrzywania ust w celu wykonania opisanej sztuczki).

"Bose ręce" agenta McDermitta mogły trafić na Ścianę Złego Stylu, ale nigdzie indziej. Edwin westchnął.

Każda oferta, czy to maszynopis, czy sam list, zawierała kopertę ze znacznikiem zaadresowaną do nadawcy (określaną mianem KZZN), co trochę ułatwiało ciężką pracę Edwina: otworzyć, przejrzeć, odrzucić i zapakować. Było to dość mechaniczne ćwiczenie z oceny literackiej. Edwin rzadko dochodził do końca pierwszego akapitu listu z ofertą i nawet nie zaczynał wydrukowanych na jaskrawo-różowym papierze za pomocą drukarki igłowej lub napisanych w całości wersalikami albo kursywą (raz trafił

na list napisany i wersalikami, i kursywą, co uznał za swoisty rekord) czy wymyślną niestandardową czcionką. Wyłuskiwał tylko KZZN od autora, wsuwał do środka wymaganą formułkę "po starannym rozważeniu", po czym wrzucał odpowiedź do skrzynki z napisem POCZTA WYCHODZĄCA.

A już tam leżała żalosna zbieranina, nawet jak na standardy odrzutów. Edwin upił łyk zimnej kawy, otworzył ostatni maszynopis -- gruby plik papieru w wielkiej kopercie -- i już miał go odrzucić ze względu na samą jego masę, kiedy do jego boksu swą ogromną głowę wetknął Nigel.

-- Edwin! Pogadanka za pięć minut. ZDWT.

-- ZDWT?

-- Zbieraj dupę w troki. Szef czeka.

Nigel powinien mieć przyлизane włosy i obleśny uśmiezek. Powinien mieć złoty ząb i pasek z węzowej skóry. Bardzo by to do niego pasowało. A jednak zawsze wyglądał nieskazitelnie, jego strój był jednocześnie swobodny i artystycznie nonszalancki. Na tle innych redaktorów Nigel Simms wypadł jak elegancki i seksowny młody mężczyzna.

Zważcie, że wzięwszy pod uwagę jego konkurencję (inni redaktorzy) oraz osoby, które dokonywały faktycznej oceny (redaktorki), nie oznaczało to szczególnie dużego komplementu. W normalnym otoczeniu Nigel uchodziłby za co najwyżej przeciętnego, lecz w tej klatce z królikami, którą jest świat redakcji, kategorii zaledwie ździebko wyższej od kręgów bibliotekarskich pod względem poczucia humoru i seksapilu, Nigel błyszczał niczym świeżo wyszczotkowany rumak. Edwin go nienawidził. Nienawidził

go ze wszystkich oczywistych, trywialnych powodów. Nienawidził go za to, że był odwrotnością krzywego zwierciadła, lustrem, które ukazywało czystsza, ładniejsza, lepsza

wersję jego samego. Nienawidził go za kompetencję. Nienawidził go za to, że Nigel nie palił. Nienawidził go za wszystko.

Co nie oznacza, że w sprawach mody Edwin był całkowitym ignorantem. O nie.

Edwin zawsze się starał wyglądać sztywno, a już przynajmniej nie jak skończony cham. Ubrania dobrze na nim leżały -- podobnie jak marynarka od Armaniego dobrze by się układała na wieszaku. Problemy pojawiały się wtedy, gdy Edwin musiał zdjąć tę marynarkę albo założyć szorty i sandały albo -- najgorszy scenariusz -- rozebrać się w pobliżu jakiegoś świadka i/lub lustra. Chudość Edwina -- same ręce, nogi i łokcie -- była zmorą jego życia. Kiedyś Edwin przeżył półroczny okres wypełniony intensywnym, niemalże neurotycznym budowaniem muskulatury oraz pićm proteinowych koktajli z zamiarem "nabrania ciała" i "zmężnienia". Zupełnie jakby jego mózg rozpałała gorączka. Smarował się olejkami, wyciskał i podnosił nad głowę karykaturalnie wielkie ciężary, aż nogi zaczynały mu się trząść, w plecach chwytaly go skurcze, a twarz wykrzywiały komiczne grymasy w stylu Hulka Hogana (choć z mniejszą dozą artyzmu), nawet gdy jakiś trener z Cro-Magnon i z mózgiem zgniłym od sterydów wrzeszczał, motywując go do wysiłku. Kilkakrotnie Edwin ryzykował

wylewem, noc w noc włókł swe wycieńczone zwłoki do domu -- i po co to wszystko?

Dla postury, która już nie była chuda -- to prawda -- lecz raczej żylasta i chuda. Jego mięśnie się nie rozwinęły, a jedynie stały bardziej napięte. "Łysy lemur" -- tak się opisywał Edwin, gdy zdarzało mu się uchwycić nago swe odbicie w lustrze.

Nigel Simms wyglądał jak drugorzędny model z magazynu z modą dla panów, jeden z tych, którzy nie są na tyle przystojni, by się dochrapać zdjęcia na okładce, ale warto zamieścić ich podobiznę w środku. Edwin zaś przypominał faceta ze zdjęcia z podpisem "przedtem" ze starych komiksów o Charlesie Atlasie. Był facetem, któremu zawsze wiatr wieje prosto w oczy.

-- Jeszcze tylko jeden maszynopis -- powiedział Edwin, spoglądając na ostatni egzemplarz ze sterty. -- Jeszcze jeden. Szybko to załatwię. -- Wyjął plik kartek z opakowania. Był ogromny, składał się z przynajmniej dwóch ryz, ponad tysiąc stron.

Jezu. I po to wycięto tyle drzew. List (i cały maszynopis, kiedy Edwin go przekartkował) został wystukany na starej maszynie do pisania -- widok tak niezwykły, że Edwin zawahał się w połowie listu odmownego. Zajrzał na pierwszą stronę. Tytuł brzmiał

Czego dowiedziałem się na górze, a autorem był niejaki Rajee Tupak Soiree. Cała strona -- tu Edwin zarechotał -- była oklejona naklejkami ze stokrotkami (stokrotkami!), a na jej dole widniały odręcznie napisane słowa: "Żyj! Kochaj! Ucz się!".

Edwin wbrew sobie zachichotał. "Żyj! Kochaj! Ucz się!". Już wymyślał odpowiedzi: "Idź! Się! Jebać!". Wyjął dołączony list i zaczął czytać:

Do redaktora zajmującego się stertą odrzutów -- a zakładam, że jest nim osoba czytająca te słowa, która pewnie teraz po cichu wykiwa moje słoneczne i afirmujące życie motto złożone z trzech słów, chociaż sama tkwi w swoim biurze, lichym, szarym biurze, a może nawet nie biurze -- może w boksie, ciasnym pudełku wśród innych, większych pudełek, równie anonimowa i niespełniona jak jej własne nadzieje i niezrealizowane marzenia, te, które ukrywa przed światem, te, o których szepcze sobie późną nocą, kiedy nikt nie słyszy. Nikt oprócz Boga. Jeśli On w ogóle istnieje. A co, jeśli nie istnieje? Co wtedy? Pustka, która znajduje się w samym sercu życia człowieka, nie pozostaje bez echa, po prostu zostaje zepchnięta, jest trzymana na wodzy... Ach, ale przecież już się zdążyłeś o tym przekonać, prawda?

Edwin poczuł leciutki ucisk w piersi. Jego uśmiech zgasł. Edwin dostał gęsiej skórki, a po skórze przebiegł mu dreszcz. Było to uczucie podobne do tego, jakie się ma, kiedy ktoś cię obserwuje, i mało brakowało, by Edwin opuścił żaluzje i schował się pod biurko. Na szczęście w jego boksie nie ma okna, więc nie musiał się przejmować podglądaczami, serią z karabinu

snajpera czy co gorsza rozpraszającym widokiem.

Moja recepta dla ludzkości -- nazwanie jej "książką" nie oddaje jej sprawiedliwości -- to owoc intensywnego, siedmiomiesięcznego pobytu w pustelni na wysokiej górze w Tybecie. Czas ten spędziłem na głębokiej medytacji, bez jedzenia i wody. Moim oczom powoli ukazały się skomplikowane problemy ludzkości i ich rozwiązania. Teraz ofiaruję je wam. Zezwalam na opublikowanie tego ważnego dzieła. Co spowoduje moja "książka"? Zapewni szczęście każdemu, kto ją przeczyta. Pomoże ludziom schudnąć i rzucić palenie. Zlikwiduje uzależnienie od hazardu, alkoholu i narkotyków. Pomoże ludziom odzyskać równowagę wewnętrzną. Pokaże im, jak w lewej półkuli mózgowej uwolnić moc intuicji i kreatywności, odnaleźć inspirację, pocieszenie, zarobić duże pieniądze, cieszyć się życiem i usprawnić życie seksualne (dzięki mojej przełomowej Technice Miłosnej Li Bok). Czytelnicy staną się bardziej pewni siebie, bardziej samodzielni, uprzejmi, kontaktowi, spokojniejsi. Poprawi się również ich postawa i wymowa oraz odzyskają sens i cel życia. Zawsze chcieli tylko tego, tylko tego pragnęli.

Moja książka zapewni szczęście temu światu. [Tutaj słowo szczęście było kilkakrotnie podkreślone długopisem. Dolny margines listu obsypywał deszcz stokrotek]. Osobo w ciasnym, nędznym boksie, przynoszę Ci światło. Prawdziwe światło. Z poważaniem Tupak Soiree

Szanowny panie Soiree! Pierwszy raz przydarzyło mi się coś podobnego. Nie wiem, jak Pan wpadł na to, że osiągnie Pan sukces, obrażając redaktora zajmującego się nabywaniem nowych tytułów dla wydawnictwa równie wybitnego i szacownego, co Panderic Inc., ale może mi Pan wierzyć, że się Panu nie udało. (A tak przy okazji, pracuję w przestronnym pokoju obitym dębową boazerią, którego okna wychodzą na ocean, nie zaś, jak Pan to z góry założył, w jakimś ponurym, szarym boksie).

Zamierzałem Panu odesłać Jego ręcznie wystukaną kolekcję głupiutkich rad na dobre samopoczucie, doszedłem jednak do wniosku, że najwyraźniej jest Pan jakimś walniętym, porąbanym świrem bez piątej kleпки, więc jedynie użyję Pańskiego maszynopisu do podtarcia sobie...

Ale oczywiście tego Edwin nie napisał. Nie. Wyciągnął kolejny standardowy list odmowny, w którym "z żalem informował" o swojej decyzji pana Soiree i zaproponował wysłanie maszynopisu -- oraz wszelkich innych, jakie być może stworzył -- do HarperCollins albo Random House. "Proszę napisać, że przysłał Pana Panderic" -- nabazgrał na dole.

A jednak w całym tonie tego listu było coś zastanawiającego. Coś hipnotyzującego i złowieszczonego, podobnego do przestachu, jaki cię ogarnia, gdy na ulicy ktoś nagle woła twoje imię. Edwin przypomniał sobie, że już się zdarzało, iż ze sterty odrzutów wyławiano wspaniałe książki. A także złe. To stamtąd pochodziła Ania z Zielonego Wzgórza. I, jak głosi legenda, Mein Kampf. No i to imię, to imię: Tupak Soiree. Gdzie on już je słyszał?

-- Edwin, możesz się pośpieszyć? -- To była May, która wyglądała na rozgorączkowaną. -- Pan Mead czeka! Wymknęłam się pod udawanym pozorem, że idę po dokumenty. Zebranie już się zaczęło, więc chodź!

Edwin odwrócił się na krześle i uśmiechnął do May.

-- O kurczę. Użyłaś określenia "udawany pozór".

-- Ruszaj się! Muszę już wracać. -- I poszła.

-- Już dobrze, dobrze. -- Edwin zmagął się z maszynopisem, szukając koperty KZZN, ale nie znalazł ani jednej. Zajrzał do koperty, w której przyszedł maszynopis, przetrząsnął całe biurko, spojrzął nawet na podłogę, by sprawdzić, czy koperta nie spadła. Nic. -- A więc nawet nie dołączyłaś KZZN? No to idź się pan pieprzyć, panie Soiree. -- Polityka firmy nakazywała, by nie

odsylać maszynopisów bez KZZN, co jednak było tylko blefem. Zwracano wszystkie maszynopisy bez KZZN. Ale nie dzisiaj.

Był poniedziałek, Edwinowi dokuczał wrzód żołądka, w sali konferencyjnej czekał szef zakuta pała, a oferta Tupaka Soiree już wystarczająco go zirytowała. Wepchnął gruby, opasły maszynopis i list z ofertą z powrotem do koperty, zawinął jej brzeg i cisnął do kosza na śmieci.

-- Tam jest twoje miejsce -- wymamrotał, łapiąc notatnik, i wybiegł ze swojego boksu. Taki był koniec Tupaka Soiree. W każdym razie tak się wydawało Edwinowi.

Rozdział trzeci

Kiedy Edwin przyszedł, zebranie trwało już od jakiegoś czasu. Co oznacza, że zjedzono wszystkie dobre babeczki. Gdy Edwin gmerał wśród nędznych resztek -- zawsze pierwsze znikają te z jagodami i bananami, a zostawały cukiniowo-dyniowo-otrębowe paskudztwa, których nikt nie chciał -- wszechmocny pan Mead odwrócił się od rzutnika umieszczonego nad głową i powiedział, posyłając Edwinowi protekcyjny, belferski uśmiech:

-- Edwin. Jak to miło, że wpadłeś.

Pan Mead był dzieckiem z okresu wyżu demograficznego -- w najgorszym sensie tego słowa. Ledwo przekroczył pięćdziesiątkę, ale usiłował uchodzić za, no cóż, hipisa.

Albo kogoś w tym rodzaju. Do pracy zakładał dżinsy, lecz swoim podwładnym nie pozwalał na taki strój. (Miało to udowodnić, że co prawda nie jest sztywniakiem, ale nadal pozostaje szefem czy innym cholerstwem). Łysiał, a rzednące siwe włosy -- chodziły plotki, że farbował je na siwo, gdyż jego naturalna siwizna nie wyglądała dość naturalnie -- nosił ściągnięte w ciasny cieniutki kucyk, według pamiętnego opisu Edwina przypominający "penis pieska rasy chihuahua". Jak to bywa wśród łysiejących męskich przedstawicieli okresu wyżu demograficznego, w ramach rekompensaty (lub dla odwrócenia uwagi, trudno powiedzieć) pan Mead zapuścił sobie brodę. Nosił szkła o dziwnym osmiokątym kształcie mające oznaczać jego nowatorskie podejście do okularów oraz -- co za tym idzie -- do polityki, biznesu i życia. Edwin nienawidził pana Meada. Nienawidził wielu osób, ale najbardziej tego faceta w sztruksowym krawacie, faceta, który ciągle powtarzał: "Dzieci, czy opowiadałem wam kiedyś o prawdziwym duchu Woodstock?". Nie cierpiał zwłaszcza, gdy pan Mead wytykał Edwinowi jego fatalne nawyki związane z pracą, niepunktualność, młodość i jałowość. Nawyki Edwina związane z pracą rzeczywiście były beznadziejne. Rzeczywiście się spóźniał.

Rzeczywiście był źle zorganizowany. Ale przecież pan Mead nie musiał mu tego wytykać z tak nieubłaganą uciechą.

Pan Mead nosił imię Leon, choć wszyscy wiedzieli, że brzmi ono po prostu "Leon", a dodanie akcentu wynikało z afektacji szefa. Jednakże jego nazwisko Edwin uważał za idealny symbol grupy osób urodzonych w okresie wyżu demograficznego, podsumowanie całego pokolenia, połączenie me ("ja") oraz need ("chcę").

Kiedy tak myślał o niebieskich migdałach, skubiąc babeczkę dyniowo-otrębową i usiłując nie umrzeć z nudów, nagle ogarnęło go denerwujące uczucie, że wszyscy się na niego gapią, czekając, aż coś powie. Wrażenie to przypominało tamto, które miał

parę chwil wcześniej, czytając list z ofertą wydania książki o górze (pełny tytuł już zniknął z magicznej tabliczki, jaką była powierzchnia jego świadomości). Ale tym razem nie było to tylko zwykłe przeczucie.

Kiedy podniósł wzrok, okazało się, że wszyscy zgromadzeni przy stole konferencyjnym -- pan Mead z protekcyjnym uśmiechem, May z wyrazem głębokiej konsternacji na twarzy i Nigel ze złośliwym uśmieszkiem -- wszyscy co do jednego intensywnie się w niego wpatrują.

-- Więc? -- spytał pan Mead. Jedna sylaba, lecz, och, jakże ciężko zaległa w umyśle Edwina. Gorączkowo zaczął przetrząsać swą krótkoterminową pamięć, bezskutecznie usiłując skojarzyć, o czym mogli rozmawiać. Notes nie przyszedł mu z pomocą; był

zabazgrany esami-floresami i takimi natchnionymi sloganami jak "chihuahua" oraz "bla, bla, bla". Zerknął na May. Na jej twarzy malowało się takie napięcie, wyczekiwanie i niepokój, że przestraszył się, że lada chwila May zacznie rodzić. I to nie tylko jedno dziecko, lecz wieloraczki. Gdzie są środki przeciwbólowe, niech ktoś wezwie pogotowie.

-- Tak? -- powiedział.

Pan Mead analizował niespodziewaną lukę w jesiennym katalogu. Co roku w październiku od sześciu czy siedmiu lat Panderic wydawał książkę pewnego lekarza z Georgii, znanego jako "pan Etyka". Raz był to Poradnik etyki dla każdego, w kolejnym roku Wstęp do etyki dla nowoczesnego managera, potem Jak wieść etyczne życie w tym zwariowanym, chaotycznym świecie, i tak dalej. (Im większe sukcesy odnosił pan Etyka, tym dłuższe stawały się tytuły jego książek, które coraz bardziej chudły. Mówiło się, że ostatnią z nich dyktował swojej sekretarce podczas porannego golenia). Najnowsze dzieło pana Etyki, Siedem nawyków etycznych ludzi oraz nauka, jaką możecie z nich wyciągnąć, było już po redakcji. Niestety parę tygodni wcześniej pan Etyka został

oskarżony przez urząd skarbowy o uchylanie się od płacenia podatków i teraz groziło mu od ośmiu do dziesięciu lat więzienia z możliwością złagodzenia wyroku.

Wstrzymano serię jego poradników. Edwin nie mógł zrozumieć, jaki to ma związek z jego osobą.

-- Czekamy -- powiedział pan Mead, nie przestając się uśmiechać.

-- Czekamy?

-- Na twoją propozycję.

-- Na moją propozycję?

-- Tak jest, na twoją propozycję. Pamiętasz tę pogawędkę, jaką sobie ucieliśmy przed moim wyjazdem w zeszłym tygodniu? Spytałem, jak się miewa twoja ciocia. Odparłeś, że dobrze. Potem zastanawialiśmy się, czy wstrzymać wydanie następnej książki pana Etyki. Powiedziałem: "Rany, w jaki sposób wypełnimy lukę w katalogu?", a ty na to: "Niech się pan nie martwi. Mam wspaniały pomysł na poradnik na jesień". Ucieszyłem się i zaproponowałem, żebyś mi go przedstawił po moim powrocie. Odpowiedziałeś: "Jasne!". Naprawdę nic nie pamiętasz?

-- Ale ja nie mam żadnej cioci.

-- Na miłość boską, człowieku, to nie ma nic wspólnego z twoją ciocią! No, co masz nam do pokazania? -- Wyraz twarzy pana Meada robił się coraz poważniejszy, szef wyraźnie tracił cierpliwość.

Edwin z trudem przełknął ślinę, poczuł pulsowanie krwi w skroniach i powiedział drżącym głosem:

-- Właśnie nad czymś pracuję.

-- Co to takiego?

-- Yyy, książka. Bardzo interesująca. Właśnie nad nią pracuję. Nad książką.

-- Mów dalej.

Nigel uśmiechał się sadystycznie.

-- Tak, słuchamy. Bardzo nas ciekawi, co masz do powiedzenia.

Edwin odchrząknął i starając się zachować spokój, powiedział: -- To książka o tym, jak schudnąć.

-- Takich mamy już mnóstwo -- odparł pan Mead. -- Jaki punkt widzenia prezentuje?

-- Radzi też czytelnikom, jak rzucić palenie.

-- Szmira. Potrzebny nam przebojowy dobrze sprzedający się poradnik w miękkiej oprawie. Coś z ikrą. Diety? Palenie? Nie było mnie przez dwa tygodnie, a ty zdążyłeś wymyślić tylko tyle?

-- No, nie. Ta książka mówi też o tym, jak usprawnić życie seksualne. Wymieniona jest tam technika, yyy, Li Pok czy też może Li Bok. Jest rewolucyjna. Bardzo seksowna.

Pan Mead zmarszczył brwi, ale z aprobatą.

-- Seks -- powiedział. -- To mi się podoba. -- I Edwin ledwo się obejrzał, a już nabrał rozpędu, im bardziej koloryzował, tym bardziej rósł entuzjazm pana Meada, tym głębszy się stawał mars na jego czole i tym energiczniej szef kiwał głową.

-- Radzi też, jak zarobić duże pieniądze.

-- Doskonale.

-- I jak uwolnić kreatywność. I osiągnąć spokój wewnętrzny.

-- Dobrze, dobrze. Mów dalej.

-- I jak nabrać siły, pewności siebie, współczucia dla innych i są tam też, yyy, przepisy i rady dotyczące gry na giełdzie. Wszystko, czego dusza zapagnie. Pieniądze.

Seks. Odchudzanie. Szczęście.

-- Hej, to mi się podoba. Brzmi jak remedium na wszystkie bolączki.

Uśmiech Nigela, który siedział po drugiej stronie stołu, przekroczył wszelkie granice zła, był to już iście szatański grymas. Pan Mead jednakże rozpromienił się z zachwytu.

May miała zrozpaczoną minę. Edwin poczuł, że za chwilę zemdleje.

-- Fantastycznie -- powiedział pan Mead. -- Kiedy wrócę w przyszły poniedziałek, chcę widzieć twoją ofertę na moim biurku. (Pan Mead wiecznie dokądś wyjeżdżał, czy to na symposium poświęcone dotowaniu wydawnictw, czy na targi książki we Frankfurcie). -- Och, a jaki ma tytuł?

-- Tytuł?

-- Tak, człowieku, tytuł. Jak on brzmi?

-- Chodzi panu o tytuł książki?

-- Nie rób z siebie idioty. Oczywiście, że o tytuł książki. Jak ją zatytułujesz?

-- Tytuł brzmi, yyy, Czego dowiedziałem się na górze.

-- Na górze? Nic nie rozumiem. Na jakiej znowu górze?

-- Na górze, proszę pana. Bardzo wysokiej. W Nepalu. Czy w Tybecie. Na tej górze autor dowiedział się wielu rzeczy. I stąd tytuł.

-- Czego dowiedziałem się na górze. -- Pan Mead pogładził się po brodzie. -- Nie podoba mi się. Ani trochę. Za mało chwytliwy.

-- Możemy go rozwinąć w podtytule. Może coś w stylu Wspaniały seks, rewelacyjna dieta odchudzająca, sposób na zrobienie fortuny. I dla emfazy dodać parę zachęcających wykrzykników, może nawet...

-- Nie, nie, za długi. W dzisiejszych czasach długie tytuły źle się sprzedają. Powinien być krótki i konkretny. Może jedno stanowcze słowo. Albo aluzja do jakiegoś znanego filmu. Coś, co zasygnalizuje czytelnikowi "magiczną podróż", w którą zaraz wyruszy.

Może Czarnoksiężnik z Oz.

-- Albo Inwazja żywych trupów -- mruknął Edwin.

-- W "Publishers Weekly" zamieszczono wyniki badań na temat tytułów literatury faktu -- ciągnął pan Mead. Okazuje się, że tytuł książki powinien mieć przeciętnie... ile to było, Nigel?

-- Cztery i sześć dziesiątych słowa.

-- Właśnie, cztery i sześć dziesiątych słowa. To optymalna liczba słów w tytule książki z literatury faktu. Zostańmy więc przy tych parametrach, dobrze?

-- A jak miałyby brzmieć te sześć dziesiątych słowa, ty głupi, odmóżdżony, siwy, skończony stary dziadu? -- Oczywiście Edwin niezupełnie w ten sposób sformułował swoje pytanie. Powiedział natomiast: -- Sześć dziesiątych słowa, proszę pana?

-- Tak jest. Na przykład... -- Pan Mead zastanawiał się przez chwilę. -- Na przykład forma ściągnięta. Albo przyimek. Zaraz! Słowo z łącznikiem. To by było jeden i sześć dziesiątych słowa, prawda?

Tu nastąpiła długa zawiła dyskusja na temat tego, czy przyimek można uznać za pełne słowo, czy tylko jego sześć dziesiątych.

-- Może powinniśmy przeprowadzić własne, wewnętrzne badania. Podliczyć przeciętną liczbę słów w tytułach naszych książek z ostatnich dziesięciu lat, podzielić je przez zero przecinek sześć i wykorzystać wynik?

-- Już się do tego zabieram -- powiedział Nigel, coś wściekle skrobiąc w swoim notesie. (Pod koniec dnia pan Mead miał zupełnie zapomnieć o swojej prośbie).

-- Świetnie, świetnie. I nie zapomnij o przedrostkach. Sądzę, że nie wolno nam wykluczać przedrostków. Je również można uznać za sześć dziesiątych słowa.

-- Zwrócę na to szczególną uwagę -- obiecał Nigel.

-- I ograniczmy się do trzystu dziewięciu stron. To przeciętna długość obecnych bestsellerów. Dopilnuj więc, żeby twoja książka liczyła dokładnie -- ile to miało być? -- trzysta dziewięć stron. Okay, Edwin?

Ale w tym momencie Edwin już przywiązał sznur do krokwi i się na nim powiesił.

Pan Mead zwrócił się do May:

-- Co o tym sądzisz? Jak myślisz? Tylko szczerze.

-- Myślę, że nie powinniśmy się nad tym zatrzymywać.

-- Właśnie. Masz rację. Tylko marnujemy energię, grzebiąc się w szczegółach. -- Po czym potępiającym ruchem ręki machnął do Edwina. -- Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle poruszył ten temat. Skup się, Eddie. Tego właśnie brakuje waszemu pokoleniu.

Koncentracji. Przypomina mi się pewien cytat z Konfucjusza, bardzo popularny w czasach mojej młodości. Było to na Woodstock, a może w Selma, ale jego wydźwięk przetrwał do dzisiaj. Oczywiście lepiej brzmi w oryginale, po mandaryńsku, ale zasadniczo chodzi o to, że w każdej hierarchii, och, zaraz, może to zasada Petera, a nie Konfucjusza.

-- Proszę pana? -- May podjęła kolejną próbę skierowania dyskusji w stronę rzeczywistości. -- Omawialiśmy zmiany w jesiennym katalogu.

-- A, tak, jesienny katalog. Zgadza się. Słusznie, May. Cieszę się, że poruszyłaś tę sprawę. Jak wszyscy wiecie, ponieważ seria pana Etyki została wstrzymana na czas nieokreślony, musimy podwinąć rękawy, wziąć się do roboty i bla, bla, bla, penis chihuahua.

Edwin już sprawnym ruchem wyłączył gładzenie pana Meada -- podobnie jak za jednym przekręceniem gałki w radiodbiorniku można zastąpić zwykłym szumem kazanie fundamentalistycznego kaznodziei. Dosiedział do końca zebrania, stwarzając pozory spokoju, lecz jego serce ścisnęła panika. Znalazł się w pułapce. Sam się zapędził

w kozi róg, odciął sobie wszystkie drogi ucieczki, zamknął drzwi i połknął klucz. Teraz mógł go uratować tylko jeden człowiek: Tupak Soiree.

-- ... i wtedy to postanowiłem poświęcić swoje życie czemuś znaczącemu, czemuś o większym znaczeniu moralnym. -- Pan Mead kończył jakąś niezwiązaną z tematem anegdotkę. -- I od tamtej pory już nigdy nie obejrzałem się za siebie. Ani razu.

Edwin ostatkiem sił się powstrzymał, by nie zerwać się na równe nogi, zacząć szaleńczo klaskać i krzyknąć: "Brawo! Brawo!".

Lata sześćdziesiąte nigdy nie umarły, po prostu stały się potwornie nudne.

Kiedy wszyscy już wyszli z pokoju konferencyjnego, Nigel podszedł do Edwina.

-- Świetna prezentacja, Ed. Jak to brzmiało? "Przynosi kasę, świetnie smakuje i leczy raka"?

-- Idź się powieś, Nigel.

-- Chyba na tym samym sznurze, na którym już ty zawieś, co?

Edwin przyspieszył kroku i wyprzedził Nigela, który zatrzymał się i zawołał wesoło:

-- A tak przy okazji, ona czuje się dobrze!

-- Jaka "ona"? -- Edwin się odwrócił.

-- Moja ciocia Priscilla. Czuje się dobrze. Okazało się, że to tylko łagodna grypa. Ale życzę szczęścia z tą książką. Twój projekt brzmi bardziej ekscytująco niż ten, nad którym ja pracowałem.

Ty skurwysynu.

-- Ta-dam! -- wykrzyknął Nigel, znikając w swoim gabinecie. Z widokiem.

Edwin z wściekłością wpadł do swojego boks, mamrocząc pod nosem pogrózki i inwektywy rodem z Króla Leara.

-- Jeszcze im pokażę. Pokażę im wszystkim.

W środku czekała na niego May.

-- Wiesz -- powiedziała, rozglądając się po ścianach boks -- żadne prawo nie zabrania wieszania w pracy obrazków i przynoszenia pamiątek. Pan Mead wręcz do tego zachęca. Mówi, że to "wzmaga spontaniczność pracowników". Słowo daję, twój boks to najbardziej puste, najbardziej...

-- To protest -- odparł. -- Protestuję przeciwko kwiatkom, balonikom, zdjęciom niemowląt i śmiesznym wycinkom z gazet.

-- Wyraźnie preferujesz styl zen.

Usiadła na biurku i oparła się na łokciu na stercie maszynopisów w pudle z napisem DO WYRZUCENIA.

-- Teraz mi wszystko wytłumacz. Czego dowiedziałem się na górze? Skądęś to wytrzasnął? Nigdy nie słyszałam o tej książce, a przecież to ja rozdzielałam zadania.

Powiedz, że nie wymyśliłeś tego na miejscu. Proszę, powiedz.

-- May, nic nie rozumiesz. Wpadłem w pułapkę.

-- Edwin, musimy w tej chwili wrócić do pana Meada i wyjaśnić, że w chwili słabości, pod wpływem poniedziałkowego zmęczenia...

-- May, posłuchaj. Poradzę sobie. Pamiętasz, jak mnie zatrudniłaś? Pamiętasz moje pierwsze zadanie? Zrobiłem redakcję jednej z najbardziej udanych serii poradników, jakie kiedykolwiek wydał Panderic: Balsam dla złamanego, stęsknionego serca. Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałaś? "Nie przejmuj się, te książki dosłownie piszą się same.

Ludzie przysyłają podnoszące na duchu opowiadki ze swojego życia, a tak zwani autorzy po prostu zbierają te łzawe historyjki i dodają błyskotliwe tytuły. Redaktor musi tylko sprawdzić pisownię i interpunkcję". Bułka z masłem, pamiętasz? I co się wtedy stało? Podczas drugiego tygodnia mojej pracy nad Balsamem, drugiego tygodnia, przychodzą autorzy, opaleni i zasmuceni, cali okapujący złotem. I co mi mówią? "Są problemy". Właśnie redagowałem Balsam numer dwieście siedemnaście: Balsam dla płaskostopia. I co mówią? "Nie damy rady. Skończyły nam się pocieszające historyjki o dzieciach umierających na raka kości. Nie została już ani jedna. Nasze zapasy się wyczerpały". A co ja wtedy zrobiłem? Co zrobiłem, May?

-- Wiesz, nie cierpię, kiedy pisarz próbuje zawrzeć opis w dialogu -- powiedziała May.

-- Przybiegłem do ciebie z płaczem? Podałem się? Przyznałem się do porażki? Nie.

Przełknąłem to i powiedziałem: "W porządku, panowie. W takiej sytuacji można zrobić tylko jedno: wszystko zmyślić". Przejrzeliśmy materiały archiwalne, wzięliśmy po dwie najmniej pamiętne anegdotki z każdego z poprzednich dwustu szesnastu Balsamów i wydaliśmy je pod tytułem Wielka sterta odgrzanych resztek dla duszy. I pamiętasz, co się wtedy stało?

-- Tak -- powiedziała May. -- Pamiętam.

-- Siedemnaście tygodni na liście bestsellerów "Timesa". Kurwa, całe siedemnaście tygodni. Dwa tygodnie dłużej niż Bałkański Orzeł. Siedemnaście tygodni i nikt się nie zorientował, ani jeden czytelnik, ani jeden krytyk, ani jeden księgarz. Nikt się nie domyślił, że po prostu zebraliśmy do kupy stare materiały. Więc mi nie mów, że teraz nie dam sobie rady. Książka, która obiecuje zdrowie, szczęście i udany seks? Nie ma problemu. Kaszka z mlekiem. Poradzę sobie, May, poradzę sobie.

-- Ależ, Edwin, masz tylko jeden tydzień. Pan Mead chce widzieć maszynopis, kiedy wróci z podróży, a ty nie masz mu nic do pokazania. Nic.

-- I tu się mylisz. Bo wiem coś, czego ty nie wiesz. Mam właśnie taki maszynopis! -- Edwin wyszedł zza biurka i triumfalnym gestem zanurzył rękę w koszu na śmieci, by wydobyć z niego odrzucony maszynopis.

Kosz był pusty.

Rozdział czwarty

-- Gówno. -- Tylko na tyle było stać Edwina. To jedyne słowo, które się zrodziło w jego umyśle, jedyne, które spłynęło z jego warg i przetoczyło się po jego podniebieniu. Dwa miliony lat ewolucji rasy ludzkiej, pięćset tysięcy lat rozwoju mowy, czterysta pięćdziesiąt lat współczesnego języka angielskiego. Bogate dziedzictwo Szekspira i Wordswortha na jego zawołanie, a Edwin wybrał z niego tylko jeden wyraz: "gówno".

Jego kosz na śmieci był pusty. Opasy maszynopis cuchnący radami i fałszywymi obietnicami zniknął, a wraz z nim nadzieja Edwina na zręczne wyjście z hiperbolicznego wydawniczego dołka, jaki właśnie wykopał pod panem Meadem.

-- Gówno -- powtórzył.

Jak już być może się domyślicie, "gówno" było jednym z ulubionych słów Edwina.

Kiedy pan Mead wydawał zniżkowe talony na sesje terapeutyczne (zamiast świątecznego bonusu), Edwin w dający się przewidzieć sposób dokończył zdanie "Życie to ". Zdaje się, że prawidłową odpowiedzią powinno być coś w rodzaju "bukiet kwiatów". Ale, jak to szybko zaznaczył Edwin, kwiaty rosną na gównie, stąd, ipso facto, słowo "gówno" jest logiczne i powinno się pojawić przed "kwiatami". W którym to momencie terapeuta dostał bólu głowy i przed czasem zakończył sesję. Teraz, w obliczu pustego kosza na śmieci oraz straszliwych konsekwencji, jakie z tego wynikały, Edwin uciekł się do podobnej reakcji.

-- Gówno.

-- Co się stało? -- spytała May.

-- Kosz na śmieci. Jest pusty. Włożyłem tam rękę, ale był pusty, a teraz nadal jest pusty.

-- Tak -- powiedziała May, zbierając się do wyjścia. -- To najgłępsza sztuczka magiczna, jaką kiedykolwiek widziałam.

-- Nie, nic nie rozumiesz. Tam był maszynopis. Właśnie tam.

W tej chwili Edwin usłyszał pojedynczy, ulotny dźwięk, stłumiony przez buczenie świetlówek i głosów mumii skulonych za ściankami boksów: pisk. Cieniutki, płaczliwy, słabutki pisk. Znał go, w pełni rozumiał jego znaczenie. Był to pisk kontenera na śmieci, tego na

skrzypiących kółkach, który zawsze go rozpraszał i od którego niemal wypadały mu plomby za każdym razem, kiedy -- jak mu tam było? -- Rory! -- za każdym razem, kiedy dozorca Rory dwa razy dziennie wiózł go korytarzami wydawnictwa, opróżniając kosze na śmieci i niemrawo zamiatając podłogę.

Rory zaiste był niemrawym człowiekiem i to właśnie jego niemrawość mogła ocalić Edwina. Gdyby tylko udało mu się go złapać, gdyby zdołał odzyskać grubą kopertę z...

Edwin puścił się szaleńczym pędem.

-- Dokąd biegniesz? -- krzyknęła May.

-- Na poszukiwania -- odkrzyknął, lecąc przez labirynt boksów i wymijając ludzi stojących po drodze. -- Na poszukiwania!

Bez zatrzymywania się przemknął przez pomieszczenie z kserokopiarką, wypadł na boczny korytarz, minął pokój dla personelu, zostawiając za sobą strzępy rozmów, chmury perfum i redakcyjną nudę. Mknął jak błyskawica, jak kula energii, jak burza, z desperacką prędkością.

-- Wolniej! -- wrzeszczeli statyści na planie, usuwający mu się z drogi. -- Wolniej!

Edwin usłyszał, że w miarę jak zbliżał się do Rory'ego, piszczenie przybierało na sile i wreszcie, gdy skręcił z korytarza, zobaczył piętę. Była to pięta Rory'ego znikająca w windzie towarowej. W tym momencie połączenie szybkości i zmniejszającego się dystansu stworzyło dziwne złudzenie optyczne: kiedy drzwi windy powoli się zamykały, Edwin osiągnął maksymalny drive. Frunął, ledwo dotykając stopami podłogi. Musiał tylko dobiec do windy, dramatycznym gestem włożyć rękę między drzwi, rozsunać je i powiedzieć równie dramatycznym tonem, z rękoma opartymi na biodrach: "Oddawaj maszynopis". Ale nie. W iście mistycznym paradoksie czasu i przestrzeni drzwi windy powolutku, powolutku się zamykały, choć Edwin pędził do nich na łeb, na szyję (na podłodze nadal widać ślady hamowania jego butów).

-- Cholera -- powiedział.

Nie szkodzi. Choć zasadniczo był człowiekiem pióra i miał duszę literata, to jednak również chodził do kina (bardzo często) i doskonale wiedział, co robić.

Schodami i za róg, schodami i za róg, schodami i za róg, schodami i za róg, schodami i za róg, schodami i za róg, schodami i za róg... Kiedy zbiegł na ósme piętro, poczuł zawroty głowy, kolana się pod nim ugięły i z pewnym niezadowoleniem uświadomił sobie, że prawdziwe życie w niczym nie przypomina filmowego. Nie uratuje go żadna literacka elipsa, żaden pęd klatką schodową, Edwin nie zbiegnie bez wysiłku na parter, by w samą porę dopaść otwierających się drzwi windy towarowej.

Nie. Musiał pokonać każdy cholerny stopień każdego cholernego piętra. Spotkała go mała niespodzianka. Dobrze wiedział, że książki kłamią, a zwłaszcza poradniki, ale zawsze zakładał, że rzeczywistość kinowa jest zgodna z prawdą. (Jeszcze na studiach często wymykał się na filmy ze Schwarzeneggerem, gdzie nie czaiły się ukryte wątki do przeanalizowania, gdzie nie musiał się doszukiwać głębi ludzkich zachowań.

Najbardziej lubił Conana Barbarzyńcę, chociaż Arnie cytował w nim Nietzschego, co trochę psuło nastrój). Gdyby znajomi literaci Edwina dowiedzieli się, że zamiast dumać nad T.S. Eliotem i Ezrą Poundem, przesiadywał na porannych seansach Conana, zostałby poddany ostracyzmowi. A przynajmniej przyklejono by mu łatkę będącą intelektualnym odpowiednikiem mięśniaka. Przez wszystkie lata studiów wiodł Edwin to wstydlive podwójne życie: na pozór wypełnione książkami i arystokratyczne, lecz w istocie pospolite i prostackie. A teraz, w swej bohaterkiej pogoni niekończącymi się schodami za dozorcą Rorem, Edwin de Valu musiał stawić czoło niepokojącej prawdzie: możliwe, że filmy z Conanem Barbarzyńcą nie do końca odzwierciedlały rzeczywistość.

Tak więc zrobił to, co w podobnych okolicznościach uczyniłby każdy prawdziwy protagonista: poddał się. Kiedy na miękkich nogach wyłonił się na siódmym piętrze -- "Szczęśliwa siódemka", wydyszał -- zaskoczył recepcjonistkę siedzącą na straży przy biurku.

-- Skąd się pan tu wziął? -- naburmuszonym głosem domagała się wyjaśnienia, kiedy Edwin powlókł się do windy i wcisnął guzik.

-- Z trzynastego piętra -- powiedział słabo.

-- Tu nie ma trzynastego piętra.

-- No właśnie -- odparł. -- No właśnie.

Kiedy winda powoli zjeżdżała, Edwin słyszał jej średniowieczne skrzypienie, jęk łańcuchów i bloków. Zjeżdżał coraz niżej i niżej, na ostatni poziom mrocznych piwnic.

Gdyby tylko udało mu się znaleźć Rory'ego, reszta sama by się ułożyła -- tego był pewien. Rory lubił Edwina, to było widać gołym okiem. Co prawda Edwin był poważanym redaktorem w potężnym wydawnictwie, lecz uważał, by woda sodowa nie uderzyła mu do głowy. Zawsze starał się zachować kontakt z klasą robotniczą. Za każdym razem, kiedy Rory popychał korytarzami swój skrzypiący wózek, Edwin nawiązywał z nim małą pogodną pogawędkę. "Cześć, Jimbo! -- mawiał. Jak ci się żyje?".

(Może imię dozorca brzmiało "Jimbo", nie zaś "Rory"? Nie. Na pewno Rory. Musi być jakiś inny dozorca o imieniu Jimbo). Niekiedy udawał, że szturcha Rory'ego w ramię i mówił "Hej ho!" albo pytał o hokeja. Rory strasznie lubił hokej. Edwin wiedział o tym, gdyż kiedyś Rory powiedział: "Bardzo lubię hokej na lodzie". Tak więc Edwin zawsze pytał: "Jak tam Raidersi?", a Rory coś tam odpowiadał, Edwin nie pamiętał, co. Pewnie coś w stylu "dobrze se radzą, panie kolego". Takie tam rozmowy o sporcie. Rory lubił

Edwina, to było widać gołym okiem.

Kiedy więc winda znalazła się na samym końcu łańcucha, Edwin odzyskał dobry nastrój. Wszystko się ułoży. Edwin uda, że szturcha Rory'ego w ramię, spyta o Raidersów, po czym, zupełnie od niechcienia, napomknie, że przypadkowo wyrzucił

bardzo ważną przesyłkę. Rory odnajdzie ją, a Edwin w podzięcie zaproponuje: "Skoczmy kiedyś razem na piwo", do czego zresztą nigdy nie dojdzie. Wszystko się ułoży.

Ale najpierw musiał odnaleźć Rory'ego. Czy też może Jimbo.

Zaczął wędrować z jednego ciemnego poziomu na drugi, niczym postać z jakiejś minimalistycznej sztuki. Pomieszczenia magazynowe prowadziły do opuszczonych podziemnych garaży, które z kolei prowadziły do zaśmieconych korytarzy i pustych holi. Wszędzie panowały wilgoć i mrok i rozlegało się echo plusku kapiącej wody.

Ściany przesiąkły zapachem siarki i tlenku węgla. W pewnym momencie Edwin zaczął gwizdać.

Jak szczur, który przypadkowo znalazł wyjście z labiryntu, tak Edwin w końcu odkrył pakamerę dozorców i śmietnik numer 3. Już, choć bezskutecznie, zajrzał do numerów 1 i 2, a ponieważ nie widział numeru 4...

-- Hej tam, hej ho! Rory, stary! Jak ci się żyje?

Rory, potargany facet w średnim wieku i o delikatnych rysach twarzy, odwrócił się i spytał:

-- Edwin? Z Panderica?

-- To ja! -- Tu: szeroki uśmiech.

-- Zapamiętałeś moje imię. Zwykle mówisz do mnie Jimbo.

-- Ach, to -- Edwin parsknął lekceważąco. -- Po prostu przypominasz mi jednego faceta, nazywaliśmy go Jim. No to ci nadałem taką ksywkę. Taki tam wygłup. Wiesz, zwykle żarciki.

-- Może i tak. -- Rory wyrzucił zawartość śmietniczki do wielkiego płóciennego worka. --

Co cię sprowadza do moich podziemi?

-- Och, wiesz, przypadkowo wyrzuciłem bardzo ważną kopertę, mniej więcej takiej grubości, od faceta od nazwisku Soiree. Opróżniłeś mój kosz, a ja muszę odzyskać tę przesyłkę, więc...

-- Rany. Chyba już ją wrzuciłem do kompresora. Zaczekaj. -- Rory podszedł do zdezelowanej tablicy rozdzielczej, wcisnął wielki czerwony guzik i hałas, którego przedtem Edwin nawet nie słyszał, raptownie ucichł. -- Prasujemy śmieci, a potem zabieramy do strefy załadunku, gdzie czekają na przewiezienie. Wejść tam i zajrzyj, a ja sprawdzę kilka pojemników, których jeszcze nie opróżniłem.

-- Mam wejść do środka?

Edwin grzebał w środku ponad dwadzieścia minut. Wszystko na nic. Kiedy wreszcie wyczołgał się stamtąd -- nie do końca wierząc, że Rory nie uruchomił kompresora -- oblepiała go mokra warstwa utworzona z pokruszonych ziarenek kawy i skorupki jajek.

-- To pewnie z bufetu -- wyjaśnił Rory. -- Z drugiego piętra. Może sprawdź ten większy kontener na tyłach.

Tak więc Edwin raz jeszcze głęboko zaczerpnął powietrza i ponownie zanurkował, ale tym razem zamiast mokrych śmieci i fusów po kawie znalazł Cmentarzysko Tysięcy Ścinków Papieru. Niewątpliwie były to śmieci z Panderica: ryzy papieru i opróżnione pojemniki po atramencie, od których jego palce zabarwiły się na niebiesko. Wszystko było przesiąknięte płynem z kserokopiarek (nawet całkiem przyjemny zapach, lecz w dużym stężeniu pewnie trujący).

-- Na litość boską, czy wy tu nie sortujecie śmieci? Wiesz, recycling?

-- Powinniśmy -- odparł Rory.

Przekopawszy się przez poranne odpadki z Panderica, obejrzawszy każdą kopertę i każdy maszynopis z osobna, po kolana w słowach i atramencie, Edwin musiał przyznać się do porażki.

-- Sprawdziłem każdą paczkę -- powiedział. -- I nic. Zero, cholera jasna.

-- A ta paczka jest ważna, tak?

-- Tak.

-- Bardzo ważna?

-- Tak, tak -- powiedział niecierpliwie Edwin. -- Bardzo, bardzo ważna. Myślałem, że już to ustaliliśmy. Rory, muszę ją znaleźć. Od niej zależy cała moja kariera.

en -- Nie jestem pewien, czy mogę ci pomóc. Za godzinę kończę pracę, pracuję na pierwszą zmianę. Może Dave albo Marty coś tu poradzą. Przychodzą w południe.

-- Nie, cholera! Nie mogę czekać do południa!

Wtedy Rory powiedział cicho:

-- Chwileczkę. Ta koperta była gruba, tak? Z naklejonymi stokrotkami?

-- Tak! -- Edwinowi rozbłysły oczy. -- Stokrotki! Gdzie ona jest?

-- Już poszła. Była w pierwszym pojemniku, ale podczas porannego kursu zostało trochę wolnego miejsca, więc załadowałem ją do pierwszej partii.

-- To znaczy?

-- W tej chwili pewnie jest na szalandzie. Edwin poczuł, że uchodzi z niego całe powietrze.

-- Na szalandzie? Jakiej znowu szalandzie?

-- Zwykłej. Odjeżdża codziennie, mniej więcej... -- Rory zerknął na zegarek -- ... teraz.

W ten oto sposób Edwin znalazł się na Belfry Island wśród gór odpadków, gdzie, potykając się na lawinach plastiku, przetrząsnął luźne sterty worków ze śmieciami, na próżno szukając w bezkresnym morzu papierzyków jednego konkretnego. Buldożery spychały do rowów parujące kupy śmieci, spłaszczając i zmieniając kształt ich wiecznie przemierzającej się bryły. Mewy dziobały śmieci, skrzeczały i zataczały kręgi na niebie, a wilgotne powietrze drgało w skwarze. W okolicy unosił się niemalże transcendentalny odór.

Edwina, niewyobrażalnie ponurego, już i tak oblepionego kawałeczkami skorupki jajek, ziarenkami kawy i tuszem z drukarek, spotkało jeszcze i to: odchody mew.

Białe, podobne do jogurtu fekalia. "A już mi się wydawało, że gorzej być nie może.

Myślałem, że niżej upaść się nie da". Z automatu przy nabrzeżu, wśród ryku holowników i nieustannego skrzeczenia i krzyku mew, zadzwonił do May.

-- Jestem w wysypisku śmieci -- powiedział.

-- W wysypisku?

-- Na -- i w. Wszystko jedno.

-- Na miłość boską, wracaj zaraz. Pan Mead szuka cię całe popołudnie. Powiedział, że chciałby z tobą omówić twój "sprytny" pomysł na tytuł do jesiennego katalogu.

-- Powiedz mu, że jestem chory. Zaraza morowa. Odchody mew. Załamanie nerwowe. Cokolwiek. Teraz to już nie ma znaczenia.

-- Edwin, nie mogę ciągle cię kryć.

-- Wiem, wiem. -- Nagle poczuł się zmęczony, niewypowiedzianie zmęczony. Jeszcze tego ranka był szczęśliwy. Niezadowolony, rozgoryczony i przytłoczony życiem, ale poza tym szczęśliwy. Wszystko gładko mu się układało, a przynajmniej wpadł

w wygodną rutynę. Jego życie stanowiło spójną całość. Ale od tamtej pory, odkąd ten maszynopis wylądował na jego biurku, wszystko zaczęło się rozłazić. Pojawił się koniec nabrzeża i Edwin wpłynął na głębokie wody...

-- Edwin? Jesteś tam jeszcze?

-- Hmm?

-- Wszystko w porządku?

-- Teraz chyba pojedę do domu. -- Jego głos był słaby i odległy. -- Powiedz panu Meadowi, że ona czuje się dobrze.

-- Kto?

-- Moja ciocia. Czuje się dobrze. Okazało się, że to tylko łagodna grypa.

Rozdział piąty

Edwin mieszkał na Upper South Central Boulevard, w rzędzie kamienic z piaskowca, wzniesionych wzdłuż splecheta trawy i rzędu rachitycznych, guzowatych drzew zamieszkałych przez wiewiórki-nałogowe-palaczki i kaszlące ptaki nieokreślonego gatunku. Edwina ledwo było stać na mieszkanie nawet w takiej okolicy.

Pensje Edwina i jego żony starczały zaledwie na spłatę hipoteki i zachowanie adresu na Upper South Central Boulevard -- niegdyś eleganckiego i legendarnego.

Wielki Boom Potasowy, dzięki któremu przy Grand Avenue powstały piękne edwardiańskie budynki, stworzył również okolicę Edwina: szereg wspaniałych posiadłości, teraz podzielonych na kamienice. Edwin czuł się tak, jakby zamieszkał w zamku po śmierci władcy.

Z przystani dla promów pojechał taksówką do najbliższej stacji metra, stamtąd szarą linią skierował się na północ do Czterdziestej Siódmej, po czym przesiadł się do LRT, potem do CTR,

ABC i wreszcie XYZ. Jego życie było istną płataniną tras komunikacyjnych, alfabetem powtórek. Niekiedy kusiło go, by wysiąść, unieść się w powietrze i pofrunąć do krainy marzeń, zostawiając za sobą słowa i to miasto.

Opuścić świadomość i jej nieodłączny ciężar.

Dom z piaskowca, w którym mieszkał Edwin, w tym kwartale ulic wyróżniały tylko dwie rzeczy: numer (668, "sąsiadka liczby bestii", jak lubił mawiać) oraz przeciwsłoneczne żółte okiennice we frontowym oknie.

Jenni -- młodsza, inteligentniejsza i ładniejsza od swego męża -- pracowała jako internetowa konsultantka w oddziale biura maklerskiego, a większą część wolnego czasu spędzała w wolnej sypialni (przerobionej na nowoczesne wirtualne biuro), wysyłając i odbierając pliki elektronicznych informacji. Oboje zajmowali się słowami, lecz różnica była jednocześnie głęboka i subtelna. Edwin miał do czynienia z papierem, czarnym na białym, literami, które dziurawiły powierzchnię, odsłaniając ciemność po drugiej stronie. Wśród takich słów obracał się codziennie. Słowa Jenni świeciły na zielono. Biła z nich niesamowita poświata jak z linii na ekranie radaru, emitowały światło, skrzyły się i wędrowały po powierzchni monitora, prześlizgiwały po liniach telefonicznych, sączyły się do systemów komputerowych, żyły w światłowodach.

"Wiesz, możesz zmienić ustawienia -- doradził jej kiedyś Edwin. -- Te litery nie muszą świecić na zielono, możesz mieć czarne na białym tle". Ale Jenni tylko się uśmiechnęła i odparła: "Ale ja lubię, kiedy moje słowa lśnią".

Jenni pracowała w domu, co oznacza, że dysponowała mnóstwem wolnego czasu.

I dlatego pan Muggins zawsze miał świeży piasek w kuwecie, a w toalecie w holu (z której nigdy nie korzystali, gdyż była zarezerwowana dla kup gości) odświeżacz powietrza był regularnie wymieniany. Stąd rozmaite bibeloty, hobby, niekończące się diety i terapie metawitaminowe. Połowa konowalów w dolnej części południowego Manhattanu utrzymywała się z hojnych dotacji żony Edwina.

Jenni wierzyła. Nieistotne, w co, po prostu wierzyła. W zwykłym przypadku dopatrywała się kosmicznego celu, w codziennych zbiegach okoliczności widziała oznaki istnienia wyższej mocy. Kiedy szli do chińskiej knajpy, przesuwała dłonią nad ciasteczkami z wróżbą, odbierała wibracje, czuła, że na jej wybór wpływa kosmiczna siła. "To tylko ciasteczka! -- Edwin miał ochotę wrzasnąć.

-- Produkują je masowo w fabryce w Newark. Na miłość boską, przysyłają je zapakowane w plastik". Nigdy jednak tego nie zrobił. Edwin bowiem w głębi ducha bał się Jenni. Nabierała wszystkich, ale męża jakoś nie udawało jej się wywieść w pole.

Wiedział, że przez jej duszę przechodzi cienkie stalowe ostrze. Była kandyzowanym jabłuszkiem, takim, o jakim się opowiada w miejskich legendach i strasznych historiach na Halloween -- z żyłką ukrytą w środku. A Edwin wiedział, że tylko kwestią czasu jest, kiedy się w nie wgrzyzie.

A teraz znowu wrócił do domu. Cztery schodki, klucz do zamka, zgarbione plecy.

Przypominał młodszą, mniej szlachetną wersję Willy'ego Lomana. (Loman zwykle nie pojawiał się na scenie przyozdobiony ptasim gównem i skorupkami jajek. Przynajmniej nie w tym przedstawieniu, które widzieli Edwin i Jenni. "To ja -- powiedział potem Edwin.

-- To ja za dwadzieścia lat". "Nie wygłupiaj się -- odparła jego żona. -- Ten aktor był od ciebie o wiele niższy").

Edwin zdjął płaszcz. Zdjął krawat. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze w przedpokoju: na wymizerowaną twarz i oczy jak dwie dziury wypalone w tanim linoleum. Naprawdę powinienem zostać pisarzem -- pomyślał. -- Mam smykałkę do porównań.

Tak go pochłonęła ta fascynacja swym sponiewieranym wyglądem będąca odwrotnością narcyzmu, że niemal przeoczył żółtą, kwadratową karteczkę przyklejoną do dolnego rogu lustra, na której napisano: "Uszy do góry! Jesteś lepszy, niż ci się wydaje".

Co u...

-- Cześć, kochanie! Wczesnie wróciłeś! -- Jego żona wpadła z kuchni przez korytarz do salonu jak gwałtowny fioletoworóżowy błysk włókna poliuretanowego. W tle rozległ się słaby hipnotyzujący głos: "I raz, i dwa, i trzy. Z życiem!".

Ich kot -- kot Jenni -- mrużąc i poruszając ogonem, otarł się o nogę Edwina, zaintrygowany smrodem zepsutej ryby i odpadków, jakim nadal przesiąknięte były nogawki jego spodni.

-- Nigdy nie zmądrzejesz, co? -- powiedział Edwin i kopnął kota, który miauknął i zniknął, pojedynczą strużką zaznaczając drogę wśród mebli.

Idąc korytarzem, natykał się na coraz więcej żółtych karteczek tworzących pochod motywujących przesłań. "Pamiętaj: jesteś tak dobry, jak ci się wydaje! A nawet lepszy!", "Umiejętność życia to pierwszy krok do umiejętności kochania", "Tak, możesz! Tak, uda ci się!".

Co u...

Po drodze złapał jedną z nich. Wesołym charakterem pisma było na niej napisane: "Czy pamiętałeś, by dzisiaj przytulić samego siebie?".

-- Chanie! -- zawołał, wchodząc do salonu. (Jenni zawsze zakładała, że ten przydomek to skrót od "kochanie". No cóż, myliła się). -- Chanie, dlaczego te...

-- Wyglądam grubo? -- Była w trakcie wykonywania serii głębokich przysiadów i przerwała na chwilę, by na niego spojrzeć. Jej włosy, lśniące, kasztanowe i przytrzymane opaską, podskakiwały jeszcze długo po tym, jak się zatrzymała.

Oczywiście, że nie była gruba. Miała świetną kondycję, była wysportowana. Musiała mocno ścisnąć skórę, by pojawiła się odrobina cellulitisu, którą mogłaby się potem zadrećzać. Postawa taka nie zapewniała jej sympatii koleżanek. -- Jestem okropnie gruba. -- Niektórzy łowią komplementy, Jenni wysyłała na dno oceanu całą flotę trałowców.

Nie spytasz, dlaczego śmierzę śmieciami i mam na głowie ptasie gównno? Nie ciekawi cię, dlaczego tak wczesnie wróciłem do domu? Albo jakim cudem udało mi się własnymi rękami zniszczyć sobie karierę w Pandericu?

-- Nie jesteś gruba -- powiedział po raz 327 304, odkąd się pobrali. -- Nie jesteś gruba.

-- A w kratce? Jak myślisz, wyglądam grubo w kratce?

-- W kratce?

-- Tak, w kratce. Tylko szczerze. Co tak naprawdę myślisz o kratce?

-- Co myślę? Co myślę? Gównno mnie obchodzi, co myślę. Zrujnowałaś mi życie.

Nigdy nie powinienem był się z tobą żenić, ty straszna, straszna babo. -- Oczywiście tego Edwin nie powiedział. Bał się Jenni, powiedział więc tylko: -- Dobrze ci w kratce.

-- Szczerze? Nie mówisz tego tak sobie, prawda? Tylko dlatego, że dzisiaj czuję się gruba? Nie wiem dlaczego, po prostu tak, i już. Jesteś pewien, że nie przytyłam?

Edwin westchnął.

-- Pisarka, Betty Jane Wylie, kiedyś powiedziała: "Większość ludzi uważa, że ich życie stałoby się idealne, gdyby tylko zrzucili pięć kilo".

-- Cóż, z pewnością to prawda.

-- Co jest prawdą? -- spytał bardziej cierpko, niż zamierzał. -- Stosujesz nieprecyzyjną składnię. Czy uważasz, że większość ludzi tak uważa, czy że to rzeczywiście prawda?

Że ich życie stałoby się idealne, gdyby tylko zrzucili pięć kilogramów?

-- Nie wiem. Chyba i to, i to. Hej, patrz, samoprzylepne karteczki! -- Wzięła bloczek i

podniosła go do góry.

-- Właśnie chciałem spytać, co...

-- "Zawijas" -- rzuciła, jakby to wszystko tłumaczyło. Rzeczywiście tego dnia przyszedł nowy numer "Zawijasa" i leżał teraz dumnie na stoliku do kawy. Na okładce widniała zapowiedź jednego z artykułów: "Samoprzylepne karteczki poprawią twoje życie!". -- Piszesz na nich motywujące zasady, a potem dla przypomnienia rozklejasz je po całym domu.

-- Dla przypomnienia?

Podawała mu bloczek i pióro, ale jemu przychodziły do głowy tylko rady w stylu "Spróbuj przeżyć ten dzień, nie zabijając nikogo", a tego, jak się domyślał, Jenni raczej nie miała na myśli.

Rozpoczął wędrówkę po korytarzach domu jak obcy poznający życie innego człowieka. Często zdarzało się, że siedząc samotnie i cicho w salonie, rozglądał się dokoła, usiłując znaleźć coś -- cokolwiek -- co dałoby się zidentyfikować z nim samym.

Cały wystrój świadczył o stylu Jenni: od słonecznych barw, poprzez wszechobecny motyw dzikich kwiatów aż po lśniący, nietknięty fortepian w kącie. Edwin nie wniósł w to wnętrze nic swojego. Był tu tylko lokatorem.

Wszędzie samoprzylepne karteczki: w kuchni, jadalni, bez wątpienia również w łazience. Wisiały na abażurze ("Marnowanie energii! Pomyśl o naszej niebieskiej planecie!"), nad zmywarką do naczyń ("Zmywaj naczynia! Oczyść swój umysł!") i na drzwiach lodówki ("Lepsze zdrowie i piękniejsze ciało", czyż dobór słów nie był

odkrywczy? Nie "piękne", lecz "piękniejsze" ciało). Edwin otworzył lodówkę i sięgnął do środka po puszkę piwa. Na puszcze -- na każdym piwie w skrzynce, znajdowało się małe przypomnienie od Jenni: "Czy na pewno potrzebujesz tego piwa? Na pewno?

Zdaje się, że ktoś tu ostatnio strasznie dużo pije".

Z głęboką ulgą wreszcie znalazł odpowiedź na jedną z karteczek Jenni. Czy rzeczywiście potrzebował tego piwa? Kurwa, pewnie, że tak. Otworzył puszkę i wlał sobie jej zawartość mniej więcej bezpośrednio do gardła.

-- Robotnicza dola -- powiedział z żalnością sam do siebie.

Niegdyś gustował w szwedzkim likierze i mahoniowym koniaku, sączył je powolutku, przetrzymywał w ustach i wyczuwał językiem niuanse smaku, kiedy jednak trafił do brutalnego świata wydawniczego, kiedy postanowił znaleźć sobie "pracę", zrozumiał, że musi zejść na ziemię, mocniej osiąść w codziennej rzeczywistości. Podjął

więc świadomą i -- przynajmniej dla niego -- mężną decyzję, by przestawić się na krajowe piwo. Prosto z butelki. Tak, jak piją prawdziwi Amerykanie. (Chociaż, szczerze mówiąc, rzeczywiście lubił piwo. Wolał je od koniaku czy miętowego sznapsa. Tak czy siak, to nie jakieś tam zwykłe piwo, o nie. To "prawdziwe, filtrowane na zimno piwo dojrzewające w bukowych beczkach". Nie żeby wiedział, co to znaczy. Tego nie wiedział nikt). Jenni wpadła do kuchni właśnie, gdy kończył puszkę.

-- Dzień -- powiedziała. -- Jak ci minął?

-- Mój dzień? Zastanówmy się... -- Otworzył następną puszkę. -- Pochopnie obiecałem coś, czego nie mogłem dotrzymać. Grzebałem w odpadkach, zostałem obsrany przez fruujące, pierzaste szczury i, ach, tak, zrujnowałem sobie karierę w Pandericu.

-- Co, znowu? -- Po raz trzeci w tym miesiącu Edwin zrujnował sobie karierę.

-- Ale tym razem naprawdę. Będziemy musieli sprzedać hipotekę, zamieszkać w kartonie, żywić się resztkami zimnej pizzy ze śmietnika i cały swój dobytek pchać przed sobą w sklepowych wózkach. Coś w tym rodzaju. -- Z trudem przełknął ślinę i się skrzywił. -- A jak tobie minął dzień?

-- Cudownie! Mam samoprzylepne karteczki.

Edwin przechylił drugą puszkę piwa tak szybko, że piana niemal wyleciała mu nosem.
-- A, tak. Karteczki. -- Przyłożył sobie zimną puszkę do skroni, zastanawiając się nad ucieczką.

-- Kochanie -- powiedziała Jenni. -- Ostatnio pijesz dużo piwa, zaczynam się martwić. Koleżanka mojej koleżanki zna pewnego hipnotyzera z Village, który...

-- Chanie, posłuchaj. Zrujnowałem sobie karierę. Lada chwila mnie zwolnią.

Prawdopodobnie zaraziłem się piętnastoma różnymi chorobami zakaźnymi. Ale poza tym wszystko jest cacy. Moje życie to jedna wielka parada limeryków i radosnych wakacyjnych piosenek. Wszystko jest super. Piwo jest super. Ja jestem super. Wszyscy jesteście super. -- Znowu przełknął z trudem. -- Chanie, tak czy siak, pijąc tylko piwo, nie można wpaść w alkoholizm. Wierz mi, trzeba by się przerzucić na mocniejsze trunki. Zacziesz się martwić, kiedy zobaczysz, jak pociągam Lonesome Charlie albo Southern Comfort w papierowej torbie. Ale nie przedtem.

-- Okay. Skoro tak się upierasz, ale... -- W tym momencie, mocniej niż to było potrzebne, przykleiła mu do piersi karteczkę z napisem "Ktoś chce, by go przytulić".

-- Chodź do mnie -- powiedział, przyciągając ją do siebie i obejmując.

-- Fuj. Co tak śmierdzi?

-- To długa historia -- odparł. -- Bardzo, bardzo długa historia.

Rozdział szósty

Tej nocy Edwinowi śniły się stokrotki. Bezkrzesne pole stokrotek rozciągające się aż po horyzont. Ale to nie były prawdziwe kwiaty, lecz rośliny wycięte z pachnących samoprzylepnych karteczek, rozrzucone przez człowieka o donośnym, wesołym głosie.

Kiedy przestał je wąchać, obudził się, z trudem łapiąc powietrze.

-- Stokrotki -- powiedział. Coś oznaczały. Coś ważnego, coś, co przeoczył.

Przez jakiś czas leżał, nie śpiąc i słuchając cichego, anielskiego chrapania Jenni (nawet chrapała czarująco -- bardziej przypominało to mruczenie niż krzyk mew), po czym, nie mogąc odzyskać stanu błogiej nieświadomości, wstał i powłókł się nago do kuchni, po drodze kopiąc kota. (Szczepnie mówiąc, kot wcale nie stał mu na drodze.

Edwin musiał nieco zboczyć z drogi, żeby dopaść pana Mugginsa).

Wcześniej, po tym jak Edwin wziął prysznic i się ogolił, Jenni zaproponowała, żeby (a) się pokochali, (b) uprawiali seks lub (c) odbyli małżeński stosunek płciowy. Jak zwykle było to przewidywalne, rutynowe i nieco rozczarowujące. Co oznacza, że prawidłowa odpowiedź brzmiała (c). W pewnym momencie całej procedury, kiedy oboje przeżywali szczyt zatęchłej namiętności (małżonkowie potrafią uprawiać seks, w ogóle nie zwracając na to uwagi), kiedy Edwin wtulił głowę między jej nogi, na wewnętrznej stronie jej uda znalazł przyczepioną karteczkę z tekstem: "Pamiętaj, małe okrążenia i niezbyt mocny nacisk!".

Co to ma być, do diabła? Lekcja miłości francuskiej?

Tak więc wykonywał małe okrążenia, uważając, żeby za mocno nie naciskać, myśląc o innym miejscu... o innej osobie.

A teraz, z gołymi pośladkami przyklejonymi do krzesła przez pot i pozostałości miłosnych soków, Edwin kartkował "Zawijasa" Jenni. Nie poświęcał temu zbytnej uwagi, raczej dziwował się niekończącym się zasobom "rad" i "wskazówek", aż w nagłym przypływie energii wykrzyknął: -- Zaraz! Chwileczkę! Sam to zrobię. Łatwizna. -- Przejrzał jeszcze kilka numerów, szybko i z rosnącym podnieceniem.

Obowiązkowe były psychozabawy ("Czy jesteś seksowna?", "Czy poślubiłaś właściwego

mężczyznę?", "Niewłaściwego mężczyznę?", "Czy zbyt poważnie traktujesz psychozabawy?

Zajrzyj do «Zawijasa» i sprawdź!"). Znalazł kilka przydatnych artykułów o "doprowadzaniu mężczyzn do szaleństwa", jeden o tym, "co zrobić, by mężczyźni nie mogli ci się oprzeć", i inny z twierdzeniem, że "mężczyzna nie jest ci potrzebny do szczęścia". (Te magazyny miały obsesję na punkcie mężczyzn i powodów, dla których kobiety ich nie potrzebują).

Edwina uradował kiepski styl, marne argumenty, struktura na poziomie szkoły podstawowej.

-- Ha! To proste! Praktycznie rzecz biorąc, pisze się samo. Do diabła z Tupakiem Soiree. Cholera, napiszę własny poradnik.

Zgarnął stertę magazynów, złapał notes i garść ołówków. Usiadł ze świeżym zapalem. Była druga w nocy, całe miasto spało, a Edwin czuł się świetnie. Rozprostował ręce, strzelił kostkami i zabrał się do roboty.

-- Okay. Lecimy. Edwin, podejź do sprawy w sposób logiczny. Powieści składają się z około dziewięćdziesięciu tysięcy słów, ale w poradniku wystarczy sześćdziesiąt tysięcy. Ewentualnie możemy ograniczyć się do pięćdziesięciu, poszerzyć marginesy, zwiększyć odstęp między wierszami, użyć większej czcionki. -- Na przykład książki pana Etyki co roku stawały się coraz cieńsze, zmuszając Panderic do takiego poszerzania marginesów, że na stronie znajdowało się więcej pustego miejsca niż tekstu ("Prosty i wyraźny" -- tak pracownicy działu sprzedaży opisywali księgarzom ten układ strony). I jakoś się udawało. Opinii publicznej nigdy nie zniechęca to, że ma mniej do czytania. Najlepszy przykład to Co się wydarzyło w Madison County lub Pamiętnik Nicholasa Sparksa. Ta sama zasada znajduje zastosowanie w poradnikach: obiecuj czytelnikom jak najwięcej, wymagając od nich jak najmniej. W tym przemyśle to niemalże aksjomat.

Cóż to ja obiecywałem? -- zastanowił się. -- Rzucenie palenia, wagi, lepszy seks, szczęście, cel i sens życia...

-- Spisał listę tematów wspomnianych na zebraniu. Było ich dwadzieścia cztery.

Doskonale. Dawało to jeden rozdział na temat (choć "szczęście" można załatwić we wstępie). -- Okay, przenieśmy szczęście do wstępu i rozdzielmy resztę. Wychodzą dwadzieścia trzy rozdziały. Sześćdziesiąt tysięcy słów podzielić na dwadzieścia trzy -- to w przybliżeniu dwa tysiące sześćset słów na rozdział. Nie ma sprawy. (Jeżeli nie uda mu się napisać dwóch tysięcy sześciuset słów o tym, Jak osiągnąć równowagę wewnętrzną" czy Jak odnaleźć sens życia", to jest godzien miana pismaka). -- Zaczniemy od tego, co najprostsze: jak rzucić palenie. -- Nic prostszego. Edwin z dziesięć razy rzucał palenie. Na górze strony napisał tytuł rozdziału i mocno go podkreślił: "Jak rzucić palenie: krok pierwszy". Odchylił się na krześle. Poobracał kwestię w głowie.

Przez chwilę z zamyśleniem drapał się po kroczu. Powąchał sobie palce. Postukał ołówkiem po stole. Jeszcze trochę pomyślał, pozuł końcówkę gumki, po czym przekreślił "Jak rzucić palenie" i napisał wyżej "Jak szybko schudnąć: nowoczesna, przełomowa dieta cud!". Chudnięcie jest lepsze na początek. Paleniem zajmie się później. Diety są łatwiejsze. W końcu jako mąż Jenni miał miejsce w pierwszym rzędzie podczas przynajmniej dziesięciu pokazów dziwacznych diet. Gdyby tylko bardziej wtedy uważał...

Po paru bezowocnych minutach spędzonych na marszczeniu brwi, drapaniu się i wachaniu palców, Edwin postanowił trochę "pomóc" procesowi pisania.

-- Bardzo trudno odróżnić plagiat od parafrazy -- przypomniał sobie. -- Poza tym nie można mieć praw autorskich do pomysłu. -- Tak brzmiały dwa pierwsze przykazania Derywatywnej Szkoły Wydawniczej. Edwin zaczął na chybił trafił otwierać magazyny Jenni,

szukając wskazówek, które mógłby ukraść. Albo raczej którym mógłby "dać nowe opakowanie". Po około dziesięciu próbach tylko wpadł w jeszcze większą dezorientację. W większości artykułów ogromną wagę miał cholesterol, lecz Edwin niezbyt dobrze wiedział, co to takiego. Istotne okazało się również obliczanie właściwego współczynnika wzrostu do wagi, ale nie miał smykałki do matematyki.

(Głównie z tego powodu zdecydował się na zrobienie dyplomu z literatury angielskiej, gdyż tam nie ma żadnych faktów, tylko same interpretacje). Nie. Surowe, przesycone liczbami fakty muszą poczekać. Edwin zacznie od czegoś bardziej abstrakcyjnego, efemerycznego, mglistego, gdzie najlepiej może wykorzystać swoje umiejętności.

Aha! Artykuł z pierwszej strony w jednym z poprzednich numerów "Zawijasa" nosił tytuł "Motywacja: klucz do zrzucenia wagi". Doskonale. Motywacja to kwestia na tyle niejasna i abstrakcyjna, że można się nią zająć, nie musząc podawać dowodów empirycznych. Poczul się jak na zajęciach z literatury angielskiej.

-- No, to lecimy, Edwin. Do rzeczy. "Zrzucanie wagi: krok pierwszy". I z rozmachem napisał: "Kluczem jest tu motywacja. Jeżeli masz motywację do tego, by schudnąć, masz i klucz. Można uznać, że w kwestii chudnięcia jednym z najważniejszych kluczy, jeżeli nie najważniejszym, jest motywacja, ale w jaki sposób ją zdobyć?". Edwin przerwał na chwilę i spojrzął na sufit. Znowu zmarszczył brwi. "To bardzo dobre pytanie -- napisał. -- Właściwie wiele osób uważa, że jest ono najistotniejszym kluczem (odnośnie motywacji)". W nagłym przypływie natchnienia, tak oślepiającym, że niemal zachichotał na głos, gdy je poczuł, dopisał: "Samoprzylepne karteczki! To doskonały sposób na stworzenie motywacji do schudnięcia. Możesz przykleić do drzwi lodówki karteczki z motywującymi zdaniami, na przykład: Nie obżeraj się tak, ty wielka, tłusta świnió". Przerwał. Ponownie przeczytał ostatnie zdanie, po czym, stwierdziwszy, że jego skojarzenia można mylnie uznać za nieczułe, wykreślił słowo "wielka".

Wstał, przeciągnął się i przez chwilę zastanawiał się nad kawą. Mieli jednak tylko maszynę do kawy latte z ubijanym pod ciśnieniem mlekiem, która obudziłaby Chana i połowę sąsiadów. Szybciutko policzył liczbę słów, które do tej pory napisał. Wyszło około czterystu pięciu. Wstawił więc z powrotem "wielką": czterysta sześć słów. Zostało jeszcze pięćdziesiąt dziewięć tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt cztery. Pan Mead wraca za siedem dni. Z tego wynika, że Edwin do tej pory musi spłodzić dziennie mniej więcej osiem i pół tysiąca słów. Trzykrotnie dokonał tych obliczeń, lecz za każdym razem otrzymywał inny wynik, więc wyciągnął z niego średnią. Kombinował, jak mógł, ale rezultat wyglądał niewesoło. Dwie godziny -- sprawdził to na kuchennym zegarze -- zajęło mu wymyślenie czterystu sześciu słów. Co oznacza, że pisał z szybkością dwustu trzech słów na godzinę, więc (obliczył to w notesie) musiałby przez następny tydzień pracować codziennie czterdzieści dwie godziny na dobę, co z punktu widzenia nauki było, dzięki teorii względności Einsteina, niemożliwe.

Odepchnął notes i delikatnie odłożył ołówek.

-- Jestem skończony -- powiedział.

Rozdział siódmy

-- Adiustator zwariował -- powiedziała May.

Siedzieli u O'Malleya na Donovan Street, w otoczeniu lakierowanego drewna i mosiądzu, pijąc ciemne, gęste piwo i chłonąc sztucznie wytworzony irlandzki nastrój.

Edwin nie poszedł do biura, zadzwonił z informacją, że "dzisiaj pracuje w domu", co było

kłamstwem. Praca w domu oznaczałaby spędzenie całego dnia z Jenni, co -- w nieustannie poprawianej, rozrastającej się liście rzeczy, których Edwin wolałby uniknąć -- plasowało się na miejscu niżej niż spędzenie dnia na fotelu u dręczonego czkawką dentysty. Zamiast tego wyruszył na tour de pubs, zaczynając od O'Callaghana, przenosząc się do O'Toole'a, O'Reilly'ego i O'Feldmana, by ostatecznie wylądować tutaj -- to znaczy gdzie? -- ach tak, u O'Malleya. Na Donovan Street. Nieco już zawiany, zadzwonił do May i ubłagał ją, by się do niego przyłączyła.

-- Wpadnij na drinka z trupem -- powiedział, lekko bełkocząc. -- Dotrzymaj towarzystwa umarłakowi.

-- O kurczę -- powiedziała sucho May. -- Która dziewczyna nie przyjęłaby takiego zaproszenia? -- Ale i tak przyszła.

Edwin powitał ją jak powracającego generała.

-- May! May! Tutaj! -- Miał na sobie wygniecione ubranie, ale był ogolony, co May uznała za dobry znak.

Jeszcze nie upadł aż tak nisko, jeszcze nie stał się skończoną karykaturą. Jeszcze nie.

Ale, jak zauważyła, znowu palił. I to nie zwyczajnie, ale z wielką zapalczewością.

Spowijała go niebieska chmura dymu, a w popielniczce przed nim leżała góra tłących się niedopałków -- samobójstwo na raty. Siedzieli więc i pili, Edwin palił, May opowiadała mu anegdotki z biura, Edwin machał ręką na kelnera o więcej piwa i śmiał

się z żartów May nieco zbyt długo i nieco zbyt głośno.

-- Rozumiem, że adiustatorom płaci się za pedanterię -- powiedziała May -- ale ten facet przegina. Naprawdę.

Zjechał zwrot "ręcznie pisany manuskrypt" jako niepotrzebne powtórzenie. Bo w łacinie manus to ręka.

-- Ha! -- wykrzyknął Edwin. -- Łacina! E pluribus unum.

Carpe diem. Dum spiro, spero! Adiustatorzy! Ha! Sami idioci. Mówię ci, sami idioci.

Była to prawda. Od adiustatorów bez krzty wycucia i sztywnych jakby połknęli kij od szczotki gorsi byli tylko prawnicy zatrudnieni przez Panderic do przeglądania książek, strona po stronie, wers po wersie i wysysania z nich życia. Pewien szczególnie pedantyczny prawnik -- a jest to opowieść prawdziwa -- kiedyś ocenzurował

stwierdzenie "dzisiejsi politycy mają usta pełne frazesów", uznając, iż sugeruje ono "seks oralny".

-- Usta pełne frazesów! -- ryknął Edwin. -- May, pamiętasz to? Pamiętasz tego, jak mu tam? Tego pisarza. Jak mu tam było?

-- Berenson.

-- Właśnie, Berenson. Dostał białej gorączki, kiedy się okazało, że wykreślili mu "usta pełne frazesów". Pamiętasz, jak wpadł do wydawnictwa, poprzewracał krzesła i zagroził, że zabije tego prawnika i każdego, kto -- jak on to ujął?

co -- Każdego, kto "ośmieli się naruszać święty przybytek jego prozy".

-- Tak jest. Święty przybytek! Ha!

May pochyliła się nad stołem.

-- Edwin, posłuchaj. To, co robisz, nie jest dobre. Wiem, że przeżywasz stres, ale...

-- Obiecałem książkę, a potem ją wyrzuciłem. A może odwrotnie. Nieważne. I to nie jakąś tam zwykłą książkę, ale najwspanialszy poradnik w historii wszechświata.

Książkę, która spadła nam z nieba.

-- Powiemy więc panu Meadowi, że interes nie doszedł do skutku. Powiemy, że autor zażądał wygórowanej zaliczki albo zaczął zadzierać nosa, albo że się pokłóciliśmy, zabrał maszynopis i zaniósł go do Random House -- wiesz, jaką paranoję pan Mead ma na punkcie

Random House, zawsze mu się wydaje, że chcą nas wykończyć. Nawet jeżeli Random House zaprzeczy, jakoby ukradło nam autora, to tylko potwierdzi jego najgłębsze podejrzenia. I będziesz miał święty spokój. Pamiętaj -- dodała -- że to tylko książka.

-- Nie, nie. To nie tylko książka. To wszystko. Kolejny kanał, kolejny... sam nie wiem.

-- Spuścił głowę i mamrotał coś pod nosem, ale nagle ją podniósł, skupił wzrok na May i powiedział z łagodnością tak szczerą, że nieomal serce jej pękło: -- Boże, jaka ty jesteś piękna.

-- Przestań.

-- Kiedy to prawda.

-- W tej chwili przestań.

-- Jesteś. Jesteś bardzo, bardzo piękna.

-- A ty -- powiedziała znacząco -- jesteś bardzo, bardzo pijany. No, odwiozę cię do domu.

-- Moja żona. -- Przechylił się na bok, chuchając May na szyję. -- Moja żona to krowa.

W tym momencie May cała zeszytniała.

-- Edwin, coś ci doradzę. Jeżeli jesteś żonaty i usiłujesz poderwać samotną dziewczynę, nie obgaduj swojej żony, okay? Żadnej tym nie zaimponujesz.

-- Ale to prawda -- upierał się. -- To krowa. Jest straszna. -- Zaczął głośno i smętnie muczeć, pochylając się coraz bardziej do przodu i kładąc rękę na kolanie May.

May odsunęła się i wstała.

-- Odwiozę cię do domu.

-- Nie chcę do domu. Moja żona jest nienormalna. Zupełnie jak z tego filmu o żonach robotach, pamiętasz? Jest tak nienormalna, że wygląda na normalną. Ale nie jest. May, ja się jej boję. Boję się jej normalności.

-- W takim razie -- w jej głosie pojawiła się twarda ostra nuta -- w takim razie dlaczego po prostu od niej nie odejdziesz?

-- Nie mogę -- powiedział ze smutkiem.

-- A to dlaczego?

-- Bo tak bardzo ją kocham.

-- Bierz marynarkę. Wychodzimy.

Kiedy taksówka zajechała pod dom, Jenni podskakiwała w rytm starych przebojów (Van Halen i Bon Jovi). Podeszła do drzwi i ocierając twarz małym ręcznikiem, otworzyła zamek antywłamaniowy.

-- No, jesteś wreszcie! -- wykrzyknęła.

Edwin stał oparty o futrynę, a May go podtrzymywała, by się nie przewrócił.

-- Za dużo wypił -- wyjaśniła niepotrzebnie.

-- Kochanie, to prawda?

Ale Edwin nic nie odpowiedział. Kiedy Jenni wprowadzała go do środka, tylko wydawał z siebie ciche muczenie.

-- May, bardzo ci dziękuję. Jesteś super.

W przeciwieństwie do Edwina May nie czuła nienawiści do zbyt wielu osób, ale nienawidziła Jenni. Nie z pasją, lecz z chłodnym, naukowym dystansem. "Jeżeli świat się kiedyś skończy, jeżeli społeczeństwo przestanie istnieć, a na ulicach zapanuje stan wojenny -- myślała -- wytropię Jenni i ją zabiję".

Edwin dalej muczał z żalnością i z zamkniętymi oczami, bezskutecznie usiłując skopać buty z nóg.

-- Byliśmy w barze -- powiedziała May. -- Razem. Tylko we dwójkę. Za dużo wypił, więc wezwałam taksówkę.

-- Na zewnątrz zapadł już zmrok, a May zwracała żonie sponiewieranego męża. Jenni podniosła wzrok znad butów Edwina, które rozwiązywała.
-- Jestem ci winna drinka -- powiedziała wesoło. -- A teraz zapakujemy cię do łóżka, co, kochanie?
-- Muu -- powiedział Edwin. -- Muu.

-- Nie wiem, co mnie bardziej martwi -- powiedziała May, stając na schodach za drzwiami. -- Czy to, że kiedyś przespałam się z jej mężem, czy to, że ona nie widzi we mnie zagrożenia. Nawet najmniejszego.

Kierowca taksówki czekał z szerokim uśmiechem mówiącym "licznik bije".

-- Dokąd teraz? -- spytał.

Przed sobą, tak jak miasto zalane światłami i pełne możliwości, miała całą noc.

-- Do domu -- odparła.

-- Co, tak wcześnie? Taka piękna młoda kobieta? Noc jeszcze młoda, jak i pani.

-- Nie -- powiedziała. -- Ja już nie jestem młoda.

Rozdział ósmy

Przez następnych parę dni Edwin czuł jakiś dziwny spokój. Był to spokój człowieka, który pogodził się ze swoim losem, czy miałyby nim być śmierć przez rozstrzelanie, zastrzyk z trucizny czy przyjscie do dominującego szefa jedynie z garścią pustych przeprosin i kiepskich wymówek. Był to głęboki egzystencjalny spokój. Taki, który pozwolił Edwinowi z wielką pewnością siebie przeslizgnąć się po powierzchni wzburzonych fal. Wręcz z wdziękiem. Pewność siebie i wdzięk to cechy, które Edwin postanowił odtąd pielęgnować w sobie.

Kiedy Nigel go ochrzał za zgubienie książki -- "tej, która miała zmienić oblicze całej ludzkości", jak to szyderczo ujmował, i kiedy spytał, czyje autor uczy również chodzenia po wodzie, leczenia ślepych i chromych, Edwin odwrócił się i odpowiedział z najwyższą godnością:

-- Odpierdol się, Nigel. -- Tak po prostu, z pewnością siebie i wdziękiem. -- Odpierdol się.

-- Hej, Edwin, wiesz, jak to się mówi, nie wyzwiska, lecz kije i kamienie... -- Nigel stał nad biurkiem Edwina z twarzą wykrzywioną w grymasie, który miał przypominać uśmiech.

-- Och, słowa potrafią ranić, Nigel. Dostałeś kiedyś w łeb pełną wersją słownika? Chcesz wiedzieć, jak to boli?

-- Edwin, daj spokój. Z czego mam czerpać radość, jak nie z twojej nieuchronnej autodestrukcji?

-- Schadenfreude -- powiedział Edwin. Było to jedno z nieprzetłumaczalnych określeń May: "Radość, jaką się czuje na widok czyjegoś nieszczęścia". Niemieckie słowo (naturalnie).

Odwrócił się do Nigela i powiedział słodkim tonem: -- Weź sobie tę swoją schadenfreude i wsadź ją sobie do...

-- Edwin, wiesz, na czym polega twój problem?

Edwin oskarżycielskim gestem wycelował palec wskazujący w pierś Nigela.

-- Wiem, nie podejmuję twojej gry.

-- Och, nie. Podejmujesz ją, tylko po prostu bardzo kiepsko ci to wychodzi. Dlaczego, do diabła, zaproponowałeś coś tak absurdalnego? Co ty sobie wyobrażałeś? Tak samo jak z tą książką, której broniłeś w zeszłym sezonie. Jaki miała tytuł?

Edwin z powrotem się odwrócił.

-- Daj mi spokój.

-- Śmierć Baby Boomersom! Tak brzmiał jej tytuł, prawda? "Pokolenie bliskie śmierci staje w obliczu starości, siwiejących włosów łonowych, impotencji i raka prostaty.

Pokolenie, które wierzyło, że już na zawsze zachowa młodość, pogrąża się w tragizmie i zniedołężnieniu. Jego przedstawiciele zaczynają łysieć, cierpią na wzdęcia, tyją i robią się sflaczali". Tak to leciało, nie? Tak brzmiała twoja prezentacja? Co ci się, do diabła, wydawało? Do tego przedstawiłeś tę książkę jako pozycję humorystyczną, na miłość boską!

-- Mnie się wydawała zabawna.

-- Słuchaj... -- Nigel tak nisko pochylił się nad Edwinem, że jego krawat zawisł tuż nad biurkiem. -- Co ci próbowałem powiedzieć, kiedy wystąpiłeś z tym pomysłem?

"Baby Boomersi lubią krytykować, ale sami nie potrafią przyjąć słów krytyki. I nie cierpią, kiedy ktoś się z nich nabija". Tak ci powiedziałem, ale czy ty mnie wysłuchałeś?

Nie. Nie, kazałeś mi się odp... Tak brzmiały twoje słowa, ujmując je eufemistycznie.

Odp... się. Edwin, zawsze zachowujesz się po chamsku.

-- Baby Boomersi by się sprzedali. I to na kopy.

-- Edwin, północnoamerykańscy Baby Boomersi czują się lepsi od innych. Lepsi od swoich rodziców, lepsi od nas. A kiedy przychodzi do ich miejsca w historii, zupełnie tracą poczucie humoru. Dobrze o tym wiesz, wszyscy to wiedzą.

-- No cóż. Myślałem, że uda nam się oprzeć temu trendowi. Myślałem, że chociaż raz pokazemy, że mamy kręgosłup.

Ale ani Nigel, ani May nie wiedzieli, że nazwisko autora Śmierci Baby Boomersom, Douglas C. Upland, było w rzeczywistości pseudonimem Edwina Vincenta de Valu.

Książka, której wydanie zaproponował na zebraniu, była jego autorstwa, to jego maszynopis pan Mead określił mianem "młodzieńczego, niedojrzałego" i wszelkimi innymi synonimami słowa "młody". Nawet teraz, kiedy Nigel go ochrzaniał, maszynopis Edwina leżał ukryty w szufladzie, oddychając, tętniąc życiem, nie chcąc umierać. (Kto wie, ilu redaktorów chowa w swych biurkach podobne maszynopisy, oddychające cichutko, czekające na właściwą chwilę, by wyjść na światło dzienne...

Może nawet pan Mead upchnął jeden czy dwa w czeluściach swego gabinetu).

-- Nigel -- powiedział Edwin. -- Nie wiem, czy już się tego domyśliłeś, ale brzydzę się tobą. Na twój widok skóra mi cierpnie.

Nigel pochylił się z dyndającym krawatem i powiedział jeszcze bardziej protekcjonalnie niż zwykle:

-- Edwin, ty wcale mnie nie nienawidzisz. Nienawidzisz tego, co sobą reprezentuję.

Nienawidzisz sukcesu, jaki osiągnąłem, chociaż wszystko się przeciwko nam sprysięgło. -- (Przez "nas" rozumiał oczywiście Pokolenie X. Mówił o nim jak o jakimś szlachetnym bractwie, nie zaś o demograficznej garstce zagubionych młodych dorosłych ludzi). -- Nie mnie nienawidzisz.

-- Ależ tak -- odparł Edwin z uśmiechem, wkładając krawat Nigela do temperówki. -- Z pewnością ciebie.

-- Słuchaj, gdybyś chciał, żebym ci pomógł załatwić sprawę z panem Meadem po jego powrocie, to... Ej! Co jest... -- Zaczął się dusić. -- Edwin, cholera jasna! -- Dławiąc się, Nigel zaczął wyciągać z temperówki zaciskający się krawat, teraz poskręcany i podarty; korbka temperówki nadal spazmatycznie się obracała. -- Cholera! Niech to jasna cholera!

-- No, no, no -- powiedział Edwin, grożąc mu palcem.

-- Tylko bez brzydkich słów.

Kiedy Nigelowi udało się wyrwać resztki krawatu z temperówki, był już cały czerwony na twarzy i charczał.

-- To był czysty jedwab!

-- A teraz to czyste gówno.

-- Przyślę ci rachunek -- powiedział rozwścieczony Nigel, wypadając z boku Edwina. -- Możesz na to liczyć.

-- Zapraszam ponownie! -- krzyknął za nim Edwin.

-- Moje drzwi stoją przed tobą otworem!

Odchylił się na krześle z rękoma splecionymi za głową, znowu się dziwując głębokiemu spokojowi, jaki czuł już od dłuższego czasu. Jego wrzody się uspokoiły, miał jasny umysł, świetnie się bawił. Bawił się tak jak spadochroniarz, który cieszy się z pędu powietrza, choć spadochron mu się nie otworzył. Lecę na łeb, na szyję, pomyślał.

A do tego przed chwilą zniszczyłem Nigelowi krawat.

Nie mógł powstrzymać chichotu.

I tak minął tydzień. Edwin czuł coraz większy spokój i taką pewność siebie jak nigdy przedtem, spokój tak wszechogarniający, że niemal zbliżony do stanu satori. Albo apatii. Niekiedy trudno mu było odróżnić jedno od drugiego. Wiedział, że niedługo wyleci z hukiem, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że plan May ("interes nie doszedł do skutku") nie ma szans powodzenia. Każdemu w Pandericu udałoby się wywinąć z tej opresji, ale nie Edwinowi. Pojawiają się pytania. Telefony do Random House. Pogrożki, oskarżenia, cięte riposty, aż w końcu -- powolutku -- pętla się zaciśnie i wszystko skupi się na Edwinie. Pan Mead nigdy mu w pełni nie ufał, i to nie bez powodu. W końcu Edwin kiedyś wykończył pewnego szczególnie uciążliwego pisarza.

Wykończył go na śmierć. Oczywiście nie dosłownie. Po prostu zerwał z nim kontakty, po czym -- podczas nieoczekiwanej konfrontacji z działem marketingu -- powiedział: "On, yyy, umarł". Nie. Edwinowi nigdy by nie przyszło do głowy, żeby rzeczywiście zabić kogoś z pisarzy. Miał nadzieję, że kiedyś pozna tajemniczego pana Soiree i podziękuje mu jak trzeba. Podziękuje za to, że tamten przysłał opasły manuskrypt napisany na starej maszynie. Za to, że spowodował sytuację kryzysową, która zmusiła Edwina do opuszczenia świata wydawniczego, sprawiła, że popadł w ubóstwo, zamieszkał w kartonie i żywił się resztkami zimnego sera zeskrobanego z pudełek po pizzy. Wyrwała go z rutyny.

Do powrotu pana Meada było coraz mniej dni i godzin, a Edwin w tym czasie układał swoje życie w pudłach. Opróżnił biurko, przywłaszczył sobie kilka dyskietek i pożegnał się z tymi współpracownikami, których mógł jakoś znieść -- i vice versa.

(Lista owa okazała się bardzo krótka. Składała się jedynie z May). Nigel wręczył mu rachunek na sto trzydzieści sześć dolarów za zniszczony krawat, a Edwin sumiennie wepchnął rachunek do kieszeni szortów i przesiedział na nim resztę dnia. Był to cudowny, radosny czas. Udało mu się nawet -- co prawda z opóźnieniem i niezdarnie, ale jednak -- przeprosić May.

-- Przepraszam -- powiedział. -- Wiesz, za to, że próbowałem cię obmacywać w taksówce tego dnia, kiedy poszedłem na zwolnienie. Serdecznie cię przepraszam i chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że nigdy bym tego nie zrobił, gdybym się tak nie upił. Naprawdę w innej sytuacji nie próbowałbym cię podrywać.

Co dziwne, jakoś jej to nie poprawiło nastroju.

-- Wiem -- powiedziała. -- Wiem.

Zaprosił ją na drinka po pracy w piątek, ale May nie zareagowała zbyt entuzjastycznie. Siedziała tylko, bawiąc się butelką wody mineralnej, w odpowiedzi kiwała głową i wzruszała ramionami, a jej intensywna, czerwona szminka zostawiała pastelowe rany na brzegu szklanki.

Rozdział dziewiąty

Wczesnie rano, poniedziałek.

Edwin raptownie usiadł na łóżku niczym postać w kiepsko zmontowanym horrorze. Oczywiście! Stokrotki! W nagłym przypiływie olśnienia zrozumiał wszystko, pojął znaczenie stokrotek, uświadomił sobie, dlaczego są tak istotne, dlaczego śnią mu się co noc, odkąd stracił maszynopis.

Była 5.47 rano. Jasny neon koło zegarka na nocnym stoliku świecił na zielono. Jenni leżała obok, mrużąc i chrapiąc, chrapiąc i mrużąc, a zasłony poruszał wiatr, wydymały się w obie strony, jakby powoli wdychały i wydychały powietrze. Była 5.47, a Edwin miał ochotę wyskoczyć w góry i z całych sił zakrzyknąć: "Eureka!". Zgarnął

ubranie i ruszył korytarzem, po drodze wciągając na siebie spodnie. Stokrotki.

Oczywiście! W euforii wybiegł za drzwi. Zatrzymał się. Wrócił do środka, kopnął kota i wybiegł z powrotem. Okolicę spowijała wilgotna mgła, miękka jak rosa, ale Edwin nie zwracał na to uwagi. Popędził środkiem ulic aż do najbliższej stacji metra.

Kiedy dotarł do rogu Fausta i Broadwayu, serce mu śpiewało. Susami pokonał schody prowadzące na górę, wyskoczył w edwardiański kanion Grand Avenue i pognał chodnikiem, a poły płaszcz łopotały za nim niczym peleryna.

-- Dawaj kasę, skurwysynu! -- Był to jeden z dyżurnych bandytów Grand Avenue, który w przypiływie porannej inicjatywy usiłował dopaść pierwszej fali pasażerów.

-- Przepraszam! -- krzyknął Edwin, mijając go. -- Nie dzisiaj. Może następnym razem.

Dobiegł Grand Avenue do drzwi pod numerem 813, w które zadudnił otwartymi dłońmi, aż obudził strażnika, który podszedł, by sprawdzić, co się dzieje. Edwin machnął mu przed oczami swoim identyfikatorem i wskoczył do wysokiego holu, gdzie ściągnął windę i zjechał do podziemi.

Pakamera dozorców i śmietnik numer trzy: znalazł tam Rory'ego, który wrzucał luźne kartki do kompresora. Zatęchłe, przemielone powietrze w piwnicy już zdążyło przesiąknąć parą i odorem siarki.

-- Jimbo! -- krzyknął Edwin, podbiegając do dozorczy.

-- Stokrotki! Skąd wiedziałeś, że na tytułowej stronie są stokrotki? Włożyłem maszynopis z powrotem do koperty, zanim...

Ale to nie był Rory, lecz ktoś inny w jego kombinezonie, jakiś rudy obibok ze spiczastą bródką, który odwrócił się, spojrzał na Edwina sennym wzrokiem i powiedział:

-- Rory. Odejszedł.

Edwin stanął jak wryty.

-- Odejszedł? -- powtórzył Edwin, bardziej wstrząśnięty koszmarną odmianą tego słowa niż znaczeniem, jakie miało oddać. -- Odejszedł?

-- Tak jest.

-- Tak jest? Odejszedł? Jakimż to fatalnym, prostackim dialektem się pan posługuje?

Gdzie odejszedł Rory?

-- Odejszedł do domu.

-- Do domu? Jak to, dzisiaj nie pracuje?

-- Ani dzisiaj, ani jutro. Już w ogóle nie pracuje. Rzucił robotę.

-- Rzucił? Jakimż to fatalnym... -- Edwin urwał, gdyż uświadomił sobie, że "rzucił" to forma poprawna. -- Rzucił?

-- Tak jest. Zadzwoił i powiedział: "Ja żem zrozumiał, kim mogę być".

-- I już?

Obibok kiwnął głową.

-- I już.

Edwin odwrócił się do wyjścia, nie wiedząc, co teraz robić.

-- Na niewiele mi się to przydało.

-- Pan Edwin, ten od książków, tak?

-- Zgadza się. Bo co? Mężczyzna się roześmiał.

-- Och, jest pan dokładnie taki, jak mi mówił Rory.

Edwinowi udało się przekupić demonicznego dozorcę obietnicami darmowych egzemplarzy następnego odcinka Panderica w serii erotyków (czyli "pieszczotek", jak je nazywają w tym biznesie), a mężczyzna nabazgrał na skrawku papieru pakowego domowy adres Rory'ego. Była to kamienica czynszowa znajdująca się nieopodal Grand Avenue.

-- Pan biegnie, to z dziesięć minut stąd.

Więc Edwin pobiegł. Popędził jak wiatr (choć w tym czasie zaczął już wytracać prędkość i z powodu kolki kilka razy musiał się zatrzymywać). Obłazący z farby dom Rory'ego stał przed pustą parcelą otoczoną rdzewiejącym ogrodzeniem z łańcucha.

Wielki Boom Potasowy całkowicie ominął tę okolicę. Próbowano tutaj, co się nie udało, stworzyć pośledniejsze miejsce spotkań członków bohemy, gdzie artyści, dramaturdzy i inne wyrzutki społeczeństwa mogliby się zbierać, by w swej wyobraźni udawać Jacka Kerouaca. W okolicy tej zapanowała robotnicza bieda, a jej mieszkańcy okupywali niski czynsz wysokim poziomem przestępczości i żyli z dnia na dzień, od jednego czeku z opieki społecznej do następnego. Na ścianach widniały pełne gniewu graffiti i przesłania od gangów, zaznaczających teren jak psie szczyny. Kto wie, jakie niewidzialne granice Edwin teraz przekraczał. Kto wie, który tajemny protokół

półświatka w tej chwili łamał.

Ciemne okna spoglądały w dół. Drzwi otwierały się na nienaoliwionych zawiasach, nie ze skrzypnięciem, lecz z jękiem. W korytarzach wisiały potłuczone żarówki, odłamki szkła nie do wykręcenia i nie do wymiany. Mrok i zapach pleśni -- i nic poza tym. Edwin stanął pod drzwiami Rory'ego, zapukał -- początkowo nieśmiało, potem z rosnącą niecierpliwością. Nic. Kiedy jego wzrok powoli przyzwyczaił się do ciemności, z mroku wyłoniły się szczegóły otoczenia. Edwin zauważył małą tekturową tabliczkę wiszącą na klamce. "Poszłem na ryby".

Nagle za jego plecami, z cienia, wyłoniła się jakaś postać.

-- Pan Edwin?

-- Tak. -- Odwrócił się powoli, oczekując najgorszego. Twarz nadal skrywała się w mroku. Głos postaci był niski i dźwięczny.

-- Domyślam się, że szuka pan Rory'ego.

Z gardła Edwina wydobył się głos wysoki i piskliwy jak po dawce helu.

-- Tak. Zgadza się.

-- Mówił, że może pan wpaść.

-- Kiedy wraca? Czy powinienem przyjść później? Rozległ się cichy gardłowy chichot.

-- Ach, panie Edwinie. On wyjechał.

-- Wyjechał? To znaczy poszedł na ryby?

-- Nie. Wyjechał. Wyprowadził się w zeszłym tygodniu.

Edwin odchrząknął nerwowo i z trudem opanował drżenie w głosie.

-- Jak mogę go znaleźć?

-- O nie. -- Znowu gardłowy rechot. -- Nie znajdzie go pan, panie Edwinie. To on

znajdzie pana. -- Głos odpląnął w ciemność i postać zniknęła.

Wstrząśnięty, lecz nadal unosząc się na fali adrenaliny, Edwin oddalił się z kamienicy z ledwo hamowanym pośpiechem. (W istocie zaś krokiem tak szybkim, że właściwsze okazałoby się tu określenie "czmychnął").

Krew pulsowała mu w skroniach, kiedy minął ogromny billboard świeżo zasmarowany wielkimi literami, na którym reklamowano jakiś zbliżający się projekt.

Edwin poszedł dalej, nie zatrzymując się. Wielka szkoda, bo gdyby przystanął, by go przeczytać, z pewnością uznałby go za interesujący:

WKRÓTCE! FUNDACJA RORYEGO P. WILHACKERA ZAPREZENTUJE
"POWRÓT DUMY DO ŚRÓDMIEJSKICH SLUMSÓW". LOKATORZY TEGO
BUDYNKU WPROWADZAJĄ NOWE INNOWACYJNE ZMIANY WE
WSPÓLNOTACH MIESZKANIOWYCH, 500-PROCENTOWY ZYSK Z
INWESTYCJI.

WYSIEDLENIE WYKLUCZONE. NIKT NIE ZOSTANIE EKSMITOWANY.
"NADCHODZI NOWY ŚWIT!"

Kiedy Edwin wrócił na Grand Avenue, godzina porannego szczytu zaczęła się już na dobre. Echo ruchu ulicznego odbijało się między budynkami, a fale pasażerów pulsowały na przejściach dla pieszych. Kiedy Edwin przeciął Avenue pod numerem 41, przyszły mu do głowy te same słowa co codziennie dokładnie w tym samym miejscu i o tej samej porze: "Nienawidzę tego pieprzonego miasta".

no Dzisiaj wypadła godzina zero. Ostatni akt. Pan Mead wracał z kontrolnej podróży służbowej, którą sam sobie sponsorował, i Edwin miał się z nim spotkać z samego rana, by dokonać prezentacji "ekscytującego nowego poradnika". Był gotów do ataku. Obmyślił i przetestował różne warianty sceny odejścia z pracy -- od wysublimowanych ("Panie Mead, bardzo mnie pan rozczarował. Prowadzi pan tę firmę jak jakąś drugorzędną studencką gazetkę, więc uznałem, że najwyższa pora odejść") do obcesowych ("Ty zasańcu! Co mnie to obchodzi, odchodzę! Słyszysz? Odchodzę!").

Rozważał nawet zwięzły przekaz niewerbalny -- silne pociągnięcie za idiotyczny kucyk pana Meada -- lecz w głębi serca wiedział, że nie tak powinno wyglądać zakończenie.

Przewidywał kajanie się, żalodne apele do miłosierdzia i chełpliwe uśmiešky Nigela.

Będzie musiał się pożegnać z panem Meadem. Może na zawsze.

Przystanął przy budce z hot dogami i piklami Louiego, by wypić pożegnalną kawę.

-- Dwie kawy -- powiedział, wzdychając i wyjmując portfel. -- Jedna czarna i jedna... --
Ale zanim skończył, odezwał się Louie, z rozmiękłym cygarem między zębami.

-- To, co zwykle?

-- Tak -- potwierdził Edwin, niemal płacząc z radości.

-- Tak, to, co zwykle. Poproszę to, co zwykle. Tak, właśnie to. Przychodzę tu codziennie i dzisiaj wezmę to samo. To, co zwykle.

Louie wszystko pamiętał.

-- Czyli podwójna pianka, gałka muszkatołowa, cynamon i szczypta szafranu.

Oczywiście suszonego na słońcu.

-- Dziękuję, Louie -- powiedział Edwin, serdecznie i szczerze. -- Bardzo ci dziękuję.

-- Nie jestem żaden Louie, tylko Thad. Louie to tylko nazwa firmy. Należy do koncernu Coca-Cola.

-- Niemniej jednak dziękuję, Thad. Będzie mi ciebie brakować. Naprawdę.

-- Jak tam sobie chcesz, mały.

Edwin poczuł się cudownie. Był zachwycony, że pracuje w tak brutalnym mieście, że facet o imieniu Louie (albo Thad) zwrócił się do niego per "mały", że może irytować kogoś takiego jak May i nienawidzić kogoś takiego jak Nigel. Szalenie żałował, że to wszystko musi się skończyć.

Zapłacił za kawę i odwrócił się, by odejść, i w tym momencie pod chodnik podjechała limuzyna.

Była elegancka, długa i czarna jak z obsydianu. Pojawiła się ni z tego, ni z owego, niczym rekin, i powoli sunęła jezdnią koło Edwina, który szedł chodnikiem. Edwin zaczął sobie uświadamiać, że jest śledzony. Odwrócił się, a limuzyna zahamowała.

Przyciemniona szyba w oknie się opuściła i wyłoniła się z niego upierścieniona dłoń, która skinęła na Edwina.

-- Rory?

-- Witam, panie de Valu.

Edwin zajrzał do środka. Siedział tam Rory ubrany w ręcznie szyty włoski garnitur z jedwabiu, a koło niego widniała rozpromieniona kobieta, uśmiechająca się błogo do Edwina.

-- Edwinie, czy pamiętasz moją żonę, Sarę?

Sarah wychyliła się do przodu, posyłając Edwinowi promienny uśmiech.

-- Cześć, Eddie.

-- Sarah, tak? Przepraszam, ale czy my się znamy?

-- Z przyjęcia dla pracowników -- wyjaśnił Rory. -- Wzięłaś ją za sprzątaczkę i poprosiłaś, żeby opróżniła popielniczki.

-- Naprawdę? Przepraszam, nie pamiętam.

-- Oczywiście, że nie -- powiedział Rory głosem ciepłym i kojącym. Uśmiechał się, uśmiechał tak pogodnie, że 84

skojarzył się Edwinowi z posążkiem Buddy. Był to uśmiech wyrażający dogłębne ukontentowanie, całkowitą satysfakcję.

-- Ty masz ten maszynopis. Miałeś go przez cały czas.

-- Och, Edwin. Byłem ciekaw, ile czasu minie, zanim na to wpadniesz.

Zastanawiałem się, kiedy sprawdzisz zlecenia na tamten dzień i odkryjesz, że rano nie wywożono śmieci.

-- To te stokrotki mnie naprowadziły na ślad. Wspomniałeś o nich, chociaż były w kopercie. Nie mogłeś o nich wiedzieć, chyba że ją otworzyłeś i zajrzałeś do środka.

Zrobiłeś to wtedy, kiedy ja przetrząsałem kompresor, prawda?

-- Och, nie. Przedtem. Wtedy, kiedy zobaczyłem, jak pędzisz do windy -- a tak przy okazji, przez cały ten czas przyciskałem guzik "zamknij drzwi" -- i domyśliłem się, że pewnie wyrzuciłeś coś bardzo wartościowego. -- Rory roześmiał się, łagodnie, irytująco i (jeżeli to w ogóle możliwe) zupełnie bez złośliwości. Był to śmiech dostrojony do wibracji wszechświata. -- Och, oczywiście wywiodłem cię w pole. Zrobiło mi się ciepło na sercu, kiedy sobie wyobraziłem, jak grzebiesz w śmieciach. -- I znowu rozległ się ten pełen spokoju śmiech.

-- Ale dlaczego?

-- Dlaczego? Bo cię nie lubię, Edwin. Nigdy cię nie lubiłem. Ani teraz, ani przedtem.

Moja żona też cię nie lubi. Prawda, kochanie?

-- O tak -- powiedziała Sarah, nadal się uśmiechając. -- Nie znosimy cię, Edwin. -- Wypowiedzieli te słowa tak, jakby stwierdzali oczywisty fakt, takim tonem, jakby oznajmiali "niebo jest niebieskie" albo "deszcz pada w dół, a balony unoszą się w górę".

-- Nie cierpicie mnie? -- Edwin był oszołomiony.

-- Gardzimy tobą. -- Otworzył się ukryty barek w limuzynie i Rory sięgnął do niego

obiema rękami. -- Myślę, że to ci się przyda -- powiedział, podając mu przez otwarte okno gruby maszynopis.

Edwin wyrzucił kawę, którą kupił przed chwilą, i z mieszaniną niedowierzania i zdumienia przyjął maszynopis, wyjęty z koperty i spięty gumkami, lecz równie opasły jak przedtem. Pierwszą stronę nadal ozdabiały naklejki ze stokrotkami, a list z ofertą był

złożony i wetknięty pod gumki. Panie Soiree, znowu się widzimy...

-- Możesz mi wierzyć, że Li Bok rzeczywiście działa.

Prawda, kochanie?

Jego żona zachichotała, przechyliła się i pacnęła Rory'ego w ramię.

-- Och, przestań.

Edwin z powrotem przeniósł uwagę na dozorcę i jego żonę.

-- Ta limuzyna, ubrania. Skąd to wszystko?

-- Ach, to -- cmoknął Rory. -- To tylko pieniądze. Kiedy się zorientujesz, że pieniądze to nie byt matematyczny, lecz raczej organiczny, wszystko zaczyna nabierać sensu.

-- Ale...

-- Kupiłem krótkoterminowe weksle na najdroższe obligacje wymienne, na cztery, przecinek, osiemdziesiąt pięć procent, a następnie przeinwestowałem je przed upływem dwudziestu czterech godzin. Następnie przelałem zyski na kilka funduszy wzajemnych, przeinwestowałem kapitał i podjąłem gotówkę w połowie cyklu. Potem wystarczyło już tylko ponownie zainwestować nadwyżkę i powtórzyć cały proces. Ponieważ między Wschodnim a Zachodnim Wybrzeżem istnieje różnica trzech godzin i czterech stref czasowych, mogłem kilkakrotnie w ciągu dnia obracać pieniędzmi, co mi przyniosło połączony zysk, no i tak to się skończyło.

-- I zrobiłeś to wszystko w ciągu tygodnia?

ary -- O nie. Zajęło mi to tylko kilka dni. Strefy czasowe, Edwin. Kluczem są strefy czasowe. Wyobraź sobie, że twoje inwestycje to olbrzymia kula śnieżna, która się stacza po stromym ośnieżonym zboczu i wtacza na szczyt następnego. Odległość się coraz bardziej zmniejsza, prędkość rośnie, a kula się rozrasta. Kiedy osiąga maksymalną masę, staje. Pieniądz rodzi pieniądz, Edwin. Rozpęd zwiększa masę. Ach, ale co ja mówię. To same cytaty z tej książki. -- Sposób, w jaki wypowiedział słowo "książka", nadał jej duchowy wymiar.

-- To... to nieprawdopodobne.

-- Ależ skąd. To zwykle podstawy ekonomii -- odparł Rory. -- Oczywiście to się zmieni, kiedy tylko wieść się rozejdzie. Cały system sam się hamuje, podobnie jak kula śnieżna, która tak się rozrasta, że w końcu nie może ruszyć z miejsca. Ale zanim do tego dojdzie, podstawy naszej ekonomii już się przesuną do sfer mikrospółdzielczych.

Następny krok, prawdziwe wyzwanie, to sprawić, by "pieniądze śpiewały".

-- Śpiewały?

-- Tak. By słuchały twoich rozkazów, a nie na odwrót. Należy wykorzystać pieniądze jako katalizator przyspieszający sukces, a nie po prostu jako cel sam w sobie. No, ale znowu tylko powtarzam to, co napisał ktoś mądrzejszy ode mnie. Ta książka... musisz ją wydać.

-- Koniecznie. Już się biorę do redagowania.

-- Wyдай ją w obecnej formie. Nie zmieniaj ani słowa. Ani jednego. Tam wszystko tworzy jedną całość, Edwin. Usuń jej część, a stracisz wszystko.

-- Cóż, nie mogę obiecać, że da się uniknąć redakcji. To ogromny tekst. Ma pewnie z tysiąc stron.

-- Ani jednego słowa -- powtórzył Rory. -- Ani jednego. I coś jeszcze, zanim zapomnę.

To Rangersi, a nie Raidersi, ty głupi kutasie. -- Powiedział to z takim samym spokojem i

pogodą ducha, z takim samym dystansem jak wszystko inne dotąd. -- Do widzenia, Edwin. Już nigdy w życiu nie chcę cię widzieć.

I szyba podniosła się powoli, a długa, elegancka limuzyna włączyła się do ruchu ulicznego na Grand Avenue.

-- A niech mnie wszyscy diabli -- powiedział Edwin (co później okazało się prorocze).

Rozdział dziesiąty

Edwin de Valu skierował się na schody prowadzące do numeru 813 i tak szybko zakręcił drzwiami obrotowymi, że wyrzuciło w powietrze kilku maruderów. Przemknął

koło stanowiska ochrony i dalej korytarzem do wind. Przyciskał do piersi opasły maszynopis, jakby piastował niemowlę lub cenną myśl.

Udało się! Zdołał się wywinąć. Już miał na oczach czarną przepaskę, już wypalił ostatniego papierosa, już wydano rozkaz "cel!"... ale Edwin de Wspaniały, Houdini Boksów, uwolnił się. "Nie powstrzymają mnie więzienne mury!

-- miał ochotę zakrzyknąć. -- Śmieję się losowi w nos".

Kiedy wjechał na czternaste/trzynaste piętro, uśmiechał się już tak szeroko, że wyglądał, jakby lada chwila miały mu popękać mięśnie twarzy. Kiedy drzwi windy się otworzyły, wybiegł przez nie sprintem.

-- Pan Mead jest w swoim gabinecie! -- krzyknęła May.

-- Spóźniłeś się.

-- Kocham cię, May! -- ryknął po drodze. Ze swojego gabinetu wyszedł Nigel i postukał palcem w zegarek, kiedy Edwin go mijał.

-- Masz poważne kłopoty.

-- Daruj sobie, złamasie. Przyniosłem maszynopis!

-- I dumnym gestem obiema rękami unióś go nad głowę jak rozbrojoną bombę, jak głowę wroga zdobytą podczas bitwy. Przebiegł przez lakierowane drzwi i wpadł do ogromnego gabinetu z imponującym widokiem.

-- Spóźniłeś się -- powiedział pan Mead, nawet nie zadając sobie tego trudu, żeby podnieść wzrok. Pracował przy biurku, nad przestronnym mahoniowym blatem, który dzielił Jego Królewską Mość od Edwina. -- Już miałem wychodzić -- powiedział. -- Jadę do Wacoma na warsztaty literackie. Mam tam być głównym mówcą, więc nie mogę się spóźnić na samolot. No? -- Spojrzał znad ośmiokątnych okularów.

Edwin rzucił maszynopis na biurko.

-- Proszę. To ten poradnik, który obiecałem. Jest dokładnie taki, jak mówiłem.

-- Jezu. Co za tłuścioch. Ma chyba ze trzydzieści centymetrów grubości. Ile to stron?

-- Yyy... -- Edwin gorączkowo sprawdził górny róg ostatniej strony. -- Tysiąc sto sześćdziesiąt pięć, proszę pana.

-- Boże kochany! Toż to nie maszynopis, tylko miniserial.

-- Oczywiście trochę go skróć. Zostawię tylko to, co najlepsze.

-- No dobrze, Edwinie. -- Pan Mead odsunął się razem z krzesłem i splótł dłonie za głową.

-- Sprzedaj mi go.

-- Słucham?

-- Maszynopis. Zareklamuj go najlepiej, jak potrafisz. Jak się zaczyna? Jaki jest haczyk na czytelnika? Zasadnicze podejście? Grupa docelowa? Spis treści? Styl? Wyłóż mi to wszystko.

W tym momencie Edwin powoli przeszedł przez pokój, otworzył okno i wyskoczył.

-- Cóż, jeszcze pracuję nad szczegółami -- odparł. -- Rozmawiałem z paroma osobami z

marketingu, próbowałem znaleźć najlepszy sposób na zaprezentowanie go via inne on książki, ipso facto, w tym gatunku. Że tak powiem. (W razie wątpliwości, najlepiej użyć łaciny).

-- Rozumiem. Rozmawiałeś z ludźmi z marketingu.

-- Tak jest.

-- Nieprawda. Nasi ludzie z marketingu w ogóle nie słyszeli o tej książce. Nie siedziałem beczynnie na dupie, czekając, aż mnie zaszczycisz swoją obecnością.

Zadzwoiłem do marketingu i pogadałem z Sashą. Nic jej o tym nie wiadomo. Nikt nic nie wie również w dziale dystrybucji. Ani w reklamie. Ani w dziale graficznym. Poza May nikt z zespołu redakcyjnego nie mógłby zaręczyć, że taki maszynopis w ogóle istnieje. Dopóki go nie przyniosłeś, sam miałem wątpliwości. Myślałem, że może próbujesz okantować starego wujka Leona. Nigel twierdzi, że w zeszłym tygodniu prawie się tu nie pokazałeś.

No cóż, to dlatego, że Nigel jest obesraną trującą ropuchą z żółcią zamiast krwi.

-- No cóż, to dlatego, że Nigel nie wiedział, że bardzo ciężko pracowałem w domu, poświęciłem temu fascynującemu projektowi cały czas i energię.

-- Czas i energię? No to mi powiedz, jak brzmi motyw przewodni tej książki?

-- Motyw przewodni?

-- A struktura? Czy to książka oparta na anegdotach? Czy na wynikach badań statystycznych? Skierowana jest do jakiejś konkretnej grupy wiekowej, czy należy do tych przeklętych "książek dla każdego"?

-- Trudno to wyjaśnić w paru słowach.

-- Nie czytałeś jej, prawda?

-- Nie, proszę pana. Niezupełnie. Nie per se.

Pan Mead westchnął, odepchnął krzesło i wstał. Zakładając marynarkę, pochylił się nad biurkiem i wcisnął guzik interkomu.

-- Steve, podstaw samochód. Muszę zdążyć na samolot o dwunastą.

Edwin wyprostował ramiona, zdecydował się na wariant "ty zasrańcu!", zrobił krok do przodu i powiedział:

-- Proszę pana, czy mogę coś powiedzieć, zanim pan wyjdzie...?

-- Zaproponuj pięć tysięcy z góry i siedem procent od pierwszych dziesięciu tysięcy nakładu, a potem standardowe stawki rosnące. Możesz mu dać piętnaście tysięcy zaliczki, ale nie wyzbywaj się praw do wydania tekstu w Anglii ani drukowania go w odcinkach. Buckingham Press ciągle utyskuje na interesy z zagranicą, więc musimy im rzucić jakiś ochłap.

-- Proszę pana?

-- Nie przejmuj się, synu -- powiedział pan Mead, zbierając jakieś luźne dokumenty i wkładając je do teczki. -- Kiedy jeszcze pracowałem w dziale nabywania nowych tytułów, nie czytałem połowy książek, które kupowałem dla Panderica. Tylko koniecznie przygotuj ją do druku do połowy sierpnia. Możesz zająć wolne miejsce w katalogu po panu Etyce. I pamiętaj, żeby zawiadomić dział graficzny. Powiedz im, że za dwa-trzy tygodnie chcę mieć wstępny projekt okładki. Trzeba będzie ponownie wydać cały katalog, a może tylko dołączy się wkładkę. Nie ma pana Etyki, więc musimy dokonać przetasowania. -- Zamknął teczkę i zarzucił szalik na ramiona. -- Słyszałeś, że odmówiono mu zgody na zwolnienie za kaucją?

-- Tak, proszę pana. Bardzo nam przykro. I wiem, że występuję tu w imieniu wszystkich członków zespołu redakcyjnego, kiedy mówię, że pan Etyka był żywotną częścią naszego...

-- Och, do diabła z nim. To był kompletny idiota. Wszyscy wiedzą, że nie wolno zostawiać za sobą śladów, kiedy się przelewa fundusze na Kajmany. Najpierw tam szukają. W każdym razie cała seria książek pana Etyki poleciała na łeb, na szyję.

Z ostatnich sześciu wydań dostaliśmy mnóstwo zwrotów. Barnes and Noble, Borders,

nawet Amazon.com -- wszyscy zasypują nas niesprzedanymi egzemplarzami. Prasa sobie z nas drwi. Gospodarze talk-show mają używanie. "Pan Etyka? W więzieniu?"

O kurczę!". Już się nie da tego odrobić. Musimy spisać na straty całą serię. Więc lepiej, żeby twoja książka okazała się dobra. Edwin z trudem przełknął ślinę.

-- Zrobię, co w mojej mocy.

-- W twojej mocy? Twoja moc nie wystarczy. Zrób, co w Nigela mocy. Albo May. -- Lekko szturchnął Edwina w ramię. -- Żartowałem, Eddie. Nie bądź taki spięty. Och, a skoro już mowa o Nigelu, kazałem w księgowości odliczyć ci od następnej pensji kwotę, jaką mu jesteś winien za krawat. Jak każdy lubię dowcipy i wygłupy, ale, Edwinie, to już przesada. Krawat to świętość.

I z okrzykiem pożegnania wyszedł, zostawiając Edwina samego w gabinecie z imponującym widokiem i mahoniowym biurkiem. Edwin wziął maszynopis i go przekartkował. Pan Mead nawet nie zadał sobie tego trudu, by nań zerknąć lub choćby zdjąć gumki.

-- Mogłem zablefować -- powiedział Edwin. -- Mogłem wpaść z pierwszą stroną i plikiem czystych kartek związanych wstążeczką. -- Wychodząc, zgasił światło. -- No cóż, człowiek się uczy całe życie.

Rozdział jedenasty

-- Pan Soiree? Czy to pan? Dzień dobry, mówi Edwin de Valu. Dzwonię do pana w sprawie...

-- Pana Soiree nie ma. Wyjechał na pustynię czy gdzieś tam.

W słuchawce rozlegał się głośny szum, jakby Edwin dzwonił do innego stulecia. Do innej ery. Na inną planetę. Na drugą stronę Księżyca. Albo do jeszcze odleglejszego miejsca, czyli Paradise Flats w okręgu Dacob. Miasteczko to początkowo nazywało się Salt Flats, na cześć spalonych słońcem kopalni soli, które ściągnęły na ten obszar inwestorów, ale jego założyciele szybko przemianowali je na Paradise -- co miało zwabić linie kolejowe i naiwnych osadników. ("Paradise Flats! Co za cudowna nazwa. To miejsce w sam raz dla mnie"). Co oznacza, że Paradise Flats zaludniali głównie frajerzy.

Paradise Flats, placówka na końcu świata, skąpana w skwarze i anonimowości.

Jedynym wyraźnym przejawem życia była tam pustynia i to właśnie na niej zniknął Tupac Soiree. Edwin nie mógł uwierzyć własnym uszom.

-- Na pustynię? -- powtórzył.

-- Tak jest. Takie suche, jałowe miejsce. Może pan o nim słyszał? Pan Soiree spędza tam dużo czasu, medytuje i zajmuje się jakimiś mistycznymi sprawami. Mówi, że tam dostraja się do wibracji wszechświata. Jeśli o mnie chodzi, to stuknięty dziwak.

-- A z kim mam przyjemność rozmawiać?

-- Przyjemność? Przyjemność? Co za pretensjonalne słownictwo i gramatyka rodem z prywatnego liceum. Kim jestem? Nazywam się Jack McGreary i jestem jego gospodarzem. Pan Soiree jest mi winien czynsz za dwa miesiące, więc jeżeli jest pan jego wierzycielem, to witam w klubie.

-- Nie, nie. Dzwonię z wydawnictwa Panderic. Pan Soiree przysłał nam maszynopis, który chcielibyśmy wydać -- właściwie to już tej jesieni.

Długa, pełna zakłóceń pauza. Przez chwilę Edwinowi wydawało się, że połączenie zostało przerwane, ale nie, głos po drugiej stronie odezwał się znowu.

-- Chce mu pan zaproponować kontrakt czy coś?

-- Zgadza się. Może wyślę faksem naszą standardową umowę -- standard, jak ją

nazywamy -- żeby pan Soiree się z nią zapoznał i ją nam odesłał? Czy ma numer faksu?

-- Pewnie. Niech ją pan przyśle do Biblioteki Miejskiej Paradise Flats. Jeżeli nie jest na pustyni, to najpewniej przesiaduje w bibliotece. W życiu nie widziałem faceta, który by tyle czytał. Szajbnięty cudak. Gdzieś tu mam ten numer faksu. Pan chwilę poczeka.

Tak więc Edwin przesłał faksem panu Soiree dwanaście stron pełnych skomplikowanego żargonu prawniczego i ukrytych min, wraz ze wstępną ofertą trzech tysięcy dolarów i pięciu procent tantiem od ceny okładkowej. Ku jego zaskoczeniu odpowiedź przyszła już po paru godzinach. "Akceptuję bez zmian wszystkie warunki".

Edwin zamarł. Bez zmian? Niesłychane. Żadnych zmian w standardzie? Naturą standardu jest to, że powinno się wprowadzać zmiany. Na tym polega cały dowcip.

Umowa zawierała kilka skandalicznych klauzul dołączonych specjalnie po to, by zostały usunięte, by pisarze oraz ich agenci mogli stawiać żądania, a wydawcy mogli czegoś się zrzec. Wśród tych klauzul znajdowała się niesławna klauzula wyłączności, która zobowiązywała autorów do przekazania Pandericowi następnych dwóch tytułów, kompletnych i skończonych, a następnie danie wydawnictwu pół roku na podjęcie decyzji. Albo klauzula mówiąca o wygaśnięciu umowy, która niemalże uniemożliwiała autorowi odzyskanie prawa do książki -- nawet kiedy już został wyczerpany jej nakład i sprzedano ostatnie egzemplarze. Albo taka, która pozwalała Pandericowi na wstrzymanie "znacznej części" tantiem w wypadku pojawienia się ewentualnych zwrotów. (W świecie wydawniczym, jeżeli towar się nie sprzedaje, księgarze oddają go, odzyskując pieniądze. Żaden inny przemysł na świecie nie działa w ten sposób).

Oczywiście owej "znacznej kwoty potrącannej od zwrotów" nigdy nie określano, a w niektórych wypadkach Pandericowi udawało się zatrzymać pięćdziesiąt procent dochodów autora pod pretekstem ewentualności wystąpienia wspomnianych zwrotów.

A klauzula wymagająca od autora zwrotu całej zaliczki w ciągu 6 (sześciu) miesięcy, jeżeli jego dzieło uznano za "niespełniające wymagań wydawniczych"? W zasadzie nie istniała możliwość uzyskania zwrotu zaliczki wypłaconej w gotówce, co jednak nie oznaczało, że Panderic nie próbował. A ta pozornie niewinna klauzula dotycząca "praw do obróbki elektronicznej oraz wszelkich innych technologii, które istnieją obecnie lub mogą się pojawić w przyszłości"?

Edwin był oszołomiony. Pan Soiree zgadzał się na wszystkie -- wszystkie! -- warunki postawione przez Panderic, i to w zamian za co? Za skromną zaliczkę i nędzne tantiemy? Z niedowierzaniem kręcił głową, kiedy zauważył krótki dopisek pod wiadomością: "Panie Edwinie, wszelkie zmiany w umowie muszą pochodzić od pana.

Doskonale pan wie o haczykach ukrytych w niniejszym kontrakcie. Możliwość zwrotu zaliczki? Nie wygłupiajmy się. Chyba nie ma mnie pan za idiotę? Proszę przygotować poprawki -- dobrze wie pan, o co chodzi -- a chętnie podpiszę tę umowę. Żyj, kochaj, ucz się.

Tupak Soiree".

Znowu pojawiło się to uczucie. Wrażenie, że ktoś go obserwuje z tyłu, że ktoś cały czas go wyprzedza o dwa kroki. Edwin przez chwilę próbował pozbierać myśli, po czym wziął głęboki oddech i zaczął...

Po raz pierwszy w historii przemysłu wydawniczego -- w ogóle po raz pierwszy -- redaktor zasiadł do wprowadzania zmian w umowie na korzyść autora -- i to bez przymusu. Wykreślił drugą połowę klauzuli mówiącej o wygaśnięciu umowy, z powrotem przepisał prawa autorskie na autora, usunął zastrzeżenie odnoszące się do zaliczki -- zrobił wszystko, co należało do agenta. Nawet zwiększył tantiemy i wstawił

jedynek przed trzema tysiącami. Pomimo całej tej gadki o "partnerstwie"

i "współpracy", kiedy przychodzi do negocjowania warunków kontraktu, pisarze i

wydawcy stają się zwykłymi przeciwnikami, a cały proces poważnie przemawia na korzyść wydawcy. A jednak Edwin de Valu, młodszy redaktor, wykonał coś nie do pomyślenia: postawił autora na pierwszym miejscu. Było to dla niego doświadczenie dziwne i dość wytrącające z równowagi. Miał wrażenie, jakby ziemia się pod nim zachwiała, jakby podstawy całego przemysłu wydawniczego i głęboko w nich zakorzeniona hierarchia (a mianowicie taka, że autor zawsze znajdował się na samym dole drabiny) nagle się ugięły.

Ponad godzinę zajęło Edwinowi przejrzanie całego kontraktu i usunięcie wszystkich ukrytych pułapek oraz wstawienie właściwych zabezpieczeń. Kiedy skończył, Tupał Soiree miał zapewniony najbardziej sprawiedliwy kontrakt, jaki Panderic kiedykolwiek zaproponował.

-- Cóż mogę powiedzieć? -- zapytał Edwin z niechętnym szacunkiem. -- Ten facet umie się targować.

Na zewnątrz gromadziły się czarne chmury.

Rozdział dwunasty

-- Wszyscy mówią o banalności zła -- powiedziała May -- ale nikt nie pisze o banalności talentu.

Edwin i May pracowali do późna, a teraz jedli kolację, w restauracji Old Towne™ i rozmawiali. Edwin złopał piwo w ogromnych ilościach, jadł cebulowe krążki i pałeczki serowe smażone w głębokim tłuszczu. May znowu tkwiła w szponach kolejnej diety odchudzającej, którą znalazła w "O", złożonej wyłącznie z wody mineralnej oraz szpinaku.

-- Banalność talentu? -- zdziwił się Edwin.

-- Wiesz, najpierw podziwiasz jakieś dzieło, a potem poznajesz jego autora.

Pamiętasz Dlaczego nienawidzę Ukraińców?

-- A, tak. "Zjadliwa satyra na ukraińską mentalność".

-- Właśnie. Poznajesz autora i okazuje się, że to jakiś małolat z rzadką bródką i poczuciem humoru, które rozumie tylko on sam. Człowiek zawsze przeżywa rozczarowanie. Na przykład dzisiaj rano miałam telefon z marketingu. Nasi specje od reklamy byli dosłownie zawałeni robotą, więc w końcu to ja musiałam pojechać do Nilosa Javonicha.

-- Naprawdę? Do Javonicha, tego Wielkiego Słowackiego Poety?

-- Ni mniej, ni więcej. Zdaje się, że Wielki to jego imię. Chyba zmienił je prawnie na Wielki Javonich. W każdym razie nigdy nie słyszałam, by ktoś mówił o nim inaczej.

Zabrałam Wielkiego Javonicha na wywiady, sesje zdjęciowe i nawet podpisywanie książek na Bulwarze. Prawdę mówiąc, sama tego chciałam. Uwielbiam jego książki.

Strasznie mi się podoba Brak znaczenia, Poniżenie i Jestem ledwie pyłkiem, więc kiedy usłyszałam, że nasi nie mają czasu, od razu zgłosiłam się na ochotnika. Wyrwałam się z biura, no i miałam okazję poznać Wielkiego Nilosa Javonicha. Ale kiedy go poznałam, okazało się, że jest okropny. Hałaśliwy. Wulgarny. Drażliwy. Zarozumiały. Arogancki.

Banalny. O tym właśnie mówię: banalność talentu. Ktoś powinien o tym napisać książkę. (Oczywiście tak brzmiało jedno z najczęściej powtarzanych zdań w każdym wydawnictwie: "Ktoś powinien o tym napisać książkę").

-- A swoją drogą, co jest z tymi od reklamy? -- spytał Edwin. -- Dlaczego ich imiona zawsze kończą się na "y" albo "i"? Poważnie. Mamy Kelly i Lucy. U McMillana jest Jaimie i Marnie, a w Doubleday -- Cathy i Holly. Główny specjalista od reklamy w M&R to Lindsey, a w Hornblower -- Terri.

-- Terrilee -- poprawiła go May.

-- Głupota do kwadratu. O co więc tu chodzi? Czy to jakaś samospełniająca się

przepowiednia? Rodzice nadają im takie dziarskie imiona, żeby ich dzieci nie miały wyboru i musiały zdecydować się na równie dziarski zawód? Spójrzmy prawdzie prosto w oczy -- potrzeba ogromnej dozy dziarskości, żeby odnieść sukces na polu reklamy.

-- Wiem -- powiedziała May. -- Spójrz tylko na Jerri.

-- Albo na Larry'ego. Pamiętasz go?

Oboje się roześmiali. Larry był najbardziej uśmiechniętym, najbardziej optymistycznym specjalistą od reklamy w całej historii specjalistów w tej dziedzinie. Ale pewnego dnia pękł i wioząc pisarzy przez Maynard Gate Bridge, zaczął ich zrzucać do rzeki. Więcej niż raz musiano wyławiać z rzeki Larry'ego i przemoczonych do suchej nitki autorów. Skończyło się na tym, że w środku wywiadu prowadzonego na żywo w telewizji zaatakował pewnego młodego pisarza. (Jak się okazało, pisarz ów pstryknął

palcami w stronę Larry'ego, żądając szklanki wody, jakby przywoływał kelnera).

-- Dobry, stary Larry -- powiedział Edwin. -- Kiedy wychodzi?

May jeszcze się śmiała.

-- Myślę, że przy dobrym sprawowaniu za dwa lata. Może wsadzili go do celi razem z panem Etyką. To dopiero byłoby zabawne.

-- Hej, może wspólnie napiszą książkę. Wspomnienia z więzienia zawsze nieźle się sprzedają, zwłaszcza wśród podglądaczy, którzy mogą się pocieszyć wnioskiem "Boże, tak się cieszę, że nie jestem na jego miejscu". A może Etyka i Larry zorganizują wielką ucieczkę. Wykopią sobie tunel do wolności.

-- Wątpię, czy znajdują się w tym samym zakładzie karnym -- powiedziała May. -- Nie słyszałeś? Pan Etyka nieźle się urządził. Czekają go trzy dożywocia.

-- Co? Za uchylanie się od płacenia podatków?

-- Nie, na podwórku za jego domem znaleziono zakopane ciała trzech poborców podatkowych z urzędu skarbowego.

-- I za to ma dostać dożywocie?

May była równie zaskoczona.

-- Wiem. Zabicia poborcy podatkowego nie powinno się uznawać za ciężkie przestępstwo. Może za wykroczenie, ale nie za przestępstwo. Tak czy inaczej, pan Etyka resztę życia spędzi za kratkami.

-- Dobrze mu to robi -- uznał Edwin. -- To jakiś idiota.

Powszechnie wiadomo, że ciał nie zakopuje się we własnym ogródku. Policja zawsze szuka najpierw tam.

May jadła już trzecią sałatkę ze szpinaku z dodatkowym sosem, dodatkowym parmezanem i dodatkową porcją kawałeczków bekonu. Edwin nie chciał jej na to zwracać uwagi, ale miał pewność, że dieta Oprah opierała się na tylko jednej sałatce na raz. Nieważne. Życie było piękne. Edwin czuł się pojednany ze światem. To prawda, Grand Avenue nadal stanowiła kanion rozpaczy, pan Mead nadal wchodził wszystkim w drogę, Nigel nadal był wstrętną gnidą w ludzkiej skórze, a Jenni nadal była... no cóż, Jenni. Ale nie szkodzi. Edwinowi dosłownie znikąd udało się wytrzasnąć maszynopis, raz jeszcze, ku własnemu zaskoczeniu, utrzymał się na stołku.

-- No więc jaka ona jest? -- spytała May. -- Ta twoja książka, Czego dowiedziałem się na górze? Rzeczywiście zapewnia wszystko to, o czym mówiłeś?

-- O tak. I jeszcze trochę -- odparł Edwin. -- Przefaksowałem kontrakt do pana Soiree, on go podpisał, a dzisiaj po południu zacząłem wstępną lekturę. To bardzo dziwny tekst. Długi, zawiły i, o ile zdążyłem się zorientować, niemający konkretnego kształtu czy struktury. Zakładałem, że jest zbudowany według klasycznych reguł, podzielony na rozdziały -- wiesz, jeden o paleniu, jeden o planowaniu finansów, jeden o szczęściu wewnętrznym, i tak dalej, i tak

dalej -- ale czyta się go jak rozwlekły, chaotyczny monolog z oddzielnymi elementami wplecionymi w całość. A jednak jest przedziwny.

Brakuje w nim jakiegokolwiek struktury -- przynajmniej w sensie klasycznym -- lecz bez wątpienia wartko się toczy. Wszystko jest tu ze sobą powiązane, argumenty się przeplatają, więc nigdy nie wiadomo, kiedy się kończy jedna część, a zaczyna następna.

A styl? Jezu kochany. Czasami jest straszny: trywialny, płytki i pełen banałów. Znowu kiedy indziej brzmi pięknie i niemal głęboko. Całe ustępy są jak żywcem wyjęte z popularnych poradników, radosne i szczere, aż nagle Soiree zbacza w stronę abstrakcyjnej metafizyki i dylematów dotyczących tożsamości człowieka. To miszmasz.

Kropelka Normana Vincenta Peale, odrobina Chopry, szczypta Dale'a Carnegie. Całe akapity opierają się na hinduistycznej koncepcji moksha, jeżeli dobrze to wymawiam, która oznacza uwolnienie się od złych pragnień.

-- "Uwolnienie się od złych pragnień": to brzmi jak jeden z moich nieprzetłumaczalnych zwrotów -- zauważyła May.

-- To prawda. Moksha. Opiera się na idei, że życie to podróż od jednego etapu do następnego. Najpierw pragniemy przyjemności zmysłowych, co jest hedonistyczną fazą naszego życia. Potem gonimy za sukcesem materialnym -- to faza bogactwa i blichtru.

Następnie pożądamy sławy, a jeżeli nie uda nam się jej zdobyć, chcemy pozostawić po sobie coś, co przetrwa jakąś spuściznę. Coś, co przekazemy swoim dzieciom, a nawet wnukom. Na pozór może to zabrzmieć szlachetnie, ale, w każdym razie według Tupaka Soiree, to jedynie sublimacja lęku przed śmiercią. I... -- Tu Edwin urwał.

-- Co?

-- Kiedy czytałem ten fragment, miałem wrażenie, że Soiree stracił czujność. Lęk przed śmiercią i pragnienie dalszego życia; choćby poprzez swoje dzieci. Albo wnuki.

Kichotowska pogoń za nieśmiertelnością. To smutne, heroiczne i skazane na niepowodzenie, wszystko na raz. Ale Soiree na tym nie poprzestaje. Faza ostateczna, którą osiąga tylko niewielu, to absolutny spokój wewnętrzny. Oświecenie. Większość z nas po drodze daje się uwikłać w jedno lub więcej "fałszywych pragnień". Celem Tupaka Soiree jest pokazanie wszystkim, jak dotrzeć na ten czwarty, ostatni poziom.

Ciężka sprawa, nie uważasz? Takie głębokie i duchowe rozważania i nagle -- bah! -- Soiree przechodzi do rozrywki! Five-Point! Psychozabawa w stylu "Cosmopolitan", dzięki której sprawdzimy, na jakim etapie Wielkiej Hinduistycznej Życiowej Podróży się znajdujemy. To jak przejażdżka na rollercoasterze. To jak... -- tu Edwin się zawahał, gdyż nie spodobały mu się konotacje tego, co sugerował -- ... jak bredzenie szaleńca.

Człowieka zamkniętego w pokoju obitym gąbką, człowieka, który przeczytał za dużo książek. Albo majaczenie... -- Edwin znowu się zawahał, nie był bowiem pewien, czy podobają mu się i te implikacje -- ... geniusza.

-- Szaleniec. Geniusz. Te określenia nie wykluczają się nawzajem -- zauważyła May.

-- A może autorów było kilku. Może tej książki nie napisała tylko jedna osoba.

Chwilami styl gwałtownie się zmienia. To wygląda jak kolaż. Byle jak sklecony pastisz. Soiree łączy buddyjską filozofię moralności z libertariańskim kapitalizmem i, co najdziwniejsze, to działa. Podstawy najwyraźniej zaczerpnął od Carla Rogersa, który był pionierem terapii niedyrektywnej opierającej się na przesłance, że zachowanie jest produktem "Ja", nie zaś na odwrót, jak to ujmował Skinner. Skinner uważał, że jesteśmy dającymi się programować maszynami: szczurami w labiryncie. Rogers się z tym nie zgadzał. Twierdził, że jeżeli zmieni się "ja", zmieni się również zachowanie.

Niepotrzebny jest długi, powolny, trudny proces, postęp w rozwoju może nastąpić

szybko, gdyż samo Ja" jest dynamiczne. Ludzie chcą wieść bogatsze, pełniejsze życie, przejść odnowę. Chcą być szczęśliwi, a ta motywacja, ukryta czy nie, stanowi potężną siłę napędową. Takie są podstawy książki Soiree. Wylewa Freuda z kąpielą. Jego zdaniem ludzka psychika to nie kocioł kipiący mrocznymi, stłumionymi pragnieniami, lecz ptak wyrrywający się na wolność. Nasze najgłębsze pragnienia wcale nie są mroczne, lecz czyste i dobre. To tylko kwestia wyzwolenia ich. W pewnym fragmencie Soiree pisze, chwileczkę, gdzieś to sobie zapisałem, "Ludzka natura naprawdę istnieje.

Jest czymś realnym. I moralnym. I dobrym. Nie musimy się zmieniać, lecz powinniśmy odkryć, kim jesteśmy i kim możemy się stać". Facet wyraźnie jest pod wpływem prac Carla Rogersa. Ale to tylko punkt odniesienia. Soiree wynosi Rogersa na zupełnie inny poziom.

-- Hmm. Wygląda mi to bardziej na traktat filozoficzny niż poradnik -- powiedziała May, marszcząc brwi. (Nie ma nic gorszego od książki, której nie da się zaszufłakować).

-- Bo tu jest filozofia -- przytaknął Edwin. -- I psychologia. I fizyka. I porady dietetyczne. W życiu nie widziałem takiej mieszanki myśli, górnolotnych i banalnych, głupich i wyrafinowanych, wrzuconych do jednego wora. Soiree czerpie z wielu źródeł, ale nadaje im własny charakter. Na przykład cytuje takie hinduskie przysłowie: "Palec, który pokazuje księżyc, nie jest księżycem". Oznacza to, że nie powinniśmy mylić symboli wiary z rzeczywistością, którą reprezentują. Posągi. Symbole. Palce. Nie wolno ich mylić ze świętym obiektem, którego nie da się przedstawić za pomocą słów czy obrazów. Ale Tupak Soiree idzie jeszcze dalej. Pisze: "Tym samym palcem, którym pokazujemy księżyc, dłubiemy w nosie".

-- Dość dosadne -- roześmiała się May.

-- O tak. I pretensjonalne. I banalne. Ale to nie wszystko. Soiree mówi też, że czasami trzeba odciąć się od przeszłości i wywiesić tabliczkę z wiadomością dla świata: "Poszłem na ryby".

-- "Poszłem na ryby"?

-- Tak jest. "Poszłem na ryby". Prawda, że to brzmi banalnie? Ale już w następnym akapicie przeskakuje na fizykę karmy i odwieczną równowagę sił energetycznych we wszechświecie. Przedstawia nawet teorię duchowego Jednolitego pola". Wyobrażasz sobie? Teoria jednolitego pola. Gdyby miał rację, byłby to przełom na miarę teorii względności Einsteina. W jednej chwili proponuje ci praktyczny trzyetapowy poradnik organizacji pracy, a już w następnej wysuwa twierdzenie, że pojęcie czasu to iluzja. Na jednej stronie przytacza Spinozę, na następnej dekonstruuje ekonomiczną teorię keynesowską, a zaraz potem rozwodzi się na temat znaczenia "całusnych pocałunków"

i "przytulankowych przytuleń". Wszystko jest tu wymieszane: idee, rady, pojęcia filozoficzne. A jednak chwilami fascynuje, aż huczy w głowie. Nigdy nie czytałem czegoś podobnego.

-- To znaczy?

-- Mamy problem. Bardzo duży. Jeżeli wydamy tę książkę w niezmienionej formie, narazimy się na porażkę. Możemy mówić o szczęściu, jeżeli zwróci nam się inwestycja.

Po prostu jest zbyt dziwna. Kto ją kupi? Nie ma niszowej grupy docelowej, chyba że weźmiemy pod uwagę "ludzi, którzy czują, że w ich życiu czegoś brakuje". Czyli kogo?

Połowę populacji?

-- Och, więcej. Każdy chciałby coś zmienić, coś osiągnąć. Albo odzyskać. Młodość.

Pamięć. Chwilę. Brakujący fragment układanki. Ale masz rację, ta książka jest skierowana do tak różnych odbiorców, że nie możemy się nastawić na sprzedaż pozarynkową...

-- A na rynkową ma zbyt ekлекtyczny charakter. Mimo wszystko myślę, że da się ją uratować. Jeżeli uda mi się przez nią przebrnąć, zostawić fragmenty ze standardowych

poradników i usunąć cały mistycyzm i metafizykę, podzielić ją na rozdziały, skrócić do połowy, wymyślić chwytliwy tytuł i dać przyciągającą wzrok okładkę, to może jeszcze nic straconego. "Co mnie nie zabije, to mnie wzmocni". Może jeszcze będzie z tego przebój. Największym problemem jest czas. Mam tylko tydzień na zrobienie redakcji i uzyskanie aprobaty autora. Ale wiesz co, May? Myślę, że zdążę. Chyba mi się uda. -- Uśmiechnął się, zaskoczony własną determinacją.

May odwzajemniła jego uśmiech i wzniosła kieliszek.

-- Gratulacje!

-- Moje zdrowie! -- powiedział Edwin i stuknęli się kieliszkami. Potem, jakby po namyśle, który w ciągu następných paru miesięcy, w miarę rozwoju wydarzeń miał nabrać głębszego znaczenia, dodał: -- Wiesz, to dziwne, ale niektóre fragmenty tego maszynopisu wydawały mi się bardzo znajome. Powiedziałem, że czyta się go jak jeden wielki pastisz, i to prawda. Zupełnie jakby Soiree włożył do miksera wszystkie poradniki, jakie do tej pory powstały, po czym przecisnął je przez sito, otrzymując w ten sposób samą esencję tego gatunku. Jest tam nawet część pod tytułem "Podstawowe prawa rządzące pieniędzmi", która zabrzmiała aż zbyt znajomo. I nagle mnie olśniło.

Jeszcze w college'u czytałem podobną książkę, to była lektura na zajęcia. Nosiła tytuł Siedem praw pieniądza. Zacząłem się zastanawiać, a jeżeli Soiree żywcem ściąga z innych książek?

-- Plagiat, parafraza -- bardzo trudno odróżnić jedno od drugiego -- powiedziała May, cytując Drugie Przykazanie.

-- Wiem. I nie można mieć praw autorskich do pomysłu. A jednak w tekście Tupaka coś mnie zaniepokoiło. Niemal dokładnie tak samo brzmiało Siedem praw pieniądza.

Podczas przerwy na lunch zszedłem do tego wielkiego antykwariatu na Pięćdziesiątej Pierwszej. Znasz go.

-- Bryant's Books?

-- Nie, ten drugi, dalej. Za spożywczym. W każdym razie nakład Siedmiu praw pieniądza już się wyczerpał, ale udało mi się znaleźć egzemplarz. Napisał ją niejaki Philips. I rzeczywiście Tupak Soiree w tej części swojej książki opierał się na tym, co napisał Philips. To oczywiste.

Słyszac te słowa, May się wyprostowała.

-- Plagiat?

-- Nie, nie plagiat. Ale cały dowcip polega na tym, że to również nie parafraza. Część źle zrozumiał, połączył ze sobą kilka fragmentów, a resztę zupełnie zmienił. Wiesz, co to było, May? Odniosłem wrażenie, jakby pisał z pamięci. Jego wersja jest nawet bliższa temu, co zapamiętałem z oryginału. Nasza pamięć zawsze nieco zmienia fakty: niektóre szczegóły błędne, inne stają się bardziej wyraziste, a jeszcze inne zostają subtelnie przekształcone. I właśnie do tego doszło w książce Soiree. Zupełnie jakby celowo streścił

nie sam oryginał, lecz to, co z niego zapamiętał. To niepokojące, a ludzie, którzy kupują poradniki, nie chcą być niepokojeni, wolą się utwierdzić w swym poczuciu wartości.

Chcą, by ich pogłaskano, nakarmiono pierśią i udobruchano kojącymi komunałami...

-- Kojące komunały? Dobrze. (Z May był istny pies na aliterację. To jedna z jej słabości jako redaktorki. Daj jej kieliszek wina i kilka pomysłowych aliteracji, a jest cała twoja.

Edwina zatrudniła częściowo z tego powodu, że podobał jej się fakt, iż istnieje edytor o imieniu Ed).

-- Martwię się -- powiedział Edwin. -- Panderic od lat nie wydał bestselleru, od czasów Bałkańskiego Orła. To prawda, biznes z Balsamami dla duszy nadal się kręci, ale od bardzo dawna nie mieliśmy prawdziwego przeboju. Potrzebna nam kura znosząca złote jajka.

-- A ten poradnik, który ostatnio redagowałaś? Jaki nosił tytuł?

-- Bądź, kim nie jesteś.

-- Dobrze mu poszło.

Nawet Edwin musiał przyznać, że Bądź, kim nie jesteś sprzedawał się całkiem nieźle.

-- Ale i tak...

-- Nie ma się czym martwić. Wyjawię ci małą tajemnicę. Nasz dział biografii niedługo podpisuje umowę z pewną sprzątaczką, która twierdzi, że uprawiała seks z wiceprezydentem i przewodniczącym Izby Reprezentantów... -- tu May zawiesiła głos, by stworzyć dramatyczne napięcie -- ...jednocześnie.

-- O Boże. Wiceprezydent jest demokratą, a przewodniczący republikaninem.

-- Wiem. Szok, prawda? Ten jeden skandal pokryje koszty całej jesiennej linii. Więc się nie przejmuj tym swoim poradnikiem. Dopóki zwracają nam się koszty i mamy jeszcze trochę nadwyżki, jakoś sobie poradzisz. Po wydaniu Seksu na Kapitolu Panderic zbije fortunę.

-- O rany. I z republikaninem, i z demokratą.

-- Jednocześnie.

-- Nie do wiary. -- Edwin potarł zapalkę o draskę, zapalił dopiero drugiego papierosa tego wieczoru (próbował ograniczyć palenie) i głęboko się zaciągnął. -- Seks sprzedaje się doskonale -- powiedział, cytując Pierwsze Przykazanie. -- Ludzie nigdy nie mają go dosyć. To jak głód. -- Między nimi niczym ciężka nabrzmiała obietnica zawisło pojęcie seksu, czy też raczej jego obraz. Rozwiązał się dopiero po dłuższym czasie.

-- Mokita -- mruknęła May pod nosem, ale na tyle głośno, by Edwin ją usłyszał.

Mokita.

Rozdział trzynasty

Po powrocie do domu odkrył, że wszystkie samoprzylepne karteczki zniknęły -- zupełnie niczym migrujące na południe motyle. Jenni ostatnio nabiła sobie głowę feng shui i cały dzień spędziła na przestawianiu mebli, by dostroić się do świata duchowego.

Wszystkie niebieskie przedmioty zgromadziła we wschodniej części mieszkania, żółte wygnała na zachód, a różowe -- na północ. Telewizor i lodówkę ustawiła pod dziwnym kątem -- "by ułatwić przepływ energii" -- a kółka od zasłony prysznicowej pomalowała na dziwaczny odblaskowy oranż. Miały one zapewnić Edwinowi i Jenni bogactwo i powodzenie. (Widocznie bogowie mają szmergla na punkcie zjadliwie pomarańczowych kóleczek od zasłonek).

Kiedy Edwin wraz z Jenni przemierzał świeżo udoskonalone mieszkanie, przypomniało mu się coś, co kiedyś powiedziała May. Nazywała to "Licealnym testem na kompatybilność z Bruce'em Springsteenem".

-- Kiedy ożenił się po raz pierwszy, czytałam o nim artykuł -- mówiła. -- Jego żona była znaną i bogatą modelką, nazywała się Juliannę czy jakoś tak. Redaktorzy tego magazynu wykopali skądś stare licealne zdjęcia państwa młodych i wydrukowali je obok siebie, razem z artykułem. I wiesz co? W liceum Juliannę w ogóle nie zwróciłyby uwagi na Bruce'a. Była bogatą królową przedmieścia, cheerleaderką, członkiem samorządu szkolnego i Miss Popularności, w pełni akceptowaną przez rówieśników.

Natomiast licealne zdjęcie Bruce'a ukazuje niezdarne, nieśmiałe wyrzutka. Juliannę pochodziła z Lake Oswego, "sypialni" dla klasy wyższej na Zachodnim Wybrzeżu.

Dzieliła ją przepaść od fabryk i lichych domów New Jersey. Pochodzili z różnych światów. Gdyby uczyli się w tym samym liceum, Juliannę nawet by na niego nie spojrzała. A teraz biorą ślub? W jednej chwili, oceniając sytuację tylko na podstawie tego zdjęcia,

stwierdziłam, że ich małżeństwo jest skazane na niepowodzenie. I miałam rację.

W końcu rzucił ją dla dziewczyny z chórków, Patti Scialfa, starej, dobrej dziewczuchy z Jersey. W liceum świetnie by do siebie pasowali.

May nazwała to testem na kompatybilność: ludzie, którzy w liceum by do siebie nie pasowali, nie powinni się później pobierać.

-- Po liceum właściwie już się nie zmieniamy -- ciągnęła. -- Po prostu tłumimy w sobie cechy z tamtego okresu. Nasze prawdziwe Ja" nigdy się nie zmienia. Królowa balu absolwentów liceum już na zawsze pozostanie królową balu absolwentów liceum, a odmieniec pozostanie odmieńcem.

May mówiła ogólnikami, ale w jej spostrzeżeniach brzmiała pewna kąśliwa nuta.

Edwin udawał, że nie słucha uważnie -- "Interesująca historia. Możemy już złożyć zamówienie? Danie firmowe wygląda zachęcająco" -- lecz tak naprawdę te słowa go zżerały od środka. Kiedyś oglądał szkolny album ze zdjęciami Jenni i wiedział, że była najbardziej lubianą dziewczyną w bardzo elitarnym liceum w centrum miasta. Zdawał

sobie sprawę z tego, że gdyby ją wtedy poznał, cały obsypany trądzikiem, w okularach z grubymi szklami i Antologią Nortona pod pachą, chudzielec znany głównie z tego, że rzucał łacińskimi cytatami i oschłymi sarkastycznymi uwagami, nigdy by się nie zniżyła do tego, by choćby z nim porozmawiać. A to by go zdruzgotało. (Pogardzając swymi kolegami, jednocześnie pragnął ich aprobaty). Przez wiele lat nauki Edwin de Valu próbował zintegrować się z ludźmi o wiele głępszymi od siebie i chociaż dzięki temu miał zdrowe ego i cechowała go pewna doza arogancji, jedynie potwierdził swoją pozycję jako wiecznego outsidera. Kiedy Jenni -- jakimś cudem -- zgodziła się z nim umówić, tuż po tym, jak zaczął pracować w Pandericu, odniósł wrażenie, że wreszcie został uznany za prawdziwego człowieka. Kiedy pierwszy raz roześmiała się z jakiejś jego bystrej uwagi (przećwiczonej poprzedniego wieczoru przed lustrem), kiedy chętnie przyjęła propozycję następnego spotkania, zrozumiał, że kiedyś się z nią ożeni.

Wiedział to jeszcze przed drugą randką. Ożeni się z nią, żeby dogodzić swemu poprzedniemu Ja". Ożeni się z nią, by usunąć ze szkolnego albumu swoje zdjęcie i móc sobie powiedzieć: A widzisz? Udało ci się!

A teraz to. Wszystko stanęło na głowie. Całe wnętrze zostało zorganizowane według jakiegoś arbitralnego schematu kolorów, jego telewizor stał równolegle do nieistniejących linii energii i Edwin poczuł, że dzieli życie z dublerką. Jenni dosłownie nie sprawiała wrażenia prawdziwego człowieka. Bardziej przypominała zdjęcie ze szkolnego albumu. Naturalnej wielkości wizerunek wycięty z papieru. Wieczna królowa balu.

Może May miała rację. Może w jej teorii kryło się twarde ziarenko prawdy. Może nikt z nas nie wychodzi poza czasy liceum. Pomijając wszystko inne, myśl ta przepełniła Edwina uczuciem powinowactwa i niechętną sympatią do Bruce'a Springsteena.

Rozdział czternasty

Tej nocy wydarzyło się coś dziwnego.

Edwin siedział w domu nad maszynopisem, usiłując ujarzmić utwór Tupaka Soiree i nadać mu posłuszną formę. Już rozpoznał i wyodrębnił kilka podstawowych wątków, wyciął większą część pomniejszych, wyrzucił co bardziej abstrakcyjne rozważania, długi, zawiły fragment dotyczący miłości skrócił do schludnego, siedmiopunktowego streszczenia i przedzierał się teraz przez gęsty ustęp o "poznawczym dysonansie self, kiedy natknął się na wskazówki mówiące o rzuceniu palenia, kiedy -- tu nastąpił

niesamowity zbieg okoliczności -- sięgnął po następnego papierosa.

"Posłuchaj mnie! -- napisał Tupak. -- Posłuchaj. Właśnie teraz, dokładnie w tej chwili, zbierz wszystkie papierosy, jakie masz w domu, i napełnij szklankę do jednej czwartej wysokości ciepłą wodą. Teraz wyjmij z paczki jednego -- tylko jednego -- papierosa. To będzie ostatni papieros, jakiego wypalisz. W tej chwili, właśnie teraz. Zaraz już na zawsze rzucisz palenie. Idź do toalety i wyrzuć do sedesu resztę papierosów, ale nie spuszczać wody. Popatrz na papierosy pływające w klozecie. A teraz przejrzyj się w lustrze. Zapal tego ostatniego papierosa. Ostatniego papierosa w twoim życiu. Ale nie delektuj się nim. O nie. Nie pal go powoli. Nie pieść go. Nie rozkoszuj się jego smakiem.

Nie powinienes zwlekać, inaczej z pewnością nie będzie to twój ostatni papieros. Chcę, żebyś go wypalił tak szybko, jak możesz, dław się dymem i nie przerywaj, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Pal! Pal! Szybko! Teraz!".

Edwin, kaszłąc, szybko połykał dym, wciągał go łapczywie. Papier skwierczał, rósł słupek pomarańczowoczerwonego żaru.

"Teraz szybko wrzuć niedopałek do szklanki. Niech tam chwilę poleży. Popatrz, jak pływa w wodzie, powoli zabarwiając ją na czarno. To ostatni papieros, jakiego kiedykolwiek wypalisz. Zupełnie ostatni. Teraz przyłóż szklankę do ust...".

Edwin stał przed lustrem, bacznie wpatrując się w swoje odbicie, z ustami pełnymi ohydnej wody i przemoczonym niedopałkiem. Krztusząc się, walczył z odruchem, by połknąć wodę, wypluć ją albo zwymiotować. Kiedy tak stał i gapił się w lustro, rozpoczęło się w nim to, co Tupak Soiree nazywał "oddzieleniem cech od tożsamości".

"Problem wykracza poza palenie czy niepalenie, poza hazard, obżeranie się czy głodzenie. To jedynie objawy niezrównoważonej duszy, przemieszane cechy. Skup umysł na ich uporządkowaniu. Niech trafią na swoje miejsca, jedna po drugiej".

I coś drgnęło. Coś tuż pod powierzchnią, jak żyłka pod skórą. Zupełnie jakby różne warstwy osobowości Edwina -- rozmaite wady i dziwactwa, tiki i cechy, które razem wzięte tworzyły jego osobę -- powoli zaczęły się rozdzielać. Niemalże widział to w lustrze, działo się to na jego oczach. Gdyby tylko uwolnił umysł, cały proces by...

Edwin zakasłał i wypluł wodę razem z niedopałkiem do sedesu, po czym kilkakrotnie spuścił wodę. Kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, jakby otarł się nią o coś ciemnego, ciepłego i potężnego. Wyplukał usta, ochlapał sobie twarz zimną wodą i przejrzał się w lustrze.

-- Jestem Edwin de Valu -- powiedział. -- Jestem Edwin de Valu i za dużo pałę. Oto, kim jestem.

Czuł, że panika ściskająca jego serce powoli się zmniejsza. Niemal stracił panowanie nad swoją tożsamością, niemal dopuścił do jej dezintegracji i rozpadu na części składowe. Niemal utracił całość.

-- Chanie! Wychodzę po papierosy! -- Edwin wbił się w płaszcz.

Jenni pojawiła się w przedpokoju, boso, w szlafroku i z włosami owiniętymi ręcznikiem.

-- Czy aby na pewno potrzebujesz papierosa? O tej porze?

-- Nie. Nie potrzebuję. Na pewno. I właśnie dlatego po nie idę.

Powlókł się w deszczową, mroczną noc, szukając otwartego sklepika na rogu, szukając nikotyny, szukając złych nawyków.

Tymczasem pod numerem 668 Jenni usiadła przy stole w kuchni. Spojrzała na maszynopis leżący w kilku stertach, po czym, właściwie bez namysłu, wzięła kartkę czy dwie i zaczęła czytać.

Rozdział piętnasty

Czego dowiedziałem się na górze nadal drażnił redaktorską potrzebę spójności Edwina. Fragmenty maszynopisu pochodziły ze źródeł tak starożytnych jak Tybetańska księga umarłych, pozostałe najwyraźniej zostały zaczerpnięte z gazet.

W samym środku tantrycznej reinterpretacji Kamasutry i kwiecistych, soczystych opisów erotyki epoki New Age Soiree nagle zaczął cytować wyniki najnowszych badań naukowych dowodzące, że regularnie uprawiany seks zwiększa odporność organizmu.

"Raport w magazynie «Natural Health* przytacza wyniki badań pokazujące, że osoby, które uprawiają seks raz czy dwa razy w tygodniu, mają o dwadzieścia dziewięć procent immunoglobuliny (IgA) więcej -- substancji chemicznej, która pomaga w zwalczaniu choroby". Ten suchy, naukowy ustęp został wtrącony do rozprawy o "drzeniu jodeitowej łodygi w stawie z liliami". Niepojęte. Zupełnie jakby Edwin czytał

palimpsest, pergamin z tekstem spisywanym i przekreślanym tak często, że zostały po nim jedynie mgliste obrazy. Tym właśnie jest ta książka, pomyślał Edwin, to palimpsest.

(Jak pokażą późniejsze wydarzenia, Edwin miał rację. Zaiste był to palimpsest, choć może nie całkiem taki, jak to zakładał Edwin). Lektura Czego dowiedziałem się na górze przypominała lekturę tuzina książek nałożonych na siebie, jedna na drugą. To jak próba zredagowania całej biblioteki za jednym zamachem. Było to... cholernie irytujące -- to najlepsze określenie. Dla umysłu redaktora Czego dowiedziałem się na górze to afront dla podstawowych kanonów kompozycji i klarowności. Książka ta nie tylko łamała zasady -- lecz pisała je na nowo.

Nawet nie była podzielona na rozdziały. Soiree ledwo się zatrzymał, by złapać oddech przed zanurkowaniem w następny temat. Nie dawał wytchnienia. Proza rozlewała się po stronie, niekontrolowana. Każda myśl splatała się z następną w jednym, długim stokrotkowym łańcuchu pomieszanych pojęć. Niczym zarośniętemu ogrodowi różanemu, gdzie więcej jest kolców niż kwiatów, przydałby się jej sekator.

Edwin zaczął zakreślać niektóre slogany, by ewentualnie użyć ich jako tytułów rozdziałów, lecz wkrótce utknął.

1 Wczorajsza pogoda 2 Poszłem na ryby 3 Iluzja diet (i dieta oparta na iluzji) 4 Palec wskazujący na księżyc 5 Osiągnij stan wiecznej szczęśliwości 6 Sztuka całowania 7 Pocałunek sztuki 8 Jak sprawić, by pieniądze zaczęły dla ciebie śpiewać 9

Wstęp do ekonomii organicznej 10 Ulubiony przepis mojej matki na gulasz z rzepy A dotarł zaledwie do setnej strony. Szczególnie irytujący był piąty punkt listy ("Osiągnij stan wiecznej szczęśliwości"). Soiree używał słowa "szczęśliwość" tak, jak niektórzy pisarze używają znaków interpunkcyjnych, a przekaz tej części był

jednocześnie mętny i silny -- zupełnie jakby się czytało wiersz w języku, który zna się tylko trochę. "Osiągnij stan wiecznej szczęśliwości. To wszystko, co masz. Podążaj za nią tam, dokąd cię prowadzi i prowadź ją tam, dokąd zmierzasz. Podążaj za nią, dokądkolwiek cię prowadzi, i sam nią kieruj". W tym to miejscu Edwin dopisał uwagę od redaktora: "?". (Cóż innego miałby napisać? Te słowa nie miały ani trochę sensu).

Czytając dalej, zagłębiając się w gąszcz prozy, gdzie zdania się spiętrzały, składnia stawała coraz bardziej zawiła, a argumenty coraz to pokrętniejsze, miał wrażenie, że ulega hipnozie, że słowa całkowicie go otępiają. Być może tajemniczy Tupak Soiree rzeczywiście był wybitnym hipnotyzerem, jasnowidzem, który snuł delikatną, zdumiewającą sieć splątanych... Edwin się otrząsnął, wziął głęboki oddech i powiedział sobie: "To tylko książka, Edwin. Tylko książka".

Następnego dnia zaczął sieć i palić.

Kończył się jego czas. Koniec z uprzejmościami. (Na tym etapie redakcji Edwin często zawiązywał sobie na czole czerwoną bandanę w stylu kamikadze i wieszał nad biurkiem tabliczkę z napisem "Nie ma litości!"). Ruszał, wymachując maczetą. Niemal na oślep wyrąbywał całe ustępy maszynopisu. Ocalał jedynie najbardziej oklepane (a więc najlepiej się sprzedające) pomysły, resztę odrzucał. Fragment dotyczący palenia zredukował do jednego akapitu w ramce: "Oto pomocna, przydatna wskazówka! Kiedy podejmujesz decyzję o rzuceniu palenia, nie rozkoszuj się swoim ostatnim papierosem.

Wypał go szybko i skończ z tym raz na zawsze. Nie powinieneś zachować żadnych przyjemnych wspomnień związanych z ostatnim dymkiem". Poleciały fragmenty o "demontażu osobowości" i na wpeł hipnotyzujący trening "porządkowania cech osobowości".

Z tych redaktorskich zmagania zaczęła się wyłaniać słoneczna, radosna książka -- z pewnością pełna frazesów -- i Edwin poczuł falę podniecenia, nieco przypominającą tę, jaka zalewa artystę, gdy jego dzieło nabiera konkretnego kształtu. Z jednym tylko wyjątkiem -- rzemiosło Edwina zawsze było negatywne -- opierało się na niszczeniu, nie zaś na kreacji. Nie szkodzi. Edwin czuł się świetnie. Kto wie, może książka Tupaka Soiree okaże się następnym Balsamem dla duszy Panderica? Zawsze bądźcie przygotowani na sukces -- mawiał pan Mead. Co oznacza, że potrzebny jest nowy lepszy tytuł. Taki, który da się rozwinąć w serię, jeżeli pozwolą na to wyniki sprzedaży. Racja, następną część mogliby zatytułować Czego dowiedziałem się na niebie, a potem Czego dowiedziałem się na morzu, Czego dowiedziałem się w lesie, i tak dalej, ale Edwin szukał czegoś bardziej chwytliwego. Poza tym szybko by im się skończyły inspirujące miejsca w plenerze i co by im zostało? (Czego się dowiedziałem w przesmyku, Czego się dowiedziałem w tundrze, Czego się dowiedziałem w lesie mieszanym).

-- A może coś z kwiatami? -- zaproponowała May.

Edwin pracował w domu, lecz umówili się z May, że będą się spotykać w połowie drogi między jego domem a wydawnictwem.

-- Jedz, jedz -- powiedział Edwin. -- U O'Connora podają niezłe kanapki z wołowiną, serem, kiszoną kapustą i koszernymi piklami.

-- Nie mogę. Jestem na ściślejszej diecie złożonej z twarogu i wody mineralnej. -- May czytała ostatni numer "O", a Edwin ledwo się hamował, by nie powiedzieć: "Nie musisz chudnąć, May. Jesteś piękna". Ale nie mógł tego powiedzieć, bo to by spowodowało niezręczną ciszę i z hukiem przywołało incydent z hotelu Sheraton Timberland. Spytał

natomiast:

-- Kwiaty?

-- W tytule. Coś w rodzaju Bukiet róż dla twojego rozwoju. Lista kwiatów jest prawie nieskończona. Wazon tulipanów, Bukiecik stokrotek, Garść dzwonek. Można to ciągnąć w nieskończoność.

-- Niezłe, niezłe, nie najgorsze. Myślałem o czymś z "potpourri" w tytule. Żeby podkreślić mieszaną naturę książki. Porusza bardzo wiele tematów. Od A do Zet, że tak powiem.

-- Mam! -- wykrzyknęła May. -- Czekoladki. Bombonierka pełna smacznych kasek. Na okładce użyjemy zamasywanej kursywy, może nawet zrobimy tytuł w kształcie jedwabnej książki i dołączymy rysunek bombonierki w kształcie serca, w której każda czekoladka będzie nosiła inną nazwę: miłość, szczęście, praca, pieniądze.

-- Czekoladki. Dobrze. Bardzo dobrze. -- Sięgnął do pudełka papierosów, zmusił się, by zapalić i wciągnął gorzki dym, opanowując kaszel. Papieros miał paskudny smak, ale mimo to Edwin palił dalej, próbując się zaciągnąć. W połowie jednak musiał uznać swoją porażkę i zgasił papierosa. Poczul, że przez jego żyły przepływa jakaś oleista przyprawiająca o mdłości

substancja. -- Czekoladki -- powtórzył, napełniając usta guinnessem, by splukać smak tytoniu i skojarzeń, jakie ze sobą niósł. -- Doskonale, May.

Absolutnie doskonale. Na samą myśl dostaję gęziej skórki.

I wtedy, bez najmniejszego ostrzeżenia, z hukiem wrócił incydent z hotelu Sheraton Timberland. Uśmiechnęli się do siebie -- nieco zbyt długo i zbyt serdecznie.

-- Czekoladki -- odezwała się May po długim milczeniu. -- Czekoladki dla duszy. Tego potrzebują ludzie i to im damy.

Rozdział szesnasty

Po ostatnim maratonie redaktorskiej jatki, kiedy to ciął, siepał i skrobał na marginesach coraz mniej zrozumiałe uwagi, Edwinowi zaczął się pogarszać wzrok.

Bolały go oczy. Widział nieostro. Tak jak autorzy książek cierpią na syndrom pisarskiego skurczu, tak redaktorzy równie silnie cierpią na syndrom zmęczonego oka.

Przykładał sobie do powiek woreczki z lodem, spryskiwał twarz wodą, a nawet podjął próbę ocznego aerobiku, ale wszystko na nic. Czas spać.

Ziewnął, przeciągnął się i powiedział na głos: -- Cudowne życie redaktora. Nie ma nic lepszego.

Posiedzenie to nie przebiegło bez przygód. Tuż po północy, kiedy Edwin w szale kreślił maszynopis swym potężnym niebieskim piórem, bez namysłu masowo zabijając słowa, przewracając na drugą stronę jedną z kartek, kątem oka dostrzegł na odwrocie jakieś słowa. Była to ręcznie napisana wiadomość, pijackie bazgroły. "Oliver Reed nie żyje, a i ja nie czuję się zbyt dobrze".

To zupełnie zbiło Edwina z pantafelów.

Oliver Reed? Kim, do diabła, jest Oliver Reed? Nazwisko brzmiało irytująco znajomo. Piosenkarz? Muzyk? Może aktor? Ale co Oliver Reed ma wspólnego z tą książką? Co ma wspólnego z Tupakiem Soiree i pogonią za szczęściem?

Edwinowi pulsowała już cała głowa. Od wysiłku (umysłowego i innego) bolał go mózdzek i oczodoły. Zgasił lampę na biurku i powłókł się do łóżka. Oliver Reed? Kim, do diabła, jest ten Oliver Reed?

Kiedy wyczerpany Edwin wczołgiwał się pod kołdrę, coś tam na niego czekało, coś dzikiego i nieposkromionego. Tygrysyca. Uwodzicielka. Jego żona. Zaczęła się więc na nim, pod nim, wokół niego jak długi, mokry język.

-- Chanie? Raczej nie...

-- Wrrrr.

-- Nie, naprawdę. Nie mam nastroju. Jestem wykończony. Słowo.

Przebiegła palcami po jego klatce piersiowej, prawie jakby liczyła mu żebra.

W pewnym momencie się zatrzymała, po czym położyła kciuk drugiej ręki na wewnętrznej części jego uda i przycisnęła. Przeszył go prąd, zalała fala energii i nagle Jenni znalazła się na nim. Wpełzła na niego i zanim zrozumiał, co się dzieje, już był

w niej, dopasował się do jej rytmu, drżał jak mucha w pajęczynie. Jenni robiła coś bardzo głęboko, napierała na niego pod kątem, aż jego pory zaczęły się skrzyć, a przez synapsy buchnęły fajerwerki. Zupełnie jakby połała jego ciało brandy, a następnie podpaliła. Słyszał cichy oddech Jenni, kiedy ich rytm osiągnął crescendo, westchnienia przemieszane z łkaniem, łkanie przemieszane z jęczeniem. Wiedział, że jego żona lada moment będzie szczytować, czuł jej narastającą rozkosz i wtedy, dokładnie w tej samej chwili -- w tym samym kosmicznym momencie -- sam przeżył orgazm, eksplozję za eksplozją, jedną za drugą, niemal muzyczny finał.

Jenni zsunęła się z niego, zwinęła w kłębek na boku i natychmiast usnęła, mruczając i chrapiąc, chrapiąc i mruczając. Edwin leżał pod kołdrą, cały rozpalony i mokry, oszołomiony tym, co się stało. Miał wrażenie, że przez jego udo przebiegają lekkie dreszcze, których nie mógł opanować. Bo widzicie, Edwin de Valu nigdy przedtem nie doświadczył wielokrotnego orgazmu. W głowie mu się kręciło, a emocje wirowały jak na karuzeli. W pewnym sensie było to przerażające.

Kiedy tak leżał, wsłuchując się w dudnienie swojego serca i wczuwając w drżenie nogi, zauważył, że złym przeczuciem, że łóżko pozostało idealnie posłane. Podczas tego, co zaszło, pościel i koce ani trochę się nie skotłowały. Nawet nie były zmięte.

Długo nie mógł usnąć.

Następnej nocy Jenni przesunęła się na jego stronę łóżka i dokonała takiej samej seksualnej napaści. I następnej nocy też. I jeszcze następnej. Każdy atak był równie namiętny i elektryzujący co poprzedni. A każdy przebiegał dokładnie tak samo. Edwin nigdy by nie pomyślał, że to możliwe: seksualna ekstaza wyuczona na pamięć.

Dopiero dużo później dotarł do tej części maszynopisu, która opisywała technikę Li Bok, wraz z dziwną mieszaniną obsesowych informacji ginekologicznych na temat "kąta penetracji", "przeciwnacisku" i "brzegów tkanki miękkiej" oraz romantycznych, potocznych opisów Pieśni Salomona i mistycznego związku przeciwieństw.

Wystarczyło to, by człowieka mózg rozboleł. Edwin wcześniej mówił, że od tej lektury w głowie huczy jak w ulu, i miał rację. (Zawsze miał smykałkę do porównań).

Koncepcje Tupaka Soiree doprowadzały do szału niczym pszczoły w pustym słoiku po ogórkach. Męczyły do tego stopnia, że pozostawały dwa wyjścia: albo im ulec i zaakceptować prawdę, albo uciec.

Edwin jako redaktor nie mógł zrobić ani jednego, ani drugiego. Oczy nadal mu więc łzaawiły, w głowie nieustannie huczało, a noce miał wypełnione kanonadą intensywnej seksualnej rozkoszy.

-- Powinieneś przestudiować tę część o Li Bok -- gruchała Jenni. -- Lepiej działa w zespole. Kobieta. Mężczyzna. Połączeni.

-- Wiem, wiem -- odpowiadał. -- Mężczyźni są z Marsa, a kobiety z Wenus.

-- Właśnie. -- Jenni zabłysły oczy. -- Ale razem żyją na Jowiszu. Nie rozumiesz tego?

Edwin oczywiście tego nie rozumiał. Myśl ta nigdy nie skryształizowała się w jego umyśle, nigdy nie nabrała sensu. Całe to doświadczenie z książką Czego dowiedziałem się na gorze uważał za grzęzawisko sprzeczności.

-- To jak te trójwymiarowe obrazki z ukrytymi treściami -- powiedział dozorca Rory.

-- Te, na których najpierw się widzi same kropki, a potem nagle -- klik! -- i wyłania się z nich obraz. Czary. W jednej chwili otacza cię chaos, a już w następnej pojawia się kształt o realnej masie i realnych rozmiarach. Tak samo jest z Tupakiem Soiree i jego pisarstwem. Kiedy obejmuje się rozumem całość, ukryte znaczenie przychodzi nagle.

W mgnieniu oka.

Niestety niektórzy mogą całymi godzinami, aż do bólu oczu, gapić się na trójwymiarowe obrazki, a i tak nic nie zobaczą. Tak właśnie czuł się Edwin, żeglując po werbalnym morzu Soiree, usiłując nadać mu kształt prostszy. I bezpieczniejszy.

Rozdział siedemnasty

Przez następne cztery dni Edwin de Valu pracował ciężiej niż w ciągu poprzedniego pół

roku. Ciął, siekał i młócił. Musiał pobić, a przynajmniej ujarzmić ten maszynopis niczym jakąś mityczną bestię, więc nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę wahania.

Nie teraz. Przedał się przezeń, zostawiając za sobą szlak znaczony resztkami przetrwanej i zbryzganej krwią prozy i wreszcie -- wbrew wszystkim przeciwnościom losu -- zdołał okroić Czego dowiedziałem się na górze do zaledwie trzystu stron.

Z niegdysiejszego bagna słów powstała lekka rozrywkowa lektura. Podzielił tekst na "przydatne wskazówki" i "pomocne sztuczki". Wstawił uwagi dotyczące oprawy graficznej i zasugerował ozdobniki: tu różyczka, tam bombonierka w kształcie serca.

Strony pokrywały redaktorskie gryzmoły i dopiski na marginesach, ale Edwin wygrał tę walkę. Pierwsza wersja Czekoladek była już prawie gotowa. Spakował zredagowany maszynopis, wysłał go pocztą kurierską do Tupaka Soiree, na adres kempingu w Paradise Flats, po czym wydał z siebie zmęczone, lecz triumfalne westchnięcie. Nie miał siły wiwatować, czy choćby unieść ręki nad głowę, ale miał ochotę uczcić swoje zwycięstwo. Od prawie tygodnia nie przespał w całości ani jednej nocy i czuł się wypompowany (w każdym sensie tego słowa), ale co tam. Zadzwoił do May.

Szybki drink przerodził się w lekki lunch, który z kolei przeciągnął się w rozmowę do późnej nocy. Edwin miał wrażenie, że zdjęto mu z pleców wielki ciężar i lada chwila uniesie się w powietrze, a jego piersi wypełnia hel. May uśmiechała się do niego, błyskając zza kieliszka liliowymi ustami. (Zmieniła kolor szminki, usiłując przerzucić się na mniej intensywny makijaż, nie uniknęła jednak efektu kredki). Edwin-Człowiek Wieszak i May-Liliowe Usta -- cóż za niezwykła para -- siedzieli w półmroku, zamawiali wino i piwo i śmiali się z byle czego. Śmiali się z pana Meada, co sprowadzało się mniej więcej do tego samego.

-- Edwin, musisz mu oddać sprawiedliwość. Zarobił sobie na swoje blizny. Spełnił swoją powinność. Ciężko zapracował na swój sukces. Chryste, ten człowiek przez sześć lat sprawdzał fakty dla Toma Clancy'ego! Sześć lat!

To rekord, którego być może nikt już nie pobije. Najbliżej był ten facet, który pracował dla Clancy'ego przez cztery i pół roku. I wylądował w wariatkowie, gdzie bez przerwy plótł coś w żargonie technicznym, wypowiadając słowa długości trzydziestu centymetrów. Pan Mead wyszedł z tego cało.

Edwin znał tę historię, słyszał ją wiele razy. Szeptano ją, kiedy przechodził pan Mead, szeptano ją z szacunkiem i podziwem przemieszonym ze zgrozą. "To ten człowiek, który przez sześć lat sprawdzał fakty dla Toma Clancy'ego".

W wydawniczym świecie pan Mead wzbudzał szacunek zarezerwowany zwykle dla zahartowanych w boju weteranów z Wietnamu. "Sześć lat, człowieku. Sześć lat".

-- Słyszałaś kiedyś o technice Li Bok? -- spytał Edwin.

-- Mmm? -- May miała usta pełne czekoladowego sernika. Zrobiła sobie dzień wolny w diecie (opartej na selerze i niegazowanej wodzie mineralnej), z czego teraz w pełni korzystała.

-- Li Bok. To technika seksualna. Stroną inicjującą jest kobieta, ale ponieważ zasadniczo tu chodzi o, hmm, rytm, zarówno mężczyzna jak i kobieta zwykle, yyy, no wiesz, jednocześnie przeżywają orgazm. Wszystko jest opisane w książce Soiree.

Zdumiewające. Słowo daję, to zastąpi punkt G.

-- Nie -- powiedziała May z udawaną zgrozą. -- Tylko nie punkt G.

-- To prawda. Ta technika Li Bok rzeczywiście działa. Naprawdę.

-- Ale najpierw trzeba mieć partnera do współpracy -- rzuciła oschle May.

-- Nie, nie -- zaprzeczył Edwin, nieco zbyt szybko.

-- Wcale nie trzeba partnera. Samotni też mogą z niej korzystać. W tej książce jest cała część dotycząca autoerotyzmu. Wiesz -- tu zniżył głos -- masturbacji.

-- A dlaczego miałyby to mnie interesować? -- spytała chłodno May.

-- No, po prostu...

-- Edwin, z tuzin oszalałych z miłości mężczyzn pisuje dla mnie wiersze.

Zrozpaczeni faceci w środku nocy podjeżdżają pod moje okno. Kobiety zresztą tak samo. Codziennie organizują sobie orgietkę w domu.

-- Okay, okay. Wierzę. Po co te drastyczne szczegóły. Zresztą domyślałam się, że jako energiczna pani kierownik nigdy, przenigdy się nie masturbujesz.

-- Au contraire -- rzuciła beztrząsowo May. -- Ostatnio masturbowałam się wczoraj. Cały czas myśląc o tobie.

-- I słusznie! -- Roześmiał się. Nie uświadamiał sobie jednak, bo też i nie mógł, że May mówiła prawdę.

-- A poza tym, co z małżonkami jednej płci? Wygląda na to, że twój pan Soiree nie pomyślał o wszystkim.

-- A właśnie, że pomyślał. Jest odmiana Li Bok dla par homoseksualnych, chociaż potraktowana dość pobieżnie.

May posłała mu kolejny liliowy uśmiech.

-- W takim razie musisz ją wypróbować, prawda? Sprawdzić, czy działa również w przypadku gejów.

-- Nie ma sprawy. Poproszę o pomoc Nigela. Czemu nie? I tak od lat mnie dyma.

May się roześmiała, a Edwin zamówił kolejnego drinka.

-- Oliver Reed -- powiedział. -- Ten aktor. Co o nim wiesz?

-- Superman?

-- Nie, nie Reeve, tylko Reed. Oliver. Brytyjski aktor, urodzony w Wimbledonie, 13 lutego 1938 roku. Znalazłem jego nazwisko na liście gwiazd Panderica. Pamiętasz ten wielki film o gladiatorach? Występował w nim Oliver Reed. To był jego ostatni film, umarł na planie. We Włoszech czy gdzieś tam. Zdaje się, że nie zdążyli nakręcić wszystkich scen z jego udziałem, więc dzięki cyfrowej technice dodali jego twarz do czyjegoś ciała.

-- Ohyda.

-- Zaczynał od tandetnych horrorów. Jeśli już, to był raczej anti-Supermanem. Jego filmy były koszmarne, a role nie miały w sobie nic szlachetnego czy heroicznego. Mam tu gdzieś listę... O, jest. Pierwszy raz zagrał w Kłątwie wilkołaka. Potem w Dwóch twarzach doktora Jekylla. Co jeszcze? Nocne stwory, Krew na ulicach, Studnia i wahadło. Występował

też w filmach płaszcza i szpady: Piraci z krwawej rzeki, Miecz z Sherwood, Trzej muszkietierowie, Czterej muszkietierowie, i tak dalej. Zagrał czarny charakter w musicalu Oliver! i tancerza baletowego w Lidze dżentelmenów. Ale ogólnie rzecz biorąc, był

drugorzędnym Hemanem do wynajęcia. Niebieskie oczy. Uwodzicielski wygląd. Szereg skandali z gwiazdkami, kilka knajpianych awantur. Był i nagradzanym bokserem, i notorycznym pijakiem. Wystąpił w ponad sześćdziesięciu filmach, ale za nic żadnego nie mogę sobie przypomnieć. Bardzo dziwne. O ile mi wiadomo, Oliver Reed nigdy nie przeczytał ani jednego poradnika. Kiedyś powiedział, że żałuje tylko dwóch rzeczy: że nie opróżnił wszystkich butelek we wszystkich pubach i że nie przespał się z każdą kobietą.

-- Czarujące.

Edwin pokiwał głową.

-- Rzeczywiście nie był zbyt subtelny.

-- I...?

Edwin wzruszył ramionami.

-- I nic. Chodzi o to, że ten Tupak Soiree na odwrocie jednej z kartek maszynopisu

nabazgrał parę słów na jego temat, pewnie przez przypadek, których za nic nie mogę rozgryźć. Co Oliver Reed ma z tym wspólnego? Co ma wspólnego z dążeniem do duchowego oświecenia lub osiągnięciem wewnętrznego spokoju?

-- Może Soiree rozmawiał wtedy przez telefon -- zasugerowała May. -- Wiesz, wtedy notuje się na tym, co akurat jest pod ręką. Pewnie rozmawiał z jakimś znajomym kinomanem, który wspomniał o Oliverze Reedzie i Soiree z roztargnieniem zapisał to nazwisko. Myślę, że nie trzeba się doszukiwać ukrytego znaczenia w bazgrołach autorów na tylnych stronach maszynopisu.

-- Masz rację -- powiedział Edwin. -- Pewnie właśnie tak było. Odruchowo coś zapisał, bo co wilkołak i doktor Jekyll mogą mieć wspólnego z Tupakiem Soiree, nie?

Nie? A jednak... -- Zamyślił się. Intuicja mu podpowiadała, że w tym wszystkim kryje się coś więcej, że być może śmierć Olivera Reeda to klucz to zrozumienia prawdziwej intencji Tupaka Soiree. Ale jaki jest związek? I skąd ten dopisek: "... a i ja sam nie czuję się zbyt dobrze"? Co Tupak Soiree próbował przez to powiedzieć? I dlaczego przyszedł guru, który ostentacyjnie wyrzeka się alkoholu, miałby pisać coś podobnego, najwyraźniej sam będąc pod wpływem alkoholu?

-- Halo? -- odezwała się May. -- Tu ziemia.

-- Przepraszam -- powiedział Edwin wyrwany z zamyślenia. -- Odplynąłem.

-- Właśnie widzę. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie należę do najbardziej fascynujących rozmówców na świecie, ale chciałabym wierzyć, że możemy spędzić razem wieczór i nie będziesz milkł co pięć minut.

-- Hmm? -- Edwin już zaczął znowu odplywać.

May się roześmiała.

-- Mówiłam tylko, że doskonale się rozumiemy. Japończycy nazywają to ahun, niewerbalną komunikacją starych przyjaciół i... -- Tu urwała. Zwrot ten dotyczył również kochanków.

Edwin już miał odpowiedzieć, kiedy coś zwróciło jego uwagę. Coś na zewnątrz.

Przez okno widział migające światelka dźwigu i nocną ekipę robotników, którzy przy wtórze sygnałów ostrzegawczych mocowali billboard. Tablica była ogromna, a kiedy zawisła na fasadzie jakiegoś opuszczonego budynku, Edwin odczytał napis: "Kolejny projekt Fundacji Rory'ego P. Wilhackera!". I zupełnie zapomniał o Oliverze Reedzie.

-- Ciekawe -- powiedział bardziej do siebie niż do May. -- Jak myślisz, czy o tej porze są otwarte jakieś banki?

-- Wilhacker? Czy u nas kiedyś nie...?

-- Tak, dozorca. To znaczy kiedyś był dozorcą. Jak myślisz -- odwrócił się do May -- czy First National na Sullivan Street jeszcze jest otwarty?

Zerknęła na zegarek. 139

-- Chyba tak. Myślę, że do jedenastej. Ale obsługują tylko lokaty i przelewy.

-- Świetnie! -- wykrzyknął Edwin, dopijając resztę piwa. -- Muszę lecieć. To na razie.

Pa. -- I wybiegł, nawet nie zakładając płaszcza, i już podnosząc rękę, by zatrzymać taksówkę.

May patrzyła za nim, zaskoczona i oniemiała. Została odprawiona i nie bardzo wiedziała, jak ma to rozumieć. Czowała się urażona. A, co gorsza, już ją ogarniały wyrzuty sumienia spowodowane zjedzeniem zbyt wielu porcji czekoladowego sernika.

-- No cóż -- powiedziała sobie w duchu. -- To tyle, jeśli chodzi o moje kobiece sztuczki mające na celu usidlenie żonatego mężczyzny. Oczywiście -- tu przemówiła przez nią zwykła złośliwość -- słowa "mężczyzna" używam tylko w jego najogólniejszym sensie.

Raz jeszcze zaczęła się zastanawiać, co takiego zobaczyła w równie nerwowym, narwanym, chudym, sarkastycznym, obsesyjnym mężczyźnie co nasz Edwin. I raz jeszcze nie znalazła odpowiedzi. (Nikt jej nie zna. Naprawdę).

-- Poproszę jeszcze jedną porcję czekoladowego sernika! -- powiedziała, machając na kelnera jak ranny żołnierz przywołujący sanitariusza. -- Jeszcze sernika!

Rozdział osiemnasty

Kiedy Edwin wyskoczył z taksówki przed First National, dokładnie wiedział, co robić. Po drodze przetrząsnął teczkę i znalazł te strony maszynopisu, które mówiły o ekonomii organicznej.

Swe skromne oszczędności -- niespełna dwa tysiące dolarów -- przelał na nowe konto, a następnie wrzucił na weksle krótkoterminowe (teraz oprocentowane na 3,94 procent) na najdroższe obligacje wymienne.

-- Realizacja nastąpi dopiero jutro -- powiedziała urzędniczka usadowiona za kuloodporną szybą.

-- W porządku. Mam dwadzieścia cztery godziny na zmianę inwestycji. Z samego rana założył konto kaskadowe, a następnie ponownie zainwestował kwotę główną i podjął gotówkę w połowie cyklu. Umiejętnie wykorzystując różnicę czasu między Wschodnim a Zachodnim Wybrzeżem, do końca tygodnia zdołał pięciokrotnie przelać pieniądze między strefami czasowymi. W kolejny poniedziałek jego inwestycja wzrosła do osiemnastu, we wtorek już do stu sześćdziesięciu siedmiu, a w środę -- do sześciuset osiemdziesięciu tysięcy dolarów. A w czwartek przyszli agenci federalni.

Czekali na niego, gdy tego dnia przywłókł się do pracy. Było ich dwóch: w standardowych ciemnych okularach, ciemnych, prostych garniturach i z ponurymi minami. Należeli do FBI, którego motto brzmi: "Nam to się wcale nie wydaje zabawne".

-- Panie de Valu -- powiedział pierwszy. -- Jestem agent Bla, bla, a to agent Takiowaki. (Nie ma sensu pamiętać ich nazwisk).

Edwin rzucił marynarkę na biurko i spytał z uśmiechem: -- Chodźcie do tego samego krawca? -- Niestety tą dowcipną uwagą nie podbił ich serc. (Patrz: motto powyżej).

-- Dość małe i skromne miejsce pracy jak na milionera -- zauważył jeden z nich, rozglądając się po boksie Edwina. -- Nie sądzi pan?

Jasna cholera!

-- Doprawdy? To już milion? Kiedy wczoraj kładłem się spać, miałem zaledwie kilkaset tysięcy i nie byłem pewien, czy dzisiaj dobiję do miliona. Nigdy nie miałem zdolności matematycznych, ale obliczyłem to za pomocą...

-- Dokładnie dwa i pół miliona -- uściślił agent Bla, bla.

-- Ha, ha! Doskonale! A teraz panowie wybaczą, ale muszę pociągnąć za pewien kucyk i pobić do nieprzytomności kolegę z pracy. Wracam za chwilę, żeby uprzątnąć biurko, i wtedy będziemy mogli dokończyć tę rozmowę gdzie indziej, na przykład na pokładzie mojego prywatnego samolotu w drodze na południowy Pacyfik.

-- Na pana miejscu nie robiłbym tego.

-- Proszę spocząć, panie de Valu. -- Agent mówiący te słowa siedział na jedynym krześle w boksie.

-- Raczej postoję.

-- Jak pan sobie życzy, musi pan jednak wiedzieć, że jeśli spróbuje pan uciekać, będziemy zmuszeni strzelać.

Zapadła cisza.

-- Pan żartuje, prawda?

-- Panie de Valu, my nigdy nie żartujemy.

-- Strzelalibyście do mnie?

-- Strzelalibyśmy.

-- Nie zważając na niewinne osoby postronne?

-- Nie zważając na niewinne osoby postronne.

-- 0 rany. Przecież to tylko redaktorzy. Nie są nie do zastąpienia, ale i tak... -- Po raz pierwszy od chwili, w której ujrzał w swoim boksie agentów FBI, Edwin zrozumiał, że ma kłopoty. I to poważne. Może wcale nie będzie wylegiwał się na piaskach Bali, zajadając schłodzone truskawki, wachlowany ogromnym liściem palmowym przez lokaja, podczas gdy Nigel będzie wisiał głową w dół nad otwartym szambem. Może to się skończyć zupełnie inaczej.

-- Pańskie konto zostało zamrożone, panie de Valu. Przyszłe transakcje są zablokowane i już rozpoczęła się kontrola.

-- Czy popełniłem jakieś przestępstwo?

-- Nie mamy pewności.

Tak więc Edwin podpisał zrzeczenie się i został zabrany na przesłuchanie. Nie zaświecono mu w oczy jasnym światłem ani nie pobito gumowym wężem, ale kazano czekać w nieskończoność w pokoju przesłuchań, gdzie rozlegała się muzakowa wersja musicalu Koty. Edwin nie sądził, by należało to do przesłuchania, jednak nie mógł mieć całkowitej pewności. Kto wie? Może zza weneckiego lustra obserwowała go grupa mężczyzn ze słuchawkami na uszach, którzy czekali, aż się załamie? "Nadal nie reaguje? No to podkreśmy głośność, podbijmy basy. Cholera, jeśli trzeba, puścimy nawet teksty piosenek".

Niespodziewane bogactwo Edwina nagle znalazło się w stanie zawieszenia.

Śledztwo mogło potrwać całe lata; może już nigdy nie zobaczy swoich pieniędzy.

Wyglądało na to, że ostatnio, niemalże w ciągu jednej nocy, w promieniu dwudziestu kilometrów pojawiła się cała fala milionerów, a wszyscy działający według tego samego modus operandi. Pokonali wszystkie zabezpieczenia, w tydzień zbili fortunę i przez pozornie niewinne luki w przepisach bankowych wyszali miliony -- jeżeli nie miliardy dolarów. A niektóre z tych luk były doprawdy niewielkie: wykorzystanie ich równałoby się przeciągnięciu bawołu przez słomkę. W miarę zacieśniania się obławy koncentryczne kręgi inwestorów skupiały się wokół jednej osoby: Rory'ego Patrice'a Wilhackera.

Każdy, kto brał udział w tym przekręcie (jeśli można tak to nazwać), był albo jego znajomym, albo krewnym, albo byłym sąsiadem, albo znajomym sąsiada, albo sąsiadem znajomego. Powstała cała sieć ukradkiem i nagle zdobytego bogactwa. Niestety, zanim zainterweniował rząd, większa część pieniędzy już się rozeszła, zniknęła na zagranicznych kontach i w świeżo zarejestrowanych organizacjach charytatywnych.

Tylko w ciągu poprzedniego tygodnia powstało ponad dwieście fundacji typu non profit. Wszystkie twierdziły, że robią dobrą robotę w dobrej sprawie -- "każą pieniądzom śpiewać", jak to same określały -- ale FBI i urząd skarbowy najwyraźniej im nie wierzyły.

-- To jak firma piramida działająca w odwrotną stronę -- wyjaśnił jeden z agentów. -- Zamiast się kurczyć, coraz bardziej się rozrasta. Kwota bazowa rośnie wbrew wszystkim znanym prawom matematyki wykładowej. Całkiem jakby przewrócili całą teorię ekonomii do góry nogami. Nacięli system na grube miliony.

-- Naprawdę? Czy ludzie stracili pieniądze z powodu twych poczynań? -- spytał Edwin.

Pytanie to okazało się powodem do wstydu.

-- Niezupełnie. Jak już powiedziałem, sytuacja rozwinęła się wbrew wszelkim oczekiwaniom. Oni nie zasilali systemu, nie wnosili żadnego wkładu, nic nie produkowali. I nie podbierali gotówki z innych kont. Nie podwędzili tych pieniędzy, one po prostu pojawiły się same. Matematyka nie ma tu żadnego zastosowania, to wszystko się nie trzyma kupy, ale najwyraźniej...

Tu Edwinowi przypomniały się słowa Rory'ego: "Pieniądze nie są bytem matematycznym. To żywy organizm, który oddycha i rośnie". Wybuchnął śmiechem.

-- Myślisz, że to śmieszne? Co, cwaniaku?

-- Nie, proszę pana.

-- Bo nam to się nie wydaje śmieszne.

-- Wiem -- powiedział Edwin przepraszającym tonem. -- Po drodze widziałem wasze motto. Przepraszam. Naprawdę. Nadal jednak nie rozumiem, jakie przestępstwo popełniono. Które przepisy zostały złamane?

-- Jeszcze do tego nie doszliśmy, ale radziłbym nie przekraczać granicy stanu, dopóki pana nie zawiadomimy.

W Aferze Rory'ego P. Wilhackera nikt nie został aresztowany ani oficjalnie oskarżony i -- z wyjątkiem Edwina de Valu -- nikt nie stracił ani pensa na rzecz państwa.

Przyłapano tylko nieszczęsnego Edwina, z powodu lekkiego spóźnienia i zwykłego pecha. Tylko jego pieniądze utknęły w sieci naprędce stworzonych przepisów. Edwin zawsze wiedział, że takie cuda się nie zdarzają. Wzlot i upadek fortuny Edwina de Valu miały miejsce w ciągu jednego tygodnia. Wydarzyło się zbyt wiele i za szybko. I chociaż to była naprawdę ostra jazda, nieco przypominająca nagłą utratę szczęścia przy ruletce, Edwin zawsze podejrzewał, że w końcu wszystko zawali się z hukiem. Tak też się stało.

Niedługo potem rząd zaczął wprowadzać złożone nakazy odnośnie korzystania z kont kaskadowych oraz przepisy mające zapobiec przyszlemu "surfowaniu po strefach czasowych" (jak odtąd określano ten proceder), ale do tej pory pojawiło się już tysiące nowych milionerów i multimilionerów.

Edwin czuł się tak, jakby przebudził się z wyjątkowo miłego snu o łatwych pieniądzach i nieograniczonych możliwościach, z powrotem spadł na ziemię i znalazł

się w codziennym kieracie życia na Grand Avenue. Nie szkodzi. Przez jedną chwilę, jedną krótką cudowną chwilę, Edwin de Valu miał wszystko, czego dusza zapagnie.

Przez tę jedną chwilę był obrzydliwie bogaty. Na krótko stał się kimś więcej niż tylko zwykłym redaktorem.

Rozdział dziewiętnasty

Życie toczyło się dalej. Praca posuwała się do przodu. Przekładnie i kółeczka nie przestawały się obracać. Tupak Soiree przysłał do Edwina faks z informacją, że dostał zredagowany maszynopis. "Przejrzę go i odeślę najszybciej, jak to możliwe. Żyj, Kochaj, ucz się. Tupak Soiree".

Ludzie z marketingu już określali grupę docelową i ustalali, jak do niej dotrzeć.

Dział graficzny projektował wstępną wersję okładki ("Czekoladki i atlas" -- podkreślił Edwin), a May zatrudniła nowego stażystę, co oznaczało, że na biurkach przestały się pojawiać kolejne nieporęczne sterty niezamówionych maszynopisów do przejrzania.

Wszystkie z miejsca przekazywano Stevenowi. (Stażysta Steven. Edwin podejrzewał, że May zatrudniła go jedynie ze względu na aliterację). Stan nie miał dobrego wejścia.

Pierwszą gafę popełnił, gdy go przedstawiano Edwinowi i kiedy zauważył

podobieństwo imion.

-- Ed-win, Ste-ven. Co za zbieg okoliczności, prawda? Tym bardziej że wykonujemy podobną pracę.

-- Wcale nie wykonujemy podobnej pracy -- warknął Edwin. -- Nic a nic. Ty przerzucasz parujące kupy niezamawianych maszynopisów, a ja udoskonalam i ulepszam literackie dzieła sztuki. Przerzucanie versus udoskonalanie. Nawet nie należą do tej samej ligi, Stevenie. A teraz leć po kanapkę dla mnie.

Steven starał się, jak mógł, naprawdę, ale nie spełniał dokładnie tych wymagań, jakie mu stawiano. Nie był dość zblazowany (na razie).

-- Dajmy mu jeszcze tydzień -- mówiła May. -- Wyrobi się. -- Nie było jednak dnia, żeby Steven nie przybiegał z kolejnym "wspaniałym odkryciem", którego dokonał w stercie odrzutów. Dorwał nawet Myersa z działu science fiction i powiedział, zdyszany:

-- Właśnie przejrzałem ofertę powieści, której akcja rozgrywa się w przyszłości, i jestem nią zachwycony. Ma bardzo zaskakujące zakończenie. Świat zostaje zniszczony.

Całkowita zagłada nuklearna. Ale nie wszyscy giną. Udaje się przeżyć jednemu mężczyźnie i jednej kobiecie. Na ostatniej stronie mężczyzna mówi do kobiety...

-- Cześć, mam na imię Adam -- kończy Myers beznamiętnym tonem, jakby cytował z pamięci.

-- Rzeczywiście. Skąd wiedziałeś?

-- A ona odpowiada: "A ja jestem Ewa". Biorą się za ręce i patrzą na wschodzące słońce.

-- Zgadza się. Już ją czytałeś?

-- O, tak. Wiele razy. Wiele, wiele razy.

Mimo wszystko Stażysta Steven był dobrym dzieciakiem. Chociaż trochę zbyt szczerym i odrobinę, no wiecie, zbyt miłym.

Wszystko szło dobrze. W wydawnictwie praca aż furczała. Wszystko zaczęło się ząbać, fragmenty układanki trafiały na swoje miejsce. I nagle pojawił się szef i wszystko zepsuł. Pan Mead wrócił z czterodniowego seminarium dla wydawców w Antigua. ("Cztery dni nieprzerwanej, intensywnej burzy mózgow", jak to sam określił). Kiedy Edwin przyszedł do pracy, na krześle znalazł liścik od pana Meada: "Edwinie, sprawdź swoją pocztę elektroniczną". Sprawdził więc swoją pocztę i znalazł

w niej wiadomość od szefa. "Edwinie, idź do recepcjonistki. Czeka tam na ciebie memo". Edwin powłókł się więc do recepcjonistki i odebrał memo. Jego treść brzmiała: "Edwinie, natychmiast staw się w moim gabinecie. Podpisano: pan Mead".

-- Dzięki Bogu, że żyjemy w erze informacji -- powiedział.

(Choć ten ciąg wydarzeń mógł się wydawać absurdalny, to jednak zawierał własną, dziwaczną wewnętrzną logikę. Pan Mead zostawił memo na recepcji, ale potem zaczął się zastanawiać, czy Edwin je odbierze, więc dla przypomnienia wysłał mu e-maila.

Następnie pomyślał: "A jeżeli Edwin od razu nie sprawdzi swojej poczty?". Poszedł do jego boksu i napisał liścik nakazujący sprawdzenie poczty. Stąd cały łańcuch wydarzeń.

Tak właśnie działał pan Mead).

W korytarzu Edwin minął May.

-- Idziesz do gabinetu pana Meada? -- spytała.

Edwin kiwnął głową.

-- Podróżuję trasą widokową prowadzącą przez moją pocztę elektroniczną i recepcję.

-- Skoro masz się z nim zobaczyć, to ostrzegam: czyta "The Financial Times".

-- O nie. -- Edwin znacznie zmniejszył tempo. -- Tylko nie to. Tylko nie to.

-- Potraktuj to jako teatrzyk absurdu -- doradziła mu z uśmiechem.

Edwin wszedł do gabinetu szefa z już przygarbionymi ramionami i przygotowany na najgorsze.

-- Wzywał mnie pan?

Kreatywność niekiedy trzeba odrobinę pobudzić, geniuszowi czasami przydaje się pomocna dłoń. W podobne dni Leon Mead lubił sobie przygotowywać koktajl składający się z niedozwolonych substancji chemicznych -- środków pobudzających, uspokajających, wyrównujących -- który następnie popijał mieszanką krystalicznej AZD

i drinkiem ze skoncentrowanego trymetylu, czego zwieńczeniem niekiedy była jeszcze kreska koki. Wtedy, gdy wokół niego rozkwitał lotos poszerzonej świadomości, wtedy...

no cóż, wtedy przeważnie przewracał się na podłogę, ale przedtem udawało mu się przeżyć jedno czy dwa "olśnienia". Dzisiaj był jeden z jego lepszych dni. Zdołał

dostosować poziom inspiracji w swym krwioobiegu do optymalnego poziomu, nie uwalając się do nieprzytomności. W jego żyłach buzowała spontaniczność, sadziła wielkie susy w jego mózgu, osiągała najwyższe obroty...

-- Edwin! Wejdz, wejdz. Szybko, zamknij za sobą drzwi. Mamy do omówienia parę ważnych spraw.

-- Jak było w Antigua, proszę pana?

Rzednące włosy i cienki kucyk pana Meada rozjaśniły się od słońca, a twarz miał tak opaloną, że jego usta wyglądały, jakby były białe.

-- Bardzo ciężko. Pracowaliśmy dzień i noc, dzień i noc, możesz mi wierzyć.

Niektórzy mówią, że wydawnictwa poradzą sobie same, jeśli da im się spokój. To nieprawda. Edwinie, spójrz na mnie. Nie wierzę w wydawanie książek bez ingerencji.

-- Oczywiście, że nie. Niestety.

-- O tak, ja lubię się zaangażować, trochę pomajstrować i ubrudzić sobie rączki.

-- Wiem, proszę pana. Często nazywamy pana "Mead Brudna Rączka".

-- Naprawdę? Straszne. Wchodź, siadaj. Podać ci coś? Drinka? Cygaro?

-- Poproszę podwyżkę.

-- Ha, ha -- powiedział pan Mead. (Nie roześmiał się, tylko powiedział "ha, ha", potwornie nieszczerze naśladowując śmiech). -- Masz poczucie humoru. Cenię to u... -- Na końcu języka miał "wyrobników", ale powiedział "pracowników". -- Przed wszystkim wielkie brawa za Czekoladki dla duszy. Trochę się martwię, że księgarze mogą ją niewłaściwie zaklasyfikować. Wiesz, jacy bywają irytujący. Kto wie, czy ich nie umieszczą w dziale Deserów. Pamiętasz, co się stało z Balsamem dla duszy? Przez lata stał

w dziale pielęgnacji urody.

-- Wiem, proszę pana. Myślę jednak, że przy właściwej kampanii marketingowej, reklamie i promocji, uda nam się przedstawić Czekoladki w taki sposób, że...

-- Promocja? Marketing? Nie, nie. Nic z tych rzeczy.

-- Słucham?

-- Nie, nie. W tym sezonie całą naszą linię poradników spisujemy na straty.

Zgodziłem się na twój projekt, żeby wypełnić dziurę w katalogu i zamknąć usta naszym dystrybutorom. Daj sobie spokój z Czekoladkami dla duszy.

-- Mam sobie dać z nimi spokój? Proszę pana?

-- Mam dla ciebie coś o wiele lepszego. Chciałbym, żebyś osobiście się tym zajął jako głównym tytułem wiosny.

Edwin poczuł, że wrzód zaczyna go piec. Czuł, jak w nim narasta bezsilny gniew.

-- Mam sobie dać spokój z Czekoladkami dla duszy'!

-- Tak jest, Edwinie. Lecząc z Antigua, czytałem "The Financial Times" i...

O Chryste. Znowu to samo.

-- ... i natknąłem się na pewien artykuł. Myślę, że zainteresuje cię tak samo jak mnie: przyszłość należy do boczku.

-- Do boczku?

-- O, tak. Boczek sprzedaje się jak świeże bułeczki. W tej samej gazecie, dokładnie w tej samej, przeczytałem drugi artykuł -- chyba w dziale "Trendy" -- mówiący o tym, że dzisiejszym kobietom bardziej niż kiedykolwiek zależy na właściwym odżywianiu się i odchudzaniu. Zwłaszcza tym w średnim wieku. Co powstaje, jak złożyć do kupy te dwa trendy?

-- Wolalbym nie zgadywać, proszę pana.

Pan Mead westchnął.

-- Na tym polega problem ludzi w twoim wieku i całego twojego pokolenia. Nie widzicie pełnego obrazu, całego wzoru. Myślenie lateralne, Edwinie, powinienes nad tym popracować. Myślenie lateralne. Kobiety, wieprzowina: toż to oczywiste, Edwinie. Chciałbym, żebyś opracował poradnik dla otyłych kobiet w średnim wieku i doradził im, jak mogą jeść wieprzowinę i jednocześnie chudnąć.

To będzie zupełnie nowa teoria. Możemy ją nazwać "paradoksem wieprzowiny".

Zapadło milczenie. Długie, długie milczenie. Tak długie, że rozciągnęło się na dosłownie całą epokę, nie zaś na kilka chwil. W tym czasie kontynenty zdążyły się przesunąć, a lodowce spłynęły z gór.

-- No? -- spytał pan Mead. -- Co ty na to?

-- Wyjaśnijmy parę spraw. Chciałbym sprawdzić, czy dobrze pana rozumiem. Żąda pan ode mnie, absolwenta uniwersytetu z tytułem magistra w dziedzinie literatury porównawczej, którego praca magisterska pod tytułem "Rozumienie Prousta z perspektywy postmodernistycznej" została uznana przez komisję za, tu cytuję, "dogłębną", żąda pan ode mnie, bym opracował książkę dla grubych gospodyń domowych, która je nakłoni do spożywania większych ilości wieprzowiny. O to pan mnie prosi? O to, ty głupi, stetryczały, zarozumiały, popieprzony Baby Boomersie? O to mnie prosisz?

Ale oczywiście tego Edwin nie powiedział. Powiedział natomiast: -- Już się biorę do roboty, proszę pana.

-- Doskonale. Aha, zanim pójdziesz: w tym samym felietonie o boczku stwierdzono, tu polegamy na rzetelności "The Timesa", dopóki nie znajdę niezależnego potwierdzenia, że w zeszłym roku w południowym Saskatchewan były wyjątkowo obfite zbiory rzepaku.

-- Rzepaku?

-- Być może znasz jego łacińską nazwę, Brassica campestris. To uprawa rynkowa, Edwinie, należy do rodziny Cruciferae. Gatunek ten powstał jakieś cztery tysiące lat temu w rejonie śródziemnomorskim, chociaż niektóre źródła podają, że wywodzi się z Himalajów. W połączeniu z odpowiednimi składnikami można go wykorzystywać jako śmiernicobójny ładunek wybuchowy. Ale powszechnie rzepaku używa się do produkcji oleju. Spożywczego. Zważ, Edwinie: olej spożywczy, a zwłaszcza spożywczy olej do smażenia. -- Rzucił Edwinowi znaczące spojrzenie. -- Chyba dostrzegasz wagę tej sprawy?

-- To znaczy?

-- Lepiej niech to będzie poradnik dietetyczny dotyczący smażonej wieprzowiny.

W tym momencie Edwin zerwał się z krzesła, złapał z biurka nożyk do otwierania listów i zaczął: go raz za razem wbijać w pierś pana Meada, nadaremnie szukając jego serca.

-- Zobaczę, co się da zrobić, proszę pana.

-- Dzięki. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Słuchaj, czy Nigel oddał ci pieniądze za ten krawat, który ci zniszczył? Wydaje mi się, że jest ci coś winien.

-- Nie, proszę pana. Niestety Nigel mi nie zapłacił. Czy mógłby mu pan o tym przypomnieć?

-- Och, oczywiście, nic się nie martw. Nie ujdzie mu to płazem.

-- Dziękuję panu.

Kiedy Edwin wyszedł, czekała na niego May z wyrazem wielkiej uciechy na twarzy.

Była to mina człowieka, który od dawna zbiera anegdotki o swoim szefie i nie może się doczekać, kiedy doda nową do swojej kolekcji.

-- Lepiej, żebyś nic nie wiedziała -- powiedział Edwin, wymijając ją.

-- Daj spokój, musisz mi powiedzieć. Umieram z ciekawości. Co znowu wymyślił? -- Dogoniła Edwina, który szedł korytarzem.

-- Chce, żebym opracował poradnik dla otyłych gospodyń domowych, w którym mam je przekonać do spożywania większej ilości wieprzowiny.

May stanęła jak wryta.

-- Nie! -- Roześmiała się. -- Nie wierzę!

Edwin odwrócił się do niej.

-- Och, lepiej uwierz, siostrzo. I to nie tylko wieprzowiny, ale wieprzowiny smażonej.

Do przyszłej środy mam mu przedstawić pełen raport.

-- Ale co z Czekoladkami dla duszy?

Edwin przysunął się do niej i powiedział głosem tak niskim, że zabrzmiał prawie jak warkot:

-- Pan Mead już spisał je na straty. Chciał tylko zamknąć usta dystrybutorom. Nigdy nie zamierzał ich promować ani stworzyć całej serii. Co oznacza, że na darmo przetrząsnąłem kupę ptasich odchodów i przez cztery dni nawet nie zmrużyłem oka.

Tymczasem Galopujący Łeb już w szale pocwałował w nowym kierunku. -- Edwin odwrócił się i rozejrzał po morzu boksów. -- To nie jest biuro -- powiedział. -- To piekło z fluorescencyjnym oświetleniem.

-- Spotkamy się przy twoim biurku -- powiedziała May. -- Nie jest tak źle, jak ci się wydaje.

-- Ależ jest. Już zapomniałaś, że kiedyś byłem milionerem. -- I powłókł się przez labirynt, mijając po drodze grupki pracowników i współpracowników, łatwych do zastąpienia w swej anonimowości, podobnie jak on przeznaczonych do jednorazowego użytku. -- Nienawidzę swojej pracy -- wymamrotał. -- Nienawidzę swojego szefa.

Nienawidzę tego miejsca. -- Minął Nigela. -- A ciebie nienawidzę okropnie.

-- Hej, Edwin! -- ryknął Nigel. Jak tam twój poradnik?

Ten czekoladowy? Kiedy się roztopi i wszystko upaprze?

Edwin odwrócił się i powiedział bez namysłu: -- Książka Tupaka Soiree sprzeda się w stu tysiącach egzemplarzy i przyniesie nam kupę kasy.

-- Skoro tak twierdzisz. Zdaje się, że to samo mówiłeś o tej swojej książce o Baby Boomersach. Pamiętasz? Śmierć Baby Boomersom.

-- Ładny krawat. Mógłbyś podejść bliżej?

-- Lepiej uważaj. -- Nigel z gniewem uniósł palec, ale się nie zbliżył do Edwina. -- Jeszcze mi jesteś winien za poprzedni.

-- Winien to ja ci jestem kopa w dupę.

-- Panowie! Proszę! -- zawołała May. Dźwigała stos papierowych teczek i dokumentów. -- Edwin, przyniosłam ci trochę materiałów do nowego projektu. Nigel, wracaj na swoją stronę płotu. Okay?

-- O co chodzi z tym facetem? -- spytał Nigel, jednocześnie zde gustowany i szczerze zaintrygowany. -- Dlaczego ciągle mu pomagasz? Doprowadza do ruiny cały dział.

Dlaczego zawsze traktujesz go ulgowo?

-- Nigel, płyniemy tą samą łodzią, prawda? -- Miała na myśli Panderica, ale Nigel mylnie odebrał to jako aluzję do ich pokolenia, solidarność Pokolenia X.

-- Wiem, wiem. Musimy się trzymać razem. Tylko że Edwin ciągle nas stawia w złym świetle. -- Naburmuszył się.

-- Edwin -- powiedziała May, kiedy Nigel odszedł. -- Dlaczego zawsze traktuję cię ulgowo?

-- Nie wiem. Bo się we mnie durzysz? Bo podziwiasz moją pełną skromności godność?

-- Jasne. Twoja skromna godność. Z pewnością chodzi właśnie o nią.

Rozdział dwudziesty

Edwin protestował przeciwko przydzielonemu zadaniu, argumentując, że nigdy przedtem nie redagował książki kucharskiej, że zna się na poradnikach, a nie na kulinariach -- ale pan Mead zupełnie zignorował jego sprzeciw.

-- Poradzisz sobie. Nie bądź taki ograniczony. Poradniki. Książki kulinarne. Kto ma ustalić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie? Granice się zacierają, Edwinie, a pojęcia ząbają. Tak czy siak, to będzie przede wszystkim poradnik. Już nawet wymyśliłem tytuł: Jedz wieprzowinę i bądź szczęśliwy!

-- Chyba "smażoną wieprzowinę", proszę pana?

-- Tak, wiem. Ale ze zdaniem wykrzyknikowymi w tytule trzeba uważać. Nie można przesadzić. Dzisiejsi czytelnicy są ciągle w biegu. Nie mają czasu przedzierać się przez długie tytuły. Najlepiej stosować zwężkę.

Tymczasem May zasypała biurko Edwina teczkami, listami kontaktów, tabelkami wartości odżywczych, streszczeniami poradników i wynikami sprzedaży poprzedniej serii książek kucharskich wydanych przez Panderic, Jedz zdrowo. (Musieli przerwać serię, kiedy się okazało, że od jednej z potraw dłonie nabierały jaskrawożółtego, karotenowego zabarwienia. Inna wywoływała kołatanie serca. Mimo to dzięki nim Panderic odniósł spory sukces i od tej pory uważano je za wzór dla przyszłych pozycji z tego gatunku. Oczywiście z wyłączeniem żółknącej skóry i palpacji serca).

-- Gdzie się podziały stare dobre czasy? -- spytał tęsknie Edwin.

-- Kiedy byliśmy jeszcze młodzi i wolni? -- spytała May.

-- Nie. Takie jak zeszły piątek, zanim dostałem to głupie zlecenie.

-- Masz tu listę lekarzy, którzy napisali poradniki dietetyczne. Zacznij od góry i leć dalej. Edwin kiwnął głową i wziął listę. Z miejsca zaczęły się problemy.

-- Halo, czy mówię z doktorem Aaronem? Tu Edwin de Valu z Panderic Books.

Chciałem raz jeszcze podziękować panu za tę książkę kulinarną z makrobiotycznymi potrawami, którą napisał pan dla nas w zeszłym roku. Szalenie zajmująca... Jest pan zainteresowany? Świetnie... Chodzi o poradnik dietetyczny na temat wieprzowiny...

Nie, nie jak jej unikać... Nie, nie. Nie, jak zastępować ją czymś innym. Chodzi o to, by, yyy, zachęcić ludzi z nadwagą do spożywania większej ilości wieprzowiny, zwłaszcza smażonej. Halo? Halo?

-- Doktor Betcherman? Mówi Edwin de Valu z Panderic Books...

Edwin przeleciał całą listę od góry do dołu. Tytuły rozmówców trzasnęły słuchawką, że w głowie zaczęło mu brzęczeć. Jeden z lekarzy spytał, czy jest w Ukrytej kamerze.

"Nie?". Trzask!

May wstawiła sobie krzesło do boksów Edwina i zaczęła przeglądać dokumentację z prywatnych laboratoriów badawczych, usiłując znaleźć takie, które zgodziłyby się sfalszować wyniki testów. (Aby Jedz wieprzowinę i bądź szczęśliwy! mogło odnieść sukces, musieli podeprzeć swoją tezę dowodami naukowymi, choćby po to, by zapewnić sobie pewną wiarygodność).

-- Nic z tego nie będzie -- powiedział Edwin, kiedy ostatni dietetyk z listy, doktor Zeimer, w szczególnie dramatyczny sposób się rozłączył. -- Musimy trochę pobajerować.

Doktor Yaz może i byłby skłonny się zgodzić, tak jakby zawahał się, zanim trzasnął słuchawką, ale nie ma mowy, żeby firmował to swoim nazwiskiem. Czy mamy listę osób ze sfalszowanymi doktoratami? No wiesz, listę ekspertów?

-- Pewnie. Jest cała teczka. Leży za tobą.

Edwin zaczął przeglądać formularze. Szukał osoby o imponującym ciągu tytułów naukowych przed nazwiskiem, co można by podkreślić na okładce.

-- O rany! Spójrz na skróty przed nazwiskiem tego faceta: mgr, dr, prof. Hej, nawet się habilitował! I zrobił doktorat w Korespondencyjnej Szkole Wisconsin i na Wydziale Inżynierii Wodno-Kanalizacyjnej.

May podniosła wzrok znad teczek.

-- Z czego się doktoryzował?

-- Z kryptozoologii. Co to takiego?

-- Hmm. Pewnie studia nad potworami. Wiesz, yeti, potwór z Loch Ness, Wielka Stopa. Coś w tym rodzaju.

Rzeczywiście, do dokumentów było dołączone zdjęcie doktora z ogromnym gipsowym odlewem odcisku stopy Wielkiej Stopy.

-- Świetne zdjęcie -- orzekł Edwin. -- Facet wygląda bardzo uczenie. Oczywiście trzeba wyciąć tę gigantyczną małą stopę z gipsu, ale myślę, że on się nada. Ma też doskonałe nazwisko: doktor Richard Geoffrey III. Jeżeli ktoś o takim nazwisku każe ci jeść wieprzowinę, to trzeba mu wierzyć.

-- Aha! -- wykrzyknęła May. -- Chyba mam. Myślę, że to laboratorium przetestuje i zaaprobuje nasze przepisy na smażoną wieprzowinę: Żywieniowo-Medyczne Centrum Tanich Badań Braci Carlos, którego motto brzmi "Hej! Parę procent wte czy wewte -- nie ma sprawy!".

Kiedy Edwin przedzierał się przez dokumentację, a May kserowała listy telefonów kontaktowych, zadzwonił telefon z recepcji.

-- Panie de Valu, jest wiadomość od pańskiej żony.

Kazała panu przekazać, że "dziś wieczorem ma nastrój na Li Bok". Nie jestem pewna, co to znaczy, ale prosiła, żeby panu to przekazać. Mam też panu przypomnieć, żeby przed wyjściem z pracy wziął pan witaminy.

Edwina przeszył dreszcz zgrozy. Nie wytrzyma kolejnej dawki fantastycznego seksu. Nie da rady. Seks zaczyna go przytłaczać.

-- Aha. W głównym holu czeka kurier. Ma dla pana paczkę. Mówi, że dostał instrukcje, "by ją przekazać bezpośrednio w boskie ręce pana de Valu".

Instrukcje te mogły pochodzić tylko od jednej osoby: Tupaka Soiree. Był to zredagowany maszynopis, w samą porę. Edwin szybko przejrzy uwagi od autora, przekaże tekst do składu, zawiadomi drukarnię i potwierdzi zlecenie druku.

-- Proszę go przysłać na górę -- powiedział. -- Moje boskie ręce czekają.

Rozmawiał przez telefon z braćmi Carlos, kiedy przyszedł kurier.

-- Tak, tak, to książka na temat zdrowia. Jesteśmy uznanym wydawnictwem, ale dla

wiarygodności musimy poprosić firmę z zewnątrz o przetestowanie naszych przepisów i potwierdzenie... chwileczkę. Tutaj!

Kurier, diabełek na rowerze, w obcisłych spodniach i okularach przeciwsłonecznych, w których wyglądał jak drapieznik, odwrócił się, przechylił przez ściankę i podał maszynopis Edwinowi.

-- Proszę tu podpisać.

Edwin nabazgrał swój podpis i wyjmując maszynopis z koperty, wcisnął sobie słuchawkę między brodę a ramię.

-- Potrzebujemy standardowych testów: analiz wartości odżywczych, statystyk, wyników badań laboratoryjnych. To dieta złożona tylko z... Jasna cholera! Przepraszam, to nie do pana. Nie, te badania nie mają polegać na... Jezu! Czy mogę zadzwonić później?

Cicho odłożył słuchawkę i z osłupieniem spojrzął na to, co wyjął z koperty. Był tam maszynopis, nowa kserokopia oryginału. Przerzucił kartki: nic. Heroiczna redaktorska praca, jaką wykonał Edwin, skomplikowana operacja plastyczna -- wszystko poszło na marne. Tupak Soiree po prostu wyrzucił poprawiony maszynopis i zwrócił czystą wersję oryginału. Zniknęły wszystkie zmiany w strukturze, poprawki naniesione niebieskim ołówkiem. Wszystko poszło w diabły. Edwin znalazł się dokładnie w punkcie wyjścia.

Do maszynopisu dołączony był list:

Panie de Valu. Pański arogancki wniosek, że mój maszynopis trzeba poddać redakcji, był doprawdy dość niefortunną decyzją. Edwinie, posłuchaj mnie i skup się: nie wolno ci zmienić ani słowa w mojej książce, ani jednego słowa. Czego dowiedziałem się na górze to skończona holistyczna całość. Nie można w nią ingerować. Nie należy jej zmieniać. A już na pewno nie ulepszać. Ani tytułu, ani treści, ani stylu. Wydaj ją w takiej formie, jaką ma teraz. Nie zmieniaj nawet błędów czy dziwacznej gramatyki i ortografii.

Nawet one są zasadniczym elementem mojej książki -- moim darem dla Ludzkości. Żyj, kochaj, ucz się.

Tupak Soiree PS Jeżeli wprowadzisz jakiegokolwiek zmiany, podam cię do sądu tak szybko, że aż ci się zakręci w głowie.

Edwin osłupiał, twarz oblał mu rumieniec. Odwrócił się, zawahał, po czym puścił pędem przez korytarz. May, musi porozmawiać z May. Ona będzie wiedziała, co robić.

Najpierw pobiegł do pokoju ksero, ale chwilę wcześniej stamtąd wyszła, więc pośpieszył do jej gabinetu, znalazł ją przy biurku, wpadł do środka i krzyknął: -- Szybko! Czy możemy wydać książkę wbrew zaleceniom autora? -- Prawie hiperwentylował. -- May, muszę to wiedzieć. Czy możemy pominąć dyrektywy autora?

May się zawahała.

-- Protokół wymaga uzyskania zgody autora, ale zwłaszcza w literaturze faktu drobne zmiany redaktorskie nie muszą...

-- Nie. Nie mam na myśli drobnych zmian, tylko całość. Absolutną przebudowę. Jeśli to konieczne, czy możemy to zrobić bez zgody autora?

-- Jasne. Klauzula dwanaście a naszej umowy standardowej daje nam prawo do pominięcia wszelkich zastrzeżeń, które uznamy za "niedorzeczne".

Edwin poczuł, że żołądek ściska mu się w twardy węzeł.

-- A jeżeli ktoś wykreślił z umowy tę klauzulę?

-- Wtedy powstaje problem. Pamiętaj jednak, że klauzula sześć b stwierdza, że jeżeli autor nie zgadza się na wprowadzenie zmian redaktorskich, będzie musiał zwrócić całą zaliczkę plus karę.

W tym momencie głos Edwina już zaczynał słabnąć.

-- A jeżeli ktoś usunął również klauzulę sześć b? Jeżeli obie zostały wykreślone? Czy wtedy autor może nas podać do sądu, jeżeli mimo to wprowadzimy zmiany?

-- Również klauzula sześć b? Musiałby się ostro targować, żebyśmy usunęli obie.

Zwykle rezygnujemy z jednej, w zależności od znaczenia autora. Ale jeżeli obie zostałyby usunięte, a my byśmy nadal upierali się przy rozległej redakcji? Jasne, wtedy autor mógłby nas pozwać. I pewnie by wygrał.

Edwin na miękkich nogach wrócił do swojego boksu. Na jego biurku leżał świeżo zapakowany czysty egzemplarz Czego dowiedziałem się na górze. Wokół niego, porzucane chaotycznie, w stertach i wysypujące się z kartonowych pudeł, wały się niezliczone materiały do książki o wieprzowinie, które Edwin rozpaczliwie usiłował

złożyć w spójną całość. W samym środku tego bałaganu, niczym żart Boga, tkwił maszynopis Tupaka Soiree.

Cholera jasna, nie mam na to czasu!

Wziął głęboki oddech, opanował się i wyprostował plecy. Miał jasne priorytety: pan Mead sam je określił. Jedz wieprzowinę i bądź szczęśliwy! musi się znaleźć na pierwszym miejscu w wiosennym katalogu. Książka Soiree miała jedynie wypełnić lukę. Edwin nie mógł dalek marnować nad nią czasu.

I tak oto Edwin de Valu podjął doniosłą i dalekosieżną decyzję, której miał żałować przez następne lata...

Tu: złowieszczą muzyka.

Rozdział dwudziesty pierwszy

-- Steven, do mnie. Natychmiast. -- Edwin krążył tam i z powrotem po swoim boksie; na tyle, na ile było to możliwe na tej maleńkiej przestrzeni zapchanej luźnymi kartkami i stertami teczek. Przypominało to bardziej rytm polegający na kroku do przodu, zatrzymaniu się i odwróceniu, jaki można zaobserwować u niedźwiedzi polarnych oszalałych od zamknięcia w zoo.

-- Panie de Valu? -- Wszedł Steven. -- Pan mnie wzywał?

-- Właż. Mamy robotę do zrobienia.

-- Właściwie wybierałem się na lunch, a ponieważ mam hipoglikemię, naprawdę powinienem...

-- Nie teraz, Steven. Raz na jakiś czas trzeba się poświęcić. Masz coś do pisania i notes? Dobrze. Rób notatki, bo nie będę powtarzał. Tekst Czego dowiedziałem się na górze, który leży tutaj, na biurku, ma zostać wprowadzony do komputera bez żadnych zmian. Każ go zeskanować i wysłać prosto do drukarni. Zredukujemy marginesy do minimum, użyjemy najmniejszej czcionki, ściśniemy tekst i spróbujemy się zmieścić na ośmiuset stronach. Odwołaj twardą okładkę. Dajemy od razu miękką, najgorszy papier i najniższą cenę. Zredukuj nakład z siedmiu tysięcy do tysiąca -- nie, zaraz, minimalny wynosi chyba trzy tysiące. Tak czy siak, drukujemy w najniższym. Uprzedź magazyny, żeby się przygotowały do przeceny, kiedy tylko upłynie półroczny termin ostateczny.

To będzie wielka klapa, więc musimy ograniczyć straty do minimum. Zadzwoń do Guntera Brauna z tej niemieckiej firmy, Edelweiss Inc., czy jak tam się nazywa. Zajmują się wznovieniami. Kiedy reszta nakładu trafi do taniej książki, może uda nam się im ją wcisnąć i odzyskać część kosztów. Zadzwoń do ludzi z promocji na Wschodnim Wybrzeżu i powiedz im...

W tej chwili do boksu Edwina wszedł Christopher Smith z działu graficznego.

-- Cześć, Edwin! Mam okładkę tej książki o czekoladkach. Tę, na którą złożyłeś pilne zamówienie. -- Christopher był jak zwykle ubrany cały na rdzawoczerwono.

(Wydawało mu się, że się nosi na czarno, ale był daltonistą i nikt nie miał serca go wyprowadzać z błędu). Nosił bujną kozią bródkę i okulary o przyciemnionych szklach.

Podpisywał się jako "X-opher" i wszystkim się chwalił kolczykiem w brodawce.

"Wcale nie bolało -- mawiał.

-- W każdym razie mniej, niż mogłoby się wydawać".

Stanął przed Edwinem i gestem rodem ze szkoły artystycznej podniósł projekt okładki ze zdjęciem czekoladek. Były ułożone na tle z jedwabiu, a tytuł, zgodnie z sugestią May, utworzono ze wstążeczki.

-- To jest to, co proponowałeś na początku -- powiedział.

-- Wygląda dobrze. Ale niestety...

-- Potem jednak zacząłem się zastanawiać: jedwab, atlas, pończochy. Co to sugeruje?

-- Chris, przepraszam, ale nastąpiła zmiana planów.

-- Seks. Prawda? Takie się nasuwa skojarzenie. Smak czekoladek. Zastępują seks.

A do czego prowadzi seks? Tak jest: do śmierci. No więc sobie pomyślałem, że może ten pomysł zastąpić czymś bardziej kreatywnym, bardziej ryzykownym, bardziej -- jak to ująć? -- intrygującym? ("Intrygujący" było ulubionym słowem Christophera. Zapożyczył

je od swojego wykładowcy grafiki na drugim roku York University i od tamtej pory stało się ono czymś w rodzaju jego znaku firmowego). Następnie, gestem jeszcze bardziej zamaszystym, pokazał swój drugi projekt. Przedstawiał on stertę gnijących czaszek na jedwabnej poduszce. Z jednego oczodołu wypełzał wąż. Ani jednej czekoladki.

-- Chris, posłuchaj...

-- X-opher. W skrócie X.

-- Okay. Słuchaj, X. Wszystko się zmieniło. Nie wykorzystamy tego tytułu ani projektu okładki. Wystarczą duże litery na gładkim tle: Czego dowiedziałem się na górze. Tupak Soiree. I to wszystko. Żadnych czaszek, żadnych węży, żadnych jedwabnych prześcieradeł. Tylko duże litery i dwukolorowa okładka, okay? Nie wysilaj się za bardzo. Jaki jest twój najkrótszy odcinek czasu, za jaki sobie liczysz?

-- W sensie doczesnym czy duchowym?

-- Chodzi mi o czas. Rzeczywisty czas. Taki, w jakim żyją ludzie.

-- Liczę sobie za piętnastominutowe bloki.

-- Świetnie. Doskonale. Nie chcę, żebyś przekroczył jeden blok. To maksymalna ilość czasu, jaką masz przeznaczyć na tę okładkę. Jasne?

-- Chyba tak.

-- To dobrze, bo szykuje się o wiele ważniejszy projekt, książka kucharska o wieprzowinie, i chciałbym, żebyś to jej poświęcił całą swą kreatywną energię.

Christopher pokiwał głową, pogłaskał swoją bródkę tak, jakby to było łono ukochanej kobiety, i powiedział:

-- Wieprzowina? Chyba wiesz, co to sugeruje?

-- Panie de Valu! -- odezwał się Steven. Bardzo zbladł, a głos zaczął mu drżeć. --

Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać, ale trochę zaczyna mi się kręcić w głowie.

Ma pan może jakąś babeczkę, kanapkę, cokolwiek?

I w tym momencie przewrócił oczami, kolana się pod nim ugięły i runął na podłogę.

Druk Czego dowiedziałem się na górze zakończono w następny poniedziałek, bez fanfar i bez reklamy. By, z właściwą sobie ironią, uczcić wydanie nowej książki, Edwin i May po pracy

poszli na drinka. Mieli dobry nastrój, który Niemcy określają mianem Feierabend, nieprzetłumaczalnym zwrotem oznaczającym "wyjątkowo świąteczny nastrój, który ogarnia człowieka po całym dniu pracy". Czuli coś w rodzaju ciepłej, spokojnej euforii. Ci Niemcy, oni mają właściwe słowo na każdą okazję.

-- Zdrowie Tupaka Soiree -- powiedział Edwin, gdy wzniesli kieliszki. -- Żegnaj i krzyżyk na drogę.

-- Słusznie mówisz.

-- Wiesz co? Jeżeli urząd skarbowy kiedykolwiek odmrozi moje miliony, od razu zabieram cię na wakacje. W dalekie kraje, gdzie nikt nie czyta książek i gdzie zawsze wieje ciepły wiatr.

-- Dziękuję, Edwinie, cóż za wspaniały gest, który cię nic nie kosztuje.

-- Nie ma sprawy. -- Roześmiał się. -- Jestem bardzo hojny, jeśli chodzi o gesty bez pokrycia. Możesz zażądać wszystkiego, czego nie mogę ci dać, May.

-- Skąd ja to znam?

-- Ale coś ci powiem. Jeżeli kiedykolwiek odzyskam swoje miliony, nie zamierzam ciągnąć pana Meada za kucyk.

-- Nie?

-- Nie. Raczej zanurzę go w alkoholu i podpalę. Zachowam tę pełną skromności godność, która tak ci się podoba.

-- Edwin, chodźmy na spacer.

-- Na spacer? Dokąd?

-- Dokądkolwiek.

I tak, podczas gdy poradnik Czego dowiedziałem się na górze był układany w drukarni w pudłach, gdy raz za razem drukowano słowa Tupaka Soiree, Edwin i May poszli do parku na długi spacer o zmierzchu.

Nawet nie podejrzewali, że właśnie rozpętali prawdziwe Piekło.

Część druga

Koniec świata

Rozdział dwudziesty drugi

Koniec świata zaczął się od krótkiej notatki na trzeciej stronie "The Times-Herald".

Informacja przyszła telegraficznie pod koniec dnia i wiele gazet nawet jej nie zamieściło. "The Times-Herald" potraktował ją jako mało istotną wiadomość, wręcz zapchajdziurę, i upchnął pomiędzy reklamami i wstępniakami. Łatwo ją było przeoczyć.

Nagłówek głosił: "Spółki przemysłu tytoniowego zawiadamiają o niespodziewanym spadku sprzedaży".

Wydarzyło się to parę miesięcy po ukazaniu się pierwszego wydania Czego dowiedziałem się na górze i chociaż nie istniał żaden bezpośredni związek między tymi dwoma wydarzeniami -- to znaczy stratami, jakie poniósł przemysł tytoniowy, a ukazaniem się książki Tupaka Soiree -- artykuł ten śmiertelnie przeraził Edwina de Valu. Czytał go, ściśnięty w tłumie wieczornej godziny szczytu, miażdżony w niekończącej się pętli, jaką było jego życie. Trzymał złożoną gazetę i czytał kolejny bezmyślny wstępniak na temat -- czego? Środowiska? Rosnącej liczby dezertów w siłach zbrojnych Stanów Zjednoczonych? Informacje zaczęły już przeciekać przez umysł jak przez sito, kiedy jego wzrok zawędrował na artykuł w lewym dolnym rogu.

W dniu dzisiejszym rzecznicy Instytutu Tytoniowego potwierdzili pogłoski o nagłym i

niespodziewanym spadku sprzedaży papierosów, jaki pojawił się w zeszłym tygodniu. "To tylko krótkoterminowa i samoregulująca się anomalia" -- stwierdziła pani Grey z Instytutu w oświadczeniu wydanym we wtorek po południu. "Zwykle wahnięcie na wykresie". Pani Grey odniosła się do raportów mówiących o gwałtownym spadku sprzedaży papierosów, która w ciągu zaledwie jednego tygodnia obniżyła się o czterdzieści punktów w skali Marshalla. Wytwórcie napojów alkoholowych podają podobne wyniki, co nasuwa przypuszczenia, że obie te gałęzie przemysłu przeżywają poważne zmiany w schematach zachowań konsumenckich. "To nieprawda. Nie nastąpiły żadne zasadnicze zmiany. Nie ma powodów do paniki. To tylko jednorazowa, niespodziewana modyfikacja i jesteśmy pewni, że w ciągu tygodnia wyniki sprzedaży osiągną planowany lub wręcz wyższy poziom. Nagły zwrot, nic więcej. Z całą pewnością nie ma powodów do paniki" -- oznajmiła pani Grey.

Tak więc była to zwykła, nudna wiadomość, jakich wiele. Kiedy jednak Edwin dotarł do końca artykułu, szarpnął głową do tyłu, jakby nagle poraził go prąd.

Prezes firmy Philip Morris Tobacco nie skomentował krążących pogłosek o swej nagłej rezygnacji. Źródła wewnątrz firmy podają, że jedyną formą zawiadomienia o ustąpieniu ze stanowiska była ręcznie napisana notatka przyklejona do drzwi jego gabinetu, której treść brzmiała: "Poszłem na ryby". Prezes Philip Morris nigdy nie dał

się poznać jako zapalony wędkarz. Trwają spekulacje na temat miejsca jego pobytu.

-- O Boże -- powiedział Edwin. -- Zaczęło się.

Już od jakiegoś czasu czekał na znaki i zapowiedzi nadchodzącej tragedii. Cekał od tygodni, czekał, odkąd May rzuciła w przelocie tuż po wysłaniu pierwszej partii Czego dowiedziałem się na górze: "Dzwonili z Barnes and Nobles. Chodzi o książkę Soiree".

-- Uuuu! -- wybełkotał wtedy Edwin z ustami pełnymi razowego bajgla. -- Mowy nie ma! -- wykrzyknął, gdy tylko udało mu się przełknąć -- i bajgla, i tę wiadomość. -- Tak szybko nie przyjmujemy zwrotów. Wysłaliśmy ją zaledwie tydzień temu. Umowa była na...

-- Nie chodzi o zwroty, tylko o następne zamówienie. Chcą kolejnych partii.

-- Tak szybko? -- Edwin był pod wrażeniem. -- Przecież już zamówili osiemset egzemplarzy.

-- Poprosili jeszcze o trzydzieści pięć tysięcy. W magazynie zostało nam tylko kilkaset, więc trzeba szybko dodrukować więcej.

-- To na pewno literówka. Przysłali zamówienie faksem? Pewnie mieli na myśli trzy i pół tysiąca.

May przysunęła się i powiedziała bardzo spokojnym i bardzo, bardzo poważnym tonem:

-- Zadzwońłam do nich i trzy razy się upewniłam. Chcą trzydziestu pięciu tysięcy.

Powiedzieli, że w kolejce czeka prawie dwanaście tysięcy klientów. Prosimy, żebyśmy się przygotowali na kolejne zamówienia. Edwin, dzieje się coś dziwnego.

Zamówiona partia została wysłana, a dwa tygodnie później przyszedł następny faks. "Priorytet: natychmiast wysłać pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy Czego dowiedziałem się na górze. Soiree, Tupak. ISBN: 176661313. Tryb ekspresowy. Prędko!".

Pod koniec tygodnia książka ta znalazła się na szczycie miejscowych list bestsellerów, a pod koniec następnego znalazła się w rankingach w całym kraju. Nagle wszyscy w Pandericu zaczęli o niej mówić. W korytarzach rozlegały się okrzyki "Mamy zwycięzcę!" i "Random House może nas pocałować w dupę!". Edwina okrzyknięto geniuszem marketingu, pan Mead zaczął oficjalnie rozważać jego awans i nawet Nigel musiał, choć niechętnie, okazać mu uznanie.

-- Nikt z nas tego nie przewidział -- powiedział.

-- A co ja mówiłem? Sto tysięcy egzemplarzy. Zbijemy majątek.

Jeszcze w tym samym miesiącu liczba sprzedanych egzemplarzy doszła do stu tysięcy i nie wykazywała tendencji spadkowych. Książka znalazła się na samym szczycie listy bestsellerów "The Timesa" i tydzień po tygodniu zajmowała pierwsze miejsce. I wtedy Edwina zaczął ogarniać niepokój.

-- Wszystko nie tak -- powiedział May ściszym głosem, kiedy siedzieli w mrocznym kąciku w pubie O'Connor's. -- Wszystko nie tak.

-- O czym ty mówisz? Rozchmurz się. Twój niezamówiony poradnik jest tegorocznym Co się wydarzyło w Madison County. Ciesz się, póki twój sukces trwa, mały, bo kiedyś się skończy, a wtedy będziesz musiał wrócić do kieratu. Na razie jesteś cudownym dzieckiem pana Meada. Już teraz przypisuje sobie zasługi za to, że nauczył

cię fachu. Jesienią może nawet da ci gabinet. Pomyśl tylko: koniec z boksem, koniec z intruzami. I wyobraź sobie, jak będziesz mógł zatriumfować nad Nigelem. Czego dowiedziałem się na górze to nasz największy przebój od lat, a możesz mi wierzyć, że nie mamy nic innego na oku.

-- Ale co z tą twoją skandalizującą książką o seksie na Kapitolu?

-- Och, mówisz o tej kobiecie, która uprawiała seks z wiceprezydentem i przewodniczącym Izby Reprezentantów? Okazało się, że kochała się również z Elvisem. Na pokładzie UFO.

-- O. To znaczy, że usuwamy jej książkę z katalogu?

-- Nie. Po prostu przenosimy ją z działu biografii do New Age. Ale i tak się nie sprzedaje, teraz skandale polityczne idą lepiej niż UFO. Edwin, najważniejsze, że twoja książka odnosi ogromne sukcesy, a ty niedługo zaczniesz z tego czerpać korzyści.

Dzięki Czego dowiedziałem się na górze zostałeś gwiazdą Panderica. Rozkoszuj się tym, póki możesz, bo kiedyś to się skończy. Musi.

-- A jeżeli się nie skończy? -- spytał Edwin z nutą irracjonalnej paniki w głosie. -- A jeżeli będzie się ciągnęło w nieskończoność? Jak jakiś nakręcany króliczek z piekła rodem?

May odchyliła się do tyłu, uważnie przyjrzała Edwinowi, zacisnęła wargi, po czym powoli spytała:

-- Mówimy tu o książce, prawda? O poradniku. Takim, który podobno ma pomóc ludziom poprawić jakość życia. O tym mowa, prawda? To tylko książka.

-- Czyżby? -- syknął. -- Jesteś pewna, że to tylko książka?

-- Trochę się boję, kiedy tak wytrzeszczasz oczy i zachowujesz się jak wariat. Chyba się przepracowałaś. Jak tam poradnik o smażonej wieprzowinie? Wypróbowałaś któryś z przepisów? Widziałam jeden: skwarki w polewie ze Slim Fast. Małe oszustwo, co?

-- May, a jeżeli to nie tylko książka? Jeżeli to książka nad książkami, taka, na jaką czekają wszyscy? Taka, która rozwiąże wszystkie nasze problemy, naprawi niedociągnięcia, rozwikła wewnętrzne konflikty? Co, jeżeli to właśnie ona? A jeżeli Tupakowi Soiree udało się opracować mistrzowską formułę? W różnych książkach zawsze jest ziarenko prawdy, ale żadna nie daje odpowiedzi na wszystkie pytania.

Daleko im do tego. Mamy aż tyle różnych poradników właśnie dlatego, że żaden z nich się nie sprawdza! Gdyby ktoś kiedykolwiek napisał poradnik, który by zadziałał, zostałbym bez pracy, do cholery!

-- Edwin! Ciszej. Uspokój się. Zaczynasz wrzeszczeć. Słuchaj, może lepiej wracaj do domu. Odpocznij, może...

-- Nie mogę -- odparł, błyskając oczami. -- Nie mogę wracać do domu. Żona chce mnie zabić.

-- Żona chce cię zabić?

-- Tak jest. Chce mnie zabić za pomocą seksu. Potworność. Co noc to samo. Ta sama doskonała technika, te same nieprawdopodobne orgazmy. May, to mnie wykańcza!

Śmieję się, śmieję, ale to prawda. Ona chce mnie zabić. Gdyby nie jej menstruacja, nie miałbym szansy odzyskać sił. I do tego ciągle kłapie jadaczką: "Edwin, przeczytaj tę książkę. Musisz ją przeczytać. W końcu sam ją zredagowałeś. Przeczytaj fragment o Li Bok. Podobno działa jeszcze lepiej, jeżeli oboje partnerzy wykorzystują te same punkty przeciwnacisku". To dosłownie kult. Zupełnie jakby wstąpiła do Amwaya czy coś. I tak co noc, cholera. Czuję się jak w pułapce. Potworność. Już nawet nie mogę myśleć jasno.

Zauważyłaś, jak schudłem?

-- Edwin, ty zawsze byłeś chudy.

-- Tak? W takim razie co powiesz na to? -- Przynął się do niej i szepnął cicho: -- Ostatnio cały czas mam erekcję. Nawet w tej chwili.

-- A co ja miałabym z tym zrobić? -- odszepnęła May.

Roześmiał się wbrew sobie.

-- No cóż. -- Nadal nie podnosił głosu. -- Cokolwiek, tylko go nie dotykaj.

-- Okay, nie dotknę, obiecuję. -- Po czym dodała już normalnym głosem: -- A to co?

Uśmiech? Wrócił ten sam stary Edwin de Valu, którego znam i nienawidzę. Złóżmy zamówienie, jestem głodna. Ta dieta oparta na selerze i niegazowanej wodzie, na której ostatnio jestem, w ogóle nie działa.

-- Ale co, jeżeli to właśnie ta książka, May? Ta najważniejsza?

-- O Jezu, Edwin. Słuchaj, musisz przestać się tak...

-- A jeżeli Tupak Soiree rozbił bank? Jeżeli we właściwym czasie ułożył w odpowiednim porządku wszystkie cyfry, składniki i słowa? Jak ten tysiąc małp, przez tysiąc lat piszących na maszynach. Co, jeśli Tupakowi Soiree jakimś cudem udało się we właściwej kolejności uderzyć we wszystkie klawisze?

-- Po pierwsze te tysiąc małp nie pisało przez tysiąc lat, tylko całą wieczność. Teoria ta mówi, że gdyby dano im dość czasu, w końcu stworzyłyby Hamleta albo Przemięło z wiatrem.

-- Albo Czego dowiedziałem się na górze.

-- Sugerujesz, że tę książkę napisały małpy?

-- Nie, nie, oczywiście, że nie. Chciałem powiedzieć, że -- przynajmniej teoretycznie -- gdyby ktoś napisał książkę, w której wszystko zostałoby przedstawione tak, jak trzeba...

-- Edwin, te małpy musiałyby pisać całą wieczność. Mówimy tu o nieskończoności.

-- O tak! Ale nieskończoność zawiera wszystkie liczby. Wszystko, co mogłoby się wydarzyć, cytuję, "gdzieś w nieskończoności, równie dobrze może mieć miejsce za dwie sekundy, jak i za milion lat od teraz. Szanse są dokładnie takie same. Z punktu widzenia matematyki istnieje takie samo prawdopodobieństwo, że te małpy napiszą Hamleta za pierwszym podejściem, jak za tysięcznym. Dlaczego? Skoro nie istnieją zewnętrzne granice nieskończoności, nie istnieją też różnice w prawdopodobieństwie. Tupak Soiree mógł równie dobrze trafić bingo teraz, jak w dowolnym momencie w ciągu najbliższego miliona miliardów lat.

-- Skąd wiesz to wszystko? Wydawało mi się, że jesteś strasznie kiepski z matematyki.

-- Bo jestem. Wczoraj wieczorem oglądałem Gwiazdne wrota. A tam prawa fizyki są przedstawione całkiem nieźle. A jego imię? Co daje "Tupak" pisany od tyłu? To daje do myślenia, May. Naprawdę daje do myślenia.

-- Nie, Edwin. Mnie to nic nie daje do myślenia. Nic, a nic. Za dużo pracy, za mało snu i kiepskie filmy science fiction. Moim zdaniem to wszystko.

-- No dobrze, a co z teorią chaosu? Wiesz, w tym stylu, że motylek, który trzepocze skrzydełkami w Chinach, może spowodować tornado w, sam nie wiem, jakimś bardzo odległym miejscu. Przyczyną upadku społeczeństwa może być nie tylko wielka rewolucja, ale również jakieś małe, nieszkodliwe wydarzenie. Na przykład wydanie pozornie niewinnej książki. Motylek trzepocze skrzydełkami, a na drugim końcu świata pojawia się huragan. Rozumiesz, do czego zmierzam?

-- Coś mi się wydaje -- powiedziała May z filozoficzną zadumą -- że ktoś powinien zabić tego motylka. Już zbyt długo powoduje tajfuny, katastrofy morskie i trzęsienia ziemi. Jeżeli chcesz rozwiązać problemy świata, powinienes najpierw wytropić tego motylka i go rozgnieść. Daj sobie spokój z El Nino, zająć się trzeba tym cholernym motylkiem.

-- May, ja mówię poważnie. Skąd mamy wiedzieć, jakie destruktywne siły, jaki brzemienny w skutki łańcuch wydarzeń może powstać w wyniku drobnego, nieistotnego incydentu?

-- Dlaczego zawsze to musi być motylek? -- spytała May. -- Nie sądzisz, że już najwyższa pora na nową metaforę? Czy to zawsze musi być motylek? Dlaczego nie gnojak w Aberdeen, który powoduje nagły wzrost liczby zachorowań na artretyzm wśród hodowców owiec w Nowej Zelandii? Uważam, że cała ta teoria z motylkiem trzepoczącym skrzydełkami już nieco trąci myszką. Może zastąpmy go muchą domową w Arkansas, która powoduje przewrócenie się tankowca na Morzu Śródziemnym?

Albo...

-- Nie wiem, po co w ogóle się tak staram -- powiedział, już wyraźnie wkurzony. -- May, poważnie. Ja nie żartuję. Mam złe przecucia. Nic nie wydaliśmy na promocję Czego dowiedziałem się na górze. Ani centa. Nie wysłaliśmy ani jednego egzemplarza do recenzji i nie dostaliśmy w zamian ani jednej recenzji. A jednak w ciągu zaledwie paru tygodni odniosła taki sukces. Jak to wytłumaczysz, May?

-- Edwin, wiesz równie dobrze jak ja, że najpotężniejszym narzędziem marketingowym jest poczta pantoflowa. Nic tak nie wpływa na sprzedaż. Można mieć największy, najsprytniejszy plan marketingowy, a zwykła poczta pantoflowa i tak zniweczy najlepsze plany wydawnicze. To właśnie miało miejsce, z tym, że na odwrót.

To jak Niebiańska przepowiednia. Pamiętasz? Autor za nic nie mógł znaleźć wydawcy, więc sam wydrukował własną książkę. Woził ją w bagażniku własnego samochodu, jeździł od księgarni do księgarni...

-- Ale to mu zajęło całe lata, May. Lata wytrwałości. W przypadku Czego dowiedziałem się na górze minęło zaledwie parę tygodni. I nikt jej nie woził w bagażniku samochodu.

Została tylko poczta pantoflowa. I wiesz co? Kiedy sprzedaż pierwszy raz poszła w górę, Paul z marketingu zrobił badania czytelnicze, żeby zrozumieć, co się dzieje.

Wiesz, jak reaktywni są ci z marketingu: zawsze starają się nadążyć za najnowszymi trendami, a potem sobie przypisują wszystkie zasługi. Tak czy inaczej, Paul przeanalizował reakcję czytelników na Czego dowiedziałem się na górze i wiesz, co mu wyszło? Sto procent satysfakcji. Tak jest, sto procent, May.

-- Edwin, daj spokój. Traktujesz poważnie wszystko, co mówią ci z marketingu?

-- Spytałem Paula. Powiedziałem: "Sto procent satysfakcji? Z punktu widzenia statystyki to niemożliwe. Ile osób poddałeś temu testowi? Dziesięć?". Odparł: "Nie, kilkaset. Kilka tysięcy. Dołączyliśmy kwestionariusz do ostatniego nakładu". Normalnie ucieszylibyśmy się, gdybyśmy dostali odpowiedź od dziesięciu procent. Wiesz, ile kwestionariuszy wróciło? Wszystkie. Co do jednego. Potem Paul powiedział: "No, oczywiście nie było to równe sto procent. Trochę zaokrągliliśmy. Satysfakcja wyniosła dziewiędziesiąt dziewięć i siedem dziesiątych". I wiesz co,

May? To mnie przeraża bardziej niż sto. Nie wiem, dlaczego, ale tak jest.

-- I co z tego? Książka się podoba. Nie wiem, dlaczego tak cię to martwi. Co złego może się stać? Ludzie odzyskują dobre samopoczucie. Są szczęśliwi. Co w tym złego?

-- Tego nie wiem -- odparł Edwin. -- Ale mówię ci, że to nie w porządku. To nie jest normalne.

-- Szczęście nie jest normalne?

-- Nie jest. Redaguję poradniki. Wierz mi, że wiem, co mówię. Każdy czegoś szuka, ale cały dowcip polega na tym, że nikt tego nie znajduje. Każdy potrzebuje pomocy.

A przynajmniej wszystkim się tak wydaje. Wiem, że ja jej potrzebuję.

-- No cóż -- powiedziała, zniżając głos i wkładając ręce pod stół. -- Może pomóc ci z tą erekcją? I ścisnęła go pod stołem, zaskakując tym ich oboje.

Wylądowali w mieszkaniu May, owładnięci burzą zmysłów. Pokój May, jak i ona sama, stanowił studium ekscentrycznego nieładu. Wszędzie nic tylko książki, pluszowe kotki i zasłonki z koralików w drzwiach. W kącie stała nawet stara maszyna do pisania.

Rzucili się na siebie, tworząc bezładną płataninę ciał i ust, której z dezaprobatą przyglądał się kot. Nastąpił taki chaos i pośpiech, że wszystko wymknęło się spod kontroli. Ledwo zaczęli się całować, a już zostały odsłonięte miękkie i pełne piersi May.

May już ścisnęła Edwina, poruszając dłonią do góry i do dołu, jeszcze zanim zdążył zdjąć buty. Został więc z jednym butem na nodze, próbując zachować równowagę na dywaniku, który usuwał mu się spod nóg za każdym razem, gdy Edwin się prostował, nie bardzo przy tym przypominając dumnego ogiera. Płaszcz wylądował mu na głowie, zegarek zaplątał się we włosy May, a majtki utknęły jej wokół kostek u nóg. Cały ten układ odznaczał się bardzo kiepską choreografią. Z pewnością nie przedstawiali sobą najbardziej uroczego czy filmowego widoku, jaki kiedykolwiek widziano. Sturlali się z tapczanu, oddali się namiętności na stercie gazet, z powrotem wdrapali na tapczan, klękając na nogach partnera, przeszkadzając sobie nawzajem, niezdarnie zmieniając pozycje. Gdy w pewnym momencie Edwin polizał nagie ciało, przekonał się, że to jego własne przedramię.

Ich ekstaza była równie wielka jak zmęczenie. May wstrząsnął dreszcz rozkoszy, Edwin był cały mokry od potu.

Leżeli jedną połową ciała na tapczanie, drugą na podłodze, z rozedrganymi zmysłami i spazmatycznie łapiąc powietrze. Kot May uciekł, zakładając, że odprawiają jakiś dziwny rytuał zapasów, a w pewnym momencie ktoś przewrócił paprotkę.

Jak zwykle w takich chwilach pojawił się religijny nastrój.

-- O, Boże. O, mój Boże.

-- O, Boże, Boże.

-- Muszę się napić wody -- powiedziała May. Dźwignęła się na nogi, owinęła prześcieradłem i poczłapała boso do kuchni. Edwin skopał z nogi drugi but. Przeciągnął się. Pomyślał o Jenni i zdziwił się brakiem poczucia winy. Następnie, równie szybko, ogarnęły go wyrzuty sumienia spowodowane brakiem poczucia winy.

Spojrzał w dół, szeroko się uśmiechnął i zawołał: -- May! Moja erekcja! Zniknęła!

-- No, ja myślę -- odparła, wracając ze szklanką wody z lodem. -- Masz, napij się.

Wyglądasz na odwodnionego.

-- Nic nie rozumiesz. Przeszło mi. Jestem wykończony. Do cna. Tak właśnie powinien wyglądać seks! Czuję niepokój, trochę mi głupio i mam lekkie wyrzuty sumienia. Seks polega na tym, a nie na poczuciu jedności ze wszechświatem. W tak intymnych chwilach człowiek nie powinien jednoczyć się ze wszechświatem. Seks z moją żoną jest, no wiesz, aż nazbyt doskonały.

-- Doskonały -- powtórzyła May chłodno, ale Edwin ciągnął dalej, nieświadomy tej zmiany.

-- Tak jest: doskonały. Wszystko zapięte na ostatni guzik. Odbywa się czysto, schludnie, precyzyjnie, a powinienem się czuć nieco skalany, nie w porządku.

Ambiwalentnie. Właśnie tego słowa szukam: ambiwalentnie. -- Upił duży łyk wody. -- Czuję się świetnie!

Zapadła lodowata cisza.

-- Edwin, chyba powinieneś już iść. Szczerze się zdziwił.

-- Dlaczego? Powiedziałem coś nie tak?

-- Idź. W tej chwili.

-- Ależ May...

-- Pamiętasz hotel Sheraton Timberland? Pamiętasz? -- Jej twarz zarumieniła się od gniewu i smutku. -- Pamiętasz?

-- Oczywiście. Ciągłe o tym myślę. Codziennie w pracy, za każdym razem, kiedy mijamy się na korytarzu.

Po tych słowach jej niezłomność nieco się zachwiała.

-- Naprawdę? Nie wiedziałam... Nie miałam pojęcia, że to tyle dla ciebie znaczy. Nie zdawałam sobie sprawy, że to dla ciebie takie ważne.

-- Nie, nie. Czuję się okropnie. Bardzo tego żałowałem. Wiesz, ciągle się zastanawiałem, och, dlaczego popełniłem takie głupstwo? Miałem mętlik w głowie.

Czuję się ambiwalentnie.

-- Ambiwalentnie -- powtórzyła to słowo bezbarwnym tonem.

Edwin został wypchnięty za drzwi, z kurtką i butami w ręku, w spodniach podciągniętych tylko do kolan, krawatem wiszącym luźno na szyi i miną oszołomionego króliczka.

-- Co ja takiego zrobiłem? -- spytał, kiedy mu zatrzaśkiwała drzwi przed nosem.

Słyszał odgłos zamykanych zasuw, słyszał, jak May się barykaduje w środku, podnosi most zwodzony, zamyka drzwi na rygiel. -- May? -- powiedział, tym razem delikatniej. -- May? -- Czekał w ciszy na odpowiedź, która nie nadeszła.

A za murami swej fortecy, skulona na kanapce, trzymając na kolanach kota Charleya, May kołysała się do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Jej oczy wypełniły się łzami, które zaczęły płynąć po policzkach. Bez przerwy. Nie chodziło o to, co powiedział Edwin, lecz o to, czego nie powiedział.

Pląkała, bo wiedziała, że już nigdy nie będzie jej bliski, gdyż ona sama na to nie pozwoli. Edwin de Valu: niesłychanie nerwowy, niefrasobliwie nieczuły redaktor z żoną robotem i tendencją do wychodzenia z siebie. Co jej się wydawało? Jak mogła się zakochać w kimś podobnym? Co ona sobie myślała?

Otóż w ogóle nie myślała. Na tym polegał cały problem. (Jak zwykle).

Rozdział dwudziesty trzeci

-- Szminka -- powiedziała Jenni, a Edwin stanął jak wryty.

-- Słucham?

-- Na twoim kołnierzyku. Widzisz? Tu, tu, i tu. Istny banał: mąż, który wraca do domu ze śladami szminki na kołnierzyku. -- Podeszła i przyjrzała mu się uważnie. -- Nowy odcień, ale ta sama marka. Wszędzie bym ją rozpoznała. To ta jak-jej-tam. Ta pyzata.

-- Steve?

-- Nie, nie Steve. May. Tak się nazywa, prawda? No więc co się stało?

Edwin z trudem przełknął ślinę. Nie miał żadnego alibi, żadnego planu ucieczki. Aż się dusił od tego milczenia. Przypomniały mu się inne ślady szminki: na piersi, rozmazane na plecach, między palcami u nóg. Był chodzącą mapą niewierności.

-- No cóż -- powiedział. -- Wiesz, to, yyy...

Ale Jenni parła do przodu, nie dając mu szansy na wyjąkanie usprawiedliwienia.

-- Co się stało? -- powtórzyła. -- Wygłupialiście się w pracy i May wpadła na ciebie?

A może dostała jakąś złą wiadomość, a tobie zrobiło się jej żal, więc ją przytuliłeś, żeby trochę pocieszyć?

Edwin odchrząknął.

-- Tak. To pierwsze.

-- Wygłupialiście się?

-- Tak. Wygłupialiśmy się. W pracy. Tak, z całą pewnością w pracy. Tam byliśmy.

Kiedy się wygłupialiśmy... Hej, a może zamówimy dzisiaj coś na wynos? Tajskie zarcie?

Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu.

-- Pewnie -- powiedziała Jenni, a na jej twarzy pojawił się znajomy przebiegły uśmiezek.

-- Ale zachowaj trochę energii.

Edwin wiedział, co to oznacza, i wpadł w czarną rozpacz.

-- Energii?

-- No wiesz, na Li Bok. -- Przejechała palcem po jego piersi. -- Może pójdziemy do sypialni i zaostrzymy sobie apetyt?

Edwin poszedł za nią ze zwieszoną głową jak więzień prowadzony na szafot -- po czym z przestrachem przypomniał sobie o śladach szminki, jakie May zostawiła na jego ciele, o tych zmywalnych tatuażach w najbardziej intymnych miejscach. Ich obecność trochę trudniej będzie wytłumaczyć.

-- Daj mi chwilkę -- poprosił. -- Miałem ciężki dzień. Chciałbym najpierw wziąć prysznic.

-- Okay, ale szybko, bo czekam. -- Zanuciła te ostatnie słowa, a Edwinowi po plecach przebiegł dreszcz przerażenia.

Rozdział dwudziesty czwarty

-- May, słuchaj, jeśli chodzi o wczoraj...

-- Nie. Nie było żadnego wczoraj. Nie mamy o czym rozmawiać.

-- Czuję się okropnie. Prawda jest taka, że...

-- Prawda, Edwinie? Prawda jest taka, że cię wykorzystywałam. Miałam ochotę na figle, odrobinę seksu, a ty akurat byłeś pod ręką. -- Wzruszyła ramionami. -- To nic nie znaczyło. -- Bezblędnie wypowiedziała swoją kwestię: bezceremonialnie, lekceważąco, beztrosko. I słusznie. Przygotowywała się do tej chwili przez całą noc, nie mogąc usnąć.

-- To nic nie znaczyło. Nie ty mnie wykorzystasteś, tylko ja ciebie. -- Była to jej mantra, jej oświadczenie dla prasy, jakie ćwiczyła przed lustrem. Słowa te powtarzała tak często, że dosłownie zaczęła w nie wierzyć.

-- Naprawdę?

-- Tak. Przykro mi, ale tak jest.

-- Rozumiem. -- Edwin nie wiedział, co powiedzieć. -- Proszę, twoja kawa. Byłem...

-- Tam. -- Machnęła ręką. -- Zostaw ją tam. A teraz wybacz, ale mam mnóstwo pracy.

-- I przeniosła uwagę na stertę papierów, udając wielkie i nienaturalne zainteresowanie ich treścią.

Edwin zrobił, co mu kazano. Postawił kawę na stolyczku i już miał wyjść, ale jeszcze odwrócił się w drzwiach.

-- May, chciałbym tylko, żebyś wiedziała, że niezależnie od tego, co się stanie, zawsze będę...

-- Przestań. Nie trzeba. Idź już. -- Po czym wypowiedziała słowo, które zawisło między nimi niczym znak zapytania. -- razlubit'. -- Tylko tyle: razluhit'.

Zamiast wrócić do swojego boksu, Edwin pomaszerował do regału z publikacjami Panderica, w dolnym lewym rzędzie odnalazł Nieprzetłumaczalne i zaczął szukać słowa, które wypowiedziała May. Przewertował strony, przeglądając opisy kolejnych haseł, razlubit': rosyjskie słowo znaczące, że już się kogoś przestało kochać".

Wbił wzrok w tę definicję, w to słowo, w kaskadę zawartego w nim kontekstu, i poczuł, jak z jego płuc uchodzi całe powietrze, razlubit'. Którą kiedyś się kochało...

Mógł od razu wrócić do May. Mógł jej powiedzieć: "Tak bardzo mi przykro", "Nie miałem pojęcia, nic nie podejrzewałem". Mógł ją wziąć w ramiona, pocałować w te pełne usta. Mógł przytulić jej ciepłe, miękkie ciało do swej kościstej postaci. Mógł zrobić to i jeszcze więcej, ale przeszkodziła mu w tym szara codzienność.

-- Pan Mead wzywa cię do swojego gabinetu! I to już! -- W drzwiach stanął Nigel, z dłońmi na biodrach.

-- Szukaliśmy cię. Nie było cię w boksie, na twoim miejscu.

Edwin odłożył na półkę Nieprzetłumaczalne. Nie chciało mu się nawet dogryzać Nigelowi.

-- Powiedz panu Meadowi, że zaraz przyjdę.

-- Zaraz to za późno. Czeka już pięć minut.

-- Może poczekać jeszcze pięć. Muszę chwilę posiedzieć w samotności.

-- Gdyby nie Czego dowiedziałem się na górze, nie uszłoby ci to na sucho -- wymamrotał Nigel.

Edwin stał i gapił się na długie półki pełne książek, wszystkie wydane przez Panderica, z których wiele sam zredagował, i pomyślał o May. Myślał o May. I o słowach. I o znaczeniu słów i May.

Rozdział dwudziesty piąty

-- Ten Tupak Soiree... Coś mi się tu nie podoba. Za bardzo odcina się od świata. -- Pan Mead rzeczywiście bez narzekania odczekał kolejne pięć minut i teraz stał przy oknie, wyglądając na miasto. Odwrócił się ze zdecydowaniem, które malowało się w jego postawie, szczęce,

oczach. -- Cholera. Edwin, musimy coś zrobić. Nie stać nas na pustelnika. Taki chwyt mógł zadziałać w wypadku Salingera, ale nie zwiększa prestiżu, kiedy mamy do czynienia z czytelnikami poradników. Musimy go stamtąd wyciągnąć i dalej stręczyć jego książkę. Sprzedaż doszła do prawie dwustu tysięcy. A wiesz, co to oznacza: zaczyna osiągać szczyt. Powinniśmy ruszyć z trasą promocyjną na pełną skalę.

Była to typowa teoria odwróconej kolejności, powszechnie praktykowana w świecie wydawniczym -- a mianowicie taka, że im większy sukces książki, tym więcej się wydaje na jej promocję. W końcu po co ładować pieniądze w książkę, która nie jest bestsellerem? Jaki jest tego wynik? Książki, które wymagają najmniejszych nakładów pieniędzy, dostają ich najwięcej.

Edwin westchnął.

-- Kilka razy wysyłałem faks do pana Soiree. Nadal mieszka w Paradise Flats, na skraju

pustyni. Mówi, że jeżeli wyślemy do niego choćby jednego reportera, jeżeli podamy jego adres choćby jednemu dziennikarzowi, tu cytuję, "wykopie nam drugą dziurę w dupie".

-- O. To niezbyt holistyczne podejście.

-- Pan Soiree osiemnaście godzin dziennie medytuje w upalnym słońcu, bez jedzenia i wody. Myślę, że ma to wpływ na jego zdolność oceny sytuacji. Dziwaczeje.

-- Pustynia tak działa na człowieka. -- Pan Mead pokiwał głową. -- Pamiętam, jak kiedyś w aśramie w Indiach, czy też może w Sri Lance, pościłem przez czterdzieści osiem godzin, spożywając jedynie halucynogenne grzybki dostarczane przez mnichów recytujących sutry. Jak możesz sobie wyobrazić, doświadczenie to...

-- Proszę pana? Rozmawialiśmy o autorze.

-- A tak, oczywiście. Tupak Soiree. Nie wiem, po co w ogóle poruszyłeś temat tych grzybków. Zupełnie zboczyłeś z drogi. Edwin, niekiedy martwię się o ciebie. No, ale wracając do naszego tak zwanego pustelnika, tak zwanego autora. Musimy go jakoś wywabić z ukrycia.

-- Jest bardzo uduchowiony. Może zagrajmy na jego altruizmie. Podkreślmy, że mogłoby dotrzeć do większej liczby czytelników, mieć na nich większy wpływ.

-- Myślisz, że to by coś dało?

-- Prawdę mówiąc, nie mam dobrych przeczuć, jeśli chodzi o pana Soiree. Cały ten rozwój wypadków wydaje mi się niepokojący. W tej książce jest coś... coś złego.

-- Złego? Ha. No i masz, znowu dramatyzujesz. Słowo daję, powinienem cię przenieść do działu romansów i powieści gotyckich. (Co redaktorzy uważali za los gorszy od śmierci, gorszy nawet od poradników -- o ile to w ogóle możliwe). Edwinie, żądam pomysłów. Pomysłów, a nie mętnych przeczuć.

-- Mógłbym wysłać do pana Soiree gorącą prośbę od dziewczyny chorej na białaczkę. To już kiedyś się sprawdziło, pamięta pan?

Pan Mead uśmiechnął się ciepło na to wspomnienie.

-- O tak. Dziewczyna, która kochała Wayne'a Gretzky'ego. To było całkiem niezłe.

Niestety nasi prawnicy odradzili nam powtórzenie tego numeru. Tak czy siak było to genialne. Absolutnie genialne.

-- Dziękuję -- powiedział Edwin, przypisując sobie zasługę za coś, w czym nie miał udziału.

-- Sam wymyśliłeś ten numer z białaczką? Zupełnie o tym zapomniałem.

-- Największą nagrodą jest dla mnie sukces Panderica, panie Mead.

-- I dobrze, bo jeżeli wydaje ci się, że dostaniesz ode mnie premię, to grubo się mylisz. Jeśli chodzi o Soiree, to nie nastawiaj się na jego altruizm. Już dawno wyszedł z mody. Możemy natomiast odwołać się do najniższych instynktów pana Soiree.

Pieniądze, Edwin. Zwykła kasa. Brudna mamona. Zaproponujemy mu zyski z każdego wywiadu, na jaki się zgodzi. Zapłacimy draniowi.

Edwin był oszołomiony. Jedną z niepisanych zasad przemysłu wydawniczego było to, że nikomu nie płacono za udzielenie wywiadu.

-- Proszę pana, naprawdę nie sądzę, by magazyny i telewizja na to poszły.

Gdybyśmy zaczęli żądać od nich opłaty za wywiady autorów, spowodowałibyśmy gwałtowny sprzeciw, który w małym, kumoterskim światku wydawniczym mogłoby mieć poważne...

-- Nie mówię o mediach, tylko o nas. A jeżeli damy panu Soiree, powiedzmy, pięć tysięcy za wywiad? Oczywiście po cichu. Myślisz, że by na to poszedł?

Odpowiedź Tupaka Soiree przyszła nadzwyczaj szybko. Pustelnik nadal wysyłał faksy z biblioteki publicznej w Paradise Flats, co spowalniało proces komunikacji. Lecz

nie tym razem, o nie.

Szanowny Panie Edwinie: niechaj boskie światło zrozumienia padnie na pańskie pośladki, gdy z wielką wdzięcznością będzie Pan całował Matkę Ziemię. (Stare, nepalskie błogosławieństwo). Mam nadzieję, że na Grand Avenue wszystko w porządku. Odpowiedź na Pańskie pytanie brzmi: tak. Tak. Z wielką chęcią zacznę udzielać wywiadów. Dobrze mi to robi. W interesie nas wszystkich leży szukanie bardziej bezpośrednich sposobów szerzenia mojej wiedzy i kosmicznej świadomości.

(Uwaga: poniżej podaję informacje na temat mojego konta. Proszę o bezpośrednie wpłaty na numer 32114). Proszę umówić mnie na tyle wywiadów, na ile Pan sobie życzy. Będę opłacany od występu, prawda? Potrzebuję tylko kilku dni na przygotowanie się i dostrojenie do Wielkiej Liry Wszechświata.

I tak oto, trzy dni później, niespodziewanie i po raz pierwszy w życiu Edwin de Valu odbył rozmowę z wielkim i tajemniczym Tupakiem Soiree.

-- Witam, panie de Valu! To ja, Tupak Soiree. -- Po kablach popłynął śpiewny głos naznaczony hinduskim akcentem.

-- Ojej. Co za niespodzianka. -- Edwin z trudem zachował spokój. Wbrew sobie czuł cień nabożnego podziwu. -- Dziękuję, bardzo dziękuję za telefon. Cieszę się, że znalazł pan trochę czasu. Pana gospodarz mówił, że jest pan na pustyni.

-- Mój gospodarz? A, tak, McGreary. Niemiły człowiek, prawda? Jeśli chodzi o niego, moje lekcje miłości trafiają w próżnię. Niemniej jednak powinniśmy kochać każde stworzenie, duże i małe. Nawet robaki. No, może nie te obrzydliwe. Wie pan, te, które żyją w gnoju. Ale poza tym wszystkie. Każdy potrzebuje miłości. Miłość, miłość, miłość.

Potrzeba nam tylko miłości. Miłości nam tylko trzeba. Tego właśnie się dowiedziałem, medytując dziś rano: każdy z nas powinien być kochany. Albowiem miłość jest jak woda. Potrzebujemy jej, by rosnąć. A również wtedy, gdy jesteśmy spragnieni. O tak, tak. Rzeczywiście przez trzy dni byłem na pustyni i bardzo dużo myślałem o wodzie.

Ojej, jak tam skwarno. Skwarno i sucho. Ale kiedy dostałem wiadomość, że życzy pan sobie ze mną rozmawiać, czym prędzej wróciłem.

-- Dziękuję -- powiedział Edwin. -- Chodzi o Oprah. Zaprasza pana do swojego programu. Planuje włączyć pański poradnik do swojego klubu książkowego, a z pewnością wie pan, że to kura znosząca złote jajka. Oczywiście w sensie duchowym.

Wiem, że nie lubi pan udzielać wywiadów...

-- Ależ skąd, skąd. Bardzo bym chciał. Zwłaszcza jeśli chodzi o Oprah. To taka niezwykła kobieta. I taka sławna. Codziennie ją oglądam. Widział pan jej program w zeszłym tygodniu, kiedy gościem był Will Smith? Ojej, to było tak...

-- Ale... ale wydawało mi się, że całe dnie spędza pan na pustyni?

Zapadła cisza.

-- Oczywiście. Oprah oglądam, kiedy wracam z pustyni.

Wie pan, kiedy już się uporam z medytacjami i całą resztą. Nagrywam ją sobie na wideo i oglądam po powrocie. Z pustyni. Proszę mi przypomnieć, kiedy ma przyjść mój pierwszy czek?

Następnego dnia Tupak Soiree przysłał do działu reklamy Panderica swoje zdjęcie na błyszczącym papierze, które zostało szybko wydrukowane w ulotkach promocyjnych i rozlane masowo po całym kraju.

Soiree robił ogromne wrażenie. Właściwie nie był ani przystojny, ani choćby atrakcyjny, a jednak było w nim coś kojącego, niemal błogiego. Bił z niego spokój, wyglądał jak typowy

guru. W ciągu paru dni po rozesłaniu ulotek telefony się urywały.

Udział w programie Oprah miał być wielkim ujawnieniem się Tupaka Soiree, jego pierwszym, lecz z pewnością nie ostatnim, występem publicznym.

-- Oj, tak, tak -- powiedział pan Mead. -- Mamy idola. -- I osobiście wypisał pierwszy czek na pięć tysięcy dolarów pod wprowadzającym w błąd nagłówkiem "Koszta promocyjne". Oczywiście nie istniało nic podobnego. Była to łapówka, bezczelna i niewybaczalna. Dano ją mężczyźnie, który twierdził, że odkrył tajemnicę czasu i przestrzeni. W obrazie wszechświata pieniądze zdołały zachować swoją pozycję -- jak się wydaje, już na zawsze.

Rozdział dwudziesty szósty

Reakcja odbiorców była bezprecedensowa. Co tam beatlemania -- ta moda ograniczała się do łatwo ulegającej wpływowi dojrzewającej młodzieży, grupy osób, jakim zawsze łatwo zamieszać w głowach. Szał na punkcie Tupaka Soiree był mniej zaaranżowany, zakrojony na szerszą skalę i wykraczał poza granice demograficzne.

Kiedy Tupak pojawił się w programie Oprah, zamarły całe miasta. Po krzykliwej reklamie, która poprzedziła publiczny debiut pisarza-pustelnika, miasto ogarnęła medialna gorączka. W gazetach i audycjach radiowych z udziałem słuchaczy mówiono tylko o tym. Można by pomyśleć, że w telewizji wystąpił Dalajlama z samym Chrystusem.

Jenni nagrała dla Edwina wywiad w programie Oprah, który obejrzeli wspólnie, kiedy wrócił do domu.

-- Jaki on uroczy -- powiedziała. -- Doskonały.

Pan Soiree miał na sobie prostą, białą szatę z bawełny o fasonie od niepamiętnych czasów ulubionym przez szarlatanów i guru, i promieniał dostojnością -- promieniał nim na widownię, na Oprah, na miliony fanów oglądających go w swych salonach.

Tupak wyglądał zaskakująco młodo jak na osobę, która odkryła wszystkie tajemnice wszechświata. Miał rozwichrzone, kręcone włosy i miękkie, opuchnięte rysy twarzy, która sprawiała wrażenie napompowanej. Oczy mu błyszczały, uśmiechał się swobodnie i z wielkim wdziękiem.

Kiedy Tupak niewinnie flirtował z Oprah, wywołując salwy śmiechu i westchnienia na widowni, kiedy Ameryka zakochiwała się w nim, otaczając go nieprzytomną czcią, Edwin siedział, ze zgrozą oglądając ten program. Przypomniały mu się słowa May o banalności zła i banalności talentu. Pomyślał, że ten człowiek łączy w sobie obie te rzeczy. Tupak Soiree był zły. Był złem wcielonym. Teraz Edwin się o tym przekonał.

Nie miał żadnych dowodów empirycznych, ale i nie były mu one potrzebne. Po prostu to czuł.

-- Och, Edwin -- wydusiła z siebie Jenni, rozpromieniona prawie tak samo jak jej idol.

-- On jest absolutnie doskonały!

-- Tak -- powiedział Edwin. -- Doskonały. -- Doskonale zły.

Rozdział dwudziesty siódmy

Oprah zaprosiła Tupaka do następnego programu i jeszcze kolejnego. Wkrótce stał się kimś w rodzaju stałego gościa, a jego udział w programie zawsze podwyższał wskaźniki oglądalności. Whoopi oddała mu palmę pierwszeństwa, a w Internecie zaczęły się mnożyć fankluby i czaty poświęcone "filozofii Soiree", sprzedaż zaś jego książki pobiła wszelkie rekordy. Żeby nadażyć, Panderic musiał podpisać umowę z kilkoma drukarniami.

Tupak nadal pojawiał się w telewizji w programach przypominających egzaltowane spotkania dzieci-kwiatów, wciąż promieniejąc dostojnością. Po jakimś czasie Edwin przestał je oglądać. Soiree powtarzał swą wyuczoną na pamięć standardową, absurdalną, pseudomistyczną formułkę, której słowa widzowie dosłownie spijali mu z ust. Tupak po prostu cytował fragmenty wybrane na chybił trafił z Czego dowiedziałem, się na gorze, które ludzie słyszeli na okrągło, a których jednak nigdy nie mieli dosyć.

Tymczasem Panderic Inc. doznał nieoczekiwanego przyływu gotówki dzięki zapewnieniu sobie praw do wizerunku Tupaka (oczywiście po odpaleniu mu sporej części zysków), który umieszczano na kubkach do kawy, T-shirtach i plakatach w całym kraju. "People" zamieścił duży felieton na jego temat, podobnie "Time" i "Newsweek".

Nadal określano go jako "pustelnika pana Soiree". Edwina zaczęło to doprowadzać do szału. "Pustelnik?! -- krzychał do stojaków na gazety i ekranów telewizorów, które codziennie bombardowały go wizerunkiem Tupaka. -- Pustelnik? Toż to istne zwierzę medialne!".

Aż nagle wydarzyło się coś niewyobrażalnego. Któregoś dnia sterta odpadów po prostu... zniknęła.

Całe rano lało jak z cebra i Edwin wrócił z przerwy na lunch, wyglądając jak zmokła kura, z mokrą gazetą, przesiąkniętą marynarką i powykręcany parasolem. Strząsnął wodę z nóg i w paskudnym nastroju skierował się do swego boksowego azylu.

Nagle stanął jak wryty.

-- Steven? -- powiedział.

Stażysta Steven miał swoje biurko na drugim końcu korytarza i zazwyczaj w ogóle nie było go widać. Zza sterty maszynopisów wystawały tylko jego włosy. Już od tak dawna przekopywał się przez odpady, że właściwie nikt nie pamiętał, jak wygląda.

Dzisiaj jednak widniał w całej okazałości. Stosy niezamówionych tekstów zniknęły, a jego biurko było puste i wyczyszczone. Notesy leżały ułożone według wielkości, ołówki i spinacze do papieru uporządkowane schludnie w rzędzie.

-- Steven, gdzie się podziały odpady? Goniec dzisiaj nie przyszedł?

-- Przyszedł, ale nic nie przyniósł.

-- Żadnych maszynopisów? Żadnych ofert? Nic?

-- Nic.

-- Nie. -- Edwin poczuł, że jego już lepkie ciało pokrywa się warstwą czegoś oślizgłego.

-- Nie. To niedobrze. To bardzo niedobrze.

-- Właściwie uznałem, że to miła odmiana -- powiedział Steven. -- Od tygodnia przychodzi ich coraz mniej. Wczoraj było tylko kilka, a dzisiaj -- ani jednego.

-- Nic nie rozumiesz. Sterta odpadów to system ostrzegawczy dla społeczeństwa.

Zastanów się, człowieku! Nidoszli pisarze zwiastują każdą nadchodzącą modę. To prowodyrzy, badacze granic, kanarki w kopalni węgla. Autorzy ze sterty odpadów to nasza straż przednia. Są nam potrzebni. Potrzebujemy tych nikomu nieznanym twórców, tych niespełnionych istot, które usiłują wznieść się ponad pułap własnych możliwości. Potrzebujemy beletrystycznych powieści i trzyczęściowych trylogii, kruczojasnych włosów i bosych rąk. Społeczeństwo musi mieć swą stertę odpadów, nie rozumiesz tego? Gdy ona zniknie, w jej ślady pójdzie cała reszta. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Edwin nie zwracał sobie głowy wycieraniem się. Nadal ociekając wodą, pomaszerował do gabinetu May, gdzie zastał otwarte drzwi, i wszedł bez pukania.

-- Tupak Soiree to oszust! -- krzyknął.

May bez najmniejszego zainteresowania podniosła głowę.

-- Edwin, idź sobie. Jestem zajęta.

-- May, zniknęła sterta odpadów. Zniknęła! Nie rozumiesz? To początek końca. Dzisiaj sterta odpadów, jutro nasze życie. -- Jego głos brzmiał dziko, nawet w jego własnych uszach.

-- Edwin, wyjdź z mojego gabinetu. Nie mam na to czasu.

-- May, to nie małpy napisały tę książkę, tylko komputer. Tupak Soiree jest oszustem. To nie pisarz, lecz programista komputerowy. On tylko wklepał odpowiednie cyferki. Wprowadził do komputera wszystkie poradniki, jakie kiedykolwiek powstały, a resztę pozostawił maszynie. May wbrew samej sobie się zaciekaowała.

-- Maszynie?

-- Słuchaj, poszedłem coś przekąsić do delikatesów na Lancaster i tam usłyszałem wywiad, jakiego udzielił nasz ceniony pisarz w południowej audycji radiowej z udziałem słuchaczy. Te same co zwykle sentymentalne, pseudofilozoficzne bzdury.

Aż tu nagle stracił czujność i się potknął. Niewielkie, lecz bardzo znaczące potknięcie.

Rozmawiali o tym, że piękno można znaleźć we wszystkim i, mówię ci, kusilo mnie, żeby zadzwonić i spytać: "A co z brzydotą? Czy w niej też możemy dopatrzeć się piękna?". Wtedy zadzwonił jakiś facet i powiedział: "Myślę, że liczby są najpiękniejszym tworem natury". Rozumiesz, natury. Tupak odparł: "O tak. Liczby rzeczywiście cechuje wewnętrzne piękno. W kodzie binarnym dostrzegam kosmiczny taniec piękna. Kiedy programowałem kod Uniksa, często miałem wrażenie, że...".

Wtedy w słowo mu wszedł gospodarz programu: "Wydawało mi się, że urodził się pan i wychował w wiosce na północy Bangladeszu, gdzie nie było elektryczności ani bieżącej wody?", Tupak na to: "Tak, ale po przyjeździe do Ameryki zacząłem studiować programowanie komputerowe". Gospodarz: "Ale czy nie przyjechał pan do Ameryki dopiero w zeszłym roku? Zdaje się, że przedtem mieszkał pan w górach Tybetu?".

Tupak wyraźnie zaczął wpadać w panikę, słysząc było, że się zmieszał. "To prawda, mieszkałem w górach. Zwiedziłem wiele miejsc, albowiem życie to jedna wielka podróż.

Wszyscy jesteśmy wędrowcami. Każdy cierpi. Każdy uzdrawia. Powinniśmy kochać wszystkie żywe stworzenia". I znowu wrócili do utartego scenariusza, przerzucania się frazesami. Oprócz mnie nikt nie zwrócił uwagi na to potknięcie.

Zapadła długa cisza.

-- May, czy ty nie rozumiesz? Nie rozumiesz, do czego zmierzam? Tupak Soiree to haker komputerowy. Opracował jakiś genialny system. Program, dzięki któremu stworzył ostateczny poradnik. Nie potrzebował miliona lat, a jedynie miliona bajtów, czy jak to tam się nazywa. Nie rozumiesz? Właśnie dlatego nie chciał, żebym poprawił

choćby jedno słowo. Dlatego tak się upierał, żeby nie zmieniać całości. To był program, May. To nie on napisał tę książkę. Nie było to kosmiczne olśnienie, lecz zwykły komputerowy program.

-- Edwin, ten maszynopis został wystukany ręcznie.

-- Właśnie! Na tym polega jego geniusz! Prawdopodobnie Tupak tak zaprogramował komputer, by uzyskać wydruk wyglądający jak tekst napisany na zwykłej maszynie.

A te stokrotki? Co za sentymentalny akcent, choć z perspektywy czasu doskonały. Kto by podejrzewał, że komputer umieścił na stronie tytułowej naklejki ze stokrotkami?

Fantastyczny chwyt!

-- Edwin, nie życzę sobie, żebyś przychodził do mojego gabinetu. Zabierasz mi o wiele za dużo czasu i energii. Bredzisz o niczym. I, co najgorsza, nie przynosisz mi kawy.

-- Co takiego?

-- Słyszałeś, co powiedziałam. Już mi nie przynosisz kawy.

-- Cytujesz Neila Diamonda, czy jak? May, tu chodzi o sprawy ważniejsze niż kawa. Tupak Soiree twierdzi, że rozpętał raj na ziemi. Ale ja wiem lepiej.

-- A jeżeli się mylisz? -- May wstała i spojrzała na niego zimnym, twardym wzrokiem. -- A jeżeli Tupak rzeczywiście rozpętał raj na ziemi? Co wtedy? Co, jeżeli teraz żyjemy w piekle? To miasto, ten budynek, ten gabinet.

Może piekło jest tutaj. Może Amerykański Sen to zwykle piekło na ziemi, niekończąca się, bezustanna, bezcelowa pogoń. Może utknęliśmy na karuzeli z piekła rodem. Tupak Soiree nie jest antychrysem ani demonicznym twórcą programów komputerowych. Ani złym programistą komputerowym. Nie jest też świętym. To po prostu ostatni krzyk mody, który wkrótce przycichnie, jak wszystkie inne do tej pory.

Edwin, to tylko książka. A w książkach szczęścia się nie znajdzie. Zaufaj mi, coś o tym wiem. Może się mylę. Może Tupak Soiree rzeczywiście osiągnął nieosiągalne. Może i "rozpętał raj". Cóż, w każdym razie ja nie będę opłakiwać utraty smutku.

-- Tak? To posłuchaj! -- Edwin zaczął grzebać w teczce, wyjął pomietłą kserokopię i zaczął czytać: -- "To panaceum na wszystkie nieszczęścia, tajemnica sukcesu, o której przez tyle stuleci dyskutowali filozofowie i która wreszcie została odkryta". Tajemnica szczęścia. Słyszysz, May? Tajemnica szczęścia.

May była zupełnie zbita z tropu.

-- No więc komuś ta książka się spodobała. I co z tego? Dlaczego miałoby w tym być coś złego? Co jest złego w stworzeniu "panaceum na wszystkie nieszczęścia" albo w odkryciu "tajemnicy ludzkiego szczęścia"?

-- Wiesz, skąd został zaczerpnięty ten cytat? Wiesz, kto to napisał? Anglik o nazwisku Thomas de Quincey. I miał na myśli nie Czego dowiedziałem się na gorze, lecz opium. To słowa z Wyznań angielskiego opiumisty z 1821 roku. Ostatecznie to "niebiańskie panaceum" zrujnowało życie autora -- pod względem emocjonalnym, fizycznym i intelektualnym. May, poradniki są opium naszego stulecia. A my zmonopolizowaliśmy rynek. To już nie jest wydawnictwo, sprzedajemy nie książki, lecz opium.

-- Och, na miłość boską. Nie bądź tak cholernie...

-- Palarnia opium! Tym w zawrotnym tempie staje się nasz świat. Jedna wielka palarnia opium. Palarnia opium, która mieści się w umyśle, taka, gdzie człowieka ogarnia bezwład, letarg i... błogość.

-- Czyżby? -- W głosie May zabrzmiała irytacja. -- A może to coś lepszego?

Większego? Może to, czego jesteśmy świadkami, nie ogranicza się do zwykłej mody.

Może to początek nowej wspólnoty. Mieszkańcy Jawy mają na to słowo, tjtjtjog, które oznacza "unikalną i harmonijną zbieżność ludzkich dążeń". Opisuje te ulotne chwile, kiedy ludzie odnajdują wspólny cel, kiedy wszystko trafia na swoje miejsce, kiedy społeczeństwo zmierza razem ku temu samemu celowi, nie zaś w różnych kierunkach.

Wielka harmonia, kiedy jednoczą się różne cele i pragnienia: tjtjtjog. Może to właśnie się dzieje na naszych oczach? Może to udało się osiągnąć Tupakowi Soiree. Ustawienie w prostej linii naszych znaków rumbowych. Wielka harmonia.

-- May, dajże spokój! Toż to absurd!

-- A Jedna wielka umysłowa palarnia opium" to racjonalna idea, tak?

-- May, wysłuchaj mnie...

-- Chyba mam już tego dosyć. Chcę, żebyś wyszedł.

-- Posłuchaj...

-- I to już.

Rozdział dwudziesty ósmy

-- Nie wiem. Chyba nie żyje.

-- Nie żyje? -- Edwin znowu rozmawiał przez telefon z Jackiem McGreary, ponurym i niezmiennie prostackim gospodarzem Tupaka Soiree. -- Nie żyje?

-- Nie widziałem go od kilku dni. Po ostatnim występie w programie Oprah poszedł sam na pustynię. Bez jedzenia i wody. Wczoraj widziałem na niebie myszołowy. Myślę, że Soiree odwalił kitę. Najwyższa pora. Już miałem go dosyć.

-- Ale... ale ja muszę z nim porozmawiać. Mam parę pytań na temat książki. Jest pan pewien, że on nie żyje?

-- Może tak, a może nie. Co za różnica? Mówiłem, że ten facet to świr.

-- Pan mnie nie rozumie -- powiedział Edwin. -- To bardzo pilne. Mam złe przecucia w związku z tym, co się dzieje. Obawiam się... obawiam się, że jego książka mogła uruchomić ciąg wydarzeń tak straszliwych, tak destruktywnych, że...

-- Słuchaj pan. Mówi pan o końcu świata czy jak?

-- Tak. Właśnie o tym mówię. Czy mógłby pan coś przekazać panu Soiree, jeśli się zobaczycie?

Jack westchnął z niezadowoleniem.

-- Chyba tak. Co mam mu przekazać?

-- Proszę powiedzieć panu Soiree, że wszystko o nim wiem.

Pierwszy zbankrutował przemysł tytoniowy. Runął jak olbrzymia sekwoja: imponująca i wspaniała, lecz spróchniała w środku. Zabijał ją uschnięty korzeń. Legła na ściółce lasu jak zapowiedź przyszłych wydarzeń. Sprzedaż papierosów zmniejszyła się o ponad siedemdziesiąt procent. Padły całe fortuny. "Jednorazowa, samoregulująca się anomalia", jak ją nazwał "Times-Herald", stała się nagłówkiem wielu artykułów; nagłówek przerodził się w panikę, a panika -- w popłoch na giełdzie. Sprzedawać!

Sprzedawać! Sprzedawać! Ci dyrektorzy wytwórni papierosów, którzy nie wyskoczyli przez okno, pozostawiając na chodniku oleiste plamy cuchnące nikotyną, po prostu...

odeszli. W całej Ameryce coraz więcej dyrektorów wielkich przedsiębiorstw porzucało swe stanowiska, jakby dotknęła ich zakaźna postać choroby Alzheimera. Zostawiali tylko liściki: "Poszłem na ryby". "Poszłem na ryby".

Tygodniki walczyły o najwyższą pozycję w tym trendzie. Zarozumiali, neokonserwatywni felietoniści (nie wymieniając nazwisk, ale jednym z nich był George Will) zaczęli masowo produkować rozwlekłe eseje o tym, że -- jak już dawno się tego spodziewali -- dosłownie w ciągu jednej nocy Ameryka uwolniła się od nałogu nikotynowego, i to nie z powodu podatków czy przepisów, lecz wiedziona czystą, niekłamana wolną wolą ludzi. Prawica upierała się, że wydarzenia te potwierdzają jej poglądy dotyczące świętości prawa do indywidualnego wyboru. Lewica (czy też raczej centrum, gdyż w Ameryce nie było prawdziwej lewicy) również niezłomnie twierdziła, że lata interwencjonizmu państwowego wreszcie się opłaciły -- i to na wyjątkowo spektakularną skalę. Wszyscy sobie przypisywali za zasługi ten stan rzeczy.

Zatrudniono dodatkowe ekipy sprzątaczy do usunięcia nikotynowych rozbryzgów pozostawionych przez dyrektorów koncernów tytoniowych, którzy wyskoczyli przez okno, a firmy produkujące tabliczki z napisem ZAKAZ PALENIA szybko zbankrutowały, lecz generalnie rzecz biorąc, rezultaty okazały się nie aż tak poważne, jak przewidywało -- czy też czego się obawiało -- wielu analityków.

Następnie zbankrutował przemysł monopolowy i rynek nielegalnego handlu narkotykami.

Kokaina. Haszysz. Kwas. Spadł popyt na nie, podobnie jak w wypadku zakazanych używek. Panika zaczęła się od nowa. Teraz gazety mówiły o "olbrzymich zmianach w zachowaniach rynkowych", lecz komentatorzy mass mediów nadal nie łączyli tych przemian bezpośrednio z książką Tupaka Soiree. Czego dowiedziałem się na gorze traktowali jako część tego trendu, nie zaś jako jego przyczynę. Niektórzy posunęli się aż do stwierdzenia, że książka ta pomogła wykrzesać "iskrę" nagłych przemian, posłużyła za "katalizator zmian", wszyscy jednak niewzruszenie utrzymywali, że sprzyjające warunki pojawiły się już na długo przedtem. (Nawet teraz pośpiesznie przetrząsali archiwa, szukając dowodów na istnienie owych warunków). Komentatorzy zaczęli mówić o Nowej Ameryce, o Porządku Nowego Świata, o Nowym Konsumpcjonizmie.

A jednak, chociaż cały kraj pogrążył się w ekonomicznej niepewności -- "czekają nas wielkie zmiany", jak z poważną miną i marszem na czole wypowiedział się prezydent na temat upadku przemysłu tytoniowego i monopolowego -- nastąpił spadek przestępczości. Oczywiście nadal można było kupić wódę i zabić przypadkowego przechodnia przy użyciu broni palnej, lecz była to już tendencja spadkowa -- i to bardzo wyraźna. Narkomanom rozdano egzemplarze książki Tupaka Soiree. Anonimowi Alkoholicy splajtowali. Zaczęto zamykać oddziały detoksykacyjne.

-- To bardzo smutny dzień -- powiedział rzecznik jednej z największych w kraju sieci ośrodków odwykowych. -- Z powodu braku klientów byliśmy zmuszeni zamknąć prawie wszystkie oddziały. Nastąpiły czarne dni.

Zemsta pewnych grup była już tylko kwestią czasu.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Edwin Vincent de Valu napędzał samochód swej żony głównie za pomocą przekleństw. Przeklinał i lżył tego ofermowatego, dwudrzwiowego hatchbacka, wciskając i puszczając sprzęgło, z szarpaniem i co chwila gasnącym silnikiem jadąc przez osiedla mieszkaniowe South Central Boulevard. Wkrótce poszerzył swój zakres i zaczął przeklinać również przypadkowych przechodniów, psy, a także roślinność.

Nienawidził samochodu Jenni, tak samo jak nienawidził jej samozadowolenia i jej kota.

Był zbyt wesoły (samochód, nie kot, który był wielkim, przekarmionym, rozpieszczonym leniuchem). Żółty samochodzik Jenni w ogóle nie miał charakteru.

Włókł się niemilosiernie i nie ryczał. Edwin wolałby ryczące auto. W samochodzie jego żony wszystko było idiotyczne -- nawet klakson. Zwłaszcza klakson. Wciśnięty pięścią wydawał z siebie radosne "tu-tut", które doprawdy nie oddawało uczuć, jakie cię ogarniały, gdy ktoś blokował ci drogę i musiałeś na niego ryknąć. "Tu skurwysynu! Tu-tut". To psuło klimat.

Chociaż właściwie nie musiał walczyć z korkami. Wręcz przeciwnie. Wyprawa do supermarketu zazwyczaj oznaczała mniej więcej sześć przypadków grożenia śmiercią, cztery prawie śmiertelne stłuczki i przynajmniej jedną pięść podsuniętą pod nos. Dzisiaj na ulicach panował spokój. Ani śladu awantur na jezdni. Śpiewały ptaki. Świeciło słońce. Coraz więcej osób podróżowało pieszo -- wielka szkoda, bo kiedy o czwartej w niedzielne popołudnie, akurat wtedy gdy oglądasz powtórkę ulubionego serialu, żona wysyła cię do supermarketu po kozieradkę, to właśnie wtedy człowiek ma ochotę na stanie w korkach, choćby po to, by znaleźć usprawiedliwienie dla swego rozdrażnienia. Ale dzisiaj ulice były tak spokojne jak reklama w telewizji. Przez liście sączyły się promienie słońca, chodnikami przechadzali się zakochani. Edwin zaparkował przed Holistycznym Radosnym Słonecznym Imperium Zdrowej Żywności (przedtem: centrum handlowe). Na parkingu nie stał ani jeden samochód, ale w sklepie panował tłok. Nikt się nie śpieszył, wszyscy leniwie krążyli między półkami, powoli odbierali resztę i

spokojnym krokiem wychodzili.

-- Żyj! Kochaj! Ucz się! -- powiedział kasjer o rzadkiej bródce, kiedy Edwin wypadł ze sklepu z paczką naturalnej, ręcznie zbieranej kozieradki.

Na zewnątrz koło Edwina zatrzymał się samochód. Kierowca nie zgasił silnika.

-- Dziwne -- powiedział Edwin. -- Cały parking jest pusty, dlaczego ktoś zaparkował akurat koło mnie? -- Z auta wysiadło trzech mężczyzn w jedwabnych garniturach.

Stanęli, ze skrzyżowanymi rękoma, czekając na Edwina.

-- Hej! -- wykrzyknął. -- Opieracie się o mój samochód.

Pojawił się jeszcze jeden, uśmiechnięty, piegowaty japiszon odziany w tenisowe pastele, sweter zawiązał wokół ramion ze starannie zaaranżowaną nonszalancją.

-- Cześć! -- powiedział, robiąc krok do przodu i uśmiechając się szeroko. -- Edwin de Valu, czyż nie tak? Jakże się pan miewa? Wspaniały dzień, prawda? Aż chce się żyć.

Edwinowi zapaliło się w głowie światelko ostrzegawcze.

-- Czy my się znamy?

-- Mam na imię Jay. -- Mężczyzna wyciągnął rękę. Nawet uścisk jego dłoni był radosny. -- Powiedzmy, że zajmuję się na zlecenie rozwiązywaniem problemów.

-- To znaczy?

Uśmiech mężczyzny utracił swą łagodność.

-- To znaczy, że zajmuję się na zlecenie rozwiązywaniem problemów. -- Zapadła niepokojąca chwila ciszy, podczas której mężczyzna wbił wzrok w oczy Edwina.

-- No, ale dosyć o mnie. Porozmawiajmy o panu, dobrze?

Edwin de Valu. Żonaty. Bezdzietny. Pracuje w wydawnictwie Panderic Inc., które znajduje się teraz na samym topie. Zamieszkały przy South Central numer sześćset sześćdziesiąt osiem.

-- O co chodzi? Skąd pan wie, kim jestem?

Uśmiechnięty mężczyzna o piegowatej twarzy i oczach snajpera spojrzął ponad ramieniem Edwina na parking.

-- Słuchaj, Ed -- mogę cię nazywać "Ed"? Może byśmy się udali w bardziej ustronne miejsce? Na przykład do jakiegoś opuszczonego magazynu przy dokach, gdzie nikt nie usłyszy twojego błagalnego wołania o pomoc?

-- Klepnął Edwina w ramię. -- Edwin, nic się nie martw. Ja tylko żartuję. -- Zniżył głos. -- A teraz, kurwa, wsiadaj do samochodu.

Otworzyli drzwi.

Edwin zrobił krok do tyłu, ale jeden z wynajętych bandziorów znalazł się za nim i Edwin poczuł na plecach wielką górę mięsa, lodówkę wepchniętą w jedwabny garnitur. Mężczyzna złowieszczym gestem położył ciężką dłoń na jego ramieniu.

-- Nigdzie nie pójdziesz, kolego.

Edwin się szarpnął. Dał nura w dół, zrobił unik i pobiegł w ślepią uliczkę. Cholera!

Na końcu alejki za sklepem ze zdrową żywnością stało ogrodzenie z siatki. Jak pointa wyjątkowo kiepskiego dowcipu.

Mężczyźni ruszyli za nim w milczeniu, bez pośpiechu, jak gdyby zakończenie było z góry przesądzone, a oni tylko postępowali zgodnie ze scenariuszem.

-- Ostrzegam -- powiedział Edwin, kiedy go osaczyli. -- Jestem podatny na siniaki.

Rozdział trzydziesty

Edwin odzyskał przytomność w ciemnościach.

Twarz miał gorącą i spoconą od własnego oddechu, na głowę naciągnięto mu ciężki płócienny worek. Kręcił nią na boki, by się uwolnić, co jednak mu się nie udało. Czuł klaustrofobię i przerażenie.

Kroki. Stłumione głosy. Nagłe szarpnięcie za szyję i zerwano mu worek z głowy.

Edwin zdezorientowany zamrugał oczami. Naprzeciw siebie widział rząd świateł, za nim -- postaci w mroku. Czuł zapach morza i słyszał jego szum. Wokół niego w wysokich stosach stały skrzynie. Kiedy usiłował się oswobodzić, okazało się, że ręce ma związane z tyłu. Gdy się odezwał, z jego wyschniętego gardła wydobyło się skrzeczenie.

-- Gdzie ja jestem? -- spytał.

Na drugim końcu pomieszczenia rozległ się śmiech.

-- A nie mówiłem? Pierwsze pytanie zawsze brzmi tak samo. "Gdzie ja jestem?".

Pamiętacie, jak stłukliśmy Colonego? Nawet wtedy, kiedy mu przywiązywaliśmy pustaki do klatki piersiowej i zakładaliśmy na głowę plastikową torbę, ciągle powtarzał: "Gdzie ja jestem? Gdzie ja jestem?". Jakby to miało jakieś znaczenie. -- Znowu śmiechy.

Z cienia wystąpił piegowaty mężczyzna. Na jego twarzy malowała się nikczemność i do cna nieszczerze współczucie.

-- Panie de Valu, chciałbym przeprosić za dość stereotypowe skorzystanie z pomocy bandziorów. Osobiście wolę subtelniejsze środki, ale niestety żyjemy w ciężkich czasach. Coraz trudniej o dobrych pomocników. Zwłaszcza przy tej modzie na dobroć.

Papierosa?

-- Próbuję... próbuję rzucić.

-- I słusznie. Palenie zabija. -- Piegowaty zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i niemal transcendentalnie, po czym rzucił niedopałek na podłogę. Wydmuchnął kojącą chmurę niebieskiej śmierci i niedbałym ruchem, jakby sięgał po pióro, wsunął rękę pod kurtkę i wydobył nieuchronny rekwizyt. Przycisnął lufę do skroni Edwina.

-- Edwinie, powiedz mi, lubisz hazard?

-- Nie, nie bardzo. Czasami kupuję sobie zdraпки, ale... -- Umilkł.

Piegowaty pokiwał głową.

-- I dobrze, bo twoje szanse na ujście z życiem i ze wszystkimi kończynami oceniłbym na żerowe. -- Cofnął pistolet, schował go do kabury i spytał: -- A teraz zapalisz?

Edwin kiwnął głową, oniemiały z rozpaczy. Mężczyzna, gestem niemalże czułym, włożył mu papierosa do ust i kciukiem potarł zapalnik o draskę.

-- Poluzować sznur? -- odezwał się jakiś głos z boku.

-- Edwinie, poznaj jednego z moich młodszych współników: Sam "Wąż" Żmija. Jest młody i głodny, to najgorszy typ małolata: chce sobie coś udowodnić. Uważaj więc, żeby go nie wkurzyć.

Sam wystąpił do przodu. Był to nerwowy małolat nękany różnymi tikami, które maskował udawaną brawurą.

-- Mam go zabić szybko czy wolno, standard czy coś ekstra?

Piegowaty westchnął.

-- Na razie tylko go rozwiąż, okay? Logistyką zabijania zajmiemy się później. Nie wszystko na raz. -- Pokręcił głową i uśmiechnął się do Edwina, jakby chciał powiedzieć: "Ach, te dzieci".

Kiedy Sam uwolnił go z więzów, Edwin roztarł nadgarstki i rozejrzał się, próbując rozpoznać okolicę. W tle widział inne postaci, na w pół oświetlone i spowite w chmurę dymu. Przed nimi, w półkręgu, siedziało na krzesłach czterech mężczyzn. Milczeli; światło padało na nich z tyłu, pogrążeni więc byli w mroku.

Piegowaty pochylił się nad Edwinem. Był tak blisko, że Edwin wyczuł zapach tytoniu i wody po goleniu.

-- Panie de Valu, czy to pan jest tą gwiazdą, która wylansowała książkę pod tytułem Czego dowiedziałem się na gorze? Proszę nie kłamać, bo już znamy odpowiedź.

-- Tak, to ja ją redagowałem, ale nic poza tym. Naprawdę powinien się pan zwrócić do samego autora. Z wielką chęcią podam panu jego adres, mógłbym nawet narysować mapkę. Mieszka w Paradise Flats, tuż za... nie, zaraz, wyprowadził się stamtąd. Koło Boulder, gdzieś w górach buduje sobie rezydencję w stylu hinduskim. Z pewnością to jego powinien pan słuc, nie mnie.

-- Niestety pan Soiree ma całą brygadę wyszkolonych ochroniarzy, którzy pilnują go dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pan -- tu mężczyzna zaśmiał się wbrew sobie -- ma żółtego chevette.

-- Właściwie to samochód mojej żony.

-- Panie de Valu, ta pańska książka naraziła wiele osób na poważne straty finansowe. Zmniejszyła się sprzedaż papierosów. Spada spożycie alkoholu. Drastycznie spadł popyt na narkotyki. Każdy z tych dżentelmenów przed panem w dużym stopniu ucierpiał z powodu pańskich poczynań. Pozwoli pan, że ich przedstawię. Od lewej do prawej: pan Davies z Instytutu Tytoniowego, pan Brothman z Komisji Monopolowej oraz pan Ortega z Kolumbijskiego Kartelu Narkotykowego i Programu Wymiany Kulturalnej.

-- A... a ten ostatni pan?

-- Och, to pan Wentworth. Prowadzi sieć ośrodków odwykowych dla alkoholików i narkomanów. Jak może pan sobie wyobrazić, tak samo jak pozostali jest uzależniony od ciągłości konsumpcji używek. Panie de Valu, jest pan winien tym dżentelmenom miliony dolarów utraconych dochodów.

-- Czy już za późno, żeby powiedzieć, że jest mi strasznie, przeokropnie przykro?

-- Hej! -- wtrącił się Sam. -- Nie bądź taki cwany. Nie wiesz, z kim rozmawiasz?

Jestem Sam "Wąż" Żmija. Wyrwę ci serce i je zjem.

Zapadła długa przerażająca cisza. Edwin zaczął się wiercić. Wiedział, że nie powinien się odzywać, ale nie mógł się powstrzymać.

-- Yyy, wiem, że to nieistotne, ale przemawia przeze mnie redaktor. Jeżeli ma pan na nazwisko Żmija, to po co panu przydomek "Wąż"? Zbędne powtórzenie, prawda?

Kiedy Edwin odzyskał przytomność, leżał na stole, przywiązany do blatu, a nad nim świeciła mocna żarówka.

-- Gdzie ja jestem? -- spytał.

-- Panie de Valu -- powiedział piegowaty. -- Jeżeli nie zaczniesz mi pan udzielać sensownych odpowiedzi, Sam odgryzie panu po kolei wszystkie palce. A kiedy skończy, Lewis zabierze się za pańskie palce u nóg.

-- Kurde -- z boku rozległ się głos Lewisa. -- Dlaczego mi zawsze dostają się palce u nóg?

-- Proszę posłuchać -- powiedział Edwin. -- Musi mi pan uwierzyć. W pracy nie mam na nic wpływu. Jestem pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia. Jestem tylko malutkim trybikiem w ogromnej maszynie. Nie mogę zatrzymać pras drukarskich i nie mogę wycofać książki ze sprzedaży. Powinniście się zwrócić do Leona Meada. To jemu powinniście odgryźć palce, nie mnie. W Pandericu rządzi pan Mead, to on podejmuje wszystkie decyzje.

A przy okazji moglibyście też porwać i sterroryzować niejakiego Nigela. Tak samo jak ja jest redaktorem, ale ma wyższe stanowisko.

Westchnienie.

-- Pańskie próby pogrążenia kolegów z pracy budzą we mnie smutek i trwogę.
-- We mnie też, ale musi pan przyznać, że warto było strzelać. Oczywiście nie dosłownie.
Proszę. Jestem pewien, że wymyśli pan jakieś...

-- Czas powiedzieć dobranoc, panie de Valu.

-- Nie, nie, nie, nie, nie, Boże, nie! (Edwin wypowiedział te słowa bez przecinków, zabrzmiało to bardziej jak histeryczny wybuch: nienienienienieBożenie!). Nic wam to nie da, jeżeli mnie zabijecie! Jeżeli mnie wypuścicie, mogę wszystko odkręcić. Jestem pewien, że się uda. Przekonam pana Meada, żeby wycofał książkę ze sprzedaży.

Wszystko odwołamy, przemielemy bieżący nakład i wstrzymamy druk kolejnego.

Słowo daję, mogę odwrócić ten trend. Słuchajcie, jako trup do niczego się wam nie przydam. Ale jako żywy człowiek, nad którym wisi groźba śmierci, mogę wam pomóc.

I pomogę. Proszę, dajcie sobie pomóc.

Piegowaty przerwał przesłuchanie, by przeprowadzić krótką naradę z ludźmi od tytoniu i alkoholu. Edwin słyszał, jak przytłumionymi głosami coś ustalają, pochrząkując i pomrukując na kilka głosów, a potem: -- Panie de Valu, jesteśmy gotowi dać panu tydzień. I to wszystko. Ma pan jeden tydzień na przekonanie pana Meada, by wycofał z druku tę... tę książkę. Jeden tydzień na naprawienie sytuacji. Ostrzegamy: wiemy, gdzie pan mieszka. Znamy imię pańskiej żony. Znamy nawet imię pańskiego kota.

-- Och, nie. Tylko nie kot. Nie pan Muggins. Błagam, róbcie, co chcecie, tylko nie zabijajcie kota, choćby tylko po to, żeby mnie ostrzec lub przestraszyć. Nie, proszę, nie zabijajcie kota, chociaż z pewnością wiele by mi to powiedziało i wtedy traktowałbym was o wiele poważniej. Tylko nie kot, wszystko, tylko nie kot.

-- He, he, he -- powiedział Sam. (Lub coś w tym rodzaju).

Rozdział trzydziesty pierwszy

-- Edwin, co tak długo? Nie było cię całe dwa dni.

Pamiętałeś przynajmniej, żeby kupić kozieradkę?

Edwin, ślaniając się, wszedł do domu, w stanie szoku i cały roztrzęsiony. Wyrzucili go z samochodu tuż za granicą stanu i przez ostatnie dwa dni jeździł autostopem i nocował w kanałach.

Jenni obejrzała go od stóp do głów.

-- Co ci się stało?

-- Zostałem porwany, pobity, a następnie wyrzucony z jadącego samochodu.

-- Och, nieźle. Zanim zapomnę, Alice i Dave z domu obok przychodzą na kolację.

Więc się uwijaj i oporządź, zanim się pojawią.

Edwin nie ruszył się z miejsca, dziwując się brakiem spostrzegawczości żony, jej żelaznemu postanowieniu, by nic nie zmąciło spokoju życia. Dziwował się tej kobiecie, którą poślubił.

-- Chanie, czy wspomniałem, że mafia wydała wyrok na moje życie? No, może nie mafia per se. To bardziej kartel dyrektorów z branży tytoniowej, monopolowej i odwykowej. Został mi tylko tydzień życia. Wrzucili mnie do bagażnika, kilkakrotnie uderzyli w głowę bardzo twardymi przedmiotami i wywieźli poza granice stanu.

-- Kooochaanie? -- powiedziała takim tonem, jakby zwracała się do wyjątkowo nierozgarniętego dziecka. -- Już mi to mówiłeś, pamiętasz? A teraz... -- Wykonała mały piruet i zmarszczyła brwi na widok odbicia swojej pupy w lustrze. -- Wyglądam grubo?

Rozdział trzydziesty drugi

Gdybyś we wczesnych godzinach porannych w ponury poniedziałek zatrzymał się na pewnym odcinku pewnej autostrady w pewnym rejonie Bayou i nadstawił ucha -- ale tak naprawdę bacznie -- usłyszałbyś skrobanie przebijające się przez kumkanie żab i szum wiatru w drzewach Shilo. Cichutkie skrobanie. Tak słabe, że można by go nie dosłyszeć. Gdybyś jednak wszedł w wiszące winoroślą i lasy porośnięte mchem, gdybyś przycisnął ucho do mokrego torfu, zamknął oczy i się skupił, usłyszałbyś odgłos skrobania dobywający się gdzieś z głębi ziemi. Nikt nie wie, kto wysłał doktorowi Alastarowi egzemplarz Czego dowiedziałem się na górze. Nikt nie wie, czy miał to być gest ironiczny czy naprawdę szczery. Tak czy siak, książka nie zadziałała. Doktor Alastar (lepiej znany jako "pan Etyka") wpadł w dziki szał. Najpierw rzucił książką o ścianę swej celi, potem ją podniósł i cisnął raz jeszcze. Następnie ją kopnął. Potem oddał na nią mocz. I wreszcie podpalił. (Prawdę mówiąc, po tym, jak oddał na nią mocz, książka nie za bardzo chciała się palić. Ale udało mu się lekko osmalić okładkę). Na koniec, we wspaniałym i symbolicznym finale, nasz dobry doktor złamał jej grzbiet i spuścił

książkę w toalecie. Czy też raczej usiłował to zrobić. Książka zaklinowała się w połowie drogi, a kiedy doktor chciał ją splukać, zapchała się cała kanalizacja. Niedobrze, gdyż oznaczało to, że musiał przyjść strażnik z mopem i wytrzeć podłogę oraz trzeba było wezwać hydraulika, który rozkuł ścianę, wyciągnął fragment rury, zainstalował go z powrotem i załatał dziurę w ścianie.

Strażnik szczególnie się ucieszył z takiego stanu rzeczy. Jako człowiek mało elokwentny wołał wyrazić swe niezadowolenie raczej za pomocą czynów, nie zaś słów.

Wcisnął mokrego, ociekającego wodą mopa panu Etyce w twarz.

-- Fajnie? -- spytał. -- Fajnie? Nie bardzo, nie?

Tej nocy, gdy nad okręgiem Bayou wzeszedł białoniebieski księżyc, biedny doktor leżał na swej pryczy, oddając się fantazjom na temat zemsty i kary. Następnego dnia był

poniedziałek, co oznaczało dziesięć godzin ciężkich robót, podczas których więźniowie byli skuci jednym łańcuchem, a następnie program terapeutyczny polegający na wyszywaniu makatek i uprawianiu innych rodzajów sztuki oraz rzemiosła. Pan Etyka nienawidził więzienia. Nienawidził łańcuchów. Nienawidził prysznicznic pod węzami strażackimi. Nienawidził niekończących się sesji rozwijania świadomości i terapii, której głównym elementem było przytulanie się do współwięźniów. Kiedy tak leżał, rozgoryczony i rozgniewany obrotem, jaki przybrało jego życie, usłyszał ciche "plum" -- podobne do dźwięku, jaki wydaje banjo, gdy się trąci jego struny. Pan Etyka przekręcił

się na bok i zapatrzył w mrok, aż zaczęły się z niego wyłaniać szczegóły otoczenia. Pod rurami toalety nabrzmiewała kropla wody, która następnie spadała. Plum.

Pan Etyka podczołgał się do sedesu, przykucnął i znalazł źródło przecieku. Kiedy przebiegł palcem po uszczelce w miejscu, gdzie rura wchodziła w ścianę, odkrył, że kit jest jeszcze miękki. Następnie sprawdził podstawę sedesu. To samo. Szpachlówka jeszcze nie stwardniała, tak samo zaprawa murarska wokół świeżo wstawionych cegiełek. Tynk ugiął się pod palcami jak camembert. Pan Etyka zaczął się cicho śmiać do samego siebie. (Jak później ujawniło śledztwo, hydraulik, który miał naprawić pęknięte rury i sedes, użył niewłaściwego rodzaju masy uszczelniającej: nie szybkoschnącej, tylko dość taniego gipsu wymieszanego z kauczukiem).

Pan Etyka jest mężczyzną niewielkim, niemal drobnym, lecz z całą pewnością nie słabym. Napał plecami na sedes, aż ten się przesunął. Wąż się skręcił, ale wytrzymał.

(Gdyby pękł, powódź mogłaby zaalarmować strażników, którzy podczas obchodu natknęliby się na kałużę. Ale nie, po raz pierwszy od dawna, od bardzo dawna, panu Etyce dopisało szczęście). Wygramolił się z powrotem spod sedesu, na wypadek, gdyby ktoś wpuścił światło do jego celi, upchnął pod kocem na pryczy tobołki ze zwiniętego ubrania, po czym, bez zbędnych ceregieli, wślizgnął się pod skórę budynku i uciekł.

Przytulony do rur, przepychał się przez jelita kanałów więzienia. Rozumował, że woda spływa w dół, a ścieki więzienia z pewnością są wypompowywane na bagna lub do oczyszczalni ścieków. Rura, którą podróżuje, z pewnością rozszerza się na końcu, gdzie przyłącza się do niej coraz więcej odnóg. Jedyne światłem była pomarańczowa poświata z tablic rozdzielczych i malutka latareczka, którą pan Etyka trzymał w zębach.

Naczelnik więzienia wydał mu zezwolenie na tę maleńką lampkę. Żarówka była z twardego plastiku i dawała słabe światło, ale w głębinach mokrych tuneli pod Więzieniem Filoxum 901 była jak dar od Boga, jak palec anioła wskazujący drogę.

Tak więc doktor Robert Alastar (vel pan Etyka, vel trzykrotny, skazany morderca) prześlizgiwał się, czołgał i parł ku wolności. Ostatnią przeszkodę musiał wydłubać ręką.

(Na miejscu rur pojawiło się obrzydliwe zielone słonawe bajoro, więc pan Etyka postanowił wydostać się bokiem). Ziemia z łatwością ustępowała, kiedy wydłubywał ze ściany wielkie, mokre grudy, i wreszcie wydostał się na wolność. Znalazł się w mroku przed świtem, czując się niczym jagnię urodzone przy świetle księżyca.

Charcząc i kaszłąc, doktor otarł czarną ziemię z twarzy i oczu. Słyszał dobiegające z oddali chlupanie, podążył za tym dźwiękiem i wszedł do wody. Słońce malowało niebo na brzoskwinowy odcień, a pan Etyka dokonywał pradawnego aktu chrztu, ochlapując się wodą, zmywając z siebie błoto, ziemię, zmywając ze skóry samo więzienie.

-- Ho, ho, ho! Czyż to nie dobry doktor we własnej osobie?

Pan Etyka skamieniał. Potem odwrócił się i zobaczył, że nie jest sam. Ktoś siedział na brzegu, obserwując go. Przed nim tkwiła wędka, żyłka leżała luźno na wodzie rozlewiska.

-- Bubba? -- spytał pan Etyka.

Niewzruszonym wzrokiem patrzył na niego jeden z najpodlejszych strażników, jakich kiedykolwiek wydał system więzienniczy.

-- Cóż za interesujący widok -- powiedział Bubba.

Przez chwilę, przez straszliwą chwilę, podczas której wnętrzności mu się skręcały, pan Etyka stał po kolana w wodzie, naprzeciwko Bubby na brzegu, i gorączkowo usiłował podjąć jakąś rozsądną decyzję. Oczywiście musiał zabić Bubbę, ale jak?

Strażnik był wyszkolony i dwa razy większy od niego. Zamordowanie poborców podatkowych było proste. Pan Etyka zatłukł ich na śmierć przy użyciu ich własnych dyplomatek, a sąsiedzi sami zaproponowali, że pomogą mu ukryć ciała. "Mówi pan, poborca podatkowy? Nie ma sprawy. Tylko poleć po łopatę".

Z Bubbą sprawy miały się gorzej. Może doktorowi udałoby się wyrwać mu wędkę i nadzieć na nią Bubbę jak na oszczep...?

-- I jak tam? -- spytał, grając na zwłokę. -- Złowiłeś coś?

-- Nie. Patrzę tylko, jak fruują świetliki i skaczą sumy.

-- W więzieniu długo cię nie widziałem. Bubba pokiwał głową.

-- Rzeczywiście. Właściwie już tam nie pracuję. Któregoś dnia po prostu wstałem i poszedłem na ryby.

-- Właśnie widzę.

-- Nie, nie "poszedłem" na ryby, tylko "poszedłem". Tutaj. -- Poklepał się po piersi. --

Poszłem na ryby w swoim sercu.

-- Rozumiem. No, miło się rozmawiało. Chyba będę się już zbierał. Wiesz, niedawno wyszedłem na zwolnienie warunkowe.

-- Czyżby? Przed chwilą widziałem, jak wylazłeś z tamtej dziury nad brzegiem. Nie wygląda mi to na zwolnienie warunkowe. Gdybym nie znał cię lepiej, powiedziałbym, że próbowałeś uciec.

-- Nie, nie. Nie ma mowy o ucieczce, Bubba. Ja tylko... no wiesz, zrobiłem sobie przerwę. Poszłem na ryby.

Bubba z zamyśleniem pokiwał głową. Przez jakiś czas bawił się żyłką.

-- Doktorku, obiecasz mi coś?

-- Wszystko.

-- Obiecasz mi, że kiedy tylko już sobie odpoczniesz, kiedy naoliwisz łożyska kulkowe swojego życia, zaraz wrócisz do więzienia? Sam się zgłosisz? Obiecasz mi to?

Dasz mi słowo?

-- Jasne. Nie ma sprawy.

-- Na pewno?

-- Ja bym miał cię okłamywać? Daj spokój, przecież jestem panem Etyką.

Bubba uśmiechnął się szeroko.

-- Zaufanie jest darem, gdy nim obdarzamy, nie zaś gdy je zdobywamy. Strona czterdziesta siódma. A to prawda, bez dwóch zdań. Prawda przez duże P. Słuchaj, potrzebujesz trochę kasy? A może cię gdzieś podwieźć?

Pan Etyka zawahał się, rozważając, do jakiego stopnia może wykorzystać swój fart.

-- Przydałoby mi się trochę pieniędzy i transport do miasta. I może nowe ciuchy.

-- Pewnie. Idę po furgonetkę. Wiesz, strasznie cię przepraszam za te szczegółowe rewizje i brutalność. Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy.

-- Oj tam -- powiedział pan Etyka, cytując Spinozę czy też może świętego Tomasza z Akwinu. -- Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

-- Dokąd się wybierasz? -- spytał Bubba, kiedy wdrapywali się na brzeg.

-- Och, powiedzmy, że na spotkanie -- odparł pan Etyka. Spotkanie na Grand Avenue -- z pewnym wydawcą w pewnym gabinecie w pewnej firmie, która zostawiła pana Etykę na lodzie. Zbliżał się czas zemsty.

Rozdział trzydziesty trzeci

Okazało się, że Edwin jednak był hazardzistą. Po prostu nie wychodziło mu to zbyt dobrze. Dowodem na to był fakt, że pokładał nadzieje w tym, co mówili ludzie z marketingu. Prawdę mówiąc, zawierzył swoje życie mądrości emanującej z marketingu, co tylko podkreślało jego desperację. (Pod względem wiarygodności, marketing znajduje się zaledwie o oczko wyżej od wróżby z wnętrzości kurczaka).

Edwinowi został tydzień życia -- chyba, że udałoby mu się przekonać pana Meada do wycofania książki ze sprzedaży. Co było niemożliwe. Za późno. Panderic już wydał

licencję na sprzedaż kilkunastu adaptacji i projektów inspirowanych dziełem Tupaka.

(Co dziwne, pan Soiree wykazywał podejrzany brak zainteresowania pisaniem kolejnych książek. "Oj nie. Niechaj promienne słowa innych wędrowców spełnią tę wspaniałą misję.

Niechaj inni autorzy poprowadzą tę krucjatę. Ale ja dalej będę dostawał piętnaście procent od sprzedaży, prawda? Czyli od zysków brutto według ceny katalogowej, zgadza się?).

Poradnik Czego dowiedziałem się na gorze zbudował cały samonapędzający się przemysł.

Książka ta przypominała jakiegoś mitycznego potwora, niezwykłego smoka o tysiącu głowach. Gdyby jednak Edwin mógł udać się do pana Żmii i całej reszty, uzbrojony w imponujące wykresy i skomplikowane wyniki sprzedaży, gdyby mógł ich przekonać, że sprzedaż Czego dowiedziałem się na górze już osiągnęła szczyt i powolutku zaczyna spadać, może ocaliłby życie i większość kończyn. Musiałby przekonać do tej wizji swych niedoszłych zabójców. "Panowie, ta tendencja już znika.

Moda minęła. Wróciły szczęśliwe czasy!". Byłaby to najlepsza prezentacja w jego życiu. I sprowadziłaby się do tego, co mu mówili ludzie z marketingu.

To, co się zaczęło od uwagi rzuconej w przelocie w bufecie ("Sprzedaż książki Tupaka Soiree kiedyś w końcu musi osiągnąć szczyt!"), wkrótce stało założeniem roboczym ("Podobno sprzedaż książki Soiree lada dzień ma osiągnąć szczyt"), aż wreszcie utrwaliło się w niepodważalne twierdzenie ("Sprzedaż Czego dowiedziałem się na górze osiągnęła szczyt. Zdecydowanie").

Potrzebny był już tylko oficjalny raport usiany tabelkami i wykresami jak z elektrokardiografu, ukazującymi nieuchronność spadku sprzedaży. W marketingu właśnie pracowano nad tym sprawozdaniem. Edwin odetchnął głęboko, zebrał myśli i powiedział sobie w duchu: "Może mi się uda". Już ćwiczył przemowę, jaką zamierzał

wyłosić przed panem Żmiją i całą resztą, gdyby znowu go złapali: "Panowie, gdybyście łaskawie zechcieli spojrzeć na wykres nad panów głowami...". (Odnosił w pamięci: "Dopilnować, by podczas prezentacji mieć pod ręką ekran").

Ale wtedy wszystko zaczęło się wyjaśniać.

Problem, jak wiele innych, zaczął się od pojedynczego, lekkiego ukłucia: pozornie drobnej zmiany w świadomości, pozornie nic nieznaczącego szczegółu, który pozostaje prawie niezauważony, dopóki człowiek się na nim nie skupi, gdyż wówczas pojawia się wraz ze wszystkimi strasliwymi konsekwencjami. W przypadku Edwina zaczęło się wtedy, kiedy wrócił do domu wykończony (znowu), kopnął kota (znowu, bo panu Mugginsowi jakimś cudem udało się umknąć całym plutonom zamachowców z cosa nostra), wypił piwo (znowu) i poczłapał do salonu, gdzie na powitanie (znowu) usłyszał

te same znajome słowa:

-- Wyglądam grubo?

-- Nie -- westchnął. -- Wyglądasz świetnie.

Nagle, gdy już miał się powlec pod prysznic, w całej okazałości dotarło do niego strasliwe znaczenie jej słów. Odwrócił się.

-- Dlaczego pytasz? Dlaczego ciągle mi zadajesz to pytanie? -- W jego głosie brzmiała panika.

Jenni zamrugła.

-- O czym ty mówisz, mój ty zrzędo? -- Zmarszczyła nosek i słodko wydeła usta, ale tym razem to nie zadziało.

-- Jenni, dlaczego ciągle mnie pytasz, czy wyglądam grubo? Dlaczego? Przecież czytałaś książkę Tupaka Soiree. Czytałaś te fragmenty o samodoskonaleniu się i akceptacji swojego wyglądu jako afirmacji własnego ja. O życiu wewnątrz swego ciała, a nie wbrew niemu. Czytałaś o tym, że powinno się dążyć do takiej wagi, która zapewnia zdrowie i dobre samopoczucie, a nie tej, którą dyktuje społeczeństwo. Na miłość boską, Jenni, dlaczego ciągle mnie o to pytasz? Dlaczego się obawiasz, że mogłabyś wyglądać grubo? Odpowiedz mi! -- teraz już krzyczał. Doskonale znał

odpowiedź i zdawał sobie sprawę z jej strasliwych i dalekosiężnych konsekwencji.

-- Edwin, uspokój się. Jeszcze nie doszłam do tej części. Chciałam, ale nie zdążyłam.

Najpierw przeczytałam fragment o Li Bok i organizacji zajęć. Wypróbowałam przepis na gulasz z rzepy, ale nie doszłam do części o diecie czy chudnięciu. Chciałam, ale po prostu nie znalazłam wolnej chwili.

-- Wolnej chwili? Wolnej chwili? Na miłość boską, przecież pracujesz w domu. Masz całe mnóstwo wolnego czasu! Płacą ci za siedzenie z założonymi rękami!

-- Zamierzałam wziąć się do tego jutro. Jutro chciałam skończyć tę książkę. Nie rozumiem, dlaczego się tak denerwujesz.

Edwin powlókł się do przedpokoju, czując, jak go oblewa zimny pot.

-- Odkładają to na później -- powiedział. -- Nie wziąłem tego pod uwagę. Już jestem trupem. Już nie żyję. Zabiją mnie, poćwiartują i rzucają rybom na pożarcie. To już koniec.

Już po wszystkim. Nie żyję. -- Powtarzał to na okrągło, jak mantrę, jak pieśń żalobną: -- Nie żyję. Jestem trupem.

-- Możesz przestać? -- Jenni stanęła w wejściu do przedpokoju i spojrzała na swego załamane go męża. -- Psujesz mi nastrój.

-- May -- powiedział Edwin. -- Muszę porozmawiać z May.

Wypadł z domu jak człowiek uciekający z płonącego budynku. Przebiegł siedem przecznic aż do hotelu Devonian, pod którym stał rząd taksówek. Wskoczył do pierwszej, wykrzyczał adres May i dodał: -- Tylko szybko!

-- Ach. -- Kierowca odwrócił się z błogim uśmiechem. -- Nasze pragnienia ani nie powstrzymają, ani nie przyspieszą biegu czasu. Czas istnieje niezależnie od wszystkiego, płynie we własnym tempie.

Edwin dziko wytrzeszczył pełne nienawiści oczy.

-- Pan czytał Tupaka Soiree.

-- Tak jest. -- Kierowca pokazał mu książkę z ohydłą, znajomą okładką w tandetnej dwukolorowej tonacji i z tytułem wydrukowanym nudną czcionką Verdana, zalewając Edwina stekiem banałów. -- Jestem już prawie w połowie. Człowiekowi oczy się otwierają.

-- Niech pan mnie posłucha -- powiedział Edwin. -- Jeżeli nie chce pan, żebym mu wepchnął tę książkę do gardła, proszę mi tu nie sypać cytatami, tylko wcisnąć gaz do dechy.

-- Wysiadać.

-- Co? Nie może pan tego zrobić.

-- Wysiadać. Dla osoby, która znieważa Tupaka Soiree, nie ma miejsca w mojej taksówce. No, wynocha. Wynocha!

Edwinowi w końcu udało się znaleźć taksówkarza, który nie czytał tej książki ("Chciałem, ale po prostu nie miałem czasu") i już po zmroku zajechał pod dom May.

Dzwonił i dzwonił, przyciskając guzik brzęczyka o wiele mocniej, niż było potrzeba.

May właśnie robiła herbatę i czajnik zaczął gwizdać, kiedy Edwin wtargnął do środka, machając rękami i gwałtownie gestykulując.

-- Edwin, nie możesz tak wpadać bez zapowiedzenia -- powiedziała May, tuląc do siebie kota, mrużąc butelkę z gorącą wodą w futrzanym futerale. -- Mogłam mieć gościa.

-- Ale nie masz.

-- Tak, ale mogłam.

Zapadła krępująca cisza. Edwin z góry założył, że May będzie sama. I była. Sola'et casta. Sama i niewinna.

-- Mam dużo pracy do nadgonienia. -- Wskazała na niedokończoną krzyżówkę i otwarty program telewizyjny na stoliku. -- Chyba więc powinieneś już sobie pójść.

-- May, posłuchaj mnie. Stoimy u progu katastrofy. Na samym skraju przepaści.

Zupełnie jak byśmy jechali rollercoasterem, który lada chwila zacznie samobójczy zjazd. Jeżeli nie doprowadzimy do wykolejenia, napytamy sobie biedy. Słyszysz? Wielkiej biedy!

Czajnik darł się wniebogłosy -- tak samo jak Edwin. May wrzuciła do swojej filiżanki torebkę herbaty, zalała ją gorącą, bulgoczącą wodą i z surową miną odwróciła się do swego nieproszonego gościa.

-- Chcesz herbaty?

-- Co? Jasne. I tak robisz.

-- Dobrze. Na rogu jest kawiarnia. Idź i sobie kup, i pogadaj sam ze sobą jak jeden z tych ulicznych wariatów, w jakiego właśnie się przemieniasz, a mnie zostaw w spokoju.

-- Lenie, May. Zapomniałem o leniach. Nie rozumiesz? Wszyscy, którzy kupili tę książkę lub dostali ją w prezencie, ale jeszcze nie zabrali się do lektury. Pomyśl o milionach ludzi, u których książka jeszcze stoi na półce. To bomba zegarowa, May!

Cykająca bomba, która wybuchnie lada chwila. Przemiany, które widzieliśmy do tej pory -- przemysł tytoniowy, bankructwo przemysłu monopolowego -- to jeszcze nic, załedwie początek. W druku mamy prawie dziesięć milionów egzemplarzy, a to dopiero pierwsza fala. Najgorsze jeszcze przed nami.

-- Edwin, których słów nie rozumiesz w zdaniu "odpieprz się"?

-- May, wszystko wokół nas się zawali. Wszystko. Społeczeństwo, kraj, gospodarka.

To koniec życia. I to z jakiego powodu? Z powodu Tupaka Soiree i jego komputerowej recepty na szczęście. Powiedziałaś: "No więc ludzie będą szczęśliwi. Co w tym złego?".

May, cała nasza ekonomia opiera się na ludzkich słabostkach, na złych nawykach i lękach. Moda. Bary fast food. Sportowe samochody. Elektroniczne gadżety. Erotyczne zabawki. Ośrodki dietetyczne. Kluby pielęgnacji włosów dla mężczyzn. Ogłoszenia towarzyskie. Skrajne sekty religijne. Profesjonalne drużyny sportowe -- oto twoje drugie życie! Salony fryzjerskie. Kryzys wieku średniego u mężczyzn. Szał zakupów. Całe nasze życie zbudowane jest na wątpliwościach i braku satysfakcji. Pomyśl, co by się stało, gdyby ludzie byli naprawdę, szczerze szczęśliwi. Całkowicie zadowoleni ze swego życia. Nastąpiłby kataklizm. Cały kraj raptownie by się zatrzymał -- a jeżeli upadnie Ameryka, to czy w jej ślady nie pójdzie reszta świata Zachodu? Mówimy tu o globalnym efekcie domina. O końcu historii.

-- A więc Fukuyama miał rację -- powiedziała May. -- No i co? Mam inne problemy na głowie.

-- Na przykład jakie? -- wypluł z siebie Edwin. -- Co może być ważniejsze?

-- Na przykład, jak wyrzucić z mieszkania byłego kochanka, który zwariował.

To ochłodziło Edwina, który już się szykował do kolejnej tyrady.

-- Byłego?

-- Mam wezwać policję? Załatwić ci zakaz zbliżania się do mnie? Czy mam...

Wtedy pocałował ją w usta, mocno jak w filmie, jak wtedy, gdy w tle zaczyna grać muzyka, a fale rozbijają się o nieskazitelny brzeg w nieskazitelnym świetle. Całował ją długo i mocno, po czym przerwał i jak Errol Flynn uwodzicielsko zajrzał jej w oczy.

-- Wynoś się -- powiedziała May. -- I to już! Jeżeli spróbujesz jeszcze raz, każę cię aresztować.

-- Ale, ale...

-- Słyszałeś, co mówię?!

To tyle, jeśli chodzi o filmy.

-- Przez większą część życia budujemy misterne domki z kart, a potem czekamy, aż ktoś

grzmotnie w stół. Mamy nadzieję, że ktoś to zrobi. Żyjemy dniem wczorajszym.

Wstrzymujemy oddech. Mylimy wspomnienia o nas samych z tym, kim jesteśmy naprawdę...

May Weatherhill siedziała sama przy lampie w pustym pokoju, teatralnym szeptem czytając książkę.

-- Pewien poeta kiedyś napisał: "Skoro nie możemy kochać siebie tak samo, ja wolę kochać bardziej, moja piękna damo". Ale powiadam wam, że poeta ten był głupcem.

Jeśli chodzi o sprawy serca, nie istnieje "bardziej" lub "mniej". Jest tylko jedna potrzeba, jedno pragnienie i jedno cierpienie. Dlaczego raz za razem wybieramy nieodpowiednią osobę? Dlaczego źle inwestujemy uczucia? Czy dlatego, że potajemnie kochamy się we własnym smutku, we własnych błędach? Ja wam daję błogość. Nie namiętność, która skrzy się i gaśnie, lecz błogość. Czystą błogość. Błogość wieczności.

May spojrzała w lustro i ujrzała siebie po raz pierwszy, po raz pierwszy w życiu, i poczuła, że powoli opadają z niej warstwy iluzji.

Coś drgnęło. Coś tuż pod powierzchnią, jak żyłka pod skórą.

Rozdział trzydziesty czwarty

Następne w kolejce znalazły się ośrodki dietetyczne i siłownie, a za nimi -- wytwornie sprzętu sportowego i cudowne specyfiki na łysienie. Dosłownie w ciągu jednej nocy z ekranów telewizorów w całym kraju, nieopłakiwane i bez echa, zniknęły reklamy "przyrządów do ćwiczenia mięśni brzucha" i "instrumentów wzmacniających pośladki". Łysi mężczyźni, wzięwszy sobie do serc radę Tupaka Soiree ("Nie wystarczy zaakceptować swoją łysinę, trzeba ją pokochać"), przestali wcierać w czaszki placebo w płynie, zaczesywać na łyse placki potwornie długie pasma włosów, tapirować i traktować pianką te, które im zostały, i zaprzeczać łysieniu typu męskiego. Przestali robić to wszystko mniej więcej na skalę masową. Sprzedaż Czego dowiedziałem się na górze osiągnęła 45 milionów egzemplarzy, a końca nie było widać. Już dawno wykroczyła poza ramy zwykłej mody, a nawet niezwykłego zjawiska. Była to klęska żywiołowa, trzęsienie ziemi, tajfun, który w ciągu jednej nocy zrównał z ziemią całe gałęzie przemysłu i oszczędził bardzo niewiele.

Przemysł produkujący żywność typu fast food dostał kopa. Kiedy ludzie nauczyli się odróżniać swą dzieciinną potrzebę miłości od natychmiastowej pociechy w postaci przetworzonego sera i "wołowych" hamburgerów (słowo "wołowy" w wielkim cudzysłowie), natychmiast, spadła sprzedaż tych produktów. W całej Ameryce zaczęto zamykać McDonaldy i Burger Kingi. Część barów, których właściciele mieli szybki refleks, przerzuciła się na sałatki i wegetariańskie pity z tofu i soją i jakoś utrzymała się na powierzchni. Większość padła.

Co dziwne, Amerykanie nie stracili raptownie na wadze. Było im do tego daleko.

Natomiast -- według określenia Tupaka Soiree -- "zmodyfikowało się" samo pojmowanie tego, co atrakcyjne. Ponieważ celem książki Soiree było przekształcenie tożsamości człowieka, dokonała zmian w hierarchii wartości leżącej u podstaw osobowości.

Poradnik Czego dowiedziałem się na górze traktował nawyki, lęki, niedociągnięcia i słabostki niejako problem sam w sobie, lecz jako objaw czegoś głębszego: rozdźwięk między wizerunkiem samego siebie a tym, jak nas postrzega otoczenie. Było to, znowu mówiąc słowami Tupaka Soiree, "podejście systemowe". Kiedy dzięki twórczej wyobraźni i innym pseudohipnotycznym technikom człowiek nauczył się, jak "zresetować" podstawy własnej osobowości, cała reszta trafiała na swoje miejsce.

To prawda, otyli chudli, ale większość ludzi po prostu dostosowywała swoje procesy

myślowe i sposób widzenia samych siebie do swych ciał -- nie zaś na odwrót.

Tupak Soiree wyrócił cały proces do góry nogami. Ludzie już nie oddzielali się od swych ciał, lecz jednoczyli z nimi. Po raz pierwszy w swej historii Ameryka zaczęła się dobrze czuć we własnej skórze. Zniknął popyt na kosmetyki, supermarkety na wpół opustoszały. Drogie perfumy, teraz przecenione, obrastały kurzem. Magazyn "GQ" zmienił przedmiot zainteresowania z męskiej mody na "wzbudzenie szczęścia".

Modelki Calvina Kleina stały z ponurymi minami na rogach ulic, trzymając tabliczki z napisami "Seksownie się nadąsam za jedzenie".

Tupak Soiree nabierał impetu. Pierwsi poddali się awansujący społecznie mieszkańcy miast (ich styl życia w całości opierał się na modzie, a gdy moda ta minęła, w miejscu nie trzymała ich już żadna kotwica). Jak na ironię, z powodu powolnego tempa dystrybucji książki najdłużej wytrzymały odległe od miast tereny wiejskie. Setki małych miejscowości żyły jak dotąd, tylko niejasno zdając sobie sprawę z wielkich przemian niszczących miasta. Im modniejsze i bardziej nowatorskie miasto, tym szybciej upadało. Seattle padło niemal natychmiast. Toledo jakoś ciągnęło, nękane jedynie pomniejszymi problemami -- przynajmniej na początku.

Moda zginęła bez walki. Ludzie zaczęli się zaniedbywać, czy też może raczej przestali dbać o swój wygląd. Gazety -- te, które jeszcze wychodziły -- nazwały to zjawisko "modą na bylejakość", chociaż wcale to nie była moda, a wręcz jej przeciwieństwo. Ludzie po prostu zakładali na siebie to, co akurat znaleźli w szafie, co im wpadło w rękę. Nieważny kolor, materiał, pora dnia czy miejsce. Codziennie obowiązywał swobodny styl. Zapanowała powszechna niechłujność, wszyscy nosili się tak jak w leniwe niedzielne popołudnie w domu.

Ośrodki mody przeniosły się z miast do małych regionów. Teraz mekką stały się takie miejscowości jak Upper Rubber Boot w Północnej Dakocie i Hog River w Idaho.

Tam należało się udać, jeśli się chciało zobaczyć mężczyzn w skarpetkach do pary lub umalowane kobiety używające lakieru do włosów. Te zaścianki stały się ostatnimi dumnymi bastionami elegancji Ameryki.

W każdym społeczeństwie nabywcy książek stanowią bardzo niewielki jego wycinek. Jest to jednak wycinek szalenie wpływowy i to właśnie okazało się przyczyną owej katastrofy. Ta klasa, którą pisarz Robertson Davies określa mianem inteligencji, składa się z osób, które czytają dla przyjemności. Nie zalicza się do niej zawodowych krytyków, naukowców lub studentów, którzy czytają dlatego, że muszą, lecz ludzi, dla których lektura jest celem samym w sobie. Prawdziwych czytelników. Inteligencja to zasadniczy element we wszystkich przemianach społecznych, o czym doskonale wie każdy odnoszący sukcesy despota. Podlegający do walki tłum wieśniaków, którzy wywracają do góry nogami porządek społeczny, to mit. Prawdziwe rewolucje rodzą się w klasie inteligentnej. Tłuszcza z widłami pojawia się dopiero wtedy, gdy zaczyna się kruszyć stary ład, i wówczas przypisuje sobie wszystkie zasługi. "Wzburzony motłoch"

to jednostki reakcyjne -- w każdym sensie tego słowa. Nie, zmiany w społeczeństwie -- na dobre lub na złe -- wywołują ludzie, którzy czytają książki. I to atakując najpierw właśnie tę klasę, biorąc szturmem bastiony inteligencji, poradnik Czego dowiedziałem się na górze trafił w samo serce społeczeństwa. Czy też może raczej w jego głowę.

A to był dopiero początek.

Panderic zalał rynek powodzią towarów kojarzących się z Tupakiem Soiree: komiksami, motywującymi karteczkami z cytatami na każdy dzień, inspirującymi kalendarzami, nagraniami magnetofonowymi. Przekaz docierał teraz do zupełnie nowego, stroniącego od słowa pisanego odbiorcy. Pojawiły się słuchowiska radiowe, publiczne odczyty, grupy dyskusyjne, kółka

naukowe, programy telewizyjne, multimedialne wydawnictwa cybernetyczne.

-- Boże drogi -- powiedział Edwin, uświadomiwszy sobie rozmiary tej katastrofy. --
Zaczęło się.

Procesu na tym etapie już nie dało się zahamować, nawet gdyby ktoś bardzo chciał.

Nie można było wpełznąć dzina z powrotem do butelki, pasty do tubki. Nie zabije się tej bestii, nie wypłeni z ogrodu trującego bluszczu. Książka Czego dowiedziałem się na górze -- oraz jej niezliczone, podstępne odnogi -- wrosła w każdą sferę życia Ameryki.

Kraj przypominał teraz Edwinowi olbrzymią posiadłość, niegdyś stanowiącą dumny wzór ludzkiej próżności i ostentacyjnego konsumpcjonizmu, teraz -- porośniętą winoroślą, powoli dławiającą ją na śmierć.

Ameryka stała się -- czy też dopiero stawała się -- Krainą Wielkiej Szczęśliwości.

Relanium Narodów. Żaden jej zakątek nie był bezpieczny. Nawet samo wydawnictwo Panderic...

Rozdział trzydziesty piąty

-- Nigel, gdzie do diabła jest twoja smycz, to znaczy krawat? Doskonale wiesz, że tu się przestrzega pewnych zasad dotyczących stroju. -- Pan Mead wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

Właśnie odbywali coponiedziałkowe poranne zebranie, jak się potem okazało ostatnie takie w życiu Edwina, na które Nigel Simms stawiał się w wypłowiałym bezrękawniku i żółtozielonych spodniach od dresu.

W sali konferencyjnej panowała dziwna atmosfera i niemal całkowita pustka. May wzięła sobie wolny dzień, powiedziała, że chce trochę pobyć w samotności, a reszta redaktorów już dawno odeszła. Pierwszy liścik z wiadomością "Poszłem na ryby"

zostawił Paul z marketingu, potem pojawiły się kolejne. Teraz w Pandericu pracował zespół już tak mocno okrojony, że Stażysta Steven został w trybie przyśpieszonym mianowany na kierownika działu science fiction, gdzie szybko przyjął do druku powieść futurystyczną pod tytułem Jam jest Adam, tyś jest Ewa (co w pewnym sensie zdradzało zakończenie, nie sądzicie?).

Nie miało to najmniejszego znaczenia. Sprzedaż leciała na łeb, na szyję. Umierały całe gatunki literackie, nagle i z agonialnym rżeniem. Razem z ośrodkami dietetycznymi i klinikami chirurgii plastycznej przepadł cały romantyzm. (Koncepcja romantyzmu -- podobnie jak diety, trendy w modzie i odsysanie tłuszczu -- opierała się na niezaspokojonym pragnieniu. Teraz znikwały wszelkie pragnienia). Podręczniki dotyczące ekonomii i zarządzania przestały się sprzedawać. Powieści przygodowo-podróżnicze ledwo się trzymały, książki kucharskie ukazywały się tylko sporadycznie.

A sport? Fantazji fanów (głównie mężczyzn) już nie musieli spełniać hojnie opłacani zawodowi sportowcy bawiący się jak dzieci na sztucznej murawie. Książki o sporcie wyprzedawano za bezcen i na skalę masową. Drużyny sportowe w całym kraju walczyły o przetrwanie, a spadek liczby kibiców odzwierciedlał marny popyt na takie opasłe tomiszcza jak Wielcy futbolu, Bohaterowie golfa czy Legendy kręgli na trawie. W

całym kraju nadal uprawiano sport, lecz nie zawodowo i nie w zorganizowanych ligach.

Teraz ograniczał się do rzucania piłki na podwórku przed domem. Rozrywki rodem z obrazków Normana Rockwella, przedstawiających życie Amerykanów. Były to gry bez reguł, bez żadnej struktury. Bez sensu i bez rywalizacji. Zapaleni fanatycy sportu, mający obsesję na punkcie statystyk i nadrabiający własne niedostatki, byli już na wymarciu. Słabnące drużyny

musiały obciążyć budżet i po kolei bankrutowały. Podobnie jak ligi sportu zawodowego, niegdyś lukratywny przemysł literatury sportowej znalazł

się na krawędzi przepaści. Eutanazja stała się kwestią czasu.

Natomiast rosła popularność książek na temat ogrodnictwa. Tak samo biografii gwiazd, lecz tylko tych z kręgów adoratorów Tupaka Soiree. Aktorzy, niegdyś uzależnieni od pochlebstw, teraz z bezmyślną radością oceniali swą karierę zarozumiałych gwiazd kina jako pustą i płytką -- dopóki nie "odkryli" soireeowskiej recepty na szczęście. Książki te były nie tyle biografiami, co dowodami uznania i jako takie jedynie w niewielkim stopniu przyczyniały się do potężnej siły rażenia Tupaka Soiree. Panderic płaścił się w bogactwie, lecz w zasadzie każdy cent dochodu wiązał się -- bezpośrednio lub pośrednio -- z Czego dowiedziałem się na górze.

Nawet rozreklamowana książka kucharska o smażonej wieprzowinie została chytrze przemianowana na Jedz wieprzowinę i bądź szczęśliwy! Podejście Tupaka Soiree.

Panderic przemienił się w pas transmisyjny Tupaka Soiree, sprzedając rozmaite "refleksje" i "kosmiczne zasady" w postaci lekkostrawnych kąsków. Niejeden niezadowolony rywal mamrotał pod nosem -- nie bez racji, ale i kąśliwie -- że Panderic powinien zmienić nazwę na Tupak Books.

Same prawa do tytułu Czego dowiedziałem się na górze przyniosły wydawnictwu więcej pieniędzy niż wszystkie pozostałe książki. Brytyjczycy kupili prawa i w Anglii już zaczęła rosnąć liczba sprzedanych egzemplarzy. Kanadyjczycy (tak Francuzi, jak i Anglicy) pokochali filozofię Tupaka, w Niemczech, Francji, Włoszech i Hiszpanii tłumaczenia już schodziły z pras drukarskich, przygotowywano też przekłady na japoński, mandaryński i koreański. Nawet Polacy nauczyli się uśmiechać!

Niestety nie obyło się bez problemów. Niektórzy tłumacze w połowie tekstu porzucali pracę, zostawiając po sobie zagadkowe wiadomości sprowadzające się w zasadzie do "Poszłem na ryby" i "Osiągnij stan wiecznej szczęśliwości". Panderic wypróbował kolejno czterech paryskich tłumaczy, zanim wreszcie francuskojęzyczna wersja została ukończona. Mimo wszystko sprzedaż praw do tłumaczenia Czego dowiedziałem się na górze okazała się żyłą złotą, nieoczekiwanym przyływem gotówki na skalę nieznaną do tej pory. Pieniądze napływały ze wszystkich stron. Księgowi Panderica ledwo nadążali z liczeniem.

W tym świetle można by przypuszczać, że pan Mead stał się nieprawdopodobnie szczęśliwym człowiekiem. Nic bardziej mylnego. Jedyna zmiana była taka, że zachowywał się jeszcze bardziej opryskliwie i miał jeszcze bardziej ponurą minę, chociaż na jego biurko trafiały coraz to wspanialsze wyniki sprzedaży.

Co zaś mamy pomyśleć o Edwinie, który siedzi przy stole konferencyjnym z półśmieszkiem i szyderczym, cierpkim wyrazem twarzy? Dlaczego sprawia wrażenie tak opanowanego? Dlaczego nie poci się obficie i nie wierci na krześle? Czy nie powinien przynajmniej czuć niepokoju w ostatnim dniu swego życia?

Piegowaty socjopata wyznaczył Edwinowi termin na następny dzień. Do tej pory Edwin miał wszystko odkręcić i nie tylko mu się to nie udało (nie podjął nawet symbolicznego wysiłku), lecz na domiar złego sprzedaż Czego dowiedziałem się na górze nadal rosła w coraz większym, zastraszającym tempie. Marketing (cóż za niespodzianka) całkowicie się mylił w swych przypuszczeniach. Sprzedaż poradnika Soiree jeszcze nawet nie sięgała szczytu. Teraz książki trafiały prosto z pasów transmisyjnych do oczekujących na nie furgonetek z księgarni. Był to zaledwie czubek góry lodowej. Ogromnej góry, w którą lada chwila miał z pełnym impetem uderzyć statek USS "Ekonomia", na którego pokładzie, nie bacząc na zbliżającą się katastrofę, beztrąsko grała orkiestra.

Spytajmy więc raz jeszcze: dlaczego Edwin de Valu się uśmiecha? Dlaczego obserwuje to

zebranie -- ostatnie, W jakim ma uczestniczyć -- z tak łagodnym uśmiechem? Może dlatego, że jako człowiek, którego już i tak czeka zagłada, ostatecznie pogodził się ze swym przeznaczeniem? Czy, podobnie jak bohater powieści Camusa, zaakceptował "tkliwą nieczułość wszechświata"*? Czy postanowił śmiało stawić czoło śmierci? Nie. Wręcz przeciwnie. Edwin bardziej niż kiedykolwiek jest zdecydowany pozostać panem własnego losu. Dlaczego się uśmiecha? Uśmiecha się, bo coś wie. Wie coś, z czego nie zdaje sobie sprawy nikt: ani pan Mead, ani Wąż, ani Nigel, ani nikt inny.

Tego ranka, kiedy ze zniechęceniem przywłókł się do pracy, na swym biurku ujrzał pewną kopertę. A w kopercie tej -- liścik. Prosty, zwięzły liścik z informacją, że urząd skarbowy wkrótce odmrozi jego konto -- razem z należnymi odsetkami. Pomimo kilku rozpraw sądowych urząd ten nie wykrył żadnego przestępstwa. Pieniądze prawnie należały się Edwinowi. W wyniku zalecenia bezstronnej komisji złożonej z trzech sędziów utracona fortuna miała niedługo wrócić do Edwina de Valu.

We wtorek o ósmej rano Edwin będzie milionerem. To prawda, niedawny wzrost inflacji spowodowany wstrząsającym rynkiem "zmianami w zachowaniu konsumentów" w ciągu niespełna miesiąca zredukował wielkość tej fortuny o prawie trzydzieści procent, nadal jednak zostawało mu więcej niż dosyć. Więcej niż potrzebował do tego, by uciec i osiąść w jakimś odległym miejscu, pod przybranym nazwiskiem i z nową tożsamością. Dosyć, by ściągnąć do siebie May (kiedy już zabierze pieniądze z kraju, starannie zatrze za sobą ślady, zniszczy kompromitujące kwity, spali mosty i zacznie wszystko od nowa).

Dlatego Edwin de Valu się uśmiecha. Dlatego się nie wierci i nie kręci niespokojnie.

Myślimi jest gdzie indziej. Wyobraża sobie scenę pogodzenia z May na białej Obcy, Albert Camus, tłum. Maria Zenowicz.

długiej plaży pod czystym, błękitnym niebem. Czeką na niego wolność.

Ale pan Mead nie oddawał się podobnym snom na jawie. Stał się redaktorem naczelnym najbardziej dochodowego wydawnictwa w historii Ameryki, lecz zrzędził

jeszcze bardziej niż zwykle. Ponieważ zabrakło mu konkretnego celu czy uzasadnionego powodu, skupił swój goryli gniew na Nigelu w niechlujnym bezrękawniku i żółtozielonych spodniach od dresu. Dla pana Meada podobny strój oznaczał afront: starszy redaktor największego wydawnictwa w kraju ubrany w byle co, rozmamłany i nawet bez krawata.

-- Czekam -- powiedział pan Mead. -- Wytłumaczysz się?

Nigel uśmiechnął się lekko, nonszalancko.

-- Ubranie to tylko cienki woal, panie Mead. Powinniśmy nauczyć się dostrzegać to, co się kryje pod nim.

-- Woal nie woal, nic mnie to nie obchodzi. Polityka firmy nakazuje noszenie krawata. Więc jeżeli tylko nie założyłeś go sobie na kutasa...

W tej chwili Edwin zszedł na ziemię z obłoku świata fantazji i spojrzał na swego prześladowcę. Widok, który ujrzał, wytrącił go z równowagi. Oczy Nigela były...

zupełnie puste. To jedyne określenie, jakie przyszło Edwinowi do głowy. Brakowało w nich gniewu, urazy, przebiegłości. Osobowości. Biło z nich takie samo szczęście, jakie widział w oczach dozorca Rory'ego. Nigel miał takie samo puste spojrzenie, jakie Edwin bardzo często widywał na ulicach. Nasunęło mu ono na myśl Annę Kareninę i nadało odkrywczy charakter spostrzeżeniu Tołstoja. Każdy jest nieszczęśliwy na swój własny sposób, pomyślał Edwin. Wszyscy szczęśliwi są jednakowi.

Nigel należał do Szczęśliwych. Nie chodziło tu o zwykłą, ulotną chwilę radości w nieprzewidywalnym, chaotycznym świecie. Nie. Szczęście Nigela było głębokie, egzystencjalne. Uspokoilo burzę w samym jądrze ludzkiej duszy.

Nigel Simms odszedł. Zniknął jak kot z Cheshire, zostawiając za sobą tylko ślad.

Odszedł, a po nim została jedynie krucha skorupa. W normalnych okolicznościach jego upadek wzbudziłby w Edwinie rozkoszne uczucie schadenfreude, ale Nigel bez życia i emanujący błogością nie wywoływał w nim podobnej reakcji. Jeśli już, to coś w rodzaju antyschadenfreude: "smutek, jaki się czuje na widok czyjegoś szczęścia".

-- Nigel? Zadałem ci pytanie. -- Cierpliwość pana Meada się kończyła. -- Dopóki pracujesz w Pandericu i dopóki jestem twoim szefem, musisz przestrzegać pewnego kodeksu. Jeżeli ci się wydaje...

-- Och -- powiedział Nigel z tym samym rozbajającym, łagodnym uśmiechem. -- Ja już tu nie pracuję. Odchodzę. Daleko stąd.

I w tym momencie Edwin ujrzał w oczach Nigela upadek Zachodniej Cywilizacji symbolizowanej przez rozmaite produkty i wpływy kulturowe, których Nigel był jednocześnie odzwierciedleniem i uosobieniem: żel do włosów, wybielająca pasta do zębów, elektryczny obcinak do włosów w nosie, alchemiczna woda kolońska, garnitury szyte na miarę, depilacja brwi, krem do golenia, kremy nawilżające, manicure, magazyny mody -- cały ten złożony, pełen odnośników, wielowarstwowy styl życia.

Przetrwanie całych przemysłów zależało od Nigela. Na widok tego przejścia od "GQ" do niechlujstwa, na widok tego uśmiechu i pustego spojrzenia, bezrękawnika i spodni od dresu, które zastąpiły elegancję... no cóż, Edwin uznał, że trudno o większą tragedię.

Ponieważ gdyby pominąć standardowe skargi na współczesny konsumpcjonizm, niemoralną reklamę i nadmierną dbałość o wizerunek zewnętrzny itd., itp., gdyby odjąć to wszystko, dostrzegłoby się w Nigelu Simmsie odwieczne pragnienie człowieka.

Tęsknotę. Nadaremne (lecz jakże ważne) dążenie do rozwoju, marzenie o tym, by stać się kimś innym, większym, bogatszym, szybszym, przystojniejszym. Ta Wielka Chimera Samodoskonalenia Się, choć nigdy niezdołana, przez całe tysiąclecia pobudzała do działania cały rodzaj ludzki.

Nigel nie był już byle palantem, przedstawicielem Pokolenia X, mającym słabość do modnych strojów i pielęgnacji urody, teraz stał się upadłym bohaterem, postacią z greckiej mitologii. Współczesnym Prometeuszem.

Nawet Edwinowi słowa Nigela sprawiły przykrość.

-- Nigel, słuchaj. Jeśli chodzi o ten incydent z krawatem i temperówką...

Nigel płynnym ruchem podniósł rękę, jak buddyjski mnich chcący zatrzymać ruch uliczny, i powiedział uspokajającym tonem: -- Było, minęło, Edwinie. Nie przejmuj się tym krawatem. Nie musisz przeproszać.

-- Przeproszać? Wisisz mi na sto czterdzieści dolców. Prawda, panie Mead?

-- Tak jest. Nigel jest ci winien pieniądze. Nie martw się, Edwinie, potrączę mu tę sumę z pensji -- ostatniej.

-- Dziękuję. Jestem panu bardzo wdzięczny. -- Edwin uśmiechnął się szyderczo do Nigela, z nadzieją, że w ten sposób wywoła w nim jakąś reakcję, a przynajmniej poczuje, że tuż pod powierzchnią kryje się ten sam stary Nigel. Nic takiego jednak się nie stało, nie nastąpiła żadna reakcja. Przed nim stał już nie Nigel, lecz jakiś automat. Szczęśliwy, a jakże, niemniej jednak automat.

Nigel powoli, z taką samą energią bodhisattwy zebrał swoje papiery, rozejrzał się po niemal pustej sali konferencyjnej, popatrzył po pojedynczych uczestnikach zebrania, położył dłoń na sercu, emanując pozytywną energią, po czym przeniósł wzrok na Edwina i spytał:

-- Czy mogę cię przytulić?

-- Czy mogę cię zrzucić do szybu windowego? -- odgryzł się Edwin, ale już mu to nie

sprawiło takiej frajdy jak kiedyś. Zupełnie jakby mierzył się ze szczeniakiem, ciepłym i puchatym.

Nigel odwrócił się i cicho wyszedł z pokoju. Zapadła długa nabrzmiała smutkiem cisza.
-- Do diabła z nim -- powiedział pan Mead. -- Lepiej nam pójdzie bez niego. -- I wszyscy wrócili do obrad, szeleszcząc papierami i rozmawiając stłumionymi głosami.

Edwin już nigdy nie miał zobaczyć Nigela.

Rozdział trzydziesty szósty

Kiedy poranne zebranie dobiegło końca wśród długich, krępujących chwil milczenia i nieustających skarg pana Meada na niską frekwencję i brak nowych pomysłów, Edwin wrócił do swojego biurka, by zabrać resztę swoich rzeczy. Nie powiedział panu Meadowi, że odchodzi -- nie chciał nikogo informować o swym zamiśle, a gdy teraz rozejrzał się po przypominającym celę małym boksie, w którym przez ponad cztery lata snuł intrygi i dostawał szau, poczuł leciutkie ukłucie melancholii. Niewiele było tam rzeczy wartych zachowania. Edwin nie powiesił na ścianie żadnych plakatów, nie miał roślin doniczkowych ani pamiątek. Znalazł srebrną zapalniczkę Zippo od pana Meada, którą -- podobnie jak inni -- dostał rok wcześniej na Dzień Pracownika. (Kiedy zaniósł ją do wyceny, okazało się, że to podróbka z Hongkongu, a do tego kiepska. Ale co tam, przynajmniej działała). Schował ją do kieszeni, raz jeszcze rzucił okiem na swój boks i westchnął. Złapał zszywacz i kilka długopisów -- bardziej dla zasady, jako że drobne kradzieże przed odejściem z pracy należały do tradycji tej firmy -- i wyszedł. Echo jego kroków, które rozległo się w korytarzu, wkrótce ucichło.

Opuścił budynek pod numerem 813 na Grand Avenue i ruszył w stronę najbliższej stacji metra, ale nagle stanął w pół kroku. Przechylił głowę i zaczął nasłuchiwać.

Usłyszał coś, z czym nigdy wcześniej nie zetknął się na tej ulicy: ciszę. Samochody nadal jeździły, taksówki przesuwają się w żółtej procesji, a fale przechodniów, choć znacznie mniejsze, nadal przetaczały się przez skrzyżowania, posłuszne sygnalizacji świetlnej. Na jezdniach było jednak mniej samochodów niż zwykle, mniej czystej energii kinetycznej, gorączkowego ruchu. Nikt nie przeklinał, nie ryczały klaksony, zniknął niegdyś nieustający biały szum. Rozwiązał się, rozpląnął we mgłę i wzbił w eter. Grand Avenue była teraz przytłumiona, a cisza wydawała się ciepła i otulająca jak flanelowy koc. Jak trumna wyłożona jedwabiem.

Edwinowi zrobiło się niedobrze. Ponad wszystko czuł wielką wdzięczność -- cieszył się, że niedługo stąd ucieknie, że odchodzi. Kiedyś nienawidził tego piekła, jakim była Grand Avenue, teraz jednak opłakiwał jego śmierć. Nawet graffiti się zmieniło. Na fasadach sklepów, zamiast gniewnych haseł i pogroźek od gangów, widniały napisane sprayem cytaty z Tupaka Soiree: "Żyj! Kochaj! Ucz się! Osiągnij stan wiecznej szczęśliwości".

-- Nie pasuję do tego świata -- mruknął Edwin pod nosem.

Nadeszła pora ucieczki. Czas podjąć pieniądze z banku, założyć konto za granicą i zmienić tożsamość. Czas stąd wiać. Edwin nie był draniem: zostawi Jenni dość pieniędzy, by mogła wieść wygodne życie. Napisze nawet serdeczny list, w którym wyjaśni, dlaczego musiał odejść. (Wszystko, tylko nie "Poszłem na ryby"). Następnie zacznie nowe życie w innym kraju, daleko stąd. I wyśle wiadomość do May. Znajdzie miejsce, którego Tupak Soiree jeszcze nie nawiedził, gdzie ludzie nadal przeklinają, narzekają, martwią się i śmieją -- nie z serca, ale z samego brzucha. Miejsce, gdzie ludzie nadal się starają, przegrywają i próbują od nowa. Miejsce gdzieś ponad tęczę, gdzie ludzie walczą, kochają się, piją i beztrudnie palą. Takie miejsce jak z jednej z kiepskich powieści science fiction Stevena. On powie: "Mam na imię Edwin". Ona odpowie.

"Mam na imię May i jeżeli jeszcze raz spróbujesz mnie pocałować, zadzwonię na policję".

Ruszył pogodnymi chodnikami Grand Avenue, czując się jak Charlton Heston w filmie The Omega Man: samotny, czujny, żywy. W budce Louiego z hot dogami i piklami już nie można było kupić hot dogów czy pikli -- ani caffelatte mochaccino.

W swojej budce Louie (vel Thad) prowadził teraz terapię przytulaniem. Za dwadzieścia pięć centów i uśmiech Louie wychodził zza lady i przytulał cię na niedźwiedzia. Miał ogromną klientelę. Ludzie stali w kolejce, ściskając w dłoniach monety.

-- Parę przecznic dalej jest druga budka z przytulaniem -- ktoś powiedział. -- Ale ja wolę Louiego. Nikt nie przytula tak dobrze jak on!

W końcu Edwin zrezygnował z metra i postanowił przejść się pieszo na drinka do O'Callaghana. Zastał pub zamknięty. Oczywiście. Na drzwiach wejściowych wisiała tabliczka z ręcznie napisanym tekstem, który głosił... ach, ale tego już chyba się domyślcie, co?

-- Cholera -- rzucił Edwin w powietrze.

U O'Malleya również było zamknięte. Pub O'Shannona został zamieniony na barek dla wolontariuszy. Na drzwiach O'Toole'a wisiała tabliczka reklamująca "ośrodek zdrowia i terapię szczęściem -- według podejścia Tupaka Soiree!". Tak więc Edwin powłókł się bez celu przed siebie, mijając po drodze pomnik Geralda P. Geralda, ojca Wielkiego Boomu Potasowego z roku 1928, i Park Royale. Był człowiekiem przytłoczonym wydarzeniami, który już nie nadażał za otaczającym go światem.

Zaglądał po drodze do wszystkich barów, ale nigdzie nie znalazł wybawienia.

-- Bar? -- zdziwiła się dziewczyna, kiedy załomotał do drzwi kolejnego. -- Kurczę, nie. Teraz sprzedajemy makrobiotyczną, organiczną zdrową żywność.

Edwin spojrzął na tę sympatyczną dziewczynę o łobuzerskim wyrazie twarzy i natychmiast rozpoznał to szkliste spojrzenie i przymilny uśmiech.

-- Co ty tu, u diabła, robisz? Nie powinnaś teraz gdzieś uprawiać lucerny?

-- Skąd pan wie? -- Szeroki, promienny uśmiech. -- Wyjeżdżam jutro ze swoim chłopakiem. Ale zamierzamy uprawiać nie lucernę, tylko kukurydzę. Zakładamy własną małą spółdzielnię rolniczą typu non profit nastawioną na pomoc młodym ludziom w...

Ale w tym momencie Edwin już odszedł. Obcy w obcym kraju. Nieważne. Jutro o tej samej porze znajdzie się na pokładzie samolotu lecącego gdzieś daleko.

-- Pssst, mały. Szukasz wody, co? -- W cieniu alejki chował się jakiś staruszek. (I naprawdę syknął "pssst").

-- Czego, do cholery, pan ode mnie chce? -- spytał Edwin niepotrzebnie aroganckim tonem. -- Pieniądzy? Mam pana przytulić? Zapomnij pan. Przytulałem się już w biurze.

-- Och, nie chcę się tulić. Zwłaszcza z takim smarkaczem jak ty.

Na te słowa Edwin się ożywił. Złe maniery? Czy coś takiego jeszcze istnieje?

-- Powinieneś strzelić sobie głębszego, mały.

No, to dopiero zwróciło uwagę Edwina. Usłyszał znaczący grzechot i brzęk butelek, a kiedy wszedł przez ukryte przejście w alejce, ujrzał cały minibar zastawiony butelkami Johnnie Walkera, Southern Comfort, Albino Rhino i Kokanee Gold. Zobaczył

nawet całą skrzynkę Lonesome Charley.

-- Myślałem, że ludzie już przestali pić -- powiedział.

-- Większość, ale większość to nie wszyscy, mały. W dokach są wielkie zapasy tego towaru, stoją w magazynach i obrastają pajęczynami w zamkniętych hurtowniach. Lata miną, zanim skonsumujemy nasze krajowe zasoby używek. Mówię ci, lata całe. Mam też cygara. I papierosy. Trochę cracku i parę egzemplarzy "GQ" i "Maxima".

-- Jasna cholera! -- Edwin zaczął grzebać w portfelu.

Zaopatrzył się w papierosy, kupił trochę alkoholu i nawet kilka magazynów dla mężczyzn, które już od jakiegoś czasu nie wychodziły, a kiedy ruszył dalej, w zdecydowanie lepszym nastroju, miał Wizję. Wizję tak wyraźną i inspirującą, że nieomal doprowadziła go do łez. Ujrzał grupę buntowników idącą przez kraj, całą subkulturę nieszczęśliwych ludzi -- nową mniejszość zepchniętą do podziemia i mrocznej krainy czarnorynkowych transakcji i sekretnych układów. Widział

podwodny świat ludzi, którzy nie chcieli porzucić złych nawyków, którzy niezłomie (i dumnie) nie zgadzali się na "osiągnięcie stanu wiecznej szczęśliwości". Pocięła go perspektywa tej skrajnej, kontr kulturowej grupy, która będzie dzielnie podtrzymywać ogień w mających nadejść mrocznych czasach. Jego serce się uradowało, zmysły wyostrzyły i wtedy -- wtedy został napadnięty. Znowu.

-- Co jest? Mówiliście -- jeden tydzień!

Sam "Wąż" Żmija uśmiechnął się do Edwina. Edwin zwrócił ten prezent, nawet go nie rozpakowawszy. Pojechali, ściśnięci na tylnym siedzeniu samochodu, którego przyciemnione szyby w oknach skrywały przed resztą świata rozgrywający się w środku dramat. Po obu stronach Edwina siedzieli dwaj pomagierzy, a każdy z nich przystawił mu do żeber pistolet o bardzo krótkiej lufie.

-- Ho, ho, ho. Co mu tu mamy? -- powiedział Wąż, konfiskując przemycone papierosy i czarnorynkowy alkohol. -- Zabawne, co? Robisz sobie zapasy wódy i fajek?

-- Tydzień, cholera. Daliście mi tydzień! -- Edwin szczerze się zdenerwował. Mafia nie dotrzymała umowy. Jakże były na to szanse?

-- Miałeś tydzień -- przytaknął Wąż. -- Złapaliśmy cię w niedzielę, przetrzymywaliśmy dwa dni...

-- Właśnie! Wypuściliście mnie we wtorek.

-- Zgadza się. A dzisiaj jest poniedziałek, więc minął tydzień.

Edwin nie posiadał się z oburzenia.

-- Tydzień od wtorku nie wypada w poniedziałek, tylko w kolejny wtorek! Mam jeszcze jeden dzień.

-- Nie. -- Wąż myślał głośno. -- To by było osiem dni. Policzmy: wtorek, środa, czwartek... -- Zaczął odliczać dni na palcach, co okazało się trudne, choćby dlatego, że brakowało mu jednego czy dwóch.

-- Pierwszy wtorek się nie liczy!

-- Oczywiście, że się liczy. Dlaczego nie?

-- Słuchaj -- przekonywał go Edwin. -- Jeżeli spotkasz się z kimś, powiedzmy, w piątek, i powiesz mu, "Do zobaczenia za tydzień", to czy spotkacie się znowu w następnym czwartek? Oczywiście, że nie! Dla przeciętnej osoby "za tydzień od dzisiaj"

oznacza "ten sam dzień w przyszłym tygodniu". Mam czas do jutra.

Wąż zmarszczył brwi, pytająco zerknął na swych pomagierów, których jednak nie wynajęto z powodu wybitnego intelektu, nie otrzymał więc żadnego wsparcia.

-- Jeszcze jeden dzień! -- darł się Edwin. -- Mam jeszcze jeden dzień!

-- Dobrze -- powiedział Wąż, przyznając Edwinowi słuszność. -- Rozumiem, że masz mętlik w głowie. Wiesz co?

Puszczę cię i dam ci jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Ale i tak muszę ci złamać chociaż kciuk.

-- Dlaczego? Dlatego, że nie chcesz przyznać się do błędu? Nie chcesz przyznać, że tak, mimo wszystko jesteś człowiekiem? Słuchaj, Wąż, powiedzcie: "Ojej, dałem plamę."

Pomyliłem się" to żaden wstyd. Nikt nie jest doskonały. Więc zacznijmy od jutra, co? Nowy dzień, nowy początek. Co ty na to, twardzielu?

Na ostrym dyżurze szpitala San Sebastian Edwinowi włożono kciuk w łubki i wydano buteleczkę supermocnych środków przeciwbólowych (choć początkowo lekarz dyżurny usiłował nakłonić Edwina do wypróbowania umysłowej metody blokowania bólu Tupaka Soiree, na co Edwin zareagował następującymi słowami: "Kurwa, daj mi jakąś tabletkę, bo cię zabiję!").

I tak oto, naćpany i ze spuchniętym, fioletowoczarным, pulsującym, złamanym kciukiem -- który po brutalnej akcji Węża zginał się w drugą stronę -- Edwin na miękkich nogach wszedł do... pustego domu.

Nie pustego w sensie "nikogo nie ma w domu", lecz w sensie "nic nie ma w środku". Przez długą chwilę stał całkowicie nieruchomo, zelektryzowany tym widokiem. Zniknęło. Wszystko. Meble. Zasłony. Obrazy. Nawet -- zajrzał do kuchni -- przekłeta lodówka i cholerna kuchenka. Jenni ogołociła go ze wszystkiego.

Pojawił się pan Muggins i miaucząc, z niepokojem zaczął się ocierać o nogi Edwina, który nawet nie miał siły, żeby zrobić krok do tyłu i wymierzyć kotu solidnego kopniaka -- aż do tego stopnia wyciekło zeń życie.

-- Zabrała wszystko -- powiedział, jak gdyby powtarzając tę oczywistą prawdę, mógł zmniejszyć jej znaczenie. -- Wszystko.

Na środku podłogi w salonie leżał list napisany na papierze pachnącym kwiatami.

Edwin nie musiał go czytać. Już wszystko wiedział. "Drogi Edwinie: postanowiłam Cię opuścić...". Rozejrzał się po pustym pokoju.

-- Dzięki, ale tego już sam się domyśliłem.

Wkrótce udaję się w podróż na poszukiwanie szczęścia i rozwoju osobistego.

Sprzedalam nasze tak zwane rzeczy osobiste, by zdobyć fundusze. (Ale, Edwinie, to tylko rzeczy. Pamiętaj: nie jesteśmy ich właścicielami, to one nami rządzą). Tak, Edwinie, nadszedł czas, bym dostosowała swą tożsamość do wyższych celów. Nie jestem pewna, co to znaczy, ale i tak zamierzam to zrobić. Postanowiłam zostać konkubiną Tupaka Soiree. Dzwoniłam do Niego wczoraj późnym wieczorem (Jego telefon znalazłam w twojej skrzynce e-mailowej) i ofiarowałam Mu swoje serce i swoją duszę. On zaś odparł, że powinniśmy porzucić swe ciała i zjednoczyć z materią naszego życia. Potem spytał o moje wymiary, wiesz, by móc odrzucić mą zewnętrzną skorupę i odnaleźć me wewnętrzne piękno. Był pod wrażeniem. Następnie poprosił, żebym wysłała mu faksem swoje zdjęcie. (Wybrałam to w czerwonym kostiumie kąpielowym, to z naszej podróży do Acapulco. Myślę, że naprawdę ukazuje moje prawdziwe, ja").

Bardzo się martwiłam, że Tupak Soiree uzna mnie za nieodpowiednią pod względem duchowym, ale nie, ku mojej radości i uldze łaskawie zgodził się, bym przystała do Jego "świętej grupy bogiń", jak to poetycznie ujął. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Teraz muszę być z Wielkim Nauczycielem. Zresztą nigdy Cię nie kochałam. Nie bierz tego do siebie, ale to prawda. Aha, sprzedałam Twoje garnitury wędrownym minstrelom.

(Dostałam pięć dolarów od sztuki, wkrótce bardzo mi się przydadzą. Dzięki). Niestety w swą Wielką Podróż Życia nie mogę zabrać pana Mugginsa, gdyż, cholera, okazało się, że Wielki Oświecony ma alergię na koci łupież. Wiem jednak, że się zajmiesz kotem.

Zawsze byliście ze sobą bardzo związani.

Szczerze oddana, Jennifer

PS Wiem o Tobie i May. Zawsze wiedziałam, tylko mi po prostu nie zależało.

Edwin osunął się na podłogę z listem w rękę i pulsującym kciukiem. Następnego dnia rano miał podjąć z konta ponad milion dolarów, wiedział jednak, że dryfuje, że nie trzyma go w miejscu żadna kotwica. Jego żona przyłączyła się do bandy Tupaka Soiree, prześladowała go mafia, miał złamany kciuk, jego rzeczy zostały sprzedane grupie wędrownych świrów, a on sam musiał uciekać z kraju. Sam.

Pomimo fantazji, jakie snuł, Edwin dobrze wiedział, że może już nigdy nie zobaczyć May. Wyśle jej tajną wiadomość, poprosi, by do niego przyjechała, nie miał jednak pewności, czy May się zgodzi. Być może utracił ją już na zawsze. Ogarnęło go przemożne uczucie straty. Sporządziłby całą listę strat, gdyby tylko chciał -- i gdyby Wąż mu nie złamał prawego kciuka, bez którego nie mógł pisać. ("Tylko nie prawy kciuk. Nie prawy!", po którym to okrzyku rozległo się mokre trzaśnięcie, wrzask i nieszczere przeprosiny: "Przepraszam, panie de Valu, ale takie są zasady"). Stracił

niemal wszystko. Żonę. Dom. Najbliższą przyjaciółkę (aż chciałoby się powiedzieć Jedyną").

-- No to zostaliśmy sami -- powiedział ze smutkiem, głaszcząc pana Mugginsa. -- Tylko ty i ja. -- Zaczął się zastanawiać, gdzie popełnił błąd.

Tej nocy, gdy leżał rozciągnięty na podłodze w salonie, w narkotycznym i pijackim stuporze, kiedy dyszał i rzucał się w ataku delirium, kiedy miasto spało, a na niebie pojawił się księżyc, pan Muggins naszczał Edwinowi do butów.

Dulce domum. Nie ma jak w domu.

Rozdział trzydziesty siódmy

Na granicy okręgów Beecher i Bower, na opustoszałej autostradzie położonej na terenach bagiennych, gdzie znad rozlewiska nadpływa stęchłe i pełne moskitów powietrze i gdzie wisi wiotka zielona winorośl nazarejska, drogę wskazuje tablica z ręcznie namalowanym napisem: "Sklep z amunicją i Rodzinne Centrum Rozrywki".

Dzięki specyficznemu położeniu, ten w dużej mierze niedostępny zakątek rozlewiska stał się rajem dla przemytników broni i jej entuzjastów. Po incydencie, który niedawno miał miejsce w okolicznym przedszkolu i gdzie w ruch poszły pociski przeciwpancerne i wzmocnione tytanem karabiny szturmowe, w okręgu Beecher wprowadzono zakaz sprzedaży i rozprowadzania wspomnianych pocisków, na zasadzie bez kul nie ma bandytów. ("To nie podatne na wpływy małolaty zabijają ludzi, to pociski przeciwpancerne" -- tak brzmiało hasło administracji). Teraz w okręgu Bower zastosowano nieco inną taktykę. Zakazano sprzedaży broni, ale nie zwracano sobie głowy amunicją, rozumując w następujący sposób: nie ma pocisków, nie ma napadów.

Logika tego rozumowania wydawała się znakomita, ale handlarze bronią szybko znaleźli lukę w prawie i nauczyli się ją wykorzystywać. Tak oto w tej mrocznej, wilgotnej dziczy, gdzie sąsiadują ze sobą dwa okręgi, szybko wybudowano sklep z bronią. Po jednej jego stronie można było kupić pociski przeciwpancerne ("tylko do celów rekreacyjnych"), a po drugiej -- odpowiednie dla nich szybkostrzelne karabiny szturmowe o dużej sile rażenia ("doskonałe do polowania na wiewiórki").

Mieszkańcy tego przesmyku nie czytają zbyt wiele. To prawda, miejscowy belfer i żona pastora ostatnio coś przebąkiwali o jakimś facecie o imieniu Tupak, ale poza tym analfabetyzm i wysoki odsetek dzieci zrodzonych z kazirodczych związków uchroniły Beecher i Bower przed nadmierną refleksyjnością. Kiedy więc w sklepie z bronią pojawił

się pewien facecik z rozbieganymi oczami, nikt go nie rozpoznał. Nikt nie powiedział: "Hej, widziałem pana zdjęcie na okładce książki. To pan jest panem Etyką!". Nie. Udało mu się

wślizgnąć do środka zupełnie niezauważenie.

-- W czym mogę pomóc? -- spytał zza lady olbrzym w zbyt ciasnym T-shircie. (T-shirt ten miał odcień martwego ciała, co było bardzo na miejscu. Osiem lat wcześniej, kiedy olbrzym go kupił na jarmarku okręgowym połączonym z pokazem broni, podkoszulek był jaskrawo-pomarańczowy, ale barwnik zdążył wyblaknąć, a materiał

skurczył się na rosnącym brzuchu).

-- Potrzebna mi jest broń -- powiedział pan Etyka. -- Taka, którą można zabić człowieka.

-- Jedną chwileczkę, proszę pana -- odrzekł sprzedawca (ściśle stosując się do stanowych przepisów mówiących o broni). -- Nie wolno mi sprzedawać broni przeznaczonej do celów rekreacyjnych, jeżeli podejrzewam, że mogłaby zostać użyta do popełnienia przestępstwa.

-- No dobra. W takim razie chciałem kupić karabin snajperski do polowania na wiewiórki.

-- Proszę bardzo. Jakiej wielkości będą te wiewiórki?

-- Mniej więcej wielkości człowieka.

Sprzedawca zdjął z półki swą dumę i chwałę: krzyżówkę kuszy z granatnikiem.

-- Bardzo popularna wśród naszych zapalonych sportowców.

Facecik zmarszczył brwi.

-- Wygląda na drogą.

-- Niekoniecznie. Nasz dystrybutor z Galveston zbankrutował, dyrektor któregoś dnia po prostu poszedł na ryby, więc sprzedajemy te cudeńka po obniżonej cenie, która wynosi siedem tysięcy czterysta dolarów. Oczywiście po drugiej stronie sklepu musi pan dokupić pociski do granatników -- za tą czerwoną linią na podłodze.

-- Obawiam się, że ta cena przekracza moje możliwości finansowe. Ma pan może coś mniej wyrafinowanego, ale równie niebezpiecznego?

-- Jaka suma wchodzi w grę?

Facecik wyjął zawartość kieszeni na ladę. Znalazło się tam kilka monet, parę zmiętych banknotów, które podarował mu Bubba Nawrócony Strażnik Więzienny oraz garść dwudziestopięciocentówek, które ukraść dziecku zbierającemu na UNICEF. Pan Etyka w duchu przeklinał skąpstwo mieszkańców okręgu. Takie małe datki, wstyd!

Mężczyzna za ladą szybko przeliczył pieniądze i powiedział: -- Ma pan czterdzieści dwa dolary i osiemdziesiąt jeden centów. Niedużo. Ale niech się pan nie martwi. Chyba mam coś, na co będzie pana stać.

Z tymi słowy schylił się pod ladę i wyjął ogromny metalowy futerał, burozielony i pokryty kurzem.

-- Proszę -- powiedział. -- Oddam ją panu za czterdzieści dolarów.

Na futerałe widniały charakterystyczne litery pisane cyrylicą. Odwrócone "R" i same małe litery. Broń była radziecka.

Rozdział trzydziesty ósmy

Edwin zostawił otwarte drzwi i pełną torbę karmy dla pana Mugginsa.

Tego ranka Edwin de Valu przestanie istnieć. Tego ranka zniknie. Wczesnym świtem ruszył różnym krokiem przez zalane słońcem ulice. Zmierzał ku najbliższemu bankowi. Stał na miejscu w oczekiwaniu na otwarcie. Starannie opracował ten plan i teraz zamierzał go wprowadzić w życie. Najpierw, by zmylić trop, sprytnie przeleje swój milion dolarów na kilka osobnych kont. Następnie niezwłocznie pojedzie taksówką na lotnisko i złapie najbliższy samolot lecący poza granice kraju. Nieważne, dokąd. Lepiej całkowicie zdać się na zrządzenie losu. Gdyby świadomie miał dokonać wyboru, ktoś potem mógłby odgadnąć jego zamiary. Nie, to

musi być kwestia przypadku. Wsiądzie na pokład samolotu linii międzynarodowych i nieważne, czy trafi do Stambułu czy Singapuru. Po przybyciu na miejsce powtórzy cały proces i najbliższym samolotem uda się dokądkolwiek. Nieważne, dokąd -- byle jak najdalej.

Zostawi za sobą szlak w postaci przybranych nazwisk i zmylonych tropów, a potem, kiedy już się upewni, że zniknął bez śladu, zaopatrzony w gotówkę, wybierze sobie ostateczny cel. Dopiero wtedy skontaktuje się z May. (Już opracowywał szczegóły tajnej, lecz romantycznej wiadomości, jaką jej wyśle).

Zanim bank otworzył swe podwoje, za Edwinem uformowała się mała kolejka, a Edwin -- wspaniałomyślny i wyspany po narkotycznej nocy -- ustąpił miejsca starszej pani i otworzył przed nią drzwi.

-- Proszę bardzo -- powiedział. -- Panie mają pierwszeństwo.

-- Och, dziękuję -- odparła. -- Jaki pan jest kochany.

Przez ten jeden, jedyny uprzejmy gest Edwin stracił wszystko...

W banku była tylko jedna kasjerka (ostatnio spadała liczba pracowników bankowych), a starsza pani, którą przepuścił Edwin, miała do załatwienia ciąg skomplikowanych transakcji. Ciągnęło się to w nieskończoność. Edwin czekał i czekał.

Zanim miła staruszka zamknęła torebkę i odeszła na bok, wcześniejsza wspaniałomyślność Edwina zdążyła już wyparować.

-- Głupie babsko -- wymamrotał, zbliżając się do kasjerki. -- Chciałbym założyć cztery tymczasowe konta -- powiedział -- połączone elektronicznie, z tym samym hasłem, ale z różnymi ścieżkami przelewu. Szybko.

Kasjerka, już skołowana i wyczerpana, westchnęła ze zmęczeniem i wcisnęła odpowiednie cyferki w komputerze. Na ekranie pojawiły się informacje o koncie Edwina.

-- W jaki sposób mam podzielić ten dolar czterdzieści siedem centów, który ma pan na swoim koncie?

Gdyby Edwin nie był tak oszołomiony, mógłby dosłyszeć nutę ironii w jej głosie, mógłby ripostować i może odnalazłby w kasjerce bratnią duszę. On jednak tylko wymamrotał:

-- Ale... ale to niemożliwe. Na tym koncie mam ponad milion dolarów. Wpłynęły dzisiaj z samego rana.

-- Milion? -- Wyraźnie mu nie wierzyła, niemniej jednak przejrzała transakcje z tego dnia. -- Ma pan rację. Rano pańskie konto było puste, ale dokładnie o ósmej siedem wpłacono na nie milion osiemset tysięcy sześćset dolarów i czterdzieści siedem centów.

Edwin poczuł falę euforii i ogarnęła go ulga.

-- Dzięki Bogu -- powiedział. -- W takim razie chciałbym podzielić tę sumę na cztery oddzielne...

-- Pieniądze podjęto dokładnie o ósmej dwadzieścia dwie.

-- Podjęto?

-- Czek bankowy na pełną sumę, zaokrągloną do dziesięciu dolarów.

-- O czym pani mówi? -- Edwin dobrze wiedział, o czym mówi kasjerka.

-- Pieniądzy już nie ma. Widocznie ktoś miał dostęp do pańskiego konta. Zostało wyczyszczone. Nie domyśla się pan, kto to mógł zrobić?

-- Tak, wiem, i to doskonale. Moja żona. Była żona.

Kasjerka uśmiechnęła się do niego współczująco, lecz z zaciśniętymi ustami.

-- To się zdarza bardzo często.

Edwin wygramolił się z kolejki, czując, że błędnik mu wiruje jak żyroskop. Myślał, że zemdleje albo zacznie gwałtownie wymiotować. Nie miał żadnego planu awaryjnego, żadnego pomysłu, co robić. Z rzeczy wartościowych zostały mu już tylko karty kredytowe, a i na tych nie

zostało już prawie nic. Zresztą nie dałby rady'

przeskoczyć na inny kontynent, posługując się kartami Diner's Club i Uncle Visa.

(Sytuacja okazała się jeszcze gorsza, niż przypuszczał. Tego samego dnia rano Visa Corporation, powołując się na "fundamentalne zmiany w zachowaniach konsumentów", ogłosiła bankructwo).

Edwin usiadł na krześle dla klientów i włożył głowę między kolana.

-- Dasz sobie radę -- powiedział. -- Uda ci się.

Nie przekonywał jednak nikogo, a już najmniej siebie samego. Może powinien wstąpić do spółdzielni, zmienić imię na "Promień Księżycyca", ukryć się na wsi i zająć okopywaniem rzepy i zbieraniem lnu?

-- Myśl, człowieku, myśl. -- I nagle, kiedy doszedł do wniosku, że gorzej już być nie może, zrobiło się jeszcze gorzej. Podniósł głowę i za oknem zobaczył znajomy czarny samochód.

-- Cholera! -- Edwin odwrócił głowę i bokiem podszedł do kasjerki, przerywając jej w połowie transakcji. -- Przepraszam -- szepnął. -- Czy jest tu tylne wyjście?

Oczywiście wyjścia takiego nie było. Przynajmniej nie dla klientów. Tak więc Edwin zrobił krok do tyłu i wykonał szaleńczy skok. Jednym susem rzucił się przez kontuar, rozrzucając dokumenty i przewracając krzesła. Leciwy ochroniarz zaczął niemrawo gmerać przy kaburze pistoletu, ale bez skutku. Edwin już pędził w stronę wyjścia dla pracowników. Kopnięciem otworzył drzwi, ruchem, który przywodził na myśl bardziej Jasia Fasolę niż Van Damme'a, i wybiegł na parking za bankiem. Właśnie szukał drogi ucieczki, kiedy za plecami usłyszał nagły pisk opon na asfalcie. Samochód wyjechał zza Edwina i ostro skręcił przed nim, odcinając mu drogę odwrotu i przygważdżając do ściany.

Przyciemniana szyba w oknie opuściła się powoli. W samochodzie siedział główny socjopata we własnej osobie, piegowaty mężczyzna o zimnych oczach i fałszywym uśmiechu.

-- Dwadzieścia cztery godziny! -- wrzasnął Edwin, przepełniony strachem. -- Wąż powiedział, dwadzieścia cztery godziny! Mam czas do wieczora!

-- Podejdz tu, Edwinie.

-- Nie ma mowy! Wąż powiedział, dwadzieścia cztery godziny! To nieuczciwe!

-- Edwinie, mam coś dla ciebie.

-- Jasne. Kulkę w łeb. Nie, dzięki, nie trzeba. Dwadzieścia cztery godziny! Tak powiedział!

Ale palec nadal na niego kiwał, a głos wołał, łagodny i ociekający słodyczą.

Ostatnim razem w podobnej sytuacji Edwin dostał maszynopis. Kto wie, co go czekało teraz? Z wahaniem zrobił krok do przodu -- jak uczeń, który wie, że czeka go chłosta.

-- Edwinie, wyciągnij rękę.

Nie, tylko nie to.

-- Błagam, nie. Na miłość boską! Jestem redaktorem, potrzebne mi Są wszystkie palce. Nie możecie mnie na przykład skopać albo bardzo mocno szarpnąć za włosy?

Ale piegowaty wcale nie zamierzał łamać Edwinowi kolejnego palca. Wyciągnął rękę i delikatnie położył coś na dłoni Edwina. Następnie zacisnął na tym jego dłoń i powiedział:

-- Do widzenia, Edwinie. Było mi bardzo miło cię dręczyć, ale właśnie wyruszam w podróż. Zegnaj, Edwinie.

Żyj, kochaj, ucz się. Przepraszam za kciuk.

I odjechał, zostawiając Edwina samego, z walącym sercem i drżącymi nogami, na parkingu za bankiem w piękny poranek na South Central Boulevard.

Edwin otworzył dłoń i spojrzał na nią. Leżała na niej malutka stokrotka.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Budynek sprawiał wrażenie zupełnie pustego i opuszczonego. Kiedy Edwin szedł przez niegdyś zatłoczone boksy Panderica i korytarze przypominające labirynt dla szczurów, miał wrażenie, że przemierza opustoszały plan filmowy. Teraz trudno byłoby uwierzyć, że Panderic to największe i najbogatsze wydawnictwo na świecie, którego dochody przekraczają budżet wielu krajów średniej wielkości. Same jego rezerwy finansowe z łatwością wystarczyłyby na obalenie kilku reżimów latynoamerykańskich państw Trzeciego Świata. Firma opływała w dostatek.

Tego jednak nie dało się zauważyć. Edwin słyszał o wymarłych miastach -- to było wymarłe biuro. Wszystkie boksy świeciły pustkami. Na korytarzach panowała cisza.

Bzyczenie świetlówek teraz wydawało się niewiarygodnie głośnie. Biurowe intrygi, plotki, zazdrość, gniew, śmiech -- wszystko zniknęło.

Pan Mead, Król Panderica, siedział rozwalony w fotelu, plecami do drzwi.

Z drinkiem w ręce i ze zgarbionymi plecami spoglądał na dachy w dole. Kiedy Edwin wszedł do jego gabinetu, pan Mead nawet się nie odwrócił.

-- Co znowu? -- zawarczał.

-- To ja, Edwin. Przyszedłem złożyć rezygnację. Pan Mead machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

-- Połóż ją na stercie innych.

Edwin odwrócił się do wyjścia, przystanął i powiedział: -- Jeszcze jedno, proszę pana. Odchodzę i dalej niech się pan pieprzy sam.

Na te słowa pan Mead się odwrócił.

-- Co takiego?! -- ryknął. -- Coś ty powiedział?

Edwina zaczęła opuszczać pewność siebie. Nie takiego rozwoju wydarzeń się spodziewał.

-- Powiedziałem, yyy, żeby się pan pieprzył sam. Odchodzę.

-- Ha, ha! Cudownie. To najlepsza rzecz, jaką słyszałem od wielu dni. Edwinie, przysuń sobie krzesło. Napij się ze mną.

-- Słyszał pan, co powiedziałem?

-- Oczywiście, oczywiście. Czego się napijesz? Mam -- co ja mam? Gin Boodles.

Santiago Red. Jakąś brandy. I trochę Kaluha. I jakieś obrzydliwe chińskie wino. Prezent od dystrybutorów z Tajpej. Stoi u mnie od lat. Smakuje jak syrop na kaszel, ale co tam, ma swoją moc.

-- Poproszę gin.

-- Co ci się stało w kciuk? Cały zabandażowany.

-- To długa historia, proszę pana.

-- Nieważne. Co cię boli, to cię uleczy. -- I podał Edwinowi szklanekę. Pan Mead nie był pijany ani nawet wstawiony. No, ale dzień dopiero się zaczął. -- Edwinie -- powiedział -- uważaj, o czym marzysz, bo to się może spełnić. Zdrówko! Skoal! Do dna.

Wychylili swoje drinki, a pan Mead natychmiast z powrotem napełnił szklanekę Edwina.

-- Nastaly czarne dni, Edwinie. Czarne, czarne dni.

-- Przecież pan wygrał. Przemienił pan Panderica w najpotężniejsze wydawnictwo na ziemi.

-- Nie. To Tupak Soiree przemienił Panderica w najpotężniejsze wydawnictwo na ziemi. Ja się tylko wszystkiemu przyglądałem. Byłem jak szatniarka w burdelu.

Uśmiechałem się i zbierałem numerki.

-- Ale pokonał pan swoich wrogów. Doubleday, HarperCollins, Random House: wszyscy poszli na dno. Został sam Panderic, bez konkurencji, na samym szczycie kupy kompostu. Wygrał pan.

Pan Mead rzucił na biurko wiosenny katalog Panderica, który wylądował z plaśnięciem przypominającym policzek.

-- Widziałeś nasz katalog? -- spytał. -- Widziałeś go?

Edwin przerzucił strony katalogu. Znajdowały się w nim tylko tytuły związane z Tupakiem Soiree: książki kucharskie, kalendarze, same laurki. Dobre życie: podejście Tupaka Soiree, Naprawy domowe i energia słoneczna: podejście Tupaka Soiree, Tupak Soiree na Boże Narodzenie, Dla Żydów, Dla sceptyków, Dla pogan. Tematyka książki Soiree okazała się idealnie elastyczna: dla skrajnie różnych grup oznaczała skrajnie różne treści, a jednak delikatnie pędziła wszystkich ku temu samemu znikającemu punktowi: wiecznej szczęśliwości i banalności. Próba zdefiniowania Tupaka Soiree przypominała próbę przybicia galaretki gwoździem do ściany: mogłeś tłuc, ile wlezie, a jednak ciągle coś ci się wymykało.

Przesłanie Tupaka trafiało do wszystkich warstw społecznych, spotykało się z uznaniem zarówno na samym szczycie, jak i na dole drabiny pokoleniowej: Tupak Soiree dla seniorów, Tupak Soiree dla nastolatków, Tupak Soiree dla samotnych licealistek w ciąży, które nadal mieszkają z rodzicami (podtytuł: "To nie twoja wina -- ty nigdy nie popełniasz błędów!"). Istniał nawet poradnik dla rodziców pod tytułem Tupak Soiree dla maluchów. Zainfekowany został nawet, kiedyś tak nieszkodliwy, dział literatury dziecięcej: Harry Potem i niespodzianka Tupaka Soiree. Pojawiły się książeczki do kolorowania oparte na zasadach zawartych w Czego dowiedziałem się na górze, były nawet dreszczowce, a w nich cyniczny detektyw usiłował ustalić, którą z "wielkich kosmicznych zasad życia" naruszono, a każdy bohater w końcu dostawał ważną lekcję życia.

-- Księgarnie przemieniły się w wielkie izby rozrachunkowe Tupaka Soiree -- powiedział pan Mead. -- Stały się sklepami ze szczęściem.

-- Czegoś tu nie rozumiem. Cała ta gadka o szczęściu, czy to nie działa na pańską korzyść? Zdaje się, że niedawno zarejestrował pan znak towarowy tego słowa?

Pan Mead pokiwał głową.

-- Zgadza się. Od tej pory po słowie "szczęście" ma następować TM, a Panderic dostaje tantiemy za każdym razem, gdy słowo to jest wykorzystane. Oczywiście nic nie możemy poradzić na to, że ludzie używają go w rozmowie, ale kiedy pada w kontekście Tupaka Soiree, stanowi znak firmowy Panderic Inc. Zmonopolizowaliśmy rynek. Nie zauważyłeś? Zostało już bardzo niewiele prawdziwych księgarni. Teraz zamiast nich pojawiły się Centra SzczęściaTM, które sprzedają prawie wyłącznie Tupaka Soiree i jego adaptacje. Zabawne, kiedyś żartowaliśmy na temat różnicy między "książkami"

a "przedmiotami w kształcie książki". Teraz już prawie wcale się nie wydaje normalnych książek. W Pandericu produkujemy tylko przedmioty w kształcie książek.

Wszystkie są związane ze szczęściemTM, wszystkie z miejsca stają się bestsellerami i przynoszą ogromne pieniądze. Kasa Panderica jest pełna.

-- To skąd ta ponura mina?

Pan Mead upił łyk drinka z Kaluha i chińskiego syropu na kaszel, skrzywił się i spytał:

-- Czytałeś tę książkę? Czego dowiedziałem się na górze? Czytałeś ją?

-- Sam ją redagowałem, pamięta pan?

-- Wiem, ale czyją czytałeś? Czy rzetelnie ją przeczytałeś? (Rzeczą całkiem możliwą i wykonalną było zredagowanie całej książki bez przeczytania jej lub choćby zastanowienia się nad jej wymową).

-- Tak, przeczytałem. Od deski do deski. Znam ją na wylot.

-- To dlaczego nie chodzisz cały roześmiany i pogodzony ze wszechświatem?

Edwin właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiał.

-- Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Może jestem na nią odporny. Może dlatego, że ją redagowałem. Wie pan, jak to jest. Redaktor nie widzi książki tak jak zwykły czytelnik.

Redaktor widzi strukturę, składnię, zabiegi stylistyczne, rozbiera ją na części pierwsze.

To jak patrzeć na budynek, ale widzieć tylko projekt. Albo jak oglądać zdjęcie rentgenowskie. Ja widzę sam szkielet. Widzę błędy, widzę, jak książka jest skonstruowana, widzę łączenia i wsporniki. Widzę różne sztuczki, chwyt i udukiwnienia. Wygląda to zupełnie tak, jakby zawodowy magik obserwował medium-oszusta, który udaje, że czyta w myślach. Ja się nie nabrałem na Czego dowiedziałem się na górze, bo mam swój rozum. W krainie ślepców jestem jednookim królem. Może dlatego nigdy nie uległem jej czarowi. -- Upił potężny łyk. -- A pan? Czytał pan tę książkę?

-- Jasne. Kilka razy. I, szczerze mówiąc, nie rozumiem, o co tyle hałasu. Kolejne brednie w stylu New Age i odgrzewane komunały w tandetnej, byle jakiej oprawie.

A tak przy okazji, przy redakcji odwaliłeś straszną kichę. Chryste, to się czyta jak wersję roboczą. Ale wiesz, co mnie najbardziej wkurza? Najbardziej działa na nerwy? Ta część o łysieniu mężczyzn. O tym, że "nie tylko powinniśmy zaakceptować swoją łysinę -- ale wręcz ją pokochać, cieszyć się z niej". Kiedy przeczytałem ten fragment, zrozumiałem, że cały ten Tupak Soiree to kawał palanta. Edwin, coś ci powiem. Łysienia nie powinniśmy "kochać". Łysienie to oznaka starzenia się -- jak zmarszczki, plamy wątrobiane czy siwe włosy. Chcesz coś usłyszeć? Mam artretyzm. Skończyłem pięćdziesiąt cztery lata, a moje ręce już się wykrzywiają w szpony. Palce mi sztywnieją, a kostki mam sękatę jak stara sosna. Ledwo mogę utrzymać pióro. Mam artretyzm, łysięję i wcale mi się to nie podoba. Dlaczego? Bo to mi nieustannie irytująco przypomina o śmiertelności. A śmiertelności, mój przyjacielu, nie powinniśmy ignorować. To nie jest coś, co moglibyśmy "pokochać". I z pewnością nie da się z niej cieszyć.

-- "Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy -- powiedział Edwin. -- Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy"*.

-- Dylan Thomas. Ładnie to wyrecytowałeś. Powiniennem cię oddelegować do działu poezji. (No dobra, było coś gorszego od romansów i poradników). -- "Nie wchodź..."...

Jakie to zabawne -- powiedział pan Mead. -- Wszyscy drwią z artystów z "pożyczkami".

Znasz ten typ: łysiejący faceci, którzy z jednej strony głowy zapuszczają sobie włosy, a potem zaczesują sobie ten tłusty kosmyk na czaszkę. Wygląda to idiotycznie, więc się z nich wyśmiewamy. Ale przyczyny tej "pożyczki" wcale nie są idiotyczne. Absolutnie.

Mężczyźni, którzy zaczesywali sobie włosy, zaprzeczali swej nieuchronnej śmiertelności. Rezultat może i wyglądał głupio, ale sam gest i ukryte motywacje głupie nie były. W pewnym sensie były smutne i nieco poetyckie. Właściwie prawie heroiczne.

Nie zauważyłeś tego? Teraz już nie widuje się facetów z "pożyczkami".

Tłum. Stanisław Barańczak.

Edwin nigdy się nie spodziewał, że będzie bolał nad zniknięciem podobnego zjawiska, lecz teraz, po paru drinkach i mowie pochwalnej pana Meada, której echo nadal rozbrzmiewało w gabinecie, poczuł smutek: smutek na myśl o wszystkich mężczyznach z zaczesanymi włosami, którzy się poddali.

Pan Mead odchylił się na krześle i ze zdumieniem, powoli pokręcił głową.

-- Po prostu tego nie rozumiem. Przeczytałem tę cholerną książkę i uznałem, że to tylko kiepsko napisana szmira. Czego nie dostrzegłem?

-- Niczego, proszę pana. Po prostu należy pan do tych trzech dziesiątych procenta.

Badania marketingowe wykazały, że dziewięćdziesięciu dziewięciu i siedmiu dziesiątych procentom czytelników książka ta się podoba. Żadna epidemia nie obejmuje stu procent populacji. Pewnie należy pan do tych, którzy nie są na nią podatni. Nawet kiedy Czego dowiedziałem się na górze trafi do wszystkich domów w Ameryce, zawsze zostaną trzy dziesiąte procent tych, którzy nie zachorują. Wydaje się, że to niezbyt wiele, ale w samych Stanach Zjednoczonych oznacza to dziewięćdziesiąt tysięcy osób.

Nawet najbardziej śmiertelny wirus nie zabija wszystkich.

-- Wirus? -- powtórzył pan Mead. -- Tak to widzisz?

-- Niekiedy.

-- Mylisz się, Edwinie. Ta książka to nie wirus. Jest tym, do czego ma pretensje: lekarstwem. Nikogo nie zmuszano do lektury Czego dowiedziałem się na górze. Każdy zrobił to z własnej woli. Właśnie w ten sposób działa rynek. To kombinacja wolnej woli, instynktu stadnego i odwiecznego pragnienia, by znaleźć szybkie rozwiązanie problemu. Wirus? Nie. To nie wirus. To coś o wiele gorszego, Edwinie. To lekarstwo.

Lekarstwo na wszystkie nasze współczesne bóleczki, problemy -- prawdziwe lub wydumane. Zabawne, że ludzie tacy jak ty i ja może potajemnie kochali się w tej chorobie. To nie wirus, Edwinie. To recepta. Jedyne rozwiązanie polega na tym, że lekarstwo jest gorsze od choroby. O tak, strzeż się tego, czego pragniesz... -- Chciał się napić, ale szklaneczka była już pusta. -- Strzeż się tego, czego pragniesz.

-- Muszę już iść.

-- Tak, pewnie tak. Bardzo żałuję, że odchodzisz, ale rozumiem. Praca tutaj już nie należy do przyjemności. Dzisiaj rano odeszła May Weatherhill. Teraz jest w swoim gabinecie, pakuje się. Koniecznie wpadnij do niej przed wyjściem. Pytała o ciebie.

Edwin zawahał się.

-- Proszę pana, zanim pójdę. Chciałem pana prosić o przysługę.

-- May odeszła. Ty odszedłeś. Nigel -- diabli wiedzą, gdzie jest teraz. Zostałem już tylko ja i Ned z księgowości. Wszyscy inni poszli sobie już dawno. Resztę roboty wykonują ochotnicy. Wyobrażasz sobie? -- Pan Mead zaśmiał się głośno, co przypominało ironiczne szcęknięcie. -- Wyznawcy Tupaka Soiree oferują swe usługi przy produkcji. Graficy, layouterzy, dystrybutorzy: wszyscy pracują za darmo, by szerzyć jego słowo. Więc nie tylko mamy największe zyski w naszej sześćdziesięcioletniej historii, ale i nie musimy nikomu płacić. Przechabawne, co?

Pamiętasz Stażystę Stevena? Awansowałem go na kierownika działu science fiction, ale po tygodniu złożył rezygnację. Zostawił tę głupią informację o rybach. Boże, jak ja tego nienawidzę. Nie mogą po prostu sobie pójść? Po co to uroczne pożegnanie? W każdym razie Steven odszedł, zostawił kartkę z wiadomością "Poszłem na ryby", a dwa dni później pojawił się jako ochotnik. Robi to samo, co przedtem, ale za darmo! Dasz wiarę?

Co za matoł.

-- A co z Nedom? Dlaczego został?

-- Ned z księgowości? Och, okazało się, że on rzeczywiście lubi dodawać cyferki.

Mówi, że księgowość to jego "wieczna szczęśliwość". Więc co tam, zostawiłem go na liście płac. -- Pan Mead wstał i na chybił trafił wyciągnął jedną z butelek. -- Jeszcze ginu?

-- Nie, nie mogę. Muszę złapać May, zanim wyjdzie. Ale chciałbym pana prosić o przysługę.

-- Co tylko chcesz. Strzelaj.

-- Wspominał pan o ogromnych zyskach Panderica, olbrzymich rezerwach finansowych i niskich kosztach. Ponieważ obecna nadwyżka finansowa firmy jest w dużej mierze moją zasługą,

zastanawiałem się, czy... no, czy nie dałby mi pan specjalnej odprawy? Żebym mógł zacząć się urządzać gdzie indziej.

-- Odprawy?

-- Tak, czegoś w rodzaju pożegnalnego pakietu. Wie pan, w świetle tego, co zrobiłem dla Panderica...

-- Co?! Zwariowałeś? Ja nie śpię na pieniądzach. Przecież w zeszłym roku dałem ci zapalniczkę Zippo, nie? Nie? Ty cholerny niewdzięczniku. Wynoś się stąd do diabła, rzygać mi się chce na twój widok.

-- Tak, proszę pana -- westchnął Edwin.

Powinienem był jednak zdecydować się na scenariusz z zasrańcem i szarpnięciem za kucyk -- pomyślał Edwin, wychodząc z pokoju.

Rozdział czterdziesty

May rzeczywiście pakowała swoje rzeczy. Wszędzie stały tekturowe pudła -- na biurku, na szafce z dokumentami -- ze ścian usunęła zdjęcia kota, a paprotki spakowała do pudeł na podłodze.

-- Edwin -- powiedziała, podnosząc głowę. -- Cieszę się, że wpadłeś. Chciałam się z tobą pożegnać.

Ale Edwin nie przyszedł po to, by się żegnać, przyszedł, by ją wziąć w ramiona i porwać ze sobą. Przybył jako Conan Redaktor.

-- Nie -- powiedział. -- Żadnych pożegnań. -- Wziął głęboki oddech i czując lekki zawrót głowy, rzucił się ze szczytu klifu. -- May, chodź ze mną. Chcę, żebyśmy byli razem. Nie mam ci nic do zaoferowania. Żadnej pracy, żadnych pieniędzy. Moja przyszłość maluje się w ponurych barwach, kciuk mam w łubkach i od dwóch dni się nie kąpałem. Mafія próbuje mnie zabić. Jenni odeszła i zabrała wszystkie moje rzeczy.

Nie wiem, dokąd pojedę ani co będę robił -- ale chcę, żebyś została ze mną. Tylko ty. Chodź ze mną, May.

Odwróciła się i spojrzała na Edwina z wielką uwagą, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu.

-- Za późno -- powiedziała cicho.

Edwin pokiwał głową.

-- Rozumiem. -- Zapadło długie milczenie. -- Na pewno? -- spytał w końcu.

-- Tak, Edwinie. Już za późno.

Odwrócił się ze smutkiem, rezygnując z pozy w stylu Bogarta i z bystrych, oschłych słów na zakończenie tej sceny.

-- Do widzenia, Edwinie.

-- Chwileczkę! -- Odwrócił się raptownie. -- Cholera, jedną chwilę!

-- Słucham?

-- Twoje usta! -- krzyknął. -- Gdzie się podziały twoje usta?

-- Moje usta?

-- Te duże, czerwone usta z wosku. Gdzie one są? I -- twoje oczy! Gdzie ten smutek?

Gdzie tęsknota i inteligencja? Tusz do rzęs? Cienie do powiek? I gdzie, do jasnej cholery, są twoje usta? -- Po czym, już ciszej i z dreszczem przerażenia, dodał: -- Kim jesteś i co zrobiłaś z May?

-- Edwin -- powiedziała głosem spokojnym i kojącym, z dziwnie pogodnym spojrzeniem.

-- Makijaż to tylko maska, a ja już z niej wyrosłam. W końcu pozwoliłam sobie na to, by być

sobą.

Edwin zatoczył się do tyłu, palcem dźgając powietrze i wykrzywiając usta jak bohater Inwazji porywaczy dat.

-- Ty... ty czytałaś tę książkę!

-- Teraz jestem szczęśliwa. Wreszcie pogodziłam się z samą sobą. W moim życiu panował chaos, a teraz odnalazłam równowagę. Osiągnęłam stan wiecznej szczęśliwości.

-- Nie -- powiedział takim tonem, jakby poprzysięgał coś samym niebiosom. -- Ja się na to nie zgadzam. Tylko nie ty.

-- Żyj, kochaj, ucz się.

-- Nigdy!

Złapał ją za ramiona i wyciągnął z gabinetu do windy.

-- Dokąd idziemy? -- spytała głosem spokojnym i opanowanym, chociaż stała się ofiarą porywacza.

-- Jesteś mi to winna, należy mi się ta ostatnia chwila. Ostatnia szansa.

Winda zatrzymała się na parterze i Edwin wyciągnął May przez hol na ulicę, gdzie zaczął gorączkowo machać na taksówkę.

-- Edwin, nie mam nic do dodania. Twoje słowa na mnie nie działają, bo znalazłam się poza ich zasięgiem.

Ale Edwin i tak ją wciągnął do taksówki, kazał kierowcy wyjechać z miasta -- "uciec" z niego, jak to ujął -- i pojechali wzdłuż portu, a potem ponad nim wyżej położoną estakadą Callaghan. Była to długa podróż. Oboje siedzieli pogrążeni w milczeniu i przytłoczeni poczuciem końca gry.

-- Edwin -- powiedziała w końcu cicho. -- Patrz. Morze. Chwyciło niebo i nadało mu intensywniejszy odcień błękitu.

-- Na brzegu walają się prezerwatywy i zużyte igły -- odparł na to Edwin.

-- Diabelskie koło. Widzisz? W parku Candle Island? Widzisz jego sylwetkę, o, tam?

Widzisz, jakie jest piękne?

-- Zardzewiałe i zniszczone, May. A Candle Island jest tandetna, pełna tanich błyskotek i drobnych kanciarzy. May, świat nie skrzy się magią. Skrzy się smutkiem.

Patrzyła przez okno na wesołe miasteczko, które zostawało w tyle po jej prawej stronie.

-- W dzieciństwie często tam chodziłam. Ojciec mnie zabierał. Kupował watę cukrową, różową i puszystą. Rozpływała się w ustach. -- Odwróciła się do Edwina i dodała:

-- Tęsknię za swoim ojcem. Czasami się zastanawiam, gdzie jest. I myślę o wacie cukrowej, która tak szybko się rozpuszcza.

Minęli wejście do parku i oczom May ukazał się straszliwy widok. Tak potworny, że patrzyła nań z niedowierzaniem. Wejście było zamknięte na kłódkę i zabezpieczone łańcuchami. Wisiała tam tablica: "Plac zabaw zamknięty". To niemal wyrwało May ze stanu szczęśliwości.

-- Kiedy...? -- spytała.

-- W zeszłym tygodniu. Zamknęli go bez słowa wyjaśnienia. Okazało się, że szczęśliwi ludzie nie potrzebują tanich rozrywek czy jarmarcznych uciech. Szczęśliwych nie trzeba oślepiać światełkami karuzeli. Oni nie muszą igrzać ze śmiercią czy rzucać strzałek, żeby wygrać zabawki wypchane trocinami.

May nic nie powiedziała. Zamknęła tylko oczy -- zacisnęła powieki tak mocno, że zaczęły pod nimi wzbierać łzy. Pomyślała o wacie cukrowej i tym nieokreślonym smaku puszystego cukru, miękkiego na języku i szybko znikającego.

-- Jestem szczęśliwa -- powiedziała. -- Jestem szczęśliwa. Jestem taka szczęśliwa.

Edwin kazał kierowcy zatrzymać się przy pierwszym motelu, jaki znajdą, co trochę

potrwało. Większość co nędzniej szych lokali była pozamykana, zapyziała i zarastała chaszczami. Motel Drozd nadal jednak działał: był to długi szereg drzwi przy podejździe wysypanym żwirem, na którym stała tablica z niebieskim napisem ozdobionym sopolkami lodu: KOLOROWA TELEWIZJA, a tuż pod spodem KLIMATYZACJA. Dwadzieścia pięć lat wcześniej podobna reklama byłaby w awangardzie nowoczesności, teraz jednak wydawała się równie przestarzała jak jaskiniowy rysunek z epoki paleolitu. Kolorowa telewizja? To były kiedyś takie czasy, gdy ludzie nie mieli kolorowej telewizji?

Kiedy taksówka, szorując oponami po żwirze, zatrzymała się pod recepcją, nastąpiła krępująca chwila.

-- Siedemdziesiąt jeden pięćdziesiąt. Z napiwkem osiemdziesiąt -- powiedział kierowca, czarniawy, przysadzisty mężczyzna, który najwyraźniej nie czytał tego rozdziału książki Tupaka Soiree, który traktuje o duchowym ubóstwie osób, żądających pieniędzy od innych.

Edwin odchrząknął.

-- Pewnie pan nie przyjmuje Diner's Card, co? Nie?

-- Odwrócił się do May, nieco nieśmiało i z pewnością nie przypominając Conana.

Pomimo swej świeżo odnalezionej szczęśliwości May roześmiała się, słysząc prośbę Edwina, zachwycona absurdalnością tej sytuacji.

-- Postawmy sprawy jasno -- powiedziała. -- Mam zapłacić za własne porwanie?

-- Trochę u mnie krucho z kasą.

May wyjęła pieniądze i podała je kierowcy.

-- Żyj, kochaj, ucz się -- powiedziała czarującym głosem.

-- Taa, jasne. Co tam sobie pani chce. (Tupak Soiree już odebrał taksówkarzowi żonę i czterech innych członków rodziny, więc mężczyzna nie reagował życzliwie na takie złote myśli).

Odprogramowanie May Weatherhill zaczęło się od garści czekoladek i gorącej prośby. Edwin zamknął przyjaciółkę samą w pokoju na ponad godzinę, a kiedy wrócił, znalazł ją siedzącą po turecku na podłodze i oddychającą w harmonii ze wszechświatem. W pokoju znajdowały się meble z dykty, przetarte prześcieradła i pokryty pleśnią dywan. Medytacje May nie mogłyby wyglądać bardziej absurdalnie, niż gdyby się znajdowali na diabelskim kole.

-- May! -- krzyknął, wdzierając się do pokoju. -- Pieniądze, które mi pożyczyłaś, nie poszły w błoto. Zobacz, co mam. Czekoladki! Nie dla duszy, lecz dla bioder. Puste kalorie! Pyszne, wywołujące poczucie winy i całkowicie niepotrzebne. Tym się żywi cała Ameryka! Pustymi kaloriami. Jesteśmy narodem, który utrzymuje się przy życiu dzięki pustym kaloriom. -- Rzucił na łóżko ogromną liczbę marsów, wokół których rozrzucił

czekoladki, jakby ofiarował prezent ślubny nowożeńcom na Bali. -- Ale czekaj, mam coś jeszcze! -- Teatralnym gestem ułożył w wachlarz bogaty asortyment kobiecych pism. --

"Cosmo"! "Zawijas"! "Miesięczny tygodnik dla kobiet!" Spójrz na te okładki. Sprawdź, jakie masz wady. Rady kreatorów mody, makijaż, związki damsko-męskie. Na tej stronie jest artykuł o tym, jak schudnąć, a -- ha, ha! -- na następnej, jak upiec czekoladowy sernik z podwójną polewą krówkową. Nie da rady, May! Czyż to nie cudowne? Jeden krok do przodu, dwa kroki w tył. A dla siebie mam magazyny sportowe, żeby sobie poczytać o mężczyznach bogatszych, szybszych i silniejszych ode mnie, którym spełniają się marzenia mojego dzieciństwa. Tak jest, mogę udawać kogoś w rodzaju Żelaznego Jana, chociaż w rzeczywistości jestem urzędniczyną w szarym garniturku. Jestem zupełnie bez znaczenia! Zobacz, jaka pustka tkwi, o, tutaj... -- Walnął

się pięścią w pierś. -- Widzisz wszystkie te mechanizmy i prowizoryczne rozwiązania, jakie stworzyliśmy? Widzisz, jak powstrzymujemy objawy, jak próbujemy naprawić pęknięte

serca za pomocą taniego plastra? Oto, kim jesteśmy, May. To ten smutek, który leży u podłoża wszystkiego. Mono-no-aware. Właśnie to z nas czyni ludzi: nie szczęście, lecz smutek, który się w nas kryje.

-- Nie -- zaprzeczyła May. -- Ja tego nie zaakceptuję. Nie akceptuję tego, że tak wygląda świat.

-- Ciężka sprawa! -- wykrzyknął Edwin. -- Bo świata to nic nie obchodzi. Nie możemy zmienić rzeczywistości.

Nie możemy tak zwyczajnie zamknąć oczu i wmówić sobie, że starość, śmierć i rozczarowanie nie istnieją. One istnieją, May. Czy nam się to podoba, czy nie. Życie to po prostu ciąg wydarzeń, ale nie mamy wyboru. Nie możemy przejść przez nie jak lunatycy, bo dostaliśmy tylko jedną szansę. Dum vivimus, vivamus! "Póki żyjesz, żyj pełnią życia!" Dum vivimus, vivamus.

Ale May należała do ludzi, którzy mogą przyjmować cios za ciosem, słowo za słowem, jedno objawienie za drugim, a na jego łacinę zareagowała własnym nieprzetłumaczalnym zwrotem.

-- Kekau -- powiedziała. -- To indonezyjskie słowo. Oznacza "przebudzić się z koszmarne go snu". Ale my mamy do czynienia z czymś zupełnie innym. Budzimy się nie ze snu, lecz w sen. Cały świat wreszcie się budzi. Budzi w sen. Cudowny, precudowny sen. Sen tak eteryczny i słodki jak... -- Tu się ugryzła w język.

-- Jak wata cukrowa -- dokończył za nią Edwin. -- Tak słodki i lekki jak wata cukrowa. To świat utkany z cukru. Czy aż tak nisko upadliśmy?

-- Nie upadliśmy -- zaprzeczyła. -- My się wznosimy.

Edwin rzucił na łóżko więcej magazynów.

-- Patrz. Znalazłem kilka plotkarskich gazet o życiu gwiazd. Pamiętasz pojęcie plotki? Te magazyny aż pękają w szwach od skandali i ściskających za serce tragedii.

Możemy czuć jednocześnie współczucie i niechęć do zupełnie obcych ludzi!

Cisnął na gazety poobijaną walizkę, w której zabręczało szkło.

-- Mam whisky. I gin. Trochę haszyszu. Karton papierosów. A nawet... -- Gestem magika wyjął metalową tubkę.

-- ... szminkę.

Ale w tym momencie zaczął coraz mniej przypominać magika, a coraz bardziej akwizytora, któremu kończą się pomysły. Odruchowo złapał tabliczkę stojącą na telewizorze.

-- Ha, ha! -- wykrzyknął, lecz teraz jego śmiech wydawał się nieco wymuszony. -- Cóż my tu mamy? Porno! Kanał trzynasty. Amatorskie nagrania wideo. Teraz możemy żyć namiastkami nawet na najbardziej intymnym poziomie.

Możemy zapłacić za oglądanie obcych ludzi, którzy w ciągu dziesięciu minut mają więcej radochy niż my w ciągu całego życia! -- Przekręcił gałkę na średnią częstotliwość i nastawił płatny kanał. Ekran zamigotał i rozblęsnął mdląco zielonym odcieniem ciał. -- Porno, May! Ludzie, którzy wykorzystują innych. Na tym właśnie polega życie.

Na ekranie olśniewająco piękna młoda kobieta i mężczyzna z kręconymi włosami, oboje w białych szlafrokach, uśmiechali się promiennie do kamery.

-- Patrz -- zapał Edwin. -- Lada chwila zaczną uprawiać akrobatyczny, bezsensowny seks!

Rozległ się głos lektora:

-- Za chwilę będą gwiazdy filmów dla dorosłych opowiedzą o swych najskrytszych uczuciach.

-- Co takiego? -- Z niedowierzania Edwin niemal się zadławił. -- Były gwiazdy porno?

Byłe?

Dziewczyna w telewizorze odrzuciła do tyłu długie jasne włosy -- z powodu kiepskiego odbioru zabarwione na zielono -- i powiedziała: -- Z książką Tupaka Soiree po raz pierwszy zetknęłam się na planie mojego ostatniego filmu, W szeregu do Ryana, i pomyślałam sobie: Hej, coś w tym jest...

-- Nie! -- wrzasnął Edwin. -- Nie gadaj, tylko się rozbieraj!

Młody mężczyzna włączył się, mówiąc z błogim uśmiechem: -- Ostatni film, w którym wystąpiłem, nosił tytuł Dzisiaj jestem nie w sosie i chociaż wydawało mi się, że ma pewne wartości artystyczne, nie mogłem oprzeć się uczuciu, że...

-- Uczuciu? -- ryknął Edwin. -- Nic nie czuj, nie myśl, tylko bierz się do roboty! -- Coraz gwałtowniej machał rękami. -- Oboje przynosicie wstyd ludzkiej chuci! Nie powinniście pokazywać publicznie swoich twarzy.

May, której medytacja i stan szczęśliwości zostały już całkowicie zakłócone, podniosła się z podłogi, poprawiła prostą niebieską spódnicę -- tę "byłe jaką", którą tego dnia rano na oślep wyjęła z szafy -- i powiedziała: -- Edwinie, muszę już iść. Pozwoliłam ci na tę ostatnią chwilę, ale to był błąd. Nie masz mi nic do zaoferowania, tylko stare magazyny i zatęchły dym z papierosów. To... -- tu wskazała na umeblowanie pokoju, migający ekran telewizora i prezenty na łóżku -- ...

to tylko niegdysiejsze śniegi. Jestem ponad to. Zmieniłam się. Cały świat się zmienił.

Wstaje nowy dzień.

-- Nowy dzień? A cóż to będzie za świat? Świat bez duszy. Bez śmiechu.

Prawdziwego śmiechu. Takiego, od którego aż boli brzuch i łzawią oczy. W niebie nikt się nie śmieje. I nikt się nie śmieje w raju. Tam właśnie zmierzamy? Do świata, który już zapomniał, jak smutny jest prawdziwy śmiech? Łzy i śmiech, May. Dwie strony tej samej monety. Nie można ich rozdzielić. Nemo saltat sobrius! "Trzeźwi nie tańczą".

Napisał tak James Boswell. W osiemnastym wieku było to prawdą i jest nią dzisiaj.

Potrzebujemy naszych wad. Naszej puszystej waty cukrowej, bo życie jest smutne, krótkie i szybko się kończy. Dlaczego tyle czasu spędzamy na majstrowaniu przy własnej tożsamości? Dlaczego tak nas pociągają błahostki? Bo te drobiazgi są szalenie ważne. Zasadnicze. Żyć warto nie dla absolutnego szczęścia, lecz właśnie dla tych głupstewek.

Ale May już go nie słuchała i Edwin równie dobrze mógłby się spierać z własnym cieniem. (Którym, w pewnym sensie, był).

-- May, nie wiem, jaki jest sens życia, ale mam pewność co do jednego: najważniejsze zwroty w ludzkim języku, to: "Gdyby tylko" i "Może kiedyś". Błędy, które popełniliśmy, i niezaspokojone pragnienia. Rzeczy, których żałujemy, i te, za którymi tęsknimy. To dzięki nim jesteśmy ludźmi.

Czekał na odpowiedź. Czekał na iskierkę nadziei. Ta jednak się nie pojawiła.

-- Bardzo ci współczuję, Edwinie. -- May otworzyła drzwi, przestąpiła próg i odeszła ku słońcu i szczęśliwości.

Edwin, przybity i zniechęcony, osunął się na łóżko zasłane dowodami ludzkiej słabości. Gdyby tylko wpadł na pomysł, by za nią wybiec, odwrócić do siebie i pocałować po raz ostatni -- ten jeden, jedyny raz. Czekala na to. Czekala i wiedziała, że go nie odtrąci, teraz już nie. Już nigdy by tego nie zrobiła. Najprawdopodobniej oddałaby jego pocałunek, mocno i z desperacją -- jak tonący, który spazmatycznie łapie powietrze. Ale tego nigdy się nie dowiemy.

Nie dowiemy się, bo Edwin ją wypuścił. Pozwolił jej odejść, łapać taksówkę i stać samotnie na poboczu w ciepłym, jesiennym słońcu, z zamkniętymi oczami i w oczekiwaniu. W oczekiwaniu na coś -- na kogoś.

Rozdział czterdziesty pierwszy

W motelu Drozd na ekranie telewizora pojawiła się znajoma twarz. Była to twarz z przeszłości Edwina, który teraz przyglądał się jej z oszołomieniem i niedowierzaniem.

Dozorca Rory (vel Finansowy Czarodziej Rory) występował w programie satelitarnym Kanał Tupaka Soiree: Pełne Szczęście™ Całą Dobę (Przedtem: Ostry seks całą dobę!). Program prowadził sympatyczny mężczyzna ze szczęśliwymi, martwymi oczami i wiotkim, niemal apatycznym uśmiechem.

-- Panie Wilhacker, czy też mogę mówić do pana "Rory"?

Od tego szacunku Edwinowi aż żołądek wywrócił się do góry nogami.

-- Oszust! -- krzyknął do telewizora. -- Oszust!

Rory objaśniał bieżące ekonomiczne problemy kraju, które opisywał nie jako katastrofę, lecz raczej "przystosowywanie się do nowych warunków".

-- W każdym kryzysie istnieje zarzewie szans na przyszłość -- mówił pogodnym tonem. -- Znajdujemy się pośrodku wielkich przemian. Jesteśmy świadkiem doniosłego punktu zwrotnego w historii świata, który przewyższa nawet samą Rewolucję Przemysłową. Z tych przemian, z tego wielkiego zamętu wyrośnie nowy ład gospodarczy, niczym kwiat po ulewnym deszczu.

-- Albo grzyby! -- zagrzmiął Edwin. -- Trujące grzyby rosnące na kupie bredni!

-- Zaraz zaraz -- zahuczał gospodarz programu. -- Przecież szerzy się bezrobocie, rezerwy federalne się skończyły, a krajobraz gospodarczy usiany jest trupami niegdyś wspaniałych przemysłów...

-- Ach. -- Tu Rory wznosił palec. -- Sprzeciwiam się słowu "wspaniałe". Gałęzie przemysłu, które ostatnio padły, zasłużyły na śmierć. Pieniądze nigdy nie są neutralne.

(Edwin natychmiast rozpoznał w tych słowach aforyzm zaczerpnięty z książki Soiree).

Pieniądze zasadzają się na śmiertelności. Mogą być moralne lub niemoralne, nigdy jednak nie są po prostu neutralne. Handel niewolnikami kiedyś stanowił prężny, ożywiony przemysł. Czy mamy opłakiwać również jego odejście? Czy w zwykłych kategoriach ekonomicznych nie należał kiedyś do "wspaniałych"? Niemoralne gałęzie przemysłu zasługują na śmierć -- czy mowa tu o przemyśle tytoniowym, alkoholowym, czy też odzieżowym. Teraz korzenie zapuszcza nowa rzeczywistość -- oparta nie na chciwości i pokusach, lecz na miłości. Naszym celem musi stać się produkowanie bogactwa poprzez ludzkie szczęście, a nie na odwrót. Fatalny w skutkach błąd polegał

na tym, że usiłowaliśmy osiągnąć szczęście przy pomocy pieniędzy, chociaż powinniśmy postępować dokładnie odwrotnie. Myśleliśmy, że gromadząc coraz więcej rzeczy, coraz więcej dóbr materialnych, nadamy znaczenie swemu życiu. To zawsze stanowiło zasadniczy błąd w naszym życiu.

-- Mówi pan o końcu pokus. Czy traktuje go pan w sensie biblijnym? Czy odrabiamy lekcję, jaką dostaliśmy w raju? Czy wracamy do błęgiego stanu, który istniał przed grzechem pierworodnym? (Prowadzący program kiedyś był biskupem katolickim, który w poszukiwaniu szczęścia trafił do publicznej stacji telewizyjnej).

-- Grzech? Co pan nazywa grzechem? Dla mnie grzech to jedynie objaw braku równowagi w życiu. I to wszystko. Konsekwencje grzechu mogą być straszliwe, ale sam grzech bierze się tylko z braku wiedzy. Gdybyśmy poznali dobro i dogłębnie je zrozumieli, wówczas dokonywalibyśmy jedynie słusznych wyborów. Wyborów moralnych. W tym sensie pokusa, czy to ekonomiczna, czy osobista, to prawdziwe wyzwanie. Na przykład ja kiedyś pracowałem jako dozorca w ogromnym biurówcu i w pewnej brzemiennej w skutki chwili miałem okazję

zmiażdżyć osobę, której od dawna nie cierpiałem.

-- Czy mówi pan w przenośni?

-- Nie, mogłem zmiażdżyć go dosłownie. Wie pan, on się znalazł w zgniatarce śmieci, co zresztą było wbrew zasadom bezpieczeństwa. Wystarczyło, żebym przycisnął tylko jeden guzik i byłby z nim koniec.

Edwin zamarł. Gospodarz się roześmiał.

-- Czuł pan taką pokusę?

Rory uśmiechnął się tak samo bezbarwnie jak wtedy, gdy mówił Edwinowi: "Zawsze cię nienawidziłem".

-- Och, bardzo mnie kusilo -- powiedział. -- Prawdę mówiąc, rzuciłem monetą i wypadł orzeł, więc pozostawiłem tego osobnika przy życiu.

Edwin z trudem przełknął ślinę, na karku poczuł strużkę zimnego potu. Rzucił monetą? Ot, tak? Rory chyba żartuje. Na pewno.

-- Nie żartuję -- ciągnął Rory. -- Dostałem jednak ważną lekcję. Decyzji moralnych oraz polityki ekonomicznej, jaka z nich wynika, nie wolno zostawiać przypadkowi.

Odtąd moje motto brzmi: w sprawach duchowych nigdy nie zdawaj się na rzut monetą.

Słyszac tę banalną uwagę, gospodarz pokiwał głową, jakby objawiła mu się tajemnica teorii względności.

-- Wspaniale -- powiedział. -- Absolutnie wspaniale. Biały Dom wpadł w panikę z powodu obecnych przekształceń gospodarczych. Czy skontaktowali się z panem, może prosili o pomoc czy radę? (Konstrukcja tego pytania zdradzała intencje gospodarza, jasne było, że z góry znał odpowiedź).

-- Tak. Właśnie dziś rano dzwonił do mnie osobisty sekretarz prezydenta.

Powiedział: "Panie Wilhacker, potrzebujemy pańskiej pomocy".

Edwin oglądał program z niezdrową fascynacją, jak przechodzić gapiący się na ofiary wypadku samochodowego. Czy to prawda? Czy Rory P. Wilhacker (vel Jimbo, vel Dozorca Z Piekła Rodem) rzeczywiście szykuje się na osobistego doradcę prezydenta Stanów Zjednoczonych? Czy Rory P. Wilhacker wkrótce zacznie dyktować Białemu Domowi politykę gospodarczą?

Rozdzwonili się widzowie.

-- Mamy na linii pannę Starlight z Boise, stan Idaho.

Słuchamy pani.

Nastąpiła niezdrowa erupcja pozytywnych emocji. Każdy z dzwoniących życzył

Rory'emu spokoju ducha i twardej ręki. Czy też może na odwrót. Nie, żeby miało to jakies znaczenie. Zatarły się granice między treścią a formą, która działała otumaniająco.

Edwin poczuł, że jego umysł ogarnia martwota...

Aż nagle, co przyszło niczym powiew zimnego powietrza, jeden z dzwoniących zaczął obrzucać gościa obelgami i logicznymi argumentami. Chwilę wcześniej Wielki Rory oznajmił śmierć wolnej przedsiębiorczości i objaśniał gospodarkę przyszłości opartą na lokalnych mikrospółdzielniach.

-- To przekracza wszelkie granice absurdu! -- wykrzykiwał widz o szorstkim głosie i jasnym umyśle. -- I da skutek wręcz przeciwny do zamierzonego! Pan Wilhacker chce nam wmówić, że możemy stać się narodem, którego bogactwo można zbudować na gościnności i wyręczaniu sąsiada w zanoszeniu ubrań do pralni. Czy cały nasz kraj znajduje się pod wpływem środków uspokajających? Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że nauka przestała się rozwijać? Czy was to w ogóle obchodzi? Postęp w medycynie.

Badania. Odkrycia. Wszystko to zostało zastąpione duchowym bełkotem w stylu New

Age. Nasze college'e i uniwersytety świecą pustkami, tak samo jak nasze umysły. Nikt już nie zajmuje się edukacją, sztuką, literaturą.

W tym kraju zabrakło miejsca na debaty, bo zniknęły wszelkie różnice zdań.

Utknęliśmy w błotnistym kompromisie, a wy to nazywacie postępek? To nie krok do przodu, lecz w tył! A ten wasz świrnięty guru, ten cały Tupak Soiree, to największy oszust, jaki kiedykolwiek handlował złudzeniami na bazarze ludzkiej głupoty, i im szybciej...

Tego już było dosyć. Gospodarz programu przerwał ten wywód.

-- Panie Randi, dziękujemy za telefon. Pokój, miłość i spokój wewnętrzny już na zawsze.

-- Uśmiechnął się ciepło. -- I nie dzwoń już więcej, ty podły sceptyku, ty.

-- Credo quia absurdum -- powiedział Edwin. -- "Wierzę, bo to absurd".

Tak brzmiało motto każdej religii, hasło New Age, hymn całego przemysłu poradników. A teraz, w oszalałym tempie, stawało się mottem całych Stanów Zjednoczonych. Credo quia absurdum. Wskrzyszono średniowieczne kredo teologiczne.

Randi miał rację: to, co się działo, oznaczało krok do tyłu. Wielki skok do tyłu.

Ostatnie pięćset lat rozwoju człowieka, postępu i myśli, renesans, oświecenie, nauki wyciągnięte z ideologicznych wojen dwudziestego wieku, triumf nad dogmatami, wielkie odkrycia w medycynie -- wszystko to miało przepaść bez śladu.

Natura człowieka zawsze opierała się na heroicznych poszukiwaniach, na pragnieniu czegoś innego, czegoś więcej; czy miała to być prawdziwa miłość, czy choćby zerknięcie poza linię horyzontu. Całą machinę, nasze szaleństwo i chwałę, napędzała tęsknota za szczęściem, a nie osiągnięciem go. Szaleństwo i chwała nie wykluczały się wzajemnie.

Bynajmniej.

A teraz jeszcze to: Rory P. Wilhacker w migoczących odcieniach zieleni i błękitu zamierza oświecić naród. Rory odchylił się w swoim fotelu i z uśmiechem pełnym samozadowolenia rozpoczął rozwlekły wywód na temat przyszłości pieniądza. Większa część składała się z cytatów z Tupaka Soiree. ("Musicie zrozumieć, że teoria monetarna od samego początku jest wadliwa, gdyż usiłuje zamknąć płynność ruchu w geometrię liczb. Pieniądz podlega ciągłym zmianom, nie jest ani energią, ani materią, lecz czymś pośrodku. Ujmowanie go w pewien wzór przypomina próbę zrobienia stop-klatki geparda w biegu. Ruch gubi się w trakcie procesu"). Inne perełki pochodziły z książek naśladowców Tupaka, a zwłaszcza z rozprawy Nowa ekonomia: pieniądze i finanse.

Podejście Tupaka Soiree. ("Widziałem przyszłość. Jest mała. Mała i potężna.

Odchodzimy od przestarzałych koncepcji korporacje kontra konsument. Wkroczyliśmy w wiek mikroekonomii i samowystarczalnych spółdzielni. To idealna mieszanka kapitalizmu i altruizmu").

Wywód ten ciągnął się w nieskończoność: narkotyczna sieć słów, które wprowadzały słuchacza najpierw w stan akceptacji, a potem kapitulacji. Może rzeczywiście pojawiła się zmiana standardów. Może nastąpił koniec starego porządku.

Może Tupak Soiree miał rację. Może -- Edwin się otrząsnął. Nie, do cholery. Poczłapał do łazienki, spryskał sobie twarz wodą, spojrzął w lustro -- łuszczące się i pożółkłe jak skóra na jego twarzy -- i powtórzył z uporem i przekonaniem jedyną rzecz, jakiej był

pewien: "Tupak Soiree to oszust. Wygrzebałem ze sterty odpadów jego opasły przegadany maszynopis i uczyniłem gwiazdę z jego autora. Beze mnie Tupak Soiree nigdy by nie zaistniał". Spojrzął na twarz w lustrze i nagle uderzyło go znaczenie ostatniego zdania, wzbudzając w nim poczucie winy i rozpacz. "Beze mnie Tupak Soiree nigdy by nie zaistniał".

Nagle usłyszał czyjś śmiech dobiegający z pokoju, znajomy, dźwięczny śmiech.

Umysł Edwina raptownie się przebudził.

-- Święty? O nie, nie -- mówił głos. -- Z pewnością nie święty. Moje osiągnięcia są bardzo niewielkie. Jestem skromnym człowiekiem o skromnych możliwościach.

Był to Tupak Soiree we własnej osobie, pełen fałszywej skromności i chichoczący kokieteryjnie. Tupak. Diabeł wcielony. Edwin czym prędzej opuścił łazienkę, usiadł na łóżku i w przyprawiającym o mdłości milczeniu patrzył, jak architekt zniszczenia uśmiecha się, śmieje i bezwstydnie flirtuje z widownią -- tą ogromną widownią złożoną z telewidzów, teraz jeszcze bardziej zniewoloną jego gładkimi wypowiedziami i słodkimi słówkami.

Tupak wygrał. I teraz triumfował.

Co gorsza, w tej samej chwili żona Edwina wędrowała do duchowej samotni swego guru gdzieś wysoko w ośnieżonych górach środkowej Ameryki. W tej samej chwili pieniądze Edwina były przelewane na zasobne, spuchnięte konto bankowe Tupaka.

Tupak zabrał Edwinowi wszystko: żonę, majątek, karierę i przyszłość. To jeszcze Edwin mógłby znieść, ale Tupak Soiree, potwór stworzony przez samego Edwina, zniszczył

również May Weatherhill, wyssał z niej życie i smutek, uczynił z niej pustą i osobliwie przeciętną osobę. Za to Tupak będzie musiał zapłacić.

Kiedy Jego Wysokość Dostojność ze śmiechem udzielał kolejnego wywiadu, a miliony telewidzów oglądały go z bezkrytyczną miłością, w umyśle Edwina de Valu zrodziła się pewna myśl. Powstała tak szybko i z taką łatwością, jakby utworzyły ją substancje już istniejące, jakby zawsze żyła w jego umyśle, tylko czekając, aż Edwin ją dostrzeże. Była to myśl tak piękna, tak czysta i heroiczna, że Edwin niemalże z radością wyrzucił ręce w powietrze.

-- Tupak Soiree musi umrzeć. -- Tak jest. Doskonały platoński ideał, przemożna myśl zrodzona w głowie zrozczonego byłego redaktora w lichym motelu koło Parku Rozrywki Candle Island: May musi zostać pomszczona. Tupak Soiree musi umrzeć.

Rozdział czterdziesty drugi

Wczesny wieczór, koło doków.

-- Ma umrzeć, to umrze. I już.

-- A ile... ile by to kosztowało? Zabicie go?

-- Pięćdziesiąt. Trzydzieści teraz i dwadzieścia po wszystkim.

W Pandericu od dawna tajemnicą poliszynela było, że Leon Mead trzyma na podorędziu pewną ilość gotówki na wypadek, gdyby został zmuszony uciekać z kraju.

Wszyscy wiedzieli, że pan Mead od lat podbiera pieniądze z funduszu emerytalnego wydawnictwa i przelewa je na konta bankowe w kilku niewielkich krajach czerpiących dochody z "niewiadomego" źródła.

Edwin de Valu przybył, by odzyskać trochę tych utraconych pieniędzy, których duża część pochodziła z jego własnego funduszu. Przyjechał o zmierzchu, kiedy stróż nocny medytował, a ochroniarze nawzajem częstowali się słodyczami. Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wind. Udawał pewnego siebie, lecz serce mu waliło, kiedy wjechał na czternaste/trzynaste piętro i wkroczył na mroczne korytarze Panderica.

Drzwi do gabinetu pana Meada były zamknięte, ale Edwin się przygotował. Łom, który ukrył w rękawie, gładko wsunął mu się w dłoń. Najpierw usiłował wyważyć drzwi, ale w końcu się poddał i zaczął szarpać za klamkę, powodując głośnie dudnienie, które rozbrzmiewało echem w boksach. Wreszcie ze spoconą twarzą i trzęsącymi się rękoma udało mu się rozłupać drewno wokół metalowych osłon. Wepchnął palce w dziurę, by podważyć zamek, i drzwi do gabinetu pana Meada stanęły otworem.

Zwinnie jak ocelot podszedł do mahoniowego biurka, zapalił lampę i zaczął przetrząsać szuflady w poszukiwaniu czegośkolwiek, co wyglądałoby jak klucz. Nic takiego nie znalazł, ale był przygotowany na trudności. Teraz musi zaprzęgnąć do pracy swój umysł. Przechytrzyć nieobecnego szefa.

Wszyscy wiedzieli, gdzie znajduje się ukryty sejf: za ogromnym obrazem Warhola przedstawiającym puszkę zupy, który wisiał za barkiem pana Meada. (Nie był to oryginał, lecz niezły falsyfikat -- pierwszą wskazówkę stanowił fakt, że "Campbell's"

zostało napisane z błędem -- co jednak, jak na ironię losu, tylko zwiększyło jego wartość.

Okazuje się, że oryginalnych Warholów było na pęczki, ale autentyczne kopie zdarzały się szalenie rzadko). Edwin nienawidził tej głupiej puszki zupy i w akcie zemsty chciał przebić płótno pięścią, nie przypuszczał jednak, że okaże się ono aż tak mocne. Walił i walił, ale udało mu się tylko zrobić kilka ledwo widocznych wgłębień wielkości pięści.

Co w pewnym sensie podsumowuje wzajemne relacje pokoleń Edwina i pana Meada.

No, ale o tym już dosyć. Dajmy sobie spokój z Warholem i zupą Campbella. Edwina czekało o wiele ważniejsze zadanie.

Sejf zamyka się na szyfrowy zamek zegarowy reagujący na dotyk. Co oznaczało, że bez palnika lub hasła szanse na dostanie się do środka wyglądały bardzo mizernie.

Edwin otarł pot z czoła, wziął głęboki, uspokajający oddech i zaczął zastanawiać się na głos.

-- Myśl. Na pewno ci się uda. Dasz radę. -- Pan Mead był człowiekiem o bardzo małym rozumku. Z pewnością łatwo odgadnąć jego hasło. "Woodstock?". Edwin wcisnął odpowiednie literki, przekręcił gałkę i pociągnął. Nic. "Pokój".

"Miłość". "Watergate". "LSD". "Kent State". Nic. Zaczęło mu już brakować skojarzeń z pokoleniem Baby Boomersów. "Zarozumiały". "Napuszony".

"Przereklamowany".

Nic nie działało. Zresztą nieważne. Gorzej już i tak być nie może. Kiedy tego popołudnia w końcu przyszła poczta (z powodu braku personelu listonosz pojawiał się tylko dwa razy w tygodniu), Edwin odkrył sądowy nakaz sprzedaży domu. Jenni sprzedała go za psi pieniądz i zamierzała urządzić w nim Tęczową Świątlicę, cokolwiek to miało oznaczać. Gwoździem do trumny była druga koperta -- ozdobiona stokrotkami i zawierająca plik dokumentów (wypełnionych różowym długopisem i z uśmiechniętymi buziemi nad "i" zamiast kropek) oraz broszurkę zatytułowaną Rozwód pełen miłości: pozwól odejść, pozwól się rozwijać: podejście Tupaka Soiree. Wtedy Edwin pomyślał: "No pięknie. Zostałem porzucony przez klon Tupaka".

Właśnie dzięki temu rozkosznemu pozwowi rozwodowemu i kradzieży nieruchomości w majestacie prawa Edwinowi udało się wskrzesić w sobie dość gniewu, by zaatakować sejf w ścianie. Zaczął walić łomem, obłupując obudowę, lecz poza tym osiągnął niewiele więcej niż drżenie w łokciu i ostry ból nadgarstka.

-- Cholera jasna! -- zaczął wrzeszczeć. -- "Jesus Christ Superstar"! "Eleanor Rigby"!

"Ofensywa Tet"! Jak to idzie?! -- Wpisywał jedno hasło po drugim, ciągnął i ciągnął. Nic.

-- Spróbuj "uczucia postmodernistyczne" -- powiedział pan Mead.

Edwin odwrócił się, przerażony, gdy do pokoju wszedł jego były szef.

-- Cholera -- powiedział.

-- Tylko tyle masz na swoją obronę? Cholera? -- Pan Mead przystanął, by poprawić zdjęcie w ramce, które się przewróciło, kiedy Edwin przetrząsał biurko, po czym powolnie i zjadliwie powiedział: -- Nie dostałeś odprawy, więc postanowiłeś mi ją ukraść.

Edwin wziął do ręki łom i przygotował się do ataku.

-- Panie Mead, potrzebuję pieniędzy. Bez nich stąd nie wyjdę. Jeżeli okaże się to

konieczne, będę musiał pana uderzyć.

-- Grozisz mi? Wdzierasz się do mojego gabinetu jak drugorzędny włamywacz w marnym kryminale i myślisz, że możesz mi grozić?

Edwin zawsze podejrzewał, że u Leona Meada pod maską twardziela kryje się zwykły tchórz. Ale teraz jego szef szedł w jego stronę z ponurym zdecydowaniem i ani przez chwilę się nie zawahał. Edwin podniósł łom jak bejsbolista kij na treningu.

W głowę? Ramiona? Rzepkę?

-- Panie Mead, przysięgam, że to zrobię. Jesteśmy tu sami. Nie ma świadków.

-- Właśnie -- przytaknął pan Mead z cierpkim uśmiechem. -- Nie ma świadków.

Edwin głośno przełknął ślinę. Łom zaczął mu się wyslizgiwać ze spoconych dłoni.

I wtedy pojawił się oślepiający błysk i cały pokój zalało światło. W drzwiach stanął jakiś niski facecik, trzymając jedną rękę na wyłączniku światła.

-- Zemsta należy do mnie! -- krzyknął.

Pan Mead odwrócił się do intruza.

-- Bob?

Człowieczek zrobił dramatyczny krok do przodu, przyłożył karabin do ramienia i wycelował w pana Meada.

-- Zdaje się -- wtrącił Edwin -- że to się wymawia "Bubba".

Na te słowa mężczyzna stanął jak wryty. Spojrzał na identyfikator na swojej koszuli i powiedział:

-- Co? To? To nie moje. To ubranie dostałem od... -- Już miał powiedzieć "przyjaciela", ale nie uznał tego określenia za trafne. -- ... od byłego znajomego.

Z więzienia. Tak jest, to ja! Doktor Robert Alastar. Lepiej znany jako pan Etyka!

-- Wydał mi się pan znajomy -- powiedział Edwin. -- Ale na zdjęciu z okładki wygląda pan na większego.

-- No cóż, ostatnio sporo schudłem. Jadłospis w przeciętnym więzieniu o zaostrzonym rygorze jest zatrważający. Ale na czym to ja stanąłem? A tak. Zemsta!

Zemsta! Leonie, zdradziłeś mnie, wydałeś mnie na pastwę losu. Przybyłem, by wyrzucić srogą pomstę. -- Zrobił krok do przodu i niemalże przystawił lufę panu Meadowi do głowy.

Ku zaskoczeniu Edwina pan Mead ani drgnął. Nie zrobił uniku ani nie padł na kolana, błagając o litość. Zamiast tego z pudełka leżącego na biurku wyjął cygaretkę, jak gdyby nigdy nie przystawił do niej ogień z zapalniczki Zippo i z zadowoleniem zaciągnął się głęboko.

-- Szkłowski, V.B. MK-47 -- powiedział. -- Standardowo używany na froncie pod Władystokiem. Stosowany przez wartowników i uzbrojony personel Armii Czerwonej. Strzela seriami specjalnie wzmocnionych pocisków.

Ostatnia fabryka, w której produkowano MK-47, została zamknięta w 1982 roku na granicy z Afganistanem. Wkrótce potem z powodu zawodności tego typu broni wprowadzono zakaz jej sprzedaży. Bob, to antyk. Co gorsza, radziecki antyk, a to oznacza, że jeżeli spróbujesz mnie zastrzelić, masz szansę jak dziesięć do jednego, że albo chybisz, albo wybuchnie ci prosto w twarz. Chyba ją przedtem wypróbowałeś, co, Bob? Pan Etyka zmrużył oczy.

-- Błefujesz.

-- Czyżby?

-- Zemsta należy do mnie! -- krzyknął pan Etyka i mocno pociągnął za spust.

Karabin eksplodował. Rozległ się huk, który ogłuszył pana Etykę; spadł deszcz odłamków. Siła wybuchu była tak wielka, że Edwin doznał szoku, a pan Etyka poleciał do tyłu.

-- Sześć lat na stanowisku asystenta Toma Clancy'ego, ty dupku! -- zaryczał pan Mead,

gdy niedoszły zabójca, słysząc dzwonięcie w uszach, oszołomiony zachwiał się i upadł.

Wtedy pan Mead, spokojnie i bez słowa, wyjął łom z rąk Edwina. Usiadł na biurku i kręcąc głową, ogarnął wzrokiem żalostny widok, jaki się przed nim rozpościerał: spartaczone włamanie dokonane przez byłego zdradzieckiego pracownika, zbiegły więzień i były pisarz, który turlał się po podłodze, szlochając i zatykając uszy, oraz uszkodzenia boazerii i framug, których naprawienie będzie kosztować przynajmniej pięć tysięcy dolarów.

-- Edwinie, zaczniemy od ciebie. Przyszedłeś mnie obrabować. Dlaczego?

Wyczerpany i pokonany Edwin nie widział już sensu w kłamaniu.

-- Chciałem wynająć zawodowego mordercę, żeby zabił Tupaka Soiree.

-- Naprawdę? Sprawdźmy, czy dobrze cię zrozumiałem. Chciałeś ukraść moje pieniądze, żeby wynająć człowieka, który zabije mojego najlepiej sprzedającego się autora.

-- Tak jest.

-- Rozumiem. -- Pan Mead położył sobie łom na kolanach jak wykładowca wskaźnik.

-- W takim razie nie wynajmuj Boba. Z równym skutkiem dokonuje zamachów, jak unika podatków.

Pan Etyka dźwignął się na kolana. Dłonie nadal przyciskał do uszu, ale już prawie przestał szlochać. Twarz miał zalaną łzami wywołanymi bólem i bezużytecznym gniewem.

-- Niech cię piekło pochłonie, Leon!

-- I to tobie udało się uciec z więzienia o zaostrzonym rygorze? Jestem pod wrażeniem. Słyszysz mnie? Mam mówić głośniej?

-- Tak, tak. -- Wyglądał na zupełnie załamanego. -- Słyszę cię. Ale to... to niesprawiedliwe.

-- Kolejna błyskotliwa uwaga pana Etyki -- powiedział pan Mead. -- Świat nie jest uczciwy. Brawo. Niecierpliwie czekam na kolejne aforyzmy. Być może zauważyłeś, że niebo, choć może się to wydawać nieprawdopodobne, ma kolor błękitny. Albo że przedmiot, który się wypuści z dłoni, spada w dół. Albo że bogaci mogą robić, co chcą.

Albo że wszyscy politycy kłamią. Albo że...

-- Wystarczy -- powiedział cicho Edwin. -- Wygrałeś, więc daruj sobie ten protekcjonalny ton. Widzimy, że doskonale się bawisz.

-- Och, tak -- przyznał pan Mead. -- Fantastycznie. Ale nie tylko w tym sensie, jaki ty masz na myśli. Nie, świetnie się bawię, bo odkryłem, że źle się dzieje w Krainie Szczęśliwości. Okazało się, że świat to nadal wstrętne, brudne miejsce. Tak właśnie powinno być: redaktorzy marzą o zabiciu autorów, autorzy chcieliby zabić wydawców.

To szalenie... -- zamilkł, szukając właściwego słowa -- ... inspirujące.

Pan Etyka powoli się podniósł.

-- A więc nie wydasz mnie policji?

-- Ja miałbym cię wydać policji? Na Boga, nie. Już bym wolał przeczytać kolejną głupią książkę Tupaka Soiree. Czy nadal wolisz zwykły koniak od orzechowej brandy?

Co? Ty filistrze. Sprawdźmy. -- Odłożył łom i zaczął przeglądać zawartość barku. -- A, tak. Olson's Own. Najlepszy norweski koniak z katakumb Oslo. Macie ochotę?

Edwin i pan Etyka spojrzeli po sobie; każdy próbował odgadnąć motywy zachowania pana Meada, lecz żaden nie chciał wykonać pierwszego kroku.

-- Ja dziękuję -- rzucił Edwin, nieco zbyt lekkim tonem.

-- Chyba już będę leciał. Pewnie chcielibyście pogadać o starych czasach, powspominać. Odrobinę się sponiewierać i upić na smutno. Wpadnę później. -- I jak gdyby nigdy nic skierował się do drzwi.

-- Nie tak szybko -- powiedział pan Mead i Edwin zamarł w pół kroku. -- Nie powiesz mi, ile?

-- Słucham?

-- Ile chcą? Ile żądają?

-- Za zabicie Tupaka Soiree? Cena wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Niestety trochę u mnie krucho z kasą.

Pan Mead pokiwał głową.

-- Uważasz, że to, co robisz, jest moralne? Uważasz, że wolno ci dla kaprysu zlikwidować uwielbianego przez wszystkich pisarza?

-- Nie wiem, czy to moralne, ale myślę, że trzeba to zrobić.

-- Edwin nie miał pewności, dokąd zmierza ta rozmowa.

-- Może spytamy eksperta? Bob?

Ale pan Etyka siedział zgarbiony nad koniakiem w kubku, który obejmował obiema dłońmi, i nie usłyszał pytania.

-- Co mówiłeś? Jeszcze mi dzwoni w uszach.

-- Czy zabicie Tupaka Soiree byłoby etyczne?

-- To zależy -- zaczął powoli pan Etyka, lecz szybko się ożywił. -- To zależy, czy zastosować podejście kantowskie czy utilitarne. "Choćby się paliło i waliło, sprawiedliwości musi się stać zadość" albo "największe dobro dla największej liczby ludzi". A pan Soiree niewątpliwie zapewnił ogromne szczęście bardzo dużej liczbie ludzi.

Na chwilę zapadła cisza, gdy Edwin i pan Mead zaczęli się zastanawiać.

-- W tym wypadku jestem za Kantem -- powiedział w końcu Edwin.

-- Ja też -- stwierdził pan Etyka. -- Zabijmy skurwiela. Zrzucę się na zawodowego mordercę. Mam... -- zaczął przetrząsać kieszenie i wyjął garść drobniaków, głównie jedno -- i dziesięciocentówek -- ... osiemdziesiąt dziewięć centów. Może to niewiele, ale przede wszystkim należy docenić wkład moralny. Te osiemdziesiąt dziewięć centów to wszystko, co mam.

-- Policzmy -- powiedział Edwin, licząc w pamięci. -- Brakuje nam jeszcze czterdziestu dziewięciu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu dolarów i dziesięciu centów. Te dziesięć centów chyba mam. A jeśli chodzi o resztę... panie Mead?

Pan Mead nie odzywał się przez długą, długą chwilę. Kiedy wreszcie przemówił, jego odpowiedź jak zwykle zabrzmiała zupełnie nielicznie.

-- Robert Lewis -- powiedział i znowu zamilkł. -- Robert Lewis. Tak się nazywał pilot bombowca "Enola Gay".

Kapitan Robert A. Lewis. Tak się nazywał człowiek, który zrzucił bombę na Hiroszimę. Szóstego sierpnia czterdziestego piątego roku. Wiecie, jaka była jego pierwsza reakcja? Wiecie, co powiedział, kiedy zobaczył oślepiający błysk i chmurę po eksplozji? Powiedział: "Boże, co my zrobiliśmy?". Tak samo ja się czuję teraz. Wydałem książkę Tupaka Soiree, promowałem ją, kiedy zaczęła odnosić sukcesy, zmieniałem jej opakowanie i ponownie sprzedawałem w setkach innych postaci. A teraz do głowy przychodzi mi tylko jedna myśl: "Boże, co my zrobiliśmy? Co myśmy sprowadzili na ten świat?". Proście mnie, żebym się przyłączył do waszej małej krucjaty. Proście, żeby pomógł wam zabić Tupaka Soiree. -- Leon po raz ostatni głęboko zaciągnął się cygaretką, po czym zdusił ją wółtwiowozielonej popielniczce ozdobionej szlachkiem ze złotych listków. -- Zróbmy to -- powiedział. -- Zabijmy go.

Edwin już miał wyrzucić pięść w powietrze i krzyknąć "Tak!", ale górę wzięło dobre wychowanie i tylko z powagą pokiwał głową.

Ich uwagę przykuł teraz sejf w ścianie za minibarkiem.

-- Czy to hasło rzeczywiście brzmi "uczucia postmodernistyczne"?

-- Nie -- zaprzeczył pan Mead. -- "Wordstock"*: "Word", rozumiesz?
-- Aaa -- Edwin uśmiechnął się. To głupie poczucie humoru Baby Boomersów, po prostu nie do przebiccia.

-- Ale nie zamierzam go otwierać. Pięćdziesiąt kawałków? Mowy nie ma. Myślicie, że ja śpię na pieniądzach?

Edwin był całkowicie zaskoczony.

-- Ale mi się wydawało...

-- Jak ci na czymś zależy, to zrób to sam. A teraz, Edwinie, nalej mi jeszcze jednego drinka. Chciałbym ci coś pokazać. Coś lepszego od pieniędzy. -- Pan Mead przesunął dłoń po bocznej tablicy i przycisnął ukryty tam punkt G. Kiedy otworzyła się szafka, pan Mead powiedział: -- Pamiętajcie Bałkańskiego Ortał Wściekłego Psa Mulligana?

Wordstock -- gra stów: połączenie "Woodstock" z "word" (słowo).

-- A, tak. Generał. Co się z nim stało?

-- Gdzieś w Iowa prowadzi kurs skutecznego radzenia sobie z gniewem. Zmienił imię na Troszkę Poirytowany Pies Mulligan. To już nie to samo, ale co zrobić?

W każdym razie zanim Generał zjednoczył się ze wszechświatem, dał mi mały prezent, dowód uznania. -- Pan Mead sięgnął obiema rękami do szafki i wyjął uosobienie przyszłości: zimne, lśniące i śmiertelne. -- Atku-17. Nowa generacja broni osobistej. Ma wszystkie niepotrzebne bajery: eksplodujące pociski wypełnione magnezem, noktowizor, celownik laserowy. Tylko wymierzasz i strzelasz. To idiot-kamera w świecie nowoczesnej broni. Coś wam powiem, Clancy zzieleniałby z zazdrości, gdyby się dowiedział, że mam takie cudzińko. To karabin... -- tu pan Mead rzucił pogardliwe spojrzenie w stronę pana Etyka -- ... w sam raz dla oferm. Umiałby go obsługiwać każdy fajtłapa. No, trzeba by kretyna, skończonego...

-- Już dobrze! -- przerwał mu pan Etyka. -- Kapuję.

-- Ale kto to zrobi? -- spytał Edwin.

-- Ciągnijmy zapalki -- zaproponował pan Mead. -- Ten, kto przegra albo wygra, w zależności od punktu widzenia, zabije Tupaka. Sam miałbym wielką ochotę to zrobić, ale nie mogę. Rozumiecie, artretyzm. -- Podniósł dłoń z powykęcanyimi palcami.

-- Ja mam złamany kciuk! -- powiedział szybko Edwin, ukazując uszkodzony palec.

-- Daj spokój -- powiedział pan Etyka. -- Za spust się nie pociąga kciukiem. Poza tym ty jesteś miody i dziarski. Nominuję Edwina.

-- Tak? -- powiedział Edwin. -- Dajeś radę uciec z więzienia, więc pewnie sam jesteś całkiem chwacki.

-- To prawda -- przytaknął pan Mead. -- Bob, on ma rację.

-- Przecież nie udało mi się ciebie zabić, pamiętasz, Leon? To znaczy, że kiepski ze mnie kandydat do podjęcia się tego zadania. Każdemu według zdolności. Leon daje broń, ja zapewniam wsparcie etyczne, a Edwin swój młodzieńczy wigor. Wojny powinni toczyć młodzi; to założenie a priori.

-- Dyskryminacja pokoleniowa -- westchnął z goryczą Edwin. -- Dlaczego to nie ja mam zapewnić wsparcie etyczne?

-- Bo nie masz niezbędnego doświadczenia życiowego -- wyjaśnił pan Etyka. -- Dla zdobycia mądrości potrzeba czasu, Edwinie. Pewnego dystansu, którego dzisiejszej młodzieży niestety brakuje.

Pan Mead miał już tego dosyć.

-- Ciągnijmy te cholerne zapalki, co?

Edwin i pan Etyka popatrzyli po sobie z naburmuszonymi minami i potakująco kiwnęli

głowami. A więc zapalki.

-- Dobra -- powiedział pan Mead. -- Ciągniemy zapalki.

Ale przedtem, Edwinie, czy mógłbyś mi wyjaśnić, co się stało z moim oryginalnym falsyfikatem Warhola?

Rozdział czterdziesty trzeci

Wysoko w swej górskiej samotni, gdzie śnieg miękko sypał na gałęzie świerków, a nad odległymi szczytami dał rzeźki, zimny wiatr... Tupak Soiree dłużył w nosie.

Głęboko wsadził do środka palec wskazujący, usiłując wygrzebać coś, co w dotyku przypominało kawałek mokrego kitu.

Tupak Soiree nie był antychrysem ani demonicznym geniuszem. Był natomiast całkiem sympatycznym facetem, chociaż to on spowodował upadek zachodniej cywilizacji. Mieszkał w przestronnym luksusowym domku z widokiem na panoramę górskiej doliny. (Chociaż koło słowa "domek" redaktor pewnie postawiłby znak zapytania; był to właściwie rozległy kompleks połączonych ze sobą pseudorustykalnych dworców, a nie jakiś tam zwykły "domek"). Do Tupaka należało pół miasteczka w dole oraz większa część gór w okolicy. Wcale nie chciał zostać mesjaszem i nie upajał się kultem, który tak szybko powstał wokół jego książki -- przynajmniej nie na początku.

Ale co tam, był tylko człowiekiem, mężczyzną i jako taki okazał się równie podatny na pochlebstwa i pokusy jak każdy inny. (Pod warunkiem, że ów każdy inny to napalony zbereźnik z fetyszem ze skóry). Jakże by mógł nie dać szczęścia™ kobietom, które zaczęły w listach oferować mu swą "kosmiczną zmysłowość"?

Tupak Soiree, jak większość samozwańcych guru, wykazywał się zaskakująco niewielką wyobraźnią w zaspokajaniu swych pragnień i spełnianiu kaprysów. Dużo seksu i nieustanne pochlebstwa jego podwładnych -- i to wszystko. Łamał sobie głowę, ale nie potrafił wymyślić niczego więcej.

Prawdę mówiąc, już go znudziło to stadko piękności, które paradowały przez jego życie, już się zmęczył tym "szczęśliwym świętym haremem" i uporczywymi żądaniem kochanek. A zwłaszcza tą nową, która nadała sobie imię Rozpromieniona, tą, która go ciągle nękała: "Wyglądam na oświeconą? Wyglądam?". "Tak -- odpowiadał ze znużeniem po raz czterechsetny tego dnia. -- Wyglądasz na oświeconą". "Naprawdę?"

Nie mówisz tak na odczepnego?". "Nie, nie, wyglądasz świetnie. Wyglądasz na niezwykle oświeconą". "Bo dzisiaj jakoś nie czuję się zbyt oświecona". To prawda, przyniosła ze sobą trochę drobniaków -- niewiele, niecałe dwa miliony -- ale i tak był to miły gest. (Tupak miesięcznie wydawał więcej na same napoje. Kiedy Rozpromieniona dała mu pieniądze, które najprawdopodobniej ukradła mężowi, Tupak po prostu rzucił

je na stos banknotów. Prawie nie było dnia, żeby nie pojawił się ktoś z rolexem lub woreczkiem rubinów. Już mu to spowszedniało).

-- Wyglądam na oświeconą? Wyglądam? Naprawdę?

Po jakimś tygodniu podobnych pytań Tupak zaproponował, żeby udała się do Danger Ridge na "poszukiwanie wizji".

-- To głęboko w lesie -- powiedział. -- Po prostu idź przed siebie, dla lepszej koncentracji możesz też zamknąć oczy. W ten sposób ja pierwszy raz doznałem oświecenia.

-- Myślałam, że to się wydarzyło w Tybecie.

-- Tybet, Kolorado. Co za różnica?

Niestety, nie chciała choćby na chwilę oddalić się od jego olśniewającej osoby.

Nawet na jedną cholerną chwilę.

-- Czy mogłabyś wyjść? Chciałem się wysiusiać.

Niełatwo być Najwyższym Oświeconym Duchem Wszechświata. Niełatwo być Najbardziej Szanowanym Myślicielem Naszych Czasów. Zawsze trzeba być w gotowości, zawsze trzeba mieć na podorędziu jakąś mądrą myśl, kiedy rozmowa zaczyna utykać. Nigdy nie wolno powiedzieć "nie mam zielonego pojęcia" czy "cholera wie". Tupak często się zastanawiał, czy Sir Isaac Newton lub Albert Einstein przeżywali podobne trudności, czy czuli taką samą presję, by zawsze dobrze wypaść.

Niemniej jednak dodatkowe korzyści wynikające z panowania jako guru były całkiem przyjemne: pieniądze, sława, przepych i częste występy w środkach masowego przekazu. Tupak uwielbiał udzielać wywiadów, spotykać się ze znanymi osobistościami. Kiedy poznał Oprah, od czolobitnego zachwytu aż mu się zakręciło w głowie, a kiedyś za kulisami dzielił garderobę z... och, nieważne. Teraz to gwiazdy przychodziły do niego. Zdarzało się, że późną nocą, kiedy wszyscy już spali, Tupak przechadzał się korytarzami swego ogromnego dworu i rozmyślał: Dlaczego tak mi smutno? Skąd ta melancholia? Czego mi brakuje? Gdyby tylko... Może kiedyś...

Tęsknił za dzieciństwem (którego wcale nie spędził w Bangladeszu, ledwo wiedział, jak to się pisze), a zwłaszcza za beztrudnymi czasami studiów. Może powinien był zrobić dyplom z informatyki? Na drugim roku zaliczył kurs z kodu Uniksa i oczarowało go surowe piękno systemu binarnego, zafascynował uporządkowany szereg zer i jedynek, te niezliczone kombinacje, z których można tworzyć nieskończoną liczbę skomplikowanych wzorów. Tupak nigdy nie był tak blisko oświecenia, jak właśnie wtedy.

Kiedy tak stał, skąpany w świetle księżycy i dłubiąc w nosie, westchnął: -- Może powinienem był zostać przy komputerach.

Kiedy zbudował swą samotnię w górach i kupił miasteczko w dole, bawił się myślą o stworzeniu ogromnej informatycznej sieci edukacyjnej wyposażonej w najnowocześniejszy sprzęt, z której korzystałby tylko jeden uczeń: on sam. W sali wykładowej zgromadził najbardziej wyrafinowane komputery, jakie można było kupić.

Z tym, że dostał je za darmo: był to prezent od jak-mu-tam, tego durnego faceta w okularach, któremu śmierdziało z ust. Jak on się nazywał? Ten akolita, który ciągle proponował, że umyje mu nogi? Bill? Billy? Tak, Billy Gates. Tupak poprosił go o parę wskazówek, o pomoc przy korzystaniu z czatów (i tak prawie wszystkie dotyczyły Tupaka Soiree, więc mógł podglądać, logując się pod przybranym imieniem). Ale Billy zaprotestował, kłaniając mu się w pas: -- Nie, nie, nie. Nie mógłbym cię uczyć takich rzeczy.

Jesteś zbyt boski, by kalać sobie ręce takim profanum jak surfowanie po Internecie.

Więc Tupak kazał go wychłostać.

Popełnił wielki błąd. Wychłostanie Billy'ego Gatesa, a także stworzenie sobie haremu i występy w niemal wszystkich talk-showach wywołały szybką i ostrą reakcję ze strony M.

Po przeczytaniu tego lakonicznego liściku Tupaka przeszedł dreszcz grozy.

Panie Soiree! Zdaje się, że ostatnio trochę za dobrze się Pan bawi. Doradzałbym zrezygnować z co bardziej niesmacznych ekscesów. Proszę pamiętać, że znam Pański sekret. Wiem o Panu całą prawdę. To ja Pana stworzyłem i ja z łatwością mogę Go zniszczyć.

Więc przyhamuj trochę, bo osobiście przyjadę i skopię cię z tej góry. To nie groźba.

To obietnica.

Szczerze oddany, M.

Ogarnięty paniką Tupak odwołał zbliżające się występy w telewizji i zwołał zbiórkę, na

której wprowadził zakaz nazywania go Oświeconym.

-- To tylko książka -- powiedział. -- Zwyczajny poradnik.

-- Tak, o Oświeco-ny -- wyskandowali wyznawcy.

A teraz jeszcze i to: coś mu utknęło głęboko w nosie i choć dłużył z całych sił, nie mógł tego usunąć. "Cholerny manicure. Nawet nie można porządnie podłubać sobie w nosie". Na domiar złego, w przyptywie złości po napomnieniu od M. wygonił wszystkich lokajów ze wschodniego skrzydła, więc nawet nikt nie mógł go w tym wyręczyć. Teraz musi radzić sobie sam. Życie jest takie niesprawiedliwe.

Wysoko nad górską samotnią Edwin de Valu przykucnął w zaroślach. Drżącymi rękami i z mocno bijącym sercem zamontował noktowizor na karabinie i ustawił ostrość. Panowanie nad oddechem wymagało od niego wielkiego wysiłku, prawie hiperwentylował. Jak to się stało, że Edwin de Valu, skromny redaktor, zaczął się w chaszczach w lesie, by zastrzelić tego samego pisarza, którego kiedyś sam ocalił od anonimowości ze sterty odpadów? To proste. Edwin wyciągnął krótką zapalniczkę, a więc -- powiedział pan Mead. -- Wszystko ustalone". "Dobrze prawi!" -- zakrzyknął pan Etyka. Edwin zażądał, by powtórzyli losowanie, ale znowu przegrał. Przerzucili się więc na kamień-papier-nożyczki, ale za każdym razem Edwin zostawał na końcu.

Wypróbowali grę w trzy karty i marynarza, ale Edwin przegrywał każdą partię. "Dobra -- rzucił w końcu ze złością. -- Zrobię to, ale musicie mnie osłaniać".

Dotarcie do Kolorado zajęło im trzy dni i dwa następne do podnóża górskiej pustelni Tupaka. Etyka i Mead zostali na gospodarstwie w jednym z niewielu otwartych moteli, Edwin zaś zarzucił broń na ramię i przygotował się do długiej samotnej wędrówki.

-- Nic się nie martw -- powiedział pan Mead. -- Będziemy w pogotowiu, prawda, Bob?

-- Pewnie -- przytaknął Bob, plądrując minibarek. -- Będziemy tuż za tobą. Hej, patrzcie! Orzeszki!

Odprowadzili Edwina do ścieżki, powiedzieli: "Z Bogiem!", "Powodzenia!" i tym podobne pożegnalne zaklęcia ochronne.

Edwin de Valu ruszył pod górę, a Mead i Etyka wrócili do motelu.

-- Opowiadałem ci kiedyś o mojej młodości? -- spytał po drodze pan Mead. -- Kiedy w college'u pracowałem w objazdowym wesołym miasteczku?

-- Byłeś kuglarzem? -- zdziwił się pan Etyka.

-- O tak. Oczko, trzy karty, poker, różne takie.

Edwin na obolałych nogach i z nadwyrażonymi ramionami przedzierał się przez śnieg i gałęzie sosen za posiadłością Tupaka. Na szczęście dla niego zespół wyborowych ochroniarzy Tupaka już zdążył zainfekować się jego filozofią i teraz większą część dnia spędzali na gorliwym poszukiwaniu stanu szczęśliwości. Edwin z wielkim hałasem przeczłogał się koło strażnika, który siedział w swej budce, z nogami splecionymi w precel, nucąc mantrę om soiree.

Czy -- gdybyś mógł cofnąć się w czasie -- w sprzyjających okolicznościach zabiłbyś Tupaka? Edwin na okrągło zadawał sobie to pytanie. Za każdym razem odpowiedź

brzmiała: tak. Tupak Soiree był Stalinem epoki New Age. Zrzucił na ziemię bombę neutronową naładowaną miłością. Trzeba go powstrzymać. W głębi serca Edwin wiedział, że ma rację, a jednak ciągle targały nim wątpliwości. Snuć filozoficzne rozważania na jakiś temat to jedno, lecz pociągnąć za spust to zupełnie co innego.

Spojrzał przez lunetę noktowizora.

"Nie możesz chybić -- zapewnił go pan Mead. -- To idiot-kamera". Ściany i okna

alpejskiego domku Soiree pojawiały się i znikwały w płynnym zielonym świetle noktowizora. Edwin wędrował wzrokiem po wewnętrznych ścianach, badał wnętrze, aż nagle w jego polu widzenia niezwykle wyraźnie znalazła się twarz Tupaka. Było to tak nieoczekiwane, że Edwin aż głośno sapnął. Następnie, nakazując sobie spokój, nakierował laserowy celownik na policzek Tupaka i powoli położył palec na spuście.

Tupak chodził tam i z powrotem, z palcem w nosie, ale Edwin cały czas miał go na muszce -- jak kuguar niespuszczający wzroku ze swej ofiary. "Teraz". Edwin wziął głęboki oddech, pomyślał o May i w przerwie między dwoma uderzeniami serca pociągnął za spust.

W bocznym oknie eksplodowała szyba. Z głowy Tupaka Soiree buchnęła krew i chrząstki. Guru przechylił się na bok i upadł.

Po eksplozji zapadła dławiąca cisza. Edwin zerknął przez noktowizor. Patrzył i czekał. Nic. Tupak Soiree wylądował za stołem. Edwin widział dziurę po kuli w ścianie za nim. Wiedział, że jeżeli przestrzelił mu głowę, Tupak nie miał żadnych szans na przeżycie. (Pan Mead wyjaśnił, że te naboje eksplodują, przechodząc na wylot, i że próżnia, którą w ten sposób wytwarzają, wysysa tkankę). Już po wszystkim, Tupak Soiree zginął. Edwin już miał zabezpieczyć broń, przerzucić ją sobie przez ramię i wymknąć się w noc, kiedy coś dostrzegł. Jakiś ruch. Czy to sługa biegnie na pomoc swemu panu? Nie. Było to coś gorszego. O wiele gorszego.

Tupak Soiree dźwignął się na nogi, rycząc jak zarzynany wół. Podniósł rękę i z przerażeniem spojrział na krew tryskającą z miejsca, gdzie przedtem miał palec. Ze strachu i bólu gwałtownie wciągnął powietrze, lecz przewody nosowe miał zatkane odstrzelonym palcem wskazującym.

-- O Może! Pobocy! Gdziech mi ktoś poboże!

Edwin spanikował i na oślep wystrzelił jeszcze trzy serie. Kule trafiały w lustra w mosiężnych ramach, wazy z dynastii Ming, powodując deszcz płatków różanych i wody, Tupak zaś uciekł, zawodząc stłumionym, nosowym głosem.

-- Cholera!

Edwin, już się nie kryjąc, popędził w dół wzgórze i kopnięciem otworzył drzwi na patio za domem. Dlaczego ten skurwysyn po prostu nie może umrzeć? Znalazł Tupaka skulonego w kącie, sparaliżowanego ze strachu.

-- Czego kcesz? Czego kcesz?

Edwinowi brakowało tchu. Serce waliło mu jak młotem, twarz miał mokrą od potu.

-- Przepraszam -- powiedział. -- Ale muszę cię zabić.

-- Zaczął gmerać przy karabinie. Nie tak sobie wyobrażał spotkanie twarzą w twarz z Tupakiem. -- Przepraszam -- powtórzył. -- Muszę to zrobić.

Już miał roztrzaskać boski mózg Tupaka Soiree, Posłańca Miłości, Apostoła Szczęśliwości, kiedy zauważył, że w nosie guru tkwi palec. Tak nie można umierać...

Bez namysłu wyciągnął rękę, wyrwał mu palec z nosa, po czym za pomocą strzępka zasłony zrobił opaskę uciskową na kikucie.

-- Przyciśnij tutaj -- powiedział. -- Nie krwawi zbyt mocno. Może od wysokiej temperatury spowodowanej eksplozją krew szybciej zakrzepła. W palcach chyba nie ma arterii, więc pewnie tylko tak strasznie to wygląda.

-- Dziękuję -- powiedział Tupak drżącym głosem.

-- I już, widzisz? -- Krwawienie w dużej mierze ustało. -- Podnieś rękę i nie zwalnij uścisku, zaraz ci przejdzie. Okay?

Pomimo bólu i łez Tupak uśmiechnął się dzielnie.

-- Okay -- sapnął przez zatkany nos.

-- Tak lepiej. A teraz muszę cię zabić.

-- Nie, nie, nie, błagam. Boże, nie. Przynajmniej... przynajmniej mi powiedz, kim jesteś.

-- Jestem... yyy... twoim redaktorem.

-- To ja mam redaktora?

-- Z Panderica. Pamiętasz? Książka? Kilka razy rozmawialiśmy przez telefon.

Strach Tupaka nieco zmalął.

-- Edward? -- spytał.

-- Win. Edwin. Mam nadzieję, że to nie popsuje naszych relacji wydawniczych, które, jak mniemam, powinny się opierać na wzajemnym zaufaniu, ale... -- Zrobił krok do tyłu i uniósł broń. -- Żegnaj, Tupaku.

-- Ale ja nic nie zrobiłem! Ja nawet nie napisałem tej książki!

Edwin znieruchomiał.

-- Wiedziałem! Komputer, co? Jesteś złym czarownikiem. Tak zaprogramowałeś komputer, żeby naśladując maszynopis, stworzył tysiącstronicowy egzemplarz.

-- Nie, nie -- zaszlochał guru. -- Nie jestem żadnym geniuszem. Nie jestem mistrzem, tylko aktorem.

-- Aktorem?

-- Nazywam się Harold T. Lopez. "T" jest od "Thomas". Proszę, nie zabijaj mnie. Skończyłem kurs teatralny w college'u Tri-State Community. Nigdy nie byłem w Bangladeszu. Błagam, nie zabijaj mnie.

Edwin opuścił celownik.

-- Harry? Masz na imię Harry?

Guru pociągnął nosem i kiwnął głową.

-- Ale skoro nie ty napisałeś tę książkę, to kto ją napisał?

Harry Lopez (vel Tupak Soiree, vel Władca Wszechświata) zaczął gorączkowo przetrząsać szufladę biurka, Edwin zaś usiadł z boku, z Atku-17 gotowym do strzału.

Pulsująca z bólu dłoń Harry'ego była owinięta prowizorycznym bandażem, przez co trudno mu było poradzić sobie z papierami, ale robił, co w jego mocy. Groźba śmierci zwiększa koncentrację.

-- Proszę, widzisz? -- powiedział w końcu. -- To mój życiorys i moje zdjęcie. Nie najlepsze, aparat dodaje przynajmniej pięć kilo. Widzisz? Tu są moje role filmowe, teatralne, a tu nazwisko kierowniczkii kółka teatralnego.

Jeśli chcesz, możesz do niej zadzwonić, potwierdzi moją tożsamość.

Edwin w milczeniu i z niedowierzaniem przejrzał papiery. Rzeczywiście znalazł w nich życiorys Tupaka Soiree.

-- Tu jest napisane, że nadajesz się do ról śniadych przestępców i/lub amantów z Ameryki Łacińskiej. -- Uniósł jedną brew.

-- To był pomysł mojego agenta -- powiedział nieśmiało Harry.

-- Naprawdę umiesz stepować i grać na saksofonie?

-- Nie, właściwie nie, ale każdy trochę upiększa swoje CV, prawda?

Edwin odłożył życiorys i zadał pytanie, jedyne, jakie naprawdę miało znaczenie: -- Kim jest Tupak Soiree? Ten prawdziwy.

Nie spodziewał się, że usłyszy taką odpowiedź.

-- Nie istnieje żaden Tupak Soiree. Nigdy nie istniał.

To oszustwo. Dałeś się nabrać. Wynajęto mnie jako dublera, i to tylko dlatego, że twój szef zaferował zapłatę za wywiady. Miałem kontaktować się z mediami, udzielać wywiadów, pomagać w upchnięciu książki, stworzyć czytelnikom obiekt adoracji.

Tupak Soiree nie istnieje. To tylko rola, do której zostałem zatrudniony.

-- Kto, Harry? Kto cię zatrudnił?

Harry wziął głęboki wdech.

-- Jakiś facet z Paradise Flats. Nazywa się McCreary.

Jack McCreary.

Edwin się wyprostował.

-- McCreary. To brzmi znajomo. Nie wynajmował ci mieszkania?

-- Nie, nigdy u niego nie mieszkałem. Poznałem go dopiero w agencji aktorskiej w Silver City. Występowałem w monodramach i pantomimie, grałem w eksperymentalnych sztukach, wziąłem udział w dekonstruktywistycznym przedstawieniu, w którym padało tylko jedno słowo: "Muuu". Miało świetne recenzje, zwłaszcza w prasie alternatywnej. Miejscowe środowisko artystyczne chwaliło je za...

-- Harry? Pamiętaj, że mam broń.

-- Przepraszam. Na czym to ja stanąłem?

Edwin wydał z siebie dźwięk będący skrzyżowaniem westchnięcia z warknięciem.

-- Występowałeś w małym teatrze w Silver City.

-- Zgadza się. Któregoś dnia przychodzi pan McCreary i pyta, czy chcę zarobić duże pieniądze i zamieszkać we wspaniałej posiadłości. Zgodziłem się, z oczywistych powodów artystycznych. Była to życiowa rola. Spytał, czy umiałbym zagrać hinduskiego mistyka. Cóż, moja mama była Włoszką, a ojciec pochodził z Meksyku, więc uznałem, że nie dam rady. Co ja tam wiem o Indiach? Ale pan McCreary powiedział: "Nic się nie martw. Pamiętaj Archibalda Belaneya? Tego niebieskookiego Anglika, który wmówił całemu światu, że jest Indianinem o imieniu Szara Sowa?"

Nabierał wszystkich przez całe lata. Ludzie widzą, co chcą widzieć". Więc, co tam, przyjąłem tę rolę. Żadnego przesłuchania, żadnych telefonów. Tylko uścisk dłoni i pieniądze z rączki do rączki, że tak powiem. Zatrudnił mnie tuż przed pierwszym wywiadem w programie Oprah. -- Harry podszedł do Edwina, usiadł i spojrzał na niego błagalnym wzrokiem. -- Musisz mi uwierzyć, nigdy bym nie pomyślał, że tak to się skończy. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Początkowo większość pieniędzy wydawałem na spłatę długów. Wiesz, przekupywałem kolegów ze szkoły, zamykałem usta wykładowcom z college'u. Ale potem przeczytali tę książkę i oddali mi wszystkie pieniądze. Uznali mnie za geniusza, chociaż ciągle powtarzałem, że ani jedno słowo w tym tekście nie jest mojego autorstwa. Nauczyłem się na pamięć tylko kilku kluczowych fragmentów.

-- Wiem -- powiedział Edwin. -- Słyszałem, jak sypałeś nimi jak z rękawa.

-- Przepraszam. -- Harry rzeczywiście wszystkiego żałował. Usiadł wygodniej, z uniesioną zabandażowaną dłonią, i dodał: -- Nie jestem złym człowiekiem, tylko złym guru. Musisz to zrozumieć. To była szopka. Ja tylko grałem. Czekałem, aż ktoś się połapie, ale na darmo. Zupełnie jakby wszyscy chcieli, żeby ich oszukiwać. Zupełnie jakby woleli iluzję od rzeczywistości. Przecież ja nawet nie umiałem naśladować hinduskiego akcentu. Zaliczyłem tylko podstawowy kurs z różnych dialektów i nawet nie przerobiłem odmian hinduskich. Nauczyłem się różnych rodzajów cockneya i akcentów brytyjskich, ale akcent pakistański czy hinduski był dopiero na drugim roku, a ja wybrałem specjalizację z komputerów. To dlatego pan McCreary wybrał na moje miejsce urodzenia jakąś małą wioskę w północnym Bangladeszu. Uznał, że nikt się nie połapie. Miałem straszne problemy z tym akcentem. Wielka szkoda, bo

pięknie mówię z akcentem irlandzkim. Naprawdę. Dostałem piątkę z plusem. Chcesz posłuchać? "Na niebiosa, dziewczeczko. Twój widok raduje me oczy".

-- Daruj sobie tę elficką gadkę -- powiedział Edwin.

-- Świetnie naśladowuję akcent z Limerick -- gorliwie zaproponował Harry.

-- Broń, Harry. Pamiętasz?

-- Och. -- Harry nieco oklapł.

-- Nie obchodzi mnie, jakie masz stopnie z podstawowego kursu dialektów, jasne?

Harry ze zniechęceniem spuścił wzrok.

-- To samo powiedział pan McGreary, ale nie tak grzecznie. Powiedział: "Ty pacanie.

Kto do diabła uwierzy facetowi pochodzenia włosko-meksykańsko-amerykańskiego, który mówi z irlandzkim akcentem i nazywa się Tupak Soiree?". Ciągle mnie bił po głowie. To niezbyt miły człowiek. Myślę, że powinien nawiązać dialog ze swym wewnętrznym dzieckiem.

-- Gdzie on jest? Ten McGreary, jak mogę go znaleźć?

-- O ile wiem, nadal mieszka w Paradise Flats.

Edwin wstał.

-- Dziękuję, Harry. Było mi bardzo miło. Przepraszam za ten palec.

-- Słuchaj -- powiedział Harry. -- Uważaj, jeżeli wybierasz się do Paradise Flats. To zły człowiek.

Rozdział czterdziesty czwarty

May Weatherhill zmieniła imię na Wata Cukrowa. Niczym strzępek gazy na ciepłym jesiennym wietrze przemieszczała się od jednej komuny do drugiej, aż wreszcie osiadła w Zakonie Szczęścia™ na północy kraju (Komuna Oneida, Filia 107), gdzie zamieszkała w otoczeniu ludzi przepelnionych miłością.

W zakonie dni zlewały się ze sobą, a czas zdawał się rozpuszczać. Nie było tam kalendarzy, zegarów, żadnych narzędzi, dzięki którym można by podzielić świat na godziny, minuty czy dni. Zniknęły ponure poniedziałki, radosne piątkowe wieczory, samotne niedzielne popołudnia.

May spacerowała po ogrodach zielonych, spotykała podobnych sobie nieznajomych w białych szatach i uśmiechała się, aż zdrętwiały jej usta i cała twarz. Czuli, że jej świat powoli odzyskuje równowagę. Wpada w zastój. Ciągle odbywała te same rozmowy.

Ludzie się zmieniali, kolejna rozpromieniona, rozjaśniona szczęściem twarz zastępowała poprzednią, lecz wszystkie rozmowy brzmiały tak samo. Nikt nie wypowiadał zjadliwych uwag. Nikt nigdy nie płakał -- ani się nie śmiał aż do łez i bólu brzucha. Żadnego śmiechu. Żadnych łez. W najpełniejszym sensie tego słowa był to raj na ziemi. Wszyscy zgadzali się ze sobą nawzajem, przemykając między grupkami. Nikt nic o niej nie wiedział, a jednak była gorąco kochana. Słońce mocno prażyło, a ludzie byli piękni: holistyczni, pełni miłości wegetarianie w podobnych strojach domowej roboty. Na progach domów leżały kwiaty, wieczorami wirowały kołowrotki, a wieczory te były długie, zmierzchy zaś złociste.

May była szczęśliwa. Bardzo, bardzo szczęśliwa. Powierzchnia jej życia stała się gładka i spokojna, a kiedy May przeglądała się w lustrze, nie widziała już niekompletnej osoby, zbioru wad i niedociągnięć. Prawie nie widziała samej siebie. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Siódmego dnia Siostry Szczęścia™ usunęły z zakonu wszelkie lustra, jednym ruchem skazując na wygnanie dumę, lęk i próżność.

Być może to bliskość hotelu Sheraton Timberland zaczęła podkopywać jej spokój.

Codziennie podczas długiego spaceru boso na miejscowy targ May mijała ten hotel, teraz

opustoszały i zarośnięty winoroślą, i za każdym razem szeptała imię -- to, które ciągle powodowało zamęt w jej głowie, gniewało, urzekało i drażniło: "Edwin de Valu".

Edwin, wciąż obecny pomimo swej nieobecności, mącił taflę jej spokoju, powodował niebezpieczne wiry i nieprzewidywalne prądy, które mogły porwać ze sobą wszystko.

Dni nadal zlewały się ze sobą. Zioła rosły, a hotel niszczał. Życie May utknęło na wstędze Möbiusa -- dni powtarzały się w nieskończoność, uśmiechy nie schodziły z twarzy.

Aż któregoś dnia przyszedł list. Pojawił się jak kamień wrzucony przez okno witrażowe, przemycony w przebraniu laurki z wielkim napisem "Chwała Tupakowi Soiree!" sporządzonym drżąca, lecz zdecydowaną dłonią (Edwin nadal się przyzwyczajał do skrzywionego kciuka i jeszcze miał problemy z pisaniem).

Sam list napisano równie chwiejnymi literami, lecz jego treści bynajmniej nie brakowało pewności siebie. Edwin wyłożył w nim kawę na ławę, na górze kartki nabazgrał wielkimi drukowanymi literami: MANIFEST DLA MAY, a pod spodem:

Teraz już wiem, o co w tym wszystkim chodzi. Wcale nie o nadmierne palenie, zbyt intensywny makijaż czy spożywanie za dużej ilości niezdrowego jedzenia. Problem sięga o wiele głębiej. Zasadniczy błąd w całej filozofii Tupaka Soiree jest następujący: Tupak nie rozumie prawdziwej natury radości.

Radość to nie stan, May, to działanie. Radość to czasownik, nie rzeczownik. Nie istnieje niezależnie od naszych poczynań. Radość powinna być ulotna i przemijająca, gdyż z definicji swojej nie jest czymś stałym. Mono-no-aware, May. "Smutek wszystkiego". Smutek, który przenika wszystko, nawet samą radość. Bez niego radość nie istnieje.

Radość jest tym, co robimy. Radość to taniec nago w deszczu. Radość jest pogańska, absurdalna i zabarwiona żądzą i smutkiem. Szczęście takie nie jest. Szczęście to miejsce, do którego idziemy po śmierci.

Odchodzę. Kieruję się na południe, ku pustyni, ku mej ostatniej konfrontacji. Ocalę nas wszystkich od szczęścia. Przywrócę właściwe miejsce radości, cierpieniu i grzesznej przyjemności życia.

Uratuję świat, May... A potem wrócę po ciebie.

Na dole strony, w otoczeniu licznych wykrzykników i mocno podkreślone, Edwin napisał: mbuki-mvuki!

Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna May zaczęła się śmiać. Głośno. Z samego brzucha. Serdecznie z całego serca. Mbuki-mvuki, coś takiego. Doskonale знаła to słowo, pochodziło z jej zbioru nieprzetłumaczalnych zwrotów, w języku bantu oznaczało "spontanicznie zrzucić ubranie i z radości zatańczyć nago w deszczu". Mówiło o pewnej czynności, o odpuszczeniu sobie, o rozpętanu piekła.

Wyobraziła sobie Edwina, tańczącego nago w deszczu, jego postać chudą jak strach na wróble i machającą patykowatymi rękoma, w komicznej odzie do słabości. Śmiała się i śmiała. Edwin. Jej Conan. Jej mężczyzna rozmówany w wielkich gestach bez pokrycia, nagi na deszczu. Mbuki-mvuki! -- Przepraszam? Wato Cukrowa?

May odwróciła się, przestraszona. Zobaczyła jedną z Sióstr Wiecznego Szczęścia™, starszą panią o wielkich, sarnich oczach. Wyglądała na zaniepokojoną. Bardzo zaniepokojoną.

-- Usłyszałam twój śmiech, wszyscy cię usłyszeliśmy, i muszę stwierdzić, że nie był to właściwy śmiech. Nie brzmiał jak spokojny śmiech osoby zjednoczonej ze

wszechświatem. Gdybym nie znała cię lepiej, pomyślałabym, że zabrzmiał nieco złośliwie.

Ale od tego May tylko zaczęła się śmiać jeszcze bardziej.

-- Bo był złośliwy. I to bardzo. -- I z tymi słowy zsunęła z ramion Sztandar Szczęśliwości, starannie go złożyła i podała siostrze. -- Myślę, że mam już dosyć tego szczęścia.

-- Ojej. Na pewno? Czy coś się stało? Nie jesteś tu szczęśliwa?

-- Jestem szczęśliwa. I właśnie na tym polega cały problem.

I tak oto, gdy Edwin przygotowywał się do ostatecznej rozgrywki między siłami szczęścia a siłami słabości, May Weather hill zebrała swoje rzeczy, energicznym krokiem wyszła z ogrodu i przekroczyła Bramy Szczęścia™.

Nie obejrzała się za siebie.

Część trzecia

Ragnarök

Rozdział czterdziesty piąty

Kiedy Tupak Soiree wystąpił sans palca, jego oddani wyznawcy w całym kraju zaczęli również amputować własne palce wskazujące. Uważano to za "dowód wiary", "symbol przywiązania". Czyż Tupak Soiree nie napisał, że ten sam palec, który dłubie w nosie, również pokazuje księżyc? A teraz Wielki Nauczyciel usunął sobie ten palec.

Odebrano to jako omen, znak, że od tej pory już nie będzie żadnych "ja" i "ty", żadnych form pośrednich, żadnego "palca", którym można by wskazywać. Teraz pozostanie tylko czyste i bezpośrednie doświadczenie prawdy, natychmiastowe oślnienie. Zupełnie jakby objawił się któryś z buddyjskich koanów.

Żadna z tych interpretacji nie pochodziła od Tupaka Soiree. Wokół niego wytworzyła się pasożytnicza, lecz kwitnąca formacja naukowców i komentatorów gotowych interpretować i wyjaśniać każdy jego ruch. Sam Tupak (bo pod takim imieniem nadal go znano) nigdy nie wspomniał o brakującym palcu. Nie lubił, gdy mu przypominano, co się stało, a kiedy -- w przyprawie żarliwości -- kilku starszych akolitów zaproponowało, że przechowa odcięty palec jako "ikonę samodoskonalenia", Tupak przegonił ich kijem. Zniesmaczony szumem, jaki pojawił się wokół tej historii, Tupak spuścił palec w toalecie.

Był już bardzo zmęczony odgrywaniem guru i planował ucieczkę. Pierwszym krokiem miało być wyrzeczenie się własnej boskości, którą zawsze mu przypisywano, choć nikt nigdy otwarcie o tym nie mówił. Na miłość boską, to tylko książka. Doradzała, jak schudnąć i przestać się zamartwiać, jak poprawić jakość życia seksualnego i odzyskać dobre samopoczucie. I to wszystko. Zwykły poradnik, nic więcej. Dlaczego Amerykanie ze wszystkiego robią religię? Dlaczego wszystko muszą przemieniać w dogmat?

Następnego dnia rano Tupak Soiree zaczął pakować walizki. Nie miał zbyt wiele rzeczy, a już na pewno wszystkie zmieściłyby się w samolotowym pojemniku nad głową: od szat z niebielonej, naturalnej bawełny dostawał wysypki, a złotych kranów w łazience nie dało się odkręcić. Do torby na ramię włożył kilka pamiątek: parę niepodpisanych rachunków i mapę słynnych domów w Hollywood ("Tam, gdzie wschodzą gwiazdy!"). Było to samotne pożegnanie -- miał wielu wyznawców, lecz ani jednego prawdziwego przyjaciela. Po raz ostatni Harry (jak go odtąd będziemy nazywać) ruszył przez posiadłość.

-- Nigdy nawet nie odwiedziłem tego miasteczka w dole -- mruknął do siebie. -- A przecież należy do mnie.

Rozdział czterdziesty szósty

Edwin de Valu uruchomił auto.

Dach samochodu się złożył, zaszumiał silnik i przerywana linia na autostradzie zaczęła się przewijać jak napisana złotymi literami wiadomość nadana alfabetem Morse'a, jak rząd cegieł, hipnotyzująco działając na Edwina. Koło niego siedział właściciel kabrioletu.

-- Mów mi Leon -- zaproponował wspaniałomyślnie.

-- Jak pan sobie chce, panie Mead. -- Edwin kiwnął głową.

Niestety pomimo tego, że dach był złożony i do środka wpadał wiatr, wewnątrz samochodu cuchnęło olejkiem eukaliptusowym i nasionami rzepaku. Widzicie, pan Mead eksperymentował z kolejnym podejrzanym specyfikiem hamującym łysienie, którym wysmarował sobie wyliniałą czuprynę. "Wcierać energicznie trzy razy dziennie podczas posiłków". To prawda, odkąd wszyscy zaczęli kochać swoje łysiny (i cieszyć się z nich), nikt już nie produkował "cudownych, przełomowych mikstur", lecz pan Mead znalazł w magazynie starej apteki zapomniane pudło płukanki do włosów. "Pan bierze, ile chce -- powiedział sprzedawca. -- Oddam je za przytulenie". Na co pan Mead wałnął

go w głowę i odparł: "Jak będę chciał się poprzytulać, to sam poproszę". Tak więc, odkąd wyruszyli w tę podróż, pan Mead, nadal tocząc boje z nieuchronną utratą włosów, regularnie oblewał się owym tonikiem.

-- To nie byle podróbka oleju wężowego -- upierał się. -- Ten płyn naprawdę regeneruje mieszki włosowe pod powierzchnią skóry.

-- Jak pan sobie chce, panie Mead.

Pod tylnym siedzeniem siedział oszalały z rozpacz pan Muggins, który -- po latach pogardy ze strony Edwina i kilku zamachach ze strony mafii -- teraz miauczał żałośnie.

Na tylnym siedzeniu rozpierał się pan Etyka, gotów na wszystko i pełen nadziei, że uda mu się "na śmierć zatłuc osobę ukrywającą się pod pseudonimem Tupak Soiree". ("Nie byłoby tak do końca nieetyczne, gdybyśmy poćwiartowali tego całego McGreary'ego, ale powolutku" -- stwierdził, na co Edwin zareagował: "Nikogo nie będziemy ćwiartować. Jeżeli tylko okaże się skłonny do współpracy").

Wszyscy trzej krzyżowcy -- łysiejący Baby Boomer, chudy jak strach na wróble przedstawiciel Pokolenia X oraz bezduszny doktor filozofii -- mieli na sobie ubrania w podobnych odcieniach, ultrahipisowskie luźne szatki. Na niebie wisały ciężkie chmury, oświetlenie na autostradzie było minimalne, lecz czymże byłaby powieść drogi bez odrobiny mroku?

-- Cholera, nieźle wyglądamy -- powiedział pan Mead, przeglądając się w tylnym lusterku. (Oczywiście użył "my" w sensie królewskim). Obecna była jeszcze jedna osoba, choć tylko duchem: na tablicy rozdzielczej, tam gdzie ekwadorscy kierowcy autobusów przyklejają wizerunki Matki Boskiej lub Serca Jezusowego, widniało stare i nieco zamazane zdjęcie May Weatherhill, uchwyconej w ruchu, śmiejącej się w oparach wina, z zamkniętymi oczami i rubinowymi ustami czekającymi na pocałunek, który nigdy miał się nie pojawić.

Już dawno zostawili za sobą pejzaż miejski. Teraz szczyty wzgórz pokrywały pola kukurydzy i uginających się tyk fasoli. Malutkie anonimowe miasteczka pojawiały się i znikaly, a pustynia zbliżała się wielkimi krokami.

W samochodzie rozmowa krążyła wokół braku sensu życia. W pewnej chwili pan Mead, co było do przewidzenia, zaczął się rozwodzić nad utraconym idealizmem lat sześćdziesiątych.

-- Woodstock -- powiedział -- był doniosłym wydarzeniem w nowoczesnej historii.

Pan Etyka wybuchnął głośnym śmiechem.

-- Jasne! Hedonizm nastolatków w przebraniu społecznego sumienia. Wielkie rzeczy. Ta twoja rewolucja, jeszcze zanim się zaczęła, stała się częścią systemu.

Pan Mead odwrócił się do Edwina i powiedział dla wyjaśnienia: -- Nasz Bob był kiedyś marksistą.

-- Kiedyś? -- Pan Etyka wychylił się do przodu. -- Nadal nim jestem. Coś ci powiem, marksizm to coś więcej niż tylko ideologia. To była religia. Pewnie, teraz może się wydawać przestarzały, ale w tamtych czasach wstrząsnął całym światem. Wtedy odbywała się walka: kapitalizm kontra materializm dialektyczny. To dopiero były czasy, przyjacielu.

-- Jesteś komuchem? -- spytał Edwin, szeroko otwierając oczy. -- Prawdziwym, żywym komuchem? -- Dla osoby z pokolenia Edwina zetknięcie się z komunistą równało się ujrzeniu na własne oczy człowieka z Cro-Magnon.

-- Zabawne -- ciągnął pan Etyka -- że u podstaw obu tych systemów leżały podobne założenia. Komunizm. Kapitalizm. Oba wzięły się z przekonania, że istotą życia jest konflikt, współzawodnictwo. Oba opierały się na pojęciach nierówności i niepokojów społecznych. Jeden się nimi upajał, drugi je potępiał, lecz oba brały je za pewnik.

Łączyło je więcej podobieństw, niż nam się wydaje. A teraz... prześladowuje mnie pewna niepokojąca wątpliwość.

-- Jaka? -- spytał pan Mead.

-- A jeżeli ta cała afera ze szczęściem ma sens? Co, jeżeli właśnie do tego zdąża świat? Nie do socjalistycznego raju, nie do kapitalistycznego kultu troski o własny interes, lecz do końca konfliktu? Końca niepokojów? A jeżeli taki właśnie jest cel naszej podróży? Pospolita Ameryka. Rozwodniona i homologiczna. Szczęśliwa. Szczera.

Nijaka. Bezkrwista.

-- I o to tyle krajów walczyło przez tyle lat? -- spytał pan Mead.

-- Może -- zadumał się pan Etyka. -- Może tak wygląda koniec naszej historii.

Etykę i pana Meada spowiła mgiełka nostalgii -- jednocześnie przygnębiająca i przyjemna, jak to zwykle bywa z nostalgią.

-- Brakuje mi starych religii -- podjął pan Etyka. -- Brakuje mi tego zarozumiałego samozadowolenia, nieustępliwych, zapętlnionych ideologii. Tęsknię za przekonaniem o własnej nieomyślności, za poczuciem misji, za czystkami, okrucieństwem i zwiększaniem świadomości klasowej.

-- Westchnął ze smutkiem, spoglądając przez okno na otaczający krajobraz.

Nastąpiła chwila milczenia, krępująca cisza, w trakcie której Etyka i pan Mead czekali na wkład Edwina do tego bagażu nostalgii. Z czym jednak miałyby wystąpić? Co zaoferować? Jaki jest kolejny logiczny krok po Karolu Marksie i Woodstock?

-- Dynastia -- powiedział. -- Powtórki. Dynastia jako historia społeczna. Dynastia jako artefakt. Dżinsy marki Jordache. Pat Benatar i tapirowane włosy. Utrata dziewictwa i jednocześnie lęk przed AIDS. Och, jakże mi brakuje tego cudownego przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Był przygotowany na to, że zaczną z niego drwić, że wyplują z siebie tę samą co zwykle odpowiedź: "I to wszystko? Synku, my tworzyliśmy historię", lecz nastrój zgody przeważał nad pogardą, więc oddali mu sprawiedliwość.

-- Całe to szczęście zrobiło z nas dinozaury -- westchnął pan Etyka.

Jechali dalej: były komuch, były hipis i były przedstawiciel Pokolenia X. Trzy generacje, zagubione i błakające się, przemierzające pusty krajobraz zastawiony grobami poległych bohaterów: Steinbecka, Kerouaca, Knight Ridera.

-- Czy można zostać byłym przedstawicielem Pokolenia X? -- rzucił Edwin. -- Moi rówieśnicy nagle zrobili się przewrażliwieni i przestałem za nimi nadążać. Zostałem odcięty od stada. Kiedy przedstawiciel Pokolenia X utraci poczucie humoru, traci wszystko. Traci to, dzięki czemu był lepszy od Baby Boomera: cynizm bez ideologii, ironię, brutalną szczerłość.

-- Witaj w klubie -- powiedział pan Mead. -- Tak to już jest. W pewnym momencie wyrasta się z własnego pokolenia. Albo raczej to ono wyrasta z ciebie.

Rozdział czterdziesty siódmy

Dumą Paradise Flats była biblioteka. Zbudowana w czasach chwały miasteczka, jeszcze zanim padły kopalnie soli, biblioteka ta -- ze swą wyniosłą kopułą i zielonym, miedzianym dachem -- stanowiła centrum okręgu. To dzięki niej miasto zasłużyło sobie na przydomek Szmaragdowego, choć właściwie trudno je było nazwać miastem, a same dachy były miedziane, a nie szmaragdowe. Biblioteka stała się czymś w rodzaju znaku firmowego, a kiedy wzniesiono ratusz i seminarium duchowne, i zwieńczono je miedzią -- w samą porę na letnie obchody w 1897 roku -- jedyny problem polegał na tym, że miedziane dachy nowszych budynków były intensywnie brązowe, nie zaś dostojnie zielone, jak w starszych. Wywołało to falę konsternacji wśród członków rady miejskiej, którzy od miesiący zachwalali Paradise Flats jako miasto znane powszechnie z "majestatycznych zielonych dachów".

Kiedy się okazało, że kwasowość może przyspieszyć proces starzenia, a mocz człowieka zawiera akurat odpowiedni poziom kwasu, przed samą paradą podjęto heroiczną próbę. Oddani obywatele, tak robotnicy, jak i przedsiębiorcy, zwarli szeregi i -- posileni obfitymi dostawami (warzonego w beczkach z drewna bukowego) piwa z miejscowej tawerny -- wzięli udział w maratonie oddawania moczu. I rzeczywiście, miedź przybrała właściwy, godny odcień zieleni i święto Czwartego Lipca przebiegło bez żadnych zakłóceń. Na Main Street zgromadziły się rozradowane tłumy, by podziwiać oszczone dachy Paradise Flats. Przyszłość mieszkańców miasteczka rozpościerała się jak skrzący się miraż, kusząca i pozornie w zasięgu ręki.

Niestety już nigdy nie powtórzyło się to lato z 1897 roku. Wraz z upadkiem kopalni soli zbankrutował handel nieruchomościami, a linia Berton została zamknięta. Kolej żelazna przesunęła trasę nieco bardziej na wschód, ku wybrzeżu, a ci, którzy mimo wszystko zostali w Paradise Flats, pogrążyli się w niekończących się rozmyślaniach, pełnych "co by było, gdyby" i "może kiedyś". Obchody Czwartego Lipca z roku na rok stawały się coraz skromniejsze, aż wreszcie więcej osób brało udział w paradzie, niż ją podziwiała.

Właśnie mniej więcej tak można podsumować ostatni okres Paradise Flats: więcej ludzi brało udział w paradzie, niż ją podziwiała. Świat omijał to miasto niczym procesja obserwowana z daleka, znana z ekranów telewizorów i relacji radiowych. Życie toczyło się gdzie indziej, a od pięciu lat władze Paradise Flats nawet nie zwracały sobie głowy organizowaniem parady na Czwartego Lipca. Ograniczono się do kiermaszu domowych wypieków i ogniska, przy którym na patykach pieczono słodkie pianki.

(Kiedyś na ognisku podawano kielbaski, ale kiedy samorząd ogłosił upadłość, musiano obciąć budżet).

Rada miejska Paradise Flats rozpadła się niemal niezauważenie -- tak jak wysycha kałuża błota, kiedy się na nią nie patrzy. Okrąg przejął finanse miasta, kościoły poznikały, natomiast wprowadziła się grupka zaklinaczy węży i baptystów mówiących językami, którzy idąc szlakiem ponurych miasteczek, znaleźli w Paradise Flats ludność złąknioną duchowości. A przynajmniej dobrej zabawy przy pieśniach gospel.

Teraz główne ulice Paradise Flats świeciły pustkami, otoczone zabitymi na głucho

sklepami i opuszczonymi parcelami. W szczelinach chodnika rosły chwasty, a pośrodku jezdni, w wywołanym upałem stuporze, leżały psy. Tak właśnie wyglądało to miasto.

Należało do tych miejsc, gdzie pies śpiący na samym środku Main Street nie jest narażony na żadne niebezpieczeństwo. Panował tu niewielki ruch, zresztą kierowcy i tak omijali wylegające się zwierzęta. (Najczęściej wiedzieli, do kogo należy napotkany pies i jak się wabi). Ulice Paradise Flats były całkowicie opustoszałe. Do kompletu brakowało jeszcze tylko kłębów zielska niesionych przez wiatr. Zastępowały je nowoczesne ekwiwalenty: plastikowe torby, które przetaczały się alejkami, zbierając kurz i zaczepiając się na ogrodzeniach.

-- Boże święty -- powiedział pan Etyka, kiedy Edwin zwolnił. -- Toż to istne miasto duchów.

Nie do końca. Jeden czy dwa sklepy nadal były otwarte, a wśród nich zakurzona, wyblakła na słońcu stacja benzynowa z zardzewiałą tablicą, leniwie skrzypiącą na wietrze.

Owa stacja benzynowa pochodziła z innej epoki. W starej brzuchatej lodowce nadal stały butelki z napojem Fresca.

-- Fresca? -- zdziwił się pan Mead. -- To jeszcze go produkują?

Butelki nawet nie miały nakrętek, kapsel zdejmowało się, zahaczając o brzeg lady.

-- Witamy w Paradise Flats! -- powiedział właściciel, który wyglądał jak złożony z niepasujących do siebie części. Uszy miał wielkie jak skrzydła nietoperza, oczka chytre, szyję żółwią, za to całkowicie brakowało mu brody. Każde oko miał inne.

Cholera, nawet nie znajdowały się w linii prostej. (Nic dziwnego. W końcu było to samo serce krainy kazirodu. Jeżeli mężczyzna mówi: "Poznaj moją żonę i siostrę", zza jego pleców wychodzi tylko jedna kobieta).

-- Jeżeli zaraz zabrzmi motyw przewodni z Dziecka Rosemary, to ja stąd spadam -- szepnął pan Etyka.

-- Zgoda -- przytaknął pan Mead. -- Na dźwięk banjo i pierwsze oznaki sodomii uciekamy.

Pomijając kwestię stereotypów, właściciel stacji benzynowej był niezwykle ciekawym człowiekiem obdarzonym rozlicznymi talentami. Dla relaksu czytywał podręczniki algebry, mówił po hiszpańsku i znał dwie gwary węgierskie, a kiedyś dosłownie z niczego skonstruował amfibię. (Wyczyn ten robiłby jeszcze większe wrażenie, gdyby w pobliżu znajdował się jakikolwiek zbiornik wodny, gdzie mógłby wypróbować swój pojazd. Może rzeczywiście facet był owocem związku kazirodu).

Mieszkańcy Paradise Flats lubią mawiać, że żyją na skraju pustyni, w istocie jednak od miasta nie dzieli jej żadna wyraźna granica, nie ma tu, powiedzmy, zarośli i ugorów.

Obywatele Silver City wręcz twierdzą, że Paradise Flats to miasto pustynne. Paradise Flats drgało w skwarze, nad dachami przetaczały się fale suchego powietrza, a spieczona, czerwona piaszczysta nawierzchnia łuszczyła się i pękała jak spalona słońcem skóra.

-- Od pół roku nie mieliśmy tu porządnego opadów -- powiedział mężczyzna ze stacji benzynowej. -- Po ostatnim deszczu ziemia była tak sucha, że dosłownie słyszeliśmy, jak wzdycha. Na chodnikach pojawiło się błoto i niejedyn but tam utonął, ale na parę dni zakwitły rabaty, więc chyba dobrze się stało.

-- Pewnie tak. -- Edwin przyłożył sobie do rozpalonej twarzy zimną butelkę z napojem. Gdyby nie lepkość, którą potem musiałby znosić, wylałby sobie płyn na głowę i otrząsnął się jak mokry pies.

Pan Mead podszedł do lady, błysnął zębami w swym najlepszym, nieszczerym uśmiechu i powiedział:

-- Słuchaj, przyjacielu. Szukamy mojego starego znajomego z college'u. Nazywa się

McGreary. Nie wie pan przypadkiem, gdzie on mieszka?

Mężczyzna podejrzliwie zmrużył oczy.

-- Mówi pan, z college'u?

-- Tak jest. Razem studiowaliśmy.

-- Naprawdę? To ile pan ma lat? Bo stary Jack skończył przynajmniej osiemdziesiąt.

Dorastał w czasach Wielkiego Kryzysu, a podczas wojny służył za granicą. Lądował na plaży w Normandii -- w pierwszym rzucie. Pomagał wyzwalać Europę. Chyba nie szturmował pan Normandii razem z Jackiem, co?

-- Och, powiedziałem "z college'u"? -- Pan Mead zbył śmiechem swoją pomyłkę. --

Chciałem powiedzieć, że był ojcem mojego kolegi z college'u. Walczyli razem na wojnie.

Bohaterowie.

-- Niemożliwe? -- Oczy mężczyzny były już niewiele szersze od szparek. -- Bo chodzą słuchy, że Jack wrócił do cywila zhańbiony, że go wykopali za przemycanie racji żywnościowych z kantyny oficerskiej. Za handel na czarnym rynku kilka miesięcy przesiedział w pace i odszedł z armii, okryty niesławą. To chyba nie ten sam Jack McGreary, którego szukacie, co?

Pan Mead wychylił się i powiedział ochryplym Clintonowskim głosem: -- Może i popełniał błędy, ale dla mnie na zawsze pozostanie bohaterem.

-- Naprawdę?

Podczas tych coraz bardziej niezdarnych prób wywiedzenia tubylca w pole Edwin przechadzał się między półkami smętnego sklepika na stacji benzynowej, dziwiąc się wyblakłym opakowaniom i zakurzonym towarom. Na stojakach, które się już nie obracały, ustawiano stare lalki i pocztówki z lat czterdziestych. Na półkach obok płyt z muzyką country leżały karburatory nadal w oryginalnych opakowaniach. I nagle, właśnie gdy patrzył na pudełko gwoździ różnej wielkości i starych świec zapłonowych, coś zwróciło jego uwagę. Kiedy podniósł głowę, jego wzrok padł na wyblakłą, pozbawioną barw reklamę gumy do żucia Red Seven. Dopiero po chwili pojął jej znaczenie i zrozumiał, co go tak zafrapowało w tym plakacie z pozwijanymi końcami i kolorami rozmytymi przez słońce i upływ czasu. Pamiętał tę gumę do żucia z czasów swojej młodości. Przystano ją produkować, kiedy jeszcze chodził do podstawówki (podobno jakiś składnik barwnika powodował u szczurów laboratoryjnych wady okołoporodowe), lecz nadal ją sprzedawano w krajach Trzeciego Świata -- dopóki firma, niczym listek gumy do żucia, nie została wchłonięta przez Wrigleya.

O co chodziło z tą gumą? Co było tak niepokojącego w tym plakacie? Nagle wszystko zrozumiał. Dostrzegł ukrytą treść w wyblakłych literach na dole plakatu, w haśle reklamowym. Widzicie, gumę Red Seven sprzedawano w dwupakach, a hasło brzmiało: "Two-pack Soiree. Dwie pyszne gumy w cenie jednej!". Edwin zamarł.

Poczuł, że po skórze przebiega mu dreszcz -- jak wtedy gdy się przechodzi przez cmentarz, a w wysokiej trawie szeleści wiatr. "Two-pack Soiree". Byli coraz bliżej.

Nadchodziła pora rozrachunku.

Odwrócił się do lady i szepnął do pana Meada: -- Wyjdźmy stąd.

Ale pan Mead już tak gęsto utkał swą sieć kłamstw, że sam nie mógł się z niej wyplątać.

-- A więc -- powiedział właściciel stacji benzynowej -- kapral kuzyna pańskiego ojca próbuje odnaleźć Jacka McGreary'ego, by spełnić ostatnią wolę anonimowego ofiarodawcy, i poprosił pana o podjęcie się zadania wykonawcy testamentu?

-- Tak, do cholery. Gdzie on jest?

Edwin, ignorowany przez obu mężczyzn, westchnął i zaczął oglądać wybór słodczy i tanich przekąsek ułożonych koło kasy (starego typu, takiej, gdzie cyferki wyskakują w osobnych

okienkach). Nagle, koło krówek ciążutek i plastikowych wiatraczków, zobaczył tekturowe pudełko ze stosikiem naklejek. Naklejki te przedstawiały stokrotki. Po dziesięć centów od sztuki.

-- Rzadko widuję Jacka. Nigdy tu nie przychodzi.

Edwin podniósł wzrok znad pudełka ze stokrotkami.

-- Jack McCreary przychodzi tu ciągle -- powiedział.

-- Przechadza się między półkami, a jakiś czas temu kupił trochę tych naklejek.

Mężczyzna za ladą zamilkł. Odwrócił się i spojrział na Edwina.

-- Skąd pan wie? Skąd pan wie o tych kwiatkach?

-- Gdzie on jest?

-- Wiecie, niespecjalnie go lubię. Nikt go nie lubi. Ale jakoś znosimy, znosiliśmy i zawsze będziemy znosić. Nie zasłużył sobie na to, żeby go nachodzili jacyś wygadani egzekutorzy długów. Pod ladą trzymam dwulufową, dobrze naoliwioną strzelbę kaliber dwanaście. Jeżeli w tej chwili nie opuścicie mojego sklepu, to was zastrzelę za wkroczenie na teren prywatny. -- Z naciskiem na słowo "zastrzelę".

Pan Mead parsknął.

-- Nie może pan strzelać do ludzi za wejście na teren publiczny w godzinach pracy.

-- W okręgu Dacob mogę. Przepis siedem siedem zero jeden. A teraz wynocha, zanim całkiem stracę cierpliwość. -- Sięgnął pod ladę.

-- Już dobrze, dobrze -- powiedział pan Mead i wyszli ze sklepu, trzaskając za sobą drzwiami siatkowymi.

-- Dokąd teraz? -- spytał pan Mead.

-- Do biblioteki -- odparł Edwin.

Biblioteka, majestatyczny późnowiktoriański gmach z piaskowca, nadal była najbardziej imponującym budynkiem w całym okręgu, choć niegdyś wspaniała plac, jaki się przed nią rozciągał, teraz zmalał do mizernego spłachetka zbrązowiałej trawy wokół fontanny, która od lat nie widziała wody. Z ławek w parku, zarośniętych wyschniętymi chaszczami, farba obłaziła do tego stopnia, że wyglądały jak chore na nieuleczalną postać egzemy. Ścieżkę w ogrodzie pokrywał spękany asfalt, a schody prowadzące do biblioteki były wyszczerbione. Sam gmach nadal jednak robił wielkie wrażenie -- nawet teraz, po tylu latach.

W środku panował mrok i wszędzie unosił się kurz, a w przeciwieństwie do skwaru na zewnątrz, wewnątrz dawało się odczuć jeżeli nie chłód, to przynajmniej pewien brak upału. Bibliotekarka, wysoka kobieta o wąskich wargach i surowym wyrazie twarzy, siedziała ukryta za stołem starych książek, skąd musieli ją wywabić.

-- Halo? Jest tu kto?

Nic. Widzieli, że bibliotekarka kuli się, udając, że ich nie zauważyła, i z nadzieją, że odejdą.

-- Przepraszamy za najście, ale chcielibyśmy spytać...

-- Biblioteka jest zamknięta.

-- Na drzwiach wisiała tabliczka "otwarte".

-- Nigdy jej nie zdejmuję -- warknęła. -- Nieważne, bo i tak jest zamknięte. Biblioteka jest czynna tylko rano, wszyscy o tym wiedzą.

Już gdzieś ją widziałem -- pomyślał Edwin. Na obrazie American Gothic. Stała ze staruchem z widłami.

-- Szukamy Jacka McCreary'ego -- powiedział pan Mead.

Wyraz jej twarzy na chwilę się zmienił. Pełną oburzenia dezaprobatę zastąpiło lekkie zaciekawienie.

-- Pana McGreary'ego? Dlaczego, ma jakieś problemy?

-- Być może -- powiedział Edwin.

Jej twarz się rozjaśniła i kobieta nieomal klasnęła w ręce z radością.

-- Wiedziała! Wiedziała, że to go w końcu dopadnie!

-- To? -- spytał Edwin. -- Czyli co?

-- Jego przeszłość. Ordynarny język. Koszmarny brak dobrych manier. Jemu nie można zaufać, wszyscy to wiedzą. Agnes z Lo-Food mówiła, że kiedyś go przyłapała na jedzeniu sardynek prosto z puszki. Mogą to sobie panowie wyobrazić? Powiedziała, że przyszedł do sklepu z własnym otwieraczem.

-- Nie przyjechaliśmy tu w sprawie sardynek -- powiedział Edwin.

-- Nie? -- W jej głosie zabrzmiało prawdziwe rozczarowanie.

-- Nie. Próbujemy go odnaleźć i pomyśleliśmy, że może pani udzieli nam pomocy.

Domyślamy się, że dość często tu bywa.

-- O tak -- przytaknęła z dezaprobatą. -- Prawie codziennie. Wyciąga książki z półek, psuje mi cały system, wypożycza, co mu w rękę wpadnie, wozi książki do domu w tym swoim rozklekotanym wózku sklepowym, który zresztą ukradł w Lo-Food. Był tu dziś rano. Oddał trochę książek, wszystkie przetrzymane i zabazgrane na marginesach tym okropnym charakterem pisma. Tyle razy go ostrzegałam, żeby mi nie mazał po książkach, ale on zawsze odpowiada: "Dlaczego? W tym cholernym mieście i tak nikt inny ich nie czyta". Oczywiście nie użył słowa "cholerny". Pozwoliłam sobie użyć łagodniejszego określenia. McGreary strasznie przeklina.

Pan Etyka omiół wzrokiem stosy książek, regały ustawione na trzech piętrach i stare składane, zardzewiałe drabiny. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i pleśni.

Miejsce to było przesiąknięte słowami i ideami. Mniej przypominało bibliotekę, a bardziej magazyn zaginionych ksiąg.

-- Od lat dwudziestych nie kupiliśmy ani jednej nowości -- stwierdziła kobieta z pewną dozą nieuzasadnionej dumy. -- Większość książek to dary z okresu rozkwitu miasta w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Nasze zbiory skatalogowali naukowcy z uniwersytetu w Phoenix. Gdyby tylko pan McGreary przestał je czytać! Są na to zbyt cenne. Wiele z nich to pierwsze wydania. Wartość niektórych sięga tysięcy dolarów. Tysięcy, powiadam.

-- Naprawdę? -- nieco zbyt entuzjastycznie podchwycił pan Etyka. -- A które to?

Edwina coś męczyło.

-- Macie tu tylko stare książki? Nic z nowości? Zupełnie nic? Pan McGreary czyta tylko te starocie?

-- O nie. Czyta wszystko. Nadużywa naszego systemu wymiany między bibliotekami. Ciągłe zamawia książki z centrali, a potem narzeka, jeśli nie przychodzą.

Jest po prostu niemożliwy. W któryś weekend tak się zdenerwował, że pojechał do miasta tym swoim okropnym pick-upem i odwiedził wszystkie antykwariaty. Wrócił z pudłami książek. Z całym pudłami, powiadam. Nigdy by panowie nie zgadli, co to za książki. Nigdy.

-- Poradniki -- powiedział Edwin. -- Wrócił z pudłami poradników. Mógłbym wymienić całą listę: Potęga pozytywnego myślenia, Proste życie w skomplikowanym świecie, Jak stworzyć firmę w duchu religii buddyjskiej, Droga rzadziej uczęszczana...

Bibliotekarka się zdumiała.

-- Nie znam szczegółów, ale tak, to były poradniki. Wszystkie, co do jednego. Całe stosy poradników. Skąd, u licha, pan wiedział?

-- Och, znam pana McGreary'ego lepiej, niż się pani wydaje -- powiedział Edwin.

Im więcej się dowiadywał, tym większe miał wrażenie, że słucha echa, które sam spowodował. Przyszło mu do głowy, że być może Jack jest jego własnym rozproszonym odbiciem, i może on, Edwin, cały ten czas ściga samego siebie.

-- Wiem jedno -- powiedziała bibliotekarka. -- Jack McGreary to straszny, straszny człowiek. Prawie co tydzień jeździ do Silver City. Twierdzi, że na badania lekarskie, ale wszyscy wiedzą, co tam robi. -- Tu zniżyła głos do dramatycznego, teatralnego szeptu. -- Chodzi na dziwki i libacje. Tak jest, chodzi na dziwki i libacje. To człowiek, którym rządzą niskie popędy. Kiedy się tu zjawia, drzę o własne bezpieczeństwo, naprawdę.

O bezpieczeństwo i cnotę. Często spędza tu cały ranek, skulony nad jakąś nieznaną książką, którą wygrzebał gdzieś na zapleczu.

Kiedy tu jesteśmy sami, czuję się jak w pułapce. Naprawdę. To może kobietę wyprowadzić z równowagi. Otacza go... pewna aura zwierzęcości. Wybaczą panowie, nieco się wzburzyłam. To od tego upału. Cała się gotuję, muszę iść do domu i się położyć.

Pan Mead wystąpił do przodu z olśniewającym uśmiechem, tym samym protekcjonalnym, wielkowiejskim uśmiechem, który wypróbował już wcześniej i który go zawiódł. Tym razem jednak zadziałał. Kobieta mylnie wzięła jego protekcjonalność za pochlebstwo.

-- Proszę pani, nie chciałbym się narzucać -- powiedział. -- Ale czy mogłaby nas pani wybawić z kłopotu? Musimy odnaleźć pana McGreary'ego. Dla jego dobra. Mamy tylko numer jego skrytki pocztowej, a kiedy usiłowaliśmy się dodzwonić pod numer komórkowy, okazało się, że jest odcięty.

-- Wiem. Firma telekomunikacyjna odłączyła mu telefon. W zeszłym tygodniu odcięto mu linię.

-- Za niezapłacone rachunki?

-- Nie, nie tym razem. Chodziło o jego wybryki. Nieustannie wydzwaniał do członków Izby Handlowej i nękał ich swoimi pomysłami. Dyrektora banku też. Wie pan, mamy tu tylko jeden oddział, ale pan McGreary ciągle groził, że przeniesie swoje konto gdzie indziej. Chodzą różne plotki.

-- Plotki?

-- Na temat jego pieniędzy. Podobno chowa je w materacu i jest milionerem. Podobno zaprzedał duszę diabłu. Co panowie na to? (W Paradise Flats diabeł oznaczał najwyższą kartę atutową. Raz wyłożona, była nie do przebiccia. A jeżeli Jack McGreary rzeczywiście zadał się z diabłem, to cóż było więcej do dodania?).

-- Adres? -- ponaglił ją pan Mead.

-- A, tak. Mieszka na kempingu za torami przy starym budynku Compascor. Nie mogą go panowie przeoczyć. Z całą pewnością. Tam to jedyna przyczepa. Pozostali mieszkańcy dawno się stamtąd wyprowadzili.

-- Proszę mi powiedzieć -- zagadnął ją jeszcze Edwin, kiedy już odwrócili się do wyjścia.

-- Czy słyszała pani o książce Czego dowiedziałem się na górze?

-- Ja nie czytam -- kobieta odparła stanowczo. -- Czytanie jest dla nierobów.

Edwin się uśmiechnął.

-- Nie mógłbym tego ująć trafniej.

Rozdział czterdziesty ósmy

"Mieszka na kempingu za torami przy starym budynku Compascor. Nie mogą go panowie przeoczyć".

A jednak mogli go przeoczyć. I przeoczyli. Okazało się, że "stary budynek Compascor" to

zabita dechami buda z pustaków i z blaszanym dachem, niewyróżniająca się niczym oprócz własnej anonimowości. Niezły mi punkt orientacyjny. (Same tory zerwano już dawno temu, ale pozostała po nich niewidoczna ścieżka: długa, prosta, oskarżająca blizna biegnąca przez środek miasta).

-- Stary budynek Compascor? -- Staruszek kuśtykający o kulach przez Main Street był zdumiony, że ktoś mógłby nie wiedzieć, gdzie się znajduje to miejsce. -- Chyba mnie nabieracie. To była ogromna firma. Wszyscy wiedzą, gdzie stoi. Już nie sprzedają polis ubezpieczeniowych. Będzie siódmy rok, jak ją zamknęli. Gdzie ją znajdziecie? Znaczący stary budynek Compascor? Koło starej apteki. Wszyscy to wiedzą.

Edwin westchnął/zawarczał i spytał z mocno nadwyrężoną cierpliwością: -- A gdzie jest ta stara apteka?

-- O, to tuż koło starego budynku Compascor.

Oczywiście. W tym momencie Edwin wysiadł z samochodu, podszedł do staruszka i jedną z kul stukł go na kwaśne jabłko.

-- Szukamy kempingu -- powiedział Edwin.

Mężczyzna stanął jak wryty.

-- Kemping? Ależ zamknęli go wiele lat temu. Został tam już tylko ten zwariowany Jack McGreary. Wiecie, to odludek. Nie zadaje się z nami. Trzyma się na uboczu.

Odmieniec. Myśli, że jest od nas lepszy. Kawał snoba. Coś wam powiem: jak mu się wydaje, że jest taki cholernie wspaniały i potężny, to może sobie...

Edwin westchnął.

-- Proszę nam tylko wskazać drogę, dobrze?

-- ... i powiedział członkom zarządu szkoły, że przed lekcjami nie powinno się odmawiać modlitwy, bo szkoły "z natury swojej są lamickie". Co to, do cholery, w ogóle znaczy?

-- Laickie -- poprawił go Edwin, znowu wzdychając. (Odkąd znalazł się w Paradise Flats, niesłychanie często wzdychał. To miasto już tak działa na człowieka). -- Na pewno powiedział "laickie".

-- To cholerny ateista. Chcecie się z nim spotkać? Nic mnie do tego. Za rogiem skręćcie w ulicę Wiązową (na Wiązowej nie było ani jednego więzienia), potem pójźcie aleją Dębową (jw.) aż do ulicy Oceanicznej Bryzy (jw., jw.; powietrze stało tam w miejscu, już nie wspominając o bliskości oceanu). Tam zobaczycie pustą parcelę i jedną przyczepę. Tam właśnie mieszka Jack. Ale uważajcie, McGreary to niebezpieczny człowiek. Kiler. Normalny kiler -- i snob. Kiedyś na zebraniu w sprawie zagospodarowania miasta wstał, pewny siebie jak jasna cholera, i zaczął się dopytywać, co Ellen robi z procentami od funduszy emerytalnych mieszkańców tego miasta. Na to ja mu mówię: "Siadaj, Jack, nikogo nie obchodzi, co masz do powiedzenia". Wiecie, co ten drań mi odpowiedział? Wiecie? No więc...

Edwin nie mógł już tego znieść. Przycisnął gaz do dechy i spod opon wzbil się suchy cumulus pyłu.

-- Uzasadniony mord -- odezwał się z tylnego siedzenia pan Etyka. -- Gdybyśmy zabili takiego gadatliwego pierdziela, nie skazałaby nas żadna ława przysięgłych.

Edwin spojrzął w tylne lustro, zobaczył, że ten stary idiota jeszcze rozprawia w tumanach kurzu, i powiedział:

-- Może i masz rację, Bob. Może i masz rację.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Srebrna przyczepa piekła się w skwarze, metal odbijał męczące promienie ultrafioletowe

pustynnego słońca. Napis na tablicy, wyblakły do tego stopnia, że pozostało po nim nieco więcej niż wspomnienie, oznajmiał "Społeczność kempingowa Fairview", lecz poza jedyną, "samotną" przyczepą nie było tu ani śladu społeczności, terażniejszej czy przeszłej, półwędrowniej czy jakiegokolwiek innej. Na zawalonym żelastwem podwórku stał zardzewiały pick-up bez amortyzatora, podłączony za pomocą przedłużacza do odległego słupa energetycznego. Wokół rozciągała się rozżarzona słońcem równina.

-- Jak tu można mieszkać? -- szepnął pan Mead. Twarz miał mokrą od potu, a głos słaby i chrapliwy. -- W metalowej przyczepie na skraju pustyni, bez odrobiny cienia?

Jak w piekarniku.

Edwin zgasił silnik, samochód na wolnym biegu przetoczył się kilka metrów i stanął. Cisza. W przyczepie nic się nie poruszyło, nikt nie wyjrzał przez żaluzję, nie skrzyknęły drzwi.

-- Nie pojedziemy bliżej? -- spytał pan Etyka, omiatając wzrokiem przestrzeń dzielącą ich od przyczepy.

Edwin wysiadł i osłaniając oczy przed słońcem, spojrzął w stronę przyczepy. Etyka i Mead dołączyli do niego i wtedy cicho, w tle, rozległ się motyw przewodni z westernu Dobrzy, źli i brzydki.

-- Widzieliście Dziką bandę Sama Peckinpaha? -- spytał Edwin. -- Na końcu grupka kowbojów idzie środkiem ulicy na ostatnią strzelaninę. No więc teraz właśnie mamy szansę wcielić w życie ideę Peckinpaha.

-- Ale czy oni wszyscy nie zginęli? -- spytał pan Etyka.

-- Czekać! -- odezwał się pan Mead. -- Widzieliście? To boczne okno. Zasłonka się poruszyła. O, znowu! Widzieliście? -- Zniżył głos. -- Ktoś nas obserwuje.

Wyprostował ramiona i wystąpił do przodu z egzemplarzem Czego dowiedziałem się na górze uniesionym nad głową jak sztandar. Był to ten sam przepocony tom, który wszędzie nosił ze sobą, odkąd wyjechali z miasta. Trzymał go tak jak mieszkańcy Europy Wschodniej, którzy za pomocą amuletów i czosnku zażegniają niebezpieczeństwo. Albo odpędzają złego.

-- Panie McGreary! -- ryknął, a jego głos zagrzmiął w pustce. Na tych gołych, pustynnych terenach pod Paradise Flats przypominało to krzyczenie w próżnię. Jego głos nie miał się od czego odbić echem, dźwięki rozplywały się w ciszy. Był to krajobraz bez żadnych wzniesień, krajobraz bez echa. -- Panie McGreary! Czy możemy z panem chwilę porozmawiać? Jesteśmy pańskimi fanami! Uwielbiamy pańską książkę!

Odpowiedź nadeszła natychmiast i niespodziewanie: strzał z broni, głośny wizg i książka eksplodowała w dłoni pana Meada, powodując deszcz szczątków i strzępów papieru.

-- Jezu Chryste! -- Pan Mead padł na kolana, a pan Etyka rzucił się głową do przodu na tylne siedzenie samochodu. Edwin odruchowo zrobił unik, ale pozostał na miejscu.

Nie próbował uciekać ani się chować.

-- Ten psychol nas zabije! -- wrzasnął pan Mead, gramoląc się z pochyloną głową na przednie siedzenie. Patrząc w lufę zardzewiałego radzieckiego karabinu to jedno, ale stawić czoło demonicznemu geniuszowi na jego własnym podwórku to zupełnie co innego. -- Jedźmy! -- darł się.

-- Jedźmy, jedźmy!

Edwin odwrócił się i z niesmakiem spojrzął na dwóch mężczyzn kulących się w samochodzie.

-- Panie Mead, gdyby chciał pana zabić, już by to zrobił. Celował w książkę.

-- Nieważne! Już po wszystkim. Wsiadaj i jedźmy, na miłość boską.

-- Zawsze wiedziałem, że jest pan tchórzem -- powiedział Edwin. (Teraz już pluł wstrętem jak jadem).

-- Jedziemy -- upierał się pan Mead. -- I to już. Koniec dyskusji.

-- Tak? Wiadomość z ostatniej chwili, mój Einsteinie: to ja mam kluczyki od wozu. -- Tu Edwin zamachał kluczykami. -- I nigdzie nie jedziemy. Dokończymy to, co zaczęliśmy. -- Znowu odwrócił się do przyczepy z lśniącą, srebrną skórą i wziął głęboki oddech, próbując zapanować nad nerwami. Koszula przykleiła mu się do pleców, a włosy ociekały potem, lecz zdołał nadać swej postawie wrażenie opanowania i spokoju. -- Panie McGreary!

-- krzyknął. -- Nazywam się Edwin de Valu. Byłem pana redaktorem w Pandericu. Rozmawialiśmy przez telefon, pamięta pan?

Nic. Cisza szarpała mu nerwy, a od skwaru robiło mu się słabo, niemalże miał halucynacje. Wystąpił krok do przodu... i wystrzelona kula trafiła zaledwie kilkanaście centymetrów od jego stopy, wznecając fontannę żwiru.

-- Druga para kluczyków! -- wrzasnął pan Mead. -- Pod tylną matą, Bob. Szybko!

Pan Etyka przeczołgał się z tylnego siedzenia na przednie, zaczął grzebać pod tablicą rozdzielczą, włączył zapłon i samochód ruszył na tylnym biegu.

-- Stop! -- krzyknął Edwin, nadaremnie, bo pan Etyka jeszcze bardziej przyśpieszył. -- Wracajcie! Wracajcie, wy bezduszne sukinsyny!

Odjechali. Edwin został sam, nie mając się gdzie schować. Odwrócił się z rękoma do góry, czekając na kolejny strzał. Nic. Usłyszał natomiast ciche bulgotanie dochodzące z czeluści przyczepy. Zaczęło się jak chichot, przeszło w śmiech, by wreszcie przerodzić się w grzmiący rechot. Czy to ostatni dźwięk, jaki usłyszę? -- pomyślał Edwin. -- Szalony mefistofeliczny śmiech? Czy to ostatni dźwięk, jaki usłyszę?

Pot płynął mu ciurkiem po plecach, wsiąkał w pasek, zalewał twarz, piekąc w oczy warstewką soli. Edwin zrobił krok do przodu, potem jeszcze jeden. Powolutku, powolutku. I nagle, korzystając z przerwy w ostrzale, puścił się pędem -- właściwie płynnym ruchem wyskoczył w przysiadzie po zygzakowatym torze, aż dopadł drzwi przyczepy.

-- Niech pan nie strzela! -- zawołał. -- Wchodzę, jestem nieuzbrojony! Niech pan nie strzela!

Ale, ach, nieco rozmijał się z prawdą. W istocie rzeczy był uzbrojony. Do wewnętrznej strony łydki miał przyklejony taśmą samoprzylepną gotowy do strzału pistolet z naładowanym magazynkiem.

-- Nie chcę nic panu zrobić! -- skłamał.

Drzwi siatkowe otworzyły się, ukazując za sobą parną ciemność aż gęstą od zastarzałego zapachu potu i tytoniu.

-- Jack? -- powiedział Edwin, wchodząc do środka.

Spodziewał się, że stanie twarzą w twarz z lufą karabinu, za którą będą się znajdowały demoniczne płonące oczy. Zamiast tego ujrzał zawałony książkami pokój.

Całe pudła książek. Stały wszędzie w wysokich stosach. Jedynym wolnym od nich miejscem była kanapa ze zmiętą pościelą i przetartymi wyblakłymi poduszkami.

I jeszcze zapadnięty szezlong w szkocką kratę, z prującymi się szwami i otoczony okruciami kanapek i filiżankami po kawie jak opadem promieniotwórczym po wybuchu. Pudła i książki. Książki i pudła. A na samym środku, w półcieniu, stał Jack McGreary.

Broń, myśliwska strzelba, leżała na kuchennym blacie zastawionym garnkami, patelniami i brudnymi naczyniami -- no i książkami. Jack stał w podkoszulku, z butelką whisky i wyszczerbioną szklaneczką w dłoniach. Jego twarz z jednej strony oświetlał promień światła wpadający przez okno. Była to twarz niedźwiedzia. Twarz boksera.

Kwadratowa, o potężnych szczękach, ze złamanym nosem, nieogolona. Oczy wpatrywały się w Edwina przez półszkła okularów do czytania, co sprawiało, że mężczyzna wyglądał jeszcze

bardziej osobliwie. Włosy miał białutkie jak gołąbek i fatalnie ostrzyżone, sterczące na wszystkie strony, jakby McGreary właśnie przebudził

się z dwudziestoletniego snu Van Winkle'a. Ręce, którymi nalewał sobie porcję whisky, były ogromne. Wyglądały jak dłonie kamieniarza: o zniekształconych kostkach, grubych palcach i stwardniałej skórze. Nie były to dłonie guru czy pisarza.

Lata później, kiedy to spotkanie już urosło do rangi mitu, Edwin wspominał nie te oczy -- zimne i szare jak kamień -- czy wydatny brzuch i potężną sylwetkę mężczyzny -- przynajmniej metr dziewięćdziesiąt przy wadze prawie stu pięćdziesięciu kilo. Nie.

Przed oczami miał przede wszystkim te dłonie, masywne i ogromne. To je zapamiętał najlepiej.

Głos, który się rozległ, był ochryłym niskim barytonem i stanowił jakby trzecią istotę w tym wnętrzu.

-- Ho, ho, ho. Edwin de Valu. Redaktor i zawodowy dureń. W końcu mnie wytropiłeś.

-- Witaj, Jack.

-- Drinka?

Edwin kiwnął głową.

-- Ale sobie też nalej. -- Drink przed śmiercią.

Ale Jack się nie poruszył. Stał tylko, z ukosa spoglądając na Edwina, jakby samym aktem woli próbował pozbawić go istnienia.

-- Po co tu przyjechałeś? -- spytał.

-- Przyjechałem, bo wszystko wiem. Wiem o Harrym Lopezie. Wiem o całej tej szaradzie. Cholera, próbowałem nawet go zabić. -- W jego głosie zabrzmiała groźba, lecz Jack się nie spłoszył.

-- A więc nie żyje?

-- Niestety żyje -- odparł Edwin i oszacował w umyśle odległość dzielącą dłoń Jacka z whisky od cyngla strzelby, i porównał ją z czasem, jaki by mu zajęło padnięcie na ziemię, następnie wyrwanie broni Jackowi, wystrzelenie serii, przeturlanie się na prawo przez ramię i może nawet rzucenie kilku zwięzłych słów pożegnania, kiedy jednocześnie ładowałby kulę za kulą w potężny tors mężczyzny. -- Pewnie słyszałeś -- podjął -- że Harry zrezygnował z całej tej szopki z udawaniem "mistrza oświecenia"

i wyrzekł się swej boskości. I dobrze, bo nigdy nie był dobry w tej roli. Nie należał na najwybitniejszych artystów scen.

-- Zgadza się -- przytaknął Jack z cichym, zduszonym śmiechem. -- Żaden z niego Laurence Olivier, jasna sprawa. Słyszałeś, jak naśladuje szkocki akcent?

-- Nie, ale zaszczylił mnie -- czy też raczej zaatakował -- swoją wersją irlandzkiego.

-- Nie ma żadnej różnicy. Po prostu zamiast "Na niebios" mówi "Boże wszechmogący". Dobry dzieciak. Miły. Ale nie najbystrzejszy.

-- Jack, twoja książka. W zeszłym tygodniu sprzedaż doszła do sześćdziesięciu pięciu milionów egzemplarzy. Nie licząc adaptacji, wypisów czy wydawnictw audio.

Sześćdziesiąt pięć milionów, Jack. I ciągle rośnie. Nigdy w życiu nie widzieliśmy czegoś podobnego. To wydarzenie bez precedensu. Kiedy twoja książka zaczęła się sprzedawać, pomyślałem: Hej, być może mamy drugą Niebiańską przepowiednię. Ale twój sukces przekroczył wszelkie wyobrażenia.

Jack wybuchnął śmiechem szorstkim jak płótno -- i to przedzierane na pół.

-- A, tak. Niebiańska przepowiednia. Idiotyczny pomysł na mądrą książkę.

-- Jack, posłuchaj. -- Edwin zrobił jeszcze jeden krok do przodu. Miał wrażenie, że utknął w śmiertelnej zabawie w "Mamo, mamo, ile kroków do domu?". Czy mogę zrobić malutki

krocze do przodu? Zapomniałeś powiedzieć "mamo".

-- Stój -- powiedział Jack, kładąc lewą dłoń na strzelbie i jednocześnie jednym płynnym ruchem wychylając do dna szklaneczkę whisky. -- Jestem oburęczny -- wyjaśnił. -- Co się niekiedy przydaje.

-- Jack, możesz mi zaufać, jestem twoim redaktorem. Relacje autor-redaktor powinny się opierać na obopólnym zaufaniu.

-- Jesteś głupim skurwysynem, który chciał sprzedać moją książkę pod tytułem Czekoladki dla duszy czy jakoś tak.

-- No tak, to rzeczywiście był mój pomysł, ale przyznaję się do błędu. Zrozumiałem, że błędę i wydaliśmy twój maszynopis w niezmienionej postaci. Zgodnie z twoją prośbą nie poprawiliśmy ani słowa, nie usunęliśmy ani jednego przecinka.

Uszanowałem twoją wolę, Jack, a dlaczego? Bo jestem człowiekiem honoru.

-- Gównu prawda. Zrobiłeś to, bo musiałeś, bo w swej bezdennej głupocie usunąłeś z umowy zapis, który nadawał wszelkie prawa wydawcy. Mało nie pękłem ze śmiechu, kiedy to zobaczyłem. Większego idioty ze świecą szukać. Co za debilizm!

Na twarzy Edwina pojawił się grymas, który można by mylnie uznać za uśmiech.

-- Niewątpliwie wygrałeś. Zgadza się, jestem idiotą. Ale chciałem cię o coś spytać...

(Niemalże dodał "Zanim cię zabiję"). -- Jak to zrobiłeś? Jak wpadłeś na ten doskonały przepis? Wszystko się sprawdziło. Wszystko. Ćwiczenia na zwiększenie poczucia wartości. Plan chudnięcia. Techniki służące rzuceniu palenia. Nawet Li Bok. Jak ty to zrobiłeś, Jack? Muszę to wiedzieć.

-- Li Bok? -- Jack zakrztusił się dymem z papierosa i wypluł ogromną ilość flegmy. -- No cóż -- zarzęził. -- Li Bok to skrót od Lila Bauchenmier. To dziwka, którą po wojnie poznałem w Luizjanie. Lila znała różne sztuczki, ale ta, którą opisałem w książce, była najlepsza. Taki jej numer popisowy. Te dwanaście dolców, jakie na nią wydałem, to moja najlepsza inwestycja. Kurde, to było chyba z pięćdziesiąt lat temu, może nawet więcej. Teraz Lila mieszka w domu opieki na Florydzie. Wyszła za męża, ma dzieci i wnuki. Przez lata mieszkała na przedmieściach. Ciągle jeszcze przysyła mi pocztówki, ale już zaczyna mącić jej się w głowie. Alzheimer. A może po prostu starość. W każdym razie kiedy pisałem tę książkę, doszedłem do wniosku, że powinienem dorzucić kilka "przełomowych technik seksualnych", a numery Lily zawsze sprawdzały się najlepiej.

Nazwałem tę technikę "Li Bok", żeby nadać jej egzotyczne brzmienie. Wiesz, cechy mistycznego, orientalnego tantryzmu.

-- A ten fragment o Li Bok dla homoseksualistów?

Jack wzruszył ramionami.

-- Każdy chciałby wierzyć, że należy do takiej czy innej subkultury, ale kiedy w grę wchodzi nasze ciała i umysły, wszyscy jesteśmy skonstruowani mniej więcej tak samo.

Podobieństwa przeważają nad różnicami, mały. To były zwykłe domysły.

Wrzucił niedopałek do patelni leżącej w zlewie. Kiedy pet wpadł do wody, Edwin usłyszał ciche syczenie. Gdy jego wzrok już się przyzwyczaił do mroku, Edwin zaczął wyraźniej widzieć rysy twarzy Jacka. Przybliżając się do niego coraz bardziej, ostrożnie, krocze po krocze, dostrzegł siateczkę popękanych naczynek krwionośnych na twarzy starca -- świadectwo ciężkiego pijaństwa i jeszcze cięższego życia.

Jack McCreary omiół wzrokiem pudła i resztę swego dobytku i powiedział z chrapliwym westchnięciem:

-- Kto by pomyślał, że w tak małej przyczepie zmieści się tyle rupieci?

Na ścianach pozostały jaśniejsze kwadraty po obrazach, które teraz leżały spakowane w

pułdach. Jack wziął do ręki plik luźnych kartek, które wyglądały na wycinki z gazet (w rzeczywistości były to kartki wycięte nożykiem z rzadkich książek) i cisnął je do tekturowego kartonu.

-- Czterdzieści parę lat -- powiedział. -- Kiedy się tu wprowadziłem, cały kemping był zapchany. Przyczepy stały w szeregach w pruskim porządku, lśniąca na słońcu jeszcze sprzed dziury w warstwie ozonowej. Stanowiły szczyt nowoczesności -- na równi z gotowymi obiadami do podgrzania w mikrofalówce i kosmicznym wyścigiem sputników. Oczywiście Paradise Flats już wtedy było sennym, dosłownie narkoleptycznym zaściankiem, ale nawet mi do głowy nie przyszło, że aż tak podupadnie. Co roku sobie myślę, cholera, to miasto chyba nie może skurczyć się jeszcze bardziej, a jednak maleje z każdym rokiem. Zupełnie jakbym patrzył na rozkładającego się trupa.

-- Urodziłeś się tu?

Jack kiwnął głową.

-- Tak jest. Poród odebrała fińska położna w gwiazdzistą noc, gdy na niebo wzeszedł półksiężyc. Przynajmniej tak to zapamiętała moja matka. Przez parę lat mieszkałem w Silver City. Służyłem w marynarce, a potem we flocie handlowej. Przez jakiś czas studiowałem na uniwersytecie w Phoenix -- dopóki się nie kapnęli, że jestem żołnierzem służby czynnej. Potem rozkręciłem mały interes w Belgii.

-- Czarny rynek -- powiedział Edwin.

-- Słyszałeś?

Edwin kiwnął głową.

-- No i moja kariera naukowa wzięła w łeb. Szkoda, bo w college'u mi się podobało.

Lubiłem książki. Lubiłem różne idee. Obracałem je sobie w głowie, przyglądałem im się z najróżniejszych stron. Uczyłem się fizyki, księgowości, literatury, filozofii, wszystkiego. Zapisywałem się na każdy kurs, który mnie zainteresował.

-- I wylądowałeś tutaj -- powiedział Edwin. -- W tej dziurze zabitej dechami.

Dlaczego? Jak do tego doszło?

-- Niech cię nie zwiodą skromne warunki mojej pustelni. Robiłem w życiu tyle rzeczy, że można by nimi obdzielić z tuzin ludzi. Byłem w Bangkoku i Guayaquil. Na antypodach pobito mnie prawie na śmierć. Piłem z królami i klaunami, oszustami i królowymi piękności. Pieprzyłem się w każdej strefie czasowej i niemal na wszystkich kontynentach. Na ciele mam blizny, których pochodzenia nawet nie pamiętam.

Upijałem się do nieprzytomności w slumsach i na ciepłych tropikalnych plażach.

Jeździłem autostopem i pożyczalem sobie żony innych mężczyzn. Okrążyłem ziemię więcej razy niż Magellan. Ale Paradise Flats zawsze było moim domem i zawsze tu wracałem. -- Rozejrzył się po swej mrocznej dusznej celi i dodał: -- Zawsze tu wracałem.

Jak więzień na przepustce.

Edwin zdążył już chyłkiem podejść do kuchennego blatu, a nawet -- niby to od niechcenia -- przesunąć strzelbę Jacka. Usiadł, opuścił rękę wzdłuż nogi i leciutko, kontrolnym gestem, pociągnął za taśmę. Czuł kolbę pistoletu, gładką i kuszącą.

-- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jak ci się to udało? W jaki sposób opracowałeś receptę na szczęście?

Domyślam się, że nie dokonałeś tego na żadnej górze w Tybecie.

Jack się roześmiał.

-- Tak twierdziłem? W Tybecie? Wydawało mi się, że mówiłem: w Nepalu. Zresztą to nie ma żadnego znaczenia.

Edwin wychylił się do przodu i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu: -- Kiedyś

podejrzewałem, że stworzyłeś skomplikowany program komputerowy.

Albo że jesteś złym geniuszem, który dokonał aktu zbiorowej hipnozy, Rasputinem poradcików. Która z tych wersji jest prawdziwa?

-- Twój drink -- powiedział Jack. -- Byłbym zapomniał.

Wyłowił ze zlewu szklaneczkę nieco czystsza od pozostałych, wytarł jej brzeg podkoszulkiem i nalał do niej whisky. Edwin się nie zawahał. Złapał szklaneczkę i wypił alkohol do dna, przełknął go z trudem, tłumiąc niemęski dreszcz.

-- Dobrze -- zapiszczał szalenie męskim głosem.

-- Mój stary był farmerem -- powiedział Jack. -- Pochodził z St. Kilda na Hebrydach Zewnętrznych. To upiorne granitowe wyspy na końcu świata. W historii ich mieszkańców przewija się tylko pięć nazwisk, a moje jest jednym z nich. Od lat dwudziestych nikt już tam nie mieszka. Zostało tylko kilka domów z kamienia, cmentarz i niezliczone bezimienne groby. Mój stary przybył do Nowego Świata, szukając lepszego życia. Przyjechał z garstką innych, na statku pełnym McGrearych.

Zatrudniono ich w kopalniach węgla na wyspie Cape Breton. Ojciec wędrował po wybrzeżu w poszukiwaniu pracy szlakiem pokładów węgla, harował za dach nad głową i w końcu wylądował tutaj, gdzie najął się w kopalni soli, niezłe przejście. Od czarnego węgla do kopalni soli. Biedny stary. Węgiel wchodzi pod paznokcie, ale sól wżera się w skórę. "Pocimy się solą -- mawiał często. -- Nigdy o tym nie zapominaj". Jak twierdził, sól jest czymś pierwotnym. Zakochał się w mojej matce i osiedli tutaj.

Pracowali ciężko i tak dożyli swego marnego i nieciekawego żywota. Pochowano ich na cmentarzu we wschodniej części miasteczka. Obok siebie. Kiedyś ich mogiły znajdowały się w cieniu, ale parę lat temu choroba naczyń wiązu wytrzebiła całe kępy drzew i teraz nagrobki moich rodziców są wystawione na słońce, bez żadnej osłony. Wielka szkoda, bo oboje pochodzili z chłodniejszego klimatu. Wiesz, moja matka była Skandynawką. Kiedyś opowiadała mi o śniegu, o jego miękkości, smaku, o tym, jak się topi w dłoni. Biały i czysty. Pierwotny. "Jak sól?" -- pytałem. A ona odpowiadała ostrym tonem: "Nie, nie jak sól. W ogóle nie jak sól".

Jack wyjął następnego papierosa, oderwał filtr i zaczął szukać zapalek. Już miał zapalić ogień na kuchence, kiedy Edwin podsunął mu podróbkę zapalniczki Zippo. Jack bez słowa czy kiwnięcia głową przyjął ogień. We wnętrzu jego przyczepy było aż siwo od dymu, który osiadał na warstwach lakieru, tworząc patynę zapachów i tłustą warstewkę.

-- Paradise Flats -- powiedział Jack. -- Zniszczone i podupadłe. Mój stary zatrudnił się na stacjach rozrządowych, dochrapał się stanowiska brygadzysty i od razu zaczął budować swój wymarzony dom. Miał być wspaniały. Strzelisty, z okiennicami, krętymi schodami i biblioteką w każdym pokoju. Potem jednak na północy pojawił się Wielki Boom Potasowy, nastąpiły wielkie zmiany w gospodarce i linię Berton zamknięto w jej najlepszym okresie. Kolej przeniesiono na wschód, za wzgórze, ku wybrzeżu, i mój ojciec stracił wszystko. Pracę. Dom. Wszystko. Ledwo zdążył postawić fundamenty pod dom. Na tym zatrzymały się jego marzenia: na dziurze w ziemi zarośniętej chwastami i dzikimi kwiatami. Po śmierci matki zabierał mnie tam i pokazywał, gdzie miały się znajdować schody, weranda. Dźgał palcem powietrze i opowiadał o nieistniejących rzeczach, jakby istniały naprawdę. Głupi ten mój ojciec... A teraz ty tu przyjeżdżasz i pytasz, skąd się wzięła ta książka. Wzięła się z Paradise Flats. Stąd. -- Jack położył obie dłonie na wydatnym brzuchu. -- Z samego brzucha. Z każdej przeczytanej książki, z każdego rozlanego drinka, z każdej przegranej bójki, z każdego zadanego ciosu.

Wszyscy stanowimy zbiór odnośników. Wszystkie kobiety, jakie uwiodłem. Każde wypowiedziane kłamstwo. Każdy grzech. Każdy triumf. Każde małe zwycięstwo i każda wielka porażka. To wszystko w nas istnieje, a kiedy umieramy, zabieramy ze sobą bardzo wiele. A tak

przy okazji, to Walt Whitman. "Mieści się w nas tak wiele".

-- Wiem -- powiedział Edwin, prawie szeptem. -- Whitman. "Czy przeczy samemu sobie? A więc dobrze, przeczy sobie. Jestem ogromny, mieści się we mnie tak wiele".

-- Chcesz poznać mój sekret? Nie ma żadnego sekretu. Po prostu usiadłem i ją napisałem. Za jednym zamachem, nie wprowadzając poprawek ani nawet nie sprawdzając tego, co napisałem. Doszedłem do wniosku, że największe pieniądze można zrobić na poradnikach. Chcesz wiedzieć, dlaczego napisałem tę książkę? Dla pieniędzy, to jasne jak słońce.

-- Ale dlaczego nie zainwestowałeś w weksle krótkoterminowe, a potem nie obracałeś nimi między strefami czasowymi?

-- A to rzeczywiście coś daje? -- zdziwił się Jack.

-- Miliony, Jack. Ludzie zarobili na tym grube miliony.

-- A niech mnie. Cholera, niedawno w kolejce w banku, czekając na wypłatę zasiłku, zacząłem czytać ulotkę na temat rządowych przepisów bankowych. Luki prawne aż rzucały się w oczy. Każdy by to dostrzegł.

-- Ale, ale informacje, jakie zawarłeś w Czego dowiedziałem się na górze... Spora ich część to po prostu przetrawiona treść poradników, ale wydźwięk twojej książki jest zupełnie inny. Jack, napisanie tej książki wymagało rozległej wiedzy. Wieloletnich badań i analizy ludzkiej psychiki. Podejrzywałem nawet, że napisano ją pod pseudonimem, a jej autorem jest grupa autorów.

-- Może napisał ją Francis Bacon -- powiedział Jack.

-- A może UFO. Albo anioły. Panderic wydaje dużo takiego syfu. Może to anioły napisały tę książkę. Grupa aniołów. Na pokładzie UFO. Sztywne jakby połknęły różdżki radiestezyjne.

-- Ja nie zajmuję się redagowaniem książek o UFO -- rzucił cierpko Edwin. -- Ja redaguję poradniki.

-- Ta sama cholera. Nie. To nie była grupa autorów, synku, tylko ja sam, tu, w tej przyczepie. Pojechałem do Silver City i zaopatrzyłem się w poradniki. Nakupowałem ich całe mnóstwo i przez następne parę tygodni przedzierałem się przez wzmocnienia i wnioski, afirmacje i uzasadnienia, przez całą tę emocjonalną masturbację. "To nie twoja wina". "Pokochaj samego siebie". "Jesteś wyjątkowy i niepowtarzalny -- jak każdy".

Zgrzytałem zębami i przewracałem oczami tak często, że byś mnie wziął za epileptyka. Nigdy w życiu nie czytałem gorszych książek. Mówię ci, to cud, że cały przemysł poradników nie przerodził się w autoparodię. W każdym razie przetrawiłem ich tyle, ile mogłem, a potem usiadłem i wałęsałem własną wersję. Czego nie wiedziałem, to zmyśliłem. Zajęło mi to kilka dni. Góra tydzień. Jak już mówiłem, nie zawracałem sobie głowy poprawkami. Wiedziałem, że się sprzeda, na tym polegał cały dowcip. Dawałem ludziom to, co chcieli usłyszeć, na co czekali tak długo, w postaci jednotomowej porcji.

Został mi jeszcze stos papieru. Kupiłem go hurtem w Phoenix, dwa tysiące kartek za pół ceny. Zapadło milczenie. Długie, długie milczenie.

-- I to wszystko? -- spytał z niedowierzaniem Edwin. -- Po prostu usiadłeś i ją napisałeś?

-- Tak jest. Nie miałem żadnego zarysu ani nic. Po prostu pisałem, aż mnie rozboleła nadgarstki i głowa i wtedy skończyłem.

-- I wtedy skończyłeś... -- Edwin miał pewne problemy z przetrawieniem tej informacji. (Jeżeli informacje w ogóle można "przetrawić"). Nie tego się spodziewał.

Zamiast Lexa Luthora, największego wroga Supermana, ukrytego w swej bandyckiej melinie, spotkał rozmamłanego pisarza, który nieustannie chlał whisky i "dla pieniędzy" wystukał na maszynie opasłą książkę.

-- Ale to jeszcze nie wszystko. -- Na twarzy Jacka niespodziewanie pojawił się szeroki

uśmiech. -- Nie wysłałem jej hurtem do innych wydawnictw. Trafiłem za pierwszym razem. Nie było mnie stać na kilka przesyłek. Po kupieniu wszystkich tych poradników ledwo mi starczyło na znaczek.

-- Dlaczego wysłałeś ją do nas? Dlaczego właśnie Panderic?

-- Dlatego, że wydaliście pana Etykę i doszedłem do wniosku, że skoro przepuściliście takie gówno, to u was przejdzie wszystko. Uznałem, że wasze standardy są niższe niż gdziekolwiek indziej.

-- Tak przy okazji, to właśnie pan Etyka stał przed twoim domem. Przyjechaliśmy tu razem. Miał mnie osłaniać.

-- Naprawdę? Pan Etyka? Ten, który machał książką?

-- Nie, ten drugi. Ten, który odjechał i zostawił mnie na pastwę losu.

Twarz Jacka się rozjaśniła.

-- Bez jaj? To cudownie. Cholera. Jego też sobie upatrzyłem. Powinienem był go z miejsca stuknąć, oddałbym literaturze wielką przysługę. Język angielski by mi za to podziękował. Styl tego faceta jest straszny, a tematyka jego książek? Odgrzewane podstawy etyki z elementami psychologii naiwnej i narcyzmu. Etyka? Ha! Ten facet to degenerat. Arystoteles pewnie przewraca się w grobie.

Wiesz, mały, w etyce nie chodzi o odróżnianie dobra od zła, tylko o wybór między szarością i szarością. Między dwoma równie pociągającymi, lecz wzajemnie się wykluczającymi sposobami postępowania. Wolność czy bezpieczeństwo? Odwaga czy wygoda? Samokontrola czy błogie szczęście? Kolumna A czy Kolumna B? Pan Etyka, ja chromolę. Szkoda, że go nie zastrzeliłem.

Jack znowu nalał whisky i zaproponował, żeby się stuknęli szklaneczkami.

-- Za słowo pisane! -- powiedział, wznosząc kieliszek. -- Za postaci, które istnieją tylko na zadrukowanej stronie. Za postaci, które istnieją tylko w książkach i nawet sobie nie zdają z tego sprawy, a jednak żyją, oddychają i żałują, kiedy czas umierać.

-- Za nas -- powiedział Edwin, zdezorientowany i nieco przygnębiony.

-- Za nas -- powtórzył Jack. -- No, Eddie, musisz mi powiedzieć: to przez te stokrotki, co?

-- Stokrotki?

-- To one zwróciły twoją uwagę. Dzięki nim ocaliłeś mój maszynopis ze sterty odpadów. Stokrotki, prawda?

-- Skąd. Wcale nie stokrotki. Były koszmarnie. Przesłodzone. Prawdę mówiąc, Jack, to wyrzuciłem twój maszynopis. Nawet go nie przejrzałem. Dopiero później...

-- Oczywiście, że mam rację. -- Jack najwyraźniej mu nie uwierzył. -- To te stokrotki.

Wiedziałem. Najlepiej wydane siedemdziesiąt centów w moim życiu.

-- Ale... Jack, cholera jasna. Na ośmiu i pół stronach dokonałeś dekonstrukcji teorii Keynesa. Nie dałbyś rady za jednym posiedzeniem. Dzwonili do mnie spanikowani profesorowie i rządowi decydenci, którzy twierdzili, że podważyłeś wszystko, w co wierzyli.

-- Ach, to. Daj spokój, keynesowska teoria gospodarki interwencyjnej przeczy sama sobie. Widać to gołym okiem. Rynek działa pomimo jej zasad, a nie dzięki nim.

Myślałem, że to oczywiste.

-- Studiowałeś teorie ekonomiczne?

-- A po co? To tak jakby studiować karty tarota. Ekonomia to nie nauka -- zwykle wudu i pobożne życzenia w przebraniu polityki. Król jest nagi, mały. Nawet nie ma ciała. To ułuda. Dekonstrukcja współczesnej teorii Keynesa jest mniej więcej tak trudna jak dekonstrukcja bajki. Jak odświeżenie prawdy, że "świnie zazwyczaj nie mieszkają w domach -- z cegły, drewna czy słomy". Nie zamierzałem pisać rozprawy na temat teorii ekonomicznych, w końcu to miał być

poradnik, ale kiedy doszedłem do połowy, zobaczyłem w telewizji pewien film dokumentalny. Oglądałem go jednym okiem, jednocześnie pisząc. Było to coś o Johnie Maynardzie Keynesie. Stary pierdoła, co on tam wiedział? W życiu nie słyszałem takich bredni. Więc pod wpływem impulsu strzeliłem też parę stron o Keynesie, zwracając uwagę na wady i sprzeczności jego teorii.

-- Dokonałeś dekonstrukcji Johna Maynarda Keynesa po obejrzeniu filmu dokumentalnego w telewizji? -- Niedowierzenie Edwina szybko ustępowało miejsca przerażeniu.

-- Nie całkiem. Sygnał zaczął zanikać i nie zobaczyłem końcówki. Tutaj nie mamy kablówki, musiałem zrobić antenę z wieszaka, więc ciągle mam zakłócenia w odbiorze.

Odbieram tylko PBS i kilka lokalnych stacji z Silver City.

-- Dokonałeś dekonstrukcji Johna Maynarda Keynesa po obejrzeniu fragmentu filmu dokumentalnego na PBS?

-- Tak jest. Nalać ci jeszcze whisky?

Edwin tępo pokiwał głową.

-- Tak -- powiedział. -- Chyba tak. Myślę, że przyda mi się jeszcze jeden głębszy. -- Drinka, którego dostał, wypił jednym haustem, tak jak poprzedniego, aż poczuł w kończynach zapowiedź zbliżającego się stanu upojenia. Spytał błagalnym tonem: -- Ale, Jack, siedem praw pieniądza. Czytałem to w college'u. Kilka razy, robiłem notatki, analizowałem podstawowe twierdzenia, porównywałem i zestawiałem z innymi teoriami. Ty chyba nie...

-- Siedem praw pieniądza"? A, tak. Czytałem to kiedyś na sraczu. Właściwie przekartkowałem. Te głupie mistyczne wnioski są do kitu, ale podstawowe przesłanki mają sens. Tak więc dorzuciłem jeszcze i to, jak kolejną bryłę błota. Dlaczego pytasz?

-- Myślę -- powiedział Edwin, przelękając whisky i ocierając usta wierzchem dłoni -- myślę... -- Już nie mógł zebrać myśli. Dosłownie wypacał z siebie whisky, która ciekła z jego porów, jego zmysły w niej tonęły. -- Myślę, że usłyszałem już dosyć. Panie Greary, jesteś pan krętacz i oszust, nie lepszy od Stalina. Pańska książka wyrządziła niewypowiedzianą krzywdę osobom, a właściwie osobie, którą kocham. Zabrał pan smutek z oczu mojej przyjaciółki. I musi pan za to zapłacić! -- Pochylił się raptownie, na oślep sięgając po pistolet przytroczony do łydki, ale od tego gwałtownego ruchu stracił

równowagę i poleciał, głową do przodu, na blat, a potem na podłogę. Cholerny złamany kciuk, bez niego Edwin utracił całą zwinność. Zaczął się szarpać z taśmą -- kto by przypuszczał, że będzie tak mocno trzymać? -- kiedy poczuł na skroni coś zimnego. Była to (oczywiście) lufa strzelby Jacka.

-- Coś ci doradzę -- powiedział Jack. -- Lepiej to sobie zanotuj: kiedy się na kogoś zasadzasz, najpierw strzelaj i dopiero potem pij. Jak odwrócisz kolejność, nieuchronnie dasz ciała.

-- Starsky'emu i Hatchowi coś takiego na pewno nigdy się nie przytrafiło -- zauważył z goryczą Edwin.

-- Pozostań przy redagowaniu książek -- powiedział Jack. -- Brawurę zostaw innym. Odsunął lufę od jego głowy, sprawdził, czy Edwin nie ma w zanadrzu innych niespodzianek, i kazał mu usiąść i wypić jeszcze jednego drinka.

-- Bez urazy -- powiedział. -- Przez wszystkie te lata usiłowało mnie zabić tyle osób, że już straciłem rachubę.

Edwin, ponury i z jądrami skurczonymi ze wstydu, milczał. W naburmuszonym milczeniu gapił się na blat.

-- Dlaczego chcesz zastrzelić takiego bezbronnego staruszka jak ja? -- spytał Jack. --

Mam siedemdziesiąt osiem lat, mieszkam sam w przyczepie na odludziu. Dlaczego tak ci na tym zależy?

-- Dlatego -- wychrypiał Edwin -- że jesteś mordercą. To, co zrobiłeś, to, co zrobiła twoja książka, jest zbrodnią. I to na skalę masową.

-- Naprawdę? Jak do tego doszedłeś?

Edwin podniósł głowę i z kamienną twarzą spojrzął Jackowi prosto w oczy.

-- Czym jesteśmy, Jack? Kim jesteśmy? Nie jesteśmy tylko ciałami. Ani tym, co posiadamy, naszymi pieniędzmi czy statusem społecznym. Określa nas nasza osobowość.

Nasze słabości, dziwactwa, frustracje i fobie: odejmij to wszystko i co ci zostanie?

Nic. Szczęśliwe, bezmyślne, puste skorupy. Oczy i twarze bez wyrazu. Wszędzie je widzę. Ta zaraza jeszcze nie dotarła do Paradise Flats, ale możesz być pewien, że dotrze.

I co wtedy? Dokąd uciekniesz przez szczęściem™, kiedy dopadnie Paradise Flats?

Wkrótce wszyscy będą mówili to samo, tak samo się uśmiechali i myśleli.

Indywidualizm staje się cechą coraz rzadszą. Ludzie znikają. A wszystko przez ciebie, Jack. Jesteś zbrodniarzem.

Zanim Jack odpowiedział, zapadło długie lodowate milczenie.

-- Nie jestem zbrodniarzem. Po prostu udało mi się to, czego nie osiągnęli Thomas More, Platon, święty Augustyn, Charles Fourier, Karol Marks i, jak mu tam, Huxley.

Stworzyłem nie utopię, nie jakiś wymyślony świat, nieistniejący z samej definicji, lecz eutopic. Przez "eu" jak w "euforii", co w grece oznacza "dobry". Eutopia: tu i teraz.

Nie możesz zaprzeczyć, że po tym, co zrobiłem, świat jest o wiele przyjemniejszy.

-- Przyjemniejszy, ale nie lepszy. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Teraz, kiedy cię poznałem i zobaczyłem, jaki jesteś naprawdę, nie ma znaczenia, czy cię zabiję, czy nie.

Twoje dni i tak są policzone. Ty, ze swoimi palcami pośliskowymi od nikotyny, oddechem śmierdzącym whisky i rozpaczliwie złymi manierami. Jack, jesteś anachroniczny.

W Porządku Nowego Świata, który właśnie wkracza, nie ma dla ciebie miejsca.

W cudownej, nowej, uniwersalnej Religii Szczęścia™ jesteś heretykiem. Ty do niej nie pasujesz.

-- Ha. Tylko na tyle cię stać? To największa obelga, jaką możesz mi cisnąć prosto w twarz? Mały, ja już jestem anachroniczny. Jeśli zaś chodzi o to, co się stanie z całą waszą resztą, nic mnie to nie obchodzi. Równie to olewam. Kiedy odejdę, wszystko przestanie się liczyć. Kiedy odejdę, odejdzie ze mną cały świat. Nieważne, czy przyszłość jest ponura, gorzka czy mlekiem i miodem płynąca. Kiedy umrę, wszystko umrze razem ze mną. To, co się wydarzy potem, nie ma najmniejszego znaczenia.

-- Nie wciskaj mi tych solipsystycznych bzdetów!

-- Solipsyzm -- powtórzył Jack z odpowiednią dozą podziwu. -- Słuszna uwaga.

Znasz się na rzeczy.

-- Oczywiście, że się znam! -- ryknął Edwin, zrywając się na nogi i rozkładając ręce. -- Jestem redaktorem! Ja się znam na wszystkim! Głowę mam tak pełną beużytecznych informacji, że w nocy nie mogę spać. Myśli mi wirują i wirują. Nemo saltat sobrius, Jack!

Nemo saltat sobrius.

-- James Boswell. Trzeźwi nie tańczą.

-- Właśnie! Świat traci swych pijanych tancerzy. Och, mamy przytulanki i wspólne śpiewy przy ognisku, ale dziki pijany taniec życia już się kończy. A to wszystko twoja wina.

-- Nie. -- W głosie Jacka po raz pierwszy zabrzmiał gniew.

-- To nie moja wina. Dałem ludziom to, czego chcieli: nie wolność, wraz z jej ciężarem odpowiedzialności, lecz poczucie bezpieczeństwa. Brak konieczności myślenia. Zabezpieczenie

przed samym sobą. Wiem, czego chcą ludzie: chcą być nie wolni, tylko szczęśliwi. A te dwie rzeczy często wykluczają się nawzajem. Chciałbym ci coś pokazać. Przyciągnął na wpeł pełne pudło, pogrzebał w nim i wyjął zdjęcie w ramce. Ukazywało młodego mężczyznę (rok mniej więcej 1973) z komicznymi bakami i w koszuli z poliestru. Patrzył w obiektyw z nieskrywaną wrogością.

-- To mój syn Allan, z pierwszego małżeństwa. Jego matka odeszła ode mnie, kiedy miał dwanaście lat, i wyjechała z nim do Silver City, a potem do Phoenix. Dorastał na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Pytasz, skąd miałem pewność, że moja książka będzie się dobrze sprzedawać? Dzięki Allanowi. Przerobił psychodeliczne narkotyki, medytacje transcendentale i analizę transakcyjną. Każdy trend w popkulturze, każdą głupią hedonistyczną modę. I po co to wszystko? Wylądował

w Cleveland, w firmie ubezpieczeniowej, która karmiła się ludzkim strachem przed śmiercią i tym, co następuje po niej, i chodził od terapeuty do terapeuty. Allan nie jest żadnym dziwakiem, to prawdziwy przewodnik stada. Cholera, poddawał się nawet hipnozie regresyjnej. Okazało się, że w poprzednim wcieleniu był królem -- cóż za niespodzianka. Nikt nigdy nie odkrywa, że był niepiśmiennym wieśniakiem, który zmarł na świerzb i został pochowany na bagnach. O nie. Wszyscy jesteśmy wyjątkowi, jeżeli nie w tym życiu, to w innym. Mój Allan cierpiał na każde schorzenie znane człowiekowi. Jeden terapeuta zdiagnozował u niego zespół przewlekłego zmęczenia, a inny zaburzenia koncentracji u dorosłych. Trochę to sprzeczne, co? Podczas hipnozy dowiedział się, że kiedy był mały, wykorzystywałem go; brednie. Gdyby wkrótce potem jego terapeuta się nie skompromitował, Allan mógłby kazać mnie aresztować i wrzucić za kratki. Jednak nadal pielęgnuje w sobie te nieprawdziwe wspomnienia, a kiedyś nawet mi powiedział: "Może i nie są prawdziwe, ale i tak to ty je wywołałeś". Kiedy skończył czterdzieści pięć lat, napisał wyrachowaną Deklarację Niezależności, w której określił mnie jako nieudolnego ojca, i stwierdził, że wreszcie sam sobie pozwala być prawdziwym człowiekiem, bla, bla, bla. Kazałem mu się odpieprzyć i od tamtej pory już go nie widziałem.

-- Ale co to ma wspólnego z...

-- Daj mi skończyć. Chcesz się dowiedzieć, jak powstała ta książka? Powstała dzięki Allanowi. Dzięki mojemu synowi. Parę lat temu jego żona urodziła dziecko. Kiedy poszedłem je zobaczyć, Allan opuścił pokój. "Nie zamierzam przebywać w tym samym pomieszczeniu, co ty" -- powiedział. Potem jednak wrócił i zaczął się skarżyć, że kiedy dorastał, nigdy mnie nie było przy nim, że to przeze mnie się rozwiódł i że wszystkie złe rzeczy, jakie się stały w jego życiu -- te ważne i te mało istotne -- nie są jego winą. A, jak już wspomniałem, Allan nie jest żadnym dziwakiem. Mieści się w głównym nurcie.

Kiedy więc postanowiłem napisać książkę i zarobić kupę pieniędzy, zastanowiłem się: Jaką szmirę kupiłby mój syn? Jaki przekaz zrobiłby na nim wrażenie? Co dotrze do największej liczby odbiorców? Co mi przyniesie największą kasę? W rezultacie powstał

Tupak Soiree i poradnik Czego dowiedziałem się na górze.

Edwina zemdlilo. Nie miał pewności, na ile stało się to za sprawą whisky i upału, a na ile z powodu tego, co usłyszał. Może mdłości wywołała kombinacja tych trzech czynników, niemniej jednak efekt był przytłaczający. Palił go wrzód, a skóra pokryła się gorącym i lepkiem potem.

-- I to wszystko? -- spytał. -- Tak ma wyglądać koniec świata? Nie wielki wybuch, tylko ciepłe, miłe przytulenie?

-- Edwinie, spójrz prawdzie prosto w oczy. Czasy kilerów się skończyły. Nadchodzi Era Miłej Apokalipsy i nic nie możemy na to poradzić. Ja nie spowodowałem tego zjawiska, tylko pomogłem mu zaistnieć. Czego dowiedziałem się na górze było po prostu właściwą książką,

która się pojawiła we właściwym czasie. Nie wyprzedziła swoich czasów, trafiła w samą porę.

-- Zeitgeist -- powiedział Edwin. -- To niemieckie słowo, oznacza...

-- Wiem, co oznacza. Masz rację. Uchwyciłem ducha naszych czasów. Nasz Zeitgeist.

Naszą postreedowską apokalipsę. Nasz powrót do Raju. Naszą ostateczną białą flagę.

-- Reed -- powtórzył Edwin. -- Na odwrocie jednej strony zanotowałeś coś na temat

Olivera Reeda. Straszne bazgrały, pewnie pisałeś po pijaku.

-- Pewnie tak.

Jack zaproponował mu następnego drinka, ale tym razem Edwin odmówił.

-- To może papierosa?

-- Próbuję rzucić palenie. -- Edwin obrócił w dłoni zapalniczkę Zippo, podniósł

wzrok i powiedział: -- Jednego nigdy nie mogłem zrozumieć. Jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Oliver Reed?

-- Nie odgrywa żadnej roli. I właśnie o to chodzi.

Edwin spojrzał na niego z zaintrygowaną miną.

-- Któregoś dnia, kiedy antropologowie ekshumują ducha naszych czasów, kiedy odtworzą nasze błędy, które nam pokrzyżowały szyki, niewątpliwie ustalą datę naszego upadku na 2 maja 1999 roku. Dzień, w którym umarł Oliver Reed.

-- Aktor filmów klasy B. Dlaczego?

-- Och, Oliver Reed był nie tylko aktorem, był ostatnim z kilerów. Od jego czasów wszystko zaczęło lecieć na łeb, na szyję. Za Olliego! -- Jack wznosił szklaneczkę, nie w stronę Edwina, lecz w powietrze, w pustkę. Potem odwrócił się do Edwina i powiedział: -- Wiesz, kiedy umarł, ale czy wiesz, w jaki sposób? Wiesz, gdzie?

Edwin pokręcił głową. Co za różnica?

-- Oliver Reed umarł na Malcie po wygranym konkursie na picie z Brytyjską Marynarką. Wychlał ponad dziesięć piw i ponad dwanaście szklaneczek rumu i siłował

się na rękę z marynarzami z HMS "Cumberland", fregaty królewskiej marynarki wojennej. Stawiał im kolejkę za kolejką, ale nie mogli dotrzymać mu kroku. Poddali się i, pokonani, wytoczyli z knajpy. Oliver Reed umarł w chwale, na podłodze baru na Malcie, a jego pożegnaniem, jego ostatnim prezentem przed odejściem, był rachunek -- naciął marynarzy na ponad siedemset dolarów za libację. W tym sensie on się śmiał

ostatni.

-- Znałeś go? Olivera Reeda?

-- Nie, właściwie nie. Spotkałem go tylko raz. W Manili. Dwaj bramkarze wyrzucili go z burdelu, a ja go odciągnąłem od awantury. Do rana włóczyliśmy się ulicami, śpiewaliśmy, śmialiśmy się i piliśmy, by przegonić mrok. Znałem go tylko tę jedną noc.

Mnie też naciął, na ponad czterdzieści dolicz. Tamtej nocy piliśmy za śmierć. Za Szarego Łowcę. Za Ponurego Żniwiarza. "Za śmierć -- powiedział Ollie. -- Za to, żebyśmy się nie nudzili". Spytałem, czy boi się śmierci, a on odparł "Tak". Po prostu "Tak". Po latach przeczytałem jego idiotyczną biografię, gdzie przytoczono jego słowa: "Nie wierzę, że umieramy, choćby dlatego, że żyjemy dzięki innym, w ich wspomnieniach, w życiu naszych dzieci i wnuków". Był dobrym mężem i ojcem, miał

kilka żon i dzieci, które gorąco kochał. Ale był zbyt wielki -- wiesz? Większy od życia i bał się śmierci. "Lepiej się spalić, niż zgnieć" -- mówił. "Wolę zginąć w knajpianej bójce, niż zdychać w szpitalu na raka". Widzisz, Ollie chwycił życie. Chwycił je za gardło.

Zaczął nim trząść, aż się wykrwawiło. Pewna kobieta, pisarka -- chyba o nazwisku Gilham -- kiedyś powiedziała, że: "Oliver Reed miał melancholijne oczy i melancholijną duszę". Myślę, że miała rację. Po prostu był za duży, za duży jak na ten świat.

Edwin milczał. Nie miał pewności, o kim właściwie teraz rozmawiają, o Oliverze Reedzie czy o Jacku. Wspomnienia o aktorze z innej epoki, który już od dawna nie żył, wypełniły pomieszczenie równie namacalnie i niepostrzeżenie jak dym.

-- Oliver Reed nie żyje -- powiedział Jack. -- A ja sam też nie czuję się zbyt dobrze.

Tamta noc w Manili, tamta noc, kiedy prześcignąłem Olivera Reeda w piciu, szczaniu i śmianiu się... Gdybym mógł raz jeszcze ją przeżyć...

-- Jego szklaneczka była już pusta.

Edwin nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Nie przychodziła mu do głowy żadna riposta. Pozostał widzem, choć parada już go minęła. Parada, a może kondukt pogrzebowy.

-- Nostalgia -- podjął Jack. -- Ostatnie schronienie ludzi skończonych. Tamtej nocy w Manili mieliśmy całe miasto u swych stóp. Ollie, z dziurawymi kieszeniami i dziwnym błyskiem radości w oczach, był jak słoń w dzikim pędzie. Wrzeszczał coś bez ładu i składu. Chciał się bić na pięści z własnym cieniem. Spryskał sobie twarz rumem i oświadczał się latynoskim dziewczętom. Kiedy go odciągnąłem od kolejnej awantury, powiedziałem: "Ollie, nieżył z ciebie zabijaka", a on na to: "Nie, mylisz się! Nie jestem zabijaką. Jestem kilerem. A to ogromna różnica. Z zabijaków wyrastają księża, politycy i reformatorzy społeczni. Oni zawsze wtrącają się w życie innych ludzi. Kilerzy tacy nie są. Szaleją z gniewu i ryczą, świętują własne życie i oplakują jego krótkość. Kilerzy niszczą tylko samych siebie, a robią to dlatego, że kochają życie zbyt mocno, by zasnąć".

-- Jack, wróćmy do twojej książki.

-- Wiedziałeś, że na kutasie wytatuował sobie kogucika? Naprawdę. Albo że kiedyś się pieprzył z dziewczyną na głównym korcie Wimbledonu? Oczywiście po turnieju.

Wiedziałeś, że to on pierwszy powiedział w filmie słowo "kurwa"? Wiedziałeś to?

-- Tak -- odparł Edwin niespodziewanie cichym głosem. -- Wiedziałem.

-- A wiedziałeś, że Oliver Reed poznał tajemnicę życia?

Edwin pokręcił głową.

-- To prawda. Tajemnicę życia. Chcesz ją usłyszeć? -- Edwin nie odpowiadał, lecz Jack perorował dalej, recytując z pamięci: -- Tajemnica życia według Olivera Reeda: "Nie pij. Nie pal. Nie jedz mięsa. I tak umrzesz". No i co ty na to? Myślisz, że taki przyszczaty gołowus jak ty mógłby coś do tego dodać? Trudno o większą szczerłość, nie sądzisz?

Edwin nie mógł nic na to odpowiedzieć i Jack doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nagle dał się słyszeć dźwięk nadjeżdżającego samochodu, coraz głośniejszy i głośniejszy. Skwar w przyczepie stał się nie do zniesienia. Edwin przestraszył się, że zasłabnie albo zemdleje.

-- Twoi przyjaciele -- powiedział Jack, wyglądając przez okno. -- Wrócili.

Edwin kiwnął głową. Wstał, chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Słowa już wcześniej go zawiodły.

-- Czekaj -- powiedział Jack. -- Zanim pójdziesz...

-- Tak? -- Edwin się odwrócił.

-- Masz. -- Wsunął mu w rękę pistolet, który wziął z kuchennego blatu. -- Bierz. Jest twój. Rób, co chcesz, mnie już wszystko jedno. -- Następnie, jak gdyby celowo, odwrócił się do Edwina plecami i zaczął wypełniać papierami kolejne pudło.

Edwin czuł w dłoni ciężar pistoletu. Spojrzał na szerokie, wystawione do strzału plecy Jacka McGreary i pomyślał: "To takie proste. Nikt by za nim nie tęsknił. Minęłoby wiele tygodni, zanim ktoś by się zorientował, że Jack zniknął. Upiekłby się tu jak mumia, jak kawał suszonej wołowiny, jak anachronizm". Podniósł pistolet, wycelował

i szepnął:

-- Bang-bang. Już nie żyjesz.

Następnie opuścił broń i podszedł do drzwi.
Jack się nie odwrócił. Wymamrotał tylko pod nosem: -- Tchórz.

Rozdział pięćdziesiąty

Na zewnątrz, pod rozżarzoną niebem... Pan Etyka zaparkował za przyczepą Jacka, z dala od okna i linii strzału.

-- Edwin! -- krzyknął pan Mead. -- Tutaj! Żyjesz, dzięki Bogu.

-- O tak -- powiedział pan Etyka, kiedy Edwin podszedł do nich. -- Baliśmy się o twoje bezpieczeństwo, prawda, Leon?

-- Baliśmy się. Bardzo.

Edwin zauważył butelki orzeźwiającego napoju w dłoniach obu mężczyzn i spytał: -- Przywieźliście mi chociaż coś zimnego do picia?

-- Oj, przepraszamy. Jakoś nam to nie wpadło do głowy.

-- Tak żeśmy się martwili, że nie mogliśmy myśleć logicznie. Prawda, Bob?

-- Tak, Leon. Zupełnie nam to wyleciało z głowy. Edwin otworzył drzwi samochodu.

-- Nieważne. Jedźmy już, dobrze?

-- Zastrzelełeś go? Kazałeś mu klęknąć? Jak wyglądał? Co powiedział? -- Posypały się pytania.

-- Miał dwa metry wzrostu i był zrobiony ze stali.

-- Zabiłeś go?

-- Nie. Kiedy wszedłem, już nie żył. Chcę stąd jechać.

-- Popieramy -- powiedział pan Etyka. -- Wskakuj z tyłu i ruszamy. -- Odchylił oparcie przedniego fotela.

-- Nie mogę się doczekać, kiedy się wydostaniemy z tej dziury -- powiedział pan Mead. -- Nie ma tu co robić. Nuda. Jak tu można mieszkać?

Edwin zatrzymał się w połowie drogi.

-- Ma pan rację. Absolutną rację. -- Z powrotem wyslizgnął się z samochodu i spojrzał w stronę przyczepy Jacka. -- Ma pan rację.

-- Co robisz? -- spytał pan Mead. -- Wracaj do samochodu, zanim ten psychol wyjdzie i znowu zacznie strzelać.

Wszystkie elementy układanki trafiły na swoje miejsce. Wszystko zaczęło nabierać sensu.

-- Ma pan rację. Absolutną rację -- powtórzył z półśmiechem. -- W Paradise Flats nie ma co robić. -- I z tym słowami skierował się w stronę przyczepy.

-- Co ty, do diabła, wyprawiasz? -- krzyknął pan Mead.

-- Wracam do środka. I tym razem wygram.

Zaczynała się druga runda.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Jack McGreary przesunął kilka pudeł i siedział teraz na fotelu, pijąc prosto z butelki i wachlując się książką na temat metafizyki. Zdezelowany wentylator miał wilgotne powietrze. Szary podkoszulek Jacka pokrywały plamy potu. Kiedy wszedł Edwin, Jack podniósł głowę.

-- Zapomniałeś czegoś? -- spytał. -- Może swoich jaj?

-- Ile?

-- Co "ile"?

-- Ile czasu ci dali?

Wyraz twarzy Jacka lekko się zmienił.

-- Mały, whisky uderzyła ci do głowy. Cholera, nie wiem, o czym mówisz.

-- Lekarze. Ile czasu ci dali?

Jack spojrzał na niego z wielką irytacją. Edwin przyparł go do muru i Jack dobrze o tym wiedział.

-- No?

-- Odpierdol się i daj mi spokój.

-- Rok? Pół roku? Tydzień?

-- Nie słyszałeś? Powiedziałem: "Odpierdol się i daj mi spokój".

Ale Edwin nie ruszył się z miejsca.

-- Ile, Jack?

Jack poprawił pasek od spodni, spojrzał na Edwina z nienawiścią graniczącą z szacunkiem i w końcu powiedział:

-- Kto wie? Lekarze to banda idiotów. Gówno wiedzą. Może tydzień. Może rok.

Kiedy zaatakuje cały organizm, może się skończyć w ciągu kilku dni. Patrzysz na Hioba, mały. Zmagalem się z każdą chorobą, każdą plagą i próbą wiary, jakie Bóg w swym nieskończonym okrucieństwie może na nas zesłać. Ale jakoś trwam. Dlaczego? Pewnie ze zwykłej przekory.

-- Było to półtora roku temu, prawda, Jack? Kiedy się dowiedziałeś. Zaraz potem postanowiłeś napisać książkę, zarobić trochę pieniędzy. Trochę pieniędzy na przyszłość.

Tamta bibliotekarka się myliła. W Silver City nie chodziłeś na dziwki i wódę, robiłeś dokładnie to, o czym mówiłeś: robiłeś sobie badania.

-- Dzwiki i woda? Tak ci powiedziała Rebecca? Ha! W moim wieku powinienem uznać to za komplement.

-- Dźwignął się z fotela na nogi, jak mors, jak król, i powiedział powoli: -- Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Przeprosin? Pokuty?

-- Pieniądze. Co z nimi zrobiłeś? -- Ale już znał odpowiedź.

-- Roztrwoiłem je! -- krzyknął Jack. -- Bezmyślnie przepuściłem! Przejadłem. Już ich nie ma. Ha!

Edwin uśmiechnął się.

-- Nie. Nieprawda. Twoje tantiemy doszły już do stu pięćdziesięciu milionów dolarów. Nie mogłeś wydać wszystkiego -- nie tu, w Paradise Flats, nie w tej dziurze zabitej dechami. Nawet nie kupiłeś sobie nowej furgonetki. Nie, Jack. Nie przepuściłeś tych pieniędzy, skądże. Wiedziałeś, że umierasz, więc je odłożyłeś. Ale dlaczego? -- Podeszedł do stosu pudeł i pokręcił głową.

-- Dziwne. Siedzimy tu ponad godzinę, kłócąc się jak dwaj talmudyści, a nawet mi nie przyszło do głowy, że ty wyjeżdżasz. Pakujesz się. Dokąd się wybierasz, Jack? Do Silver City, prawda? Chcesz tam umrzeć, mam rację, Jack?

-- No, no, no. Ale z ciebie mądrała. Ale jeżeli ci się wydaje, że położysz swoje brudne, szcurze łapy na moich pieniądzech, to wybij to sobie z głowy. -- Rzucił się po broń, ale Edwin go wyprzedził: odsunął strzelbę i ostrożnie położył ją z boku.

-- Dobrze wiem, gdzie są twoje pieniądze, Jack.

Edwin odnalazł pudło ze zdjęciami, przerzucił fotografie Allana w spodniach dzwonach i odszukał fotkę chłopczyka, uśmiechniętego berbecia. Dzieciak miał

rozwiane włosy, szeroki uśmiech i oczy Jacka.

-- Twój wnuk?

Jack obserwował go z rosnącą podejrzliwością.

-- Nie mieszaj w to mojego wnuka.

-- Och -- powiedział Edwin z uśmiechem. -- Obawiam się, że już jest w to wmieszany, nieprawdaż?

-- Jeżeli przyszedłeś tu, żeby obrabować starego człowieka, to źle wybrałeś. Możesz wszystko przetrząsnąć, ale pieniędzy nie znajdziesz. Ani jednego centa. Nie wierzysz?

No to już. Szukaj.

-- Wierzę ci, Jack. Jak już wspomniałem, dobrze wiem, gdzie są twoje pieniądze. Nie tutaj. Nie, na koncie bankowym, prawdopodobnie w Silver City. Sto pięćdziesiąt milionów zarejestrowane na nazwisko -- przypomnij mi, jak się nazywa twój wnuk?

Jack opuścił cały gniew, a z głosu zniknął groźny pomruk.

-- Benjamin. Ma na imię Benjamin. Benjamin Matthew McGreary. Teraz ma sześć lat, to stare zdjęcie.

-- Mądry dzieciak?

-- Jak diabli. Poza tym to nie sto pięćdziesiąt milionów, tylko prawie trzysta. Edwin wzruszył ramionami.

-- Milion wte, milion wewte, co za różnica? -- Usiadł na stołku. -- Chyba jeszcze się napiję.

-- Idź do diabła.

-- Z lodem, jeśli masz. Gorąco tu jak w Hadesie.

Jack zawarczał, podszedł do starej lodówki, odłupał trochę szronu z zamrażalnika (nigdy nie zwracał sobie głowy robieniem kostek) i wrzucił po kawałku do obu szklanek. Następnie rozlał do nich resztkę whisky.

-- No, no -- powiedział Edwin z podziwem. -- Rozpracowaliśmy całą butelkę. Salut! Ale Jack nie podnosił swojej szklaneczki, nie spełnił toastu.

-- Chciałeś zostawić spadek wnukowi. Chciałeś go zaskoczyć już po swojej śmierci. Chciałeś mu zrobić niespodziankę na osiemnaste urodziny...

-- Dwudzieste pierwsze -- poprawił go Jack. -- Nigdy bym nie dał nastolatkowi trzystu milionów dolarów, tak samo jak bym mu nie pożyczył swojej furgonetki.

-- Słusznie, Jack. A jednak chciałeś mu coś zostawić. Chciałeś, żeby powiedział: "Ten stary nie był taki zły". Chciałeś, żeby pamiętał cię długo po twojej śmierci. Żeby o tobie myślał. Chciałeś wykonać ostatni, pośmiertny gest. Trochę to się różni od słów: "Kiedy umrę, umrze cały świat", którymi karmiłeś mnie wcześniej.

-- Trzysta milionów dolarów. Nigdy nie będzie musiał dla nikogo harować. Może jeździć po całym świecie, robić, co chce. Ten mały zawojuje świat.

-- Nie, nie zawojuje, bo już nie będzie co podbijać. Mały Benjamin odziedziczy mnóstwo pieniędzy i niewiele więcej. Nie będzie miał ich na co wydawać i -- co gorsza -- nie przyniosą mu żadnej radości. Wiesz, co z nas uczyniło takich ludzi, jakimi jesteśmy teraz? Wiesz, przez co staliśmy się największym, najpodlejszym, dominującym mocarstwem w historii rasy ludzkiej, zamieszkanym przez palantów, którzy żrą hamburgery i ciągle liczą kalorie? Pogoń za szczęściem. Nie szczęście, tylko pogoń za nim.

-- Słuchaj... -- zaczął Jack, ale Edwin nie był w nastroju do słuchania.

-- Pierwsze zachowane dokumenty? Pierwsze spisane słowa, pierwsze myśli, które uznano za godne odnotowania? Listy zakupów. Listy zakupów i relacje wojenne. One pierwsze zostały odcisnięte na glinianych tabliczkach, wydrapane na papirusie. Kiedy Sumeryjczycy zaczęli przekładać życie na słowa, kiedy po raz pierwszy zaczęli spisywać historię rodzaju ludzkiego, sporządzali listy. Listy rzeczy, własności. To oraz wielkie czyny. Tam się zaczyna

historia: obnoszenie się ze swym bogactwem i bufonada. Pierwszych skrybów, pierwszych ludzi pióra nie proszono o rozwodzenie się na temat poczucia własnej wartości i kontaktowania się z wewnętrznym ja. Oni nie pisali: "Każdy jest wyjątkowy na swój własny sposób". Nie. Wtedy liczyła się śmierć królów i gromadzenie bogactwa. Majątek, duma i epickie marzenia. To z nas czyni ludzi. A cała ta epidemia samopomocy i miłości do siebie, jaką rozpętaliśmy, wydając swoją książkę, podkopała to wszystko. Czego dowiedziałem się na gorze jest zbrodnią przeciwko ludzkości.

-- Dlaczego? Dlatego, że zdała egzamin? Dlatego, że spełniła oczekiwania czytelników? Obiecała dać ludziom szczęście i dotrzymała słowa. Teraz ludzie są szczęśliwi. I już, koniec historii.

-- Nie. Jest gorzej. I to o wiele. Ludzie są nie tylko szczęśliwi, ale i zaspokojeni.

Wiesz, czego jesteśmy świadkami? Końca przygody. Taki spadek chciałeś zostawić?

Koniec przygody?

-- Kiedy Benjamin dostanie te pieniądze, będzie mógł...

-- Zapomnij o pieniądzach! To nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Czy chcesz, żeby twój wnuk dorastał w świecie bez przygód? To chcesz po sobie zostawić? Finis coronat opus, Jack! "Koniec wieńczy dzieło". Ostatnie uczynki człowieka świadczą o celu jego życia. Finis coronat opus! -- Wypluł te ostatnie słowa, jakby głosem boksował powietrze.

Jakby same słowa mogły coś zmienić.

Jack się nie odzywał. Edwin podniósł szklaneczkę i wziął łyd do ust, czując jak od chłodu o smaku whisky drętwieje mu język. Pomyślał o May z ustami bez życia i pustymi oczami. Czekał na odpowiedź Jacka, doskonale wiedząc, że ta chwila zadecyduje o wszystkim.

Odpowiedź długo nie nadchodziła. Jack kołysał szklaneczką z resztką whisky, bez słowa gapiąc się przed siebie. Włączyła się lodówka, kompresor zagrzecgotał w ciszy.

-- Co mam zrobić? -- spytał w końcu. -- Jak odkręcimy to wszystko?

-- Pisz. Napisz drugą książkę. Nie dla pieniędzy, ale z potrzeby serca. Wyjaśnij to nieporozumienie. Nie fantazjuj i nie rób waty cukrowej. Już dosyć kołysanek. Żadnej szczęśliwości. Daj ludziom w łeb. Powiedz czytelnikom, czego naprawdę dowiedziałeś się, przeżywając bezsensowne przygody. Powiedz im o ludzkim szaleństwie. O chaosie, dzikich dziewczętach, skrzydełkach motyla i niewidzialnych posiadłościach zarosłych chwastami. Opowiedz im o kopalniach soli, węglowym pyłu i podzwonnem dla kilerów.

O pieprzeniu, piciu, balowaniu i o tym, że to nie daje żadnej przyjemności. O tym, jak bardzo cię wkurza świadomość, że niedługo umrzesz. Opowiedz im o Oliverze Reedzie.

O Benjaminie. Powiedz im wszystko.

Jack się zawahał, po czym powiedział: -- Ty pisz, ja będę dyktował. Papier leży tam. Maszyna do pisania stoi gdzieś pod tą stertą prania.

Oczywiście mówiąc "pranie", Jack miał na myśli "brudne, śmierdzące ciuchy".

Edwin ostrożnie podniósł krótkie kalesonki i splątane skarpety -- takim ruchem, jak człowiek, który ma do czynienia z toksycznymi odpadami -- strącił na podłogę starożytne kości po steku i usiadł za klawiaturą. Przebiegł palcami po jednej stronie maszyny, a potem po drugiej. Zaskoczony, odwrócił ją bokiem, żeby staranniej jej się przyjrzeć.

-- Jack?

-- Nie ma włącznika, ty pacanie. To mechaniczna maszyna do pisania. Wkładasz papier i piszesz. To supernowoczesne urządzenie, mały. Możesz jej użyć zawsze i wszędzie. Korzystam z niej, kiedy siada prąd. Mogę pisać przy świecach. Nie trzeba baterii.

-- Naprawdę? -- Na Edwinie zrobiło to naprawdę ogromne wrażenie.

Po krótkiej, pełnej zniecierpliwienia lekcji, jak wkładać papier pod wałek -- "Słowa

pojawiają się od razu na papierze!" -- zdumiał się Edwin. "Niesamowite!" -- i przesuwać tabulator po zakończeniu linijki, Jack wstał, skrzyżował ramiona i zaczął głośnym, grzmiącym głosem:

-- Jak być nieszczęśliwym. Tupak Soiree. Edwin wystukał tytuł.

-- Wers pierwszy, strona pierwsza -- powiedział Jack.

-- Platon napisał, że szczęście jest najwyższym celem życia człowieka. Ale Platon był walnięty, bo szczęście to przereklamowana sprawa...

I tak pracowali dalej: Jack dyktował, a Edwin spisywał wszystko na maszynie. Aż do późnej nocy. Na zewnątrz cienie się wydłużyły, słońce zaszło, a na pustyni zaczęło się ochładzać. Bob i Leon zasnęli w samochodzie, obaj nie dość tchórzliwi, by całkowicie opuścić Edwina, ale i nie na tyle odważni, by wtargnąć do przyczepy i go uratować.

(Mieli czuwać na zmianę, ale pan Etyka -- po rozważaniach post hoc na temat wzajemności w kwestii obowiązku moralnego -- postanowił uciąć sobie drzemkę).

Przeżarty solą księżyc rzucał blade światło na ziemię, Paradise Flats spało, po Main Street cicho tańczyły plastikowe torby, Jack dyktował, a Edwin pisał. W końcu Edwina rozbolały kostki, miał skurcze w nadgarstkach, a głos Jacka zaczął przycichać, ale obaj -- nabuzowani wodą ognistą i niepomni na zmęczenie -- tworzyli dalej. Przepracowali całą noc, wypełniając mrok słowami, aż na odległym horyzoncie pojawiły się pierwsze różowe smugi świtu. Pisali dalej. Strona po stronie. Słowo po słowie.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Książka Jak być nieszczęśliwym natychmiast stała się bestsellerem i chociaż liczba sprzedanych egzemplarzy nigdy nie osiągnęła tego pułapu, co Czego dowiedziałem się na gorze, jej wpływ okazał się równie potężny. (Teraz Panderic zastrzegł sobie prawa autorskie i do szczęścia™, i do nieszczęścia™, więc pieniądze nadal płynęły strumieniami). Oczekiwana z wielką niecierpliwością druga część poradnika Tupaka Soiree wywołała ogromne poruszenie. Wielu oskarżało pisarza, którego niegdyś tak kochali, o zdradę ruchu, który sam stworzył. Nałożono na niego fatwę, za jego głowę wyznaczono cenę, której wysokość wywabiła z kryjówek setki pełnych nadziei zamachowców.

Biedny Harry Lopez, teraz obiekt niezliczonych gróźb śmierci, nadal próbował udowodnić swą niewinność. "Jestem tylko aktorem! -- przekonywał. -- Tupak Soiree nie istnieje!". Ale tłum pozostawał głuchy na jego błagania i wciąż skandował: "Heretyk!"

i "Na szubienicę!". Harry w końcu musiał zbiec do kryjówki, gdzie wydał swą ogromną fortunę na kamery monitorujące jego otoczenie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i uzbrojonych (lecz niepiśmiennych) ochroniarzy. Na drugim końcu kraju Zakony Szczęścia™ podzieliły się na walczące ze sobą frakcje. Pojawiły się schizmy, holistyczne komuny padały, zdeptano wiele pól lucerny. Nierzadko dochodziło do bójek na pięści.

Brygada Szczęścia™ starła się z Sojuszem Nieszczęścia™, a w górnym Vermoncie doszło do zamieszek, kiedy podczas wspólnego przytulania jeden wierny w białej szacie zadźgał nożem innego. "Dotknął mojej książki" -- tak się tłumaczył, kiedy powalono go na ziemię.

Pojawiły się T-shirty i nalepki na zderzaki z napisami PLATON BYŁ WALNIĘTY i inne z wręcz przeciwną treścią: PLATON RZĄDZI! Między gangami rozpoczęła się regularna walka na spraye, której wynikiem była epidemia graffiti.

-- Przynajmniej dyskutują o filozofii -- powiedział dość słabym głosem pewien profesor.
-- To już coś.

Gwałtownie wzrosła liczba studentów, a także spożycie alkoholu i narkotyków.

Wielu byłych wyznawców szczęścia™, teraz opuszczonych przez Tupaka Soiree, zaczęło poszukiwać szczęśliwości i spełnienia w magazynach mody, dyskotekach i erotycznych przygodach na jedną noc.

Pan Etyka, któremu po piętach deptało FBI, uciekł do Republiki Dominikany, gdzie napisał Ucieczkę: Podstawy etyki dla poszukiwanych przez policję zbiegów, którzy chcą przeżyć.

Edwin de Valu dostał niewdzięczne zadanie zredagowania tej osobliwie cienkiej książki: zaledwie trzydzieści tysięcy słów z marginesami szerokości pasa startowego i czcionką używaną zwykle w nagłówkach gazet. Pana Etykę zdenerwowały redaktorskie uwagi Edwina ("Nie sądzisz, że «poszukiwani przez policję zbiegowie» to niepotrzebne powtórzenie?") i został aresztowany na lotnisku, kiedy przyleciał z powrotem do Stanów z zamiarem zabicia Edwina. W jego bagażu znaleziono załadowany pistolet.

Wiosną następnego roku Panderic Inc. wydał satyryczną książkę pod tytułem Śmierć Baby Boomersom napisaną przez młodego, anonimowego autora. Krytycy, głównie pięćdziesięcioletni łysiejący mężczyźni, uznali ją za "zuchwałą", "mierną"

i "niedojrzałą". A potem poszli do domu i wypłakali się w poduszkę. Zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia. Książka okazała się niewypałem. Po paru miesiącach została przeceniona i wylądowała na straganach z tanią książką, tym samym pograżając ukryte literackie aspiracje Edwina de Valu.

Pan Mead poddał się zabiegowi przeszczepu włosów, który się nie przyjął, w rezultacie czego został z czaszką nie tylko łysą, ale i pokrytą bliznami. Nie szkodzi.

Od tej pory zaczął już zaczesywać sobie na czubek głowy i czoło długie włosy, które rosły mu po bokach. Ostatnio widziano go na "ważnym" zjeździe wydawców w Waikiki, kiedy opalał się na plaży.

A co z May? I z Edwinem? I, co ważniejsze, co z May i Edwinem?

Niestety nie wyszło im razem. Dlaczego? Przez kapustę. Gotowaną kapustę.

Widzicie, Włosi mają na to określenie: cavoli riscaldati: "odgrzewana kapusta". Odnosi się ono do prób wskrzeszenia starego romansu -- równie nadaremnych, jak próba odgrzania resztek kapusty. Odgrzewana kapusta zawsze jest rozpačkana, niesmaczna i nieapetyczna. Do niczego się nie nadaje i podobnie było z May i Edwinem. May Weatherhill odeszła z Panderica i obecnie pracuje w Key West Books jako redaktor naczelny. Teraz lata pierwszą klasą i udało jej się ukraść panu Meadowi kilku najlepszych autorów. Rozdrażniony Panderic odsyłał do Key West swoje perełki ze sterty odpadów. "Chce wojny? To ją będzie miała!" -- darł się pan Mead.

A Edwin?

Cóż, Edwin nadal pracuje w Pandericu, nadal skrobie na papierze, gotuje się w środku, intryguje i marzy o ucieczce. Raz na jakiś czas dostaje od May pocztówkę pełną ironicznych dopisków i wspólnych sekrecików, lecz ich przyjaźń zdążyła już nabrać charakteru czysto nostalgicznego. Czasami wpadają na siebie -- na promocjach książek lub targach wydawniczych -- i zawsze wtedy wyrasta między nimi mur skrępowania. Zapada smutne milczenie. Mokita. Utonęli w morzu mokita. Edwin ocalał

świat i stracił najbliższą przyjaciółkę.

Ta historia nie ma szczęśliwego zakończenia. I, jak sądzę, w tym rzecz.

Posłowie

Na górze

Edwin Vincent de Valu, w pomiętym krawacie i z teczką w ręku, wyszedł z metra na rogu Fausta i Broadwayu -- niczym zwierzę wkraczające do kanionu.

Dzień był jeszcze młody, ale już tonął w grzęzawisku stresu i miejskiej nudy.

Panował upał, a w powietrzu unosiła się atmosfera rozleniwienia, był to taki dzień, kiedy nawet taksówkarze sprawiali wrażenie ospałych. Pewnie, nadal obrzucali pieszych przekleństwami, ale jakoś bez zaangażowania. Widać było, że myślami błądzą gdzie indziej -- w górze, nad miastem, gdzie słońce pokrywało dachy tombakowym blaskiem, wiecznie kuszące, wiecznie nieosiągalne.

Edwin przeciął Grand Avenue, posłuszny pulsowaniu sygnalizatorów świetlnych, i przyszła mu do głowy ta sama myśl, która pojawiała się codziennie dokładnie o tej samej porze i w tym samym miejscu: "Kocham to pieprzone miasto".

Kiedy wszedł do swojego gabinetu (starego gabinetu May, jeszcze pulsującego jej obecnością), czekała na niego sterta odpadów. Zaprzął się do niekończącego się, syzyfowego kieratu, jakim było całe jego życie. Ostatni stażysta wytrzymał tylko sześć dni, więc sterta odpadów była większa niż kiedykolwiek przedtem.

"Szanowny Panie Jones!

Dołączam powieść, która stanowi pierwszą część trzyczęściowej trylogii opowiedzianej z punktu widzenia tosterka...".

"Szanowny/a Panie/Pani!

Po starannym rozważeniu i dyskusji na kolegium redakcyjnym...".

Właśnie udało mu się przekopać przez pierwszy stos maszynopisów, kiedy odezwał się jego pager. Z kliniki w Silver City dzwoniła jakaś lekarka.

-- Czy mogę rozmawiać z panem de Valu? -- spytała.

Edwin poczuł ucisk w piersi.

-- Chodzi o Jacka, prawda? -- Czekał na tę wiadomość, a gdy wreszcie nadeszła, ze zdziwieniem stwierdził, że jego strach jest o wiele większy, niż się tego spodziewał. -- Czy Jack...?

-- Nie, ale przeniesiono go do szpitala w Phoenix. Wymienił pana jako najbliższego krewnego. Właściwie jego słowa brzmiały następująco: "prawowity spadkobierca, ale nieuprawniony do złamanego grosza z mojego majątku". Tak napisał na formularzu zgłoszeniowym. Panie de Valu, niestety nowotwór zaatakował cały organizm. Dał przerzuty do wątroby i gardła, spowodował też niewydolność naczyń włoskowatych, które podtrzymują jego...

-- Proszę sobie darować ten medyczny bełkot. Proszę, niech mi pani tego oszczędzi.

-- Stracił wzrok w prawym oku i bardzo słabo widzi na lewe.

O cholera.

-- Czy to znaczy... Może jeszcze czytać?

-- Nie, niestety prawie całkowicie oślepl.

-- W takim razie nie żyje.

Lekarka nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

-- Nie, żyje, ale obawiam się, że to już nie potrwa długo.

Prosił, żeby nie zawracać panu głowy, ale uznaliśmy, że lepiej pana powiadomić.

Pański ojciec może nie przeżyć najbliższej nocy.

On nie jest moim ojcem -- Edwin chciał powiedzieć, ale się rozmyślił.

-- Szpital w Phoenix. Czy zna pani dokładny adres?

Samolot wylądował, gdy słońce zaczęło zachodzić. Pasażerowie kłębili się w terminalu,

wlokąc walizki, potykając się na ruchomych schodach i warcząc na siebie nawzajem z bardzo nieholistyczną niechęcią. Edwin przyjechał bez bagażu, więc sprawnie przedarł się przez tłum, opuścił terminal wyjściem dla przylatujących, myśląc przy tym: Wyjście dla przylatujących, cóż za wspaniałe określenie.

Za przejazd taksówką zapłacił pięćdziesiąt dolarów: szpital znajdował się na drugim końcu Phoenix. Edwin wszedł z pośpiechem i pogrążył się w antyseptycznym spokoju południowego skrzydła. Pracownicy szpitala nazywali je "umieralnią".

-- Jack McCreary? -- spytała dyżurna pielęgniarka. -- Czy to pański ojciec?

-- Tak. Chyba tak. Gdzie go mogę znaleźć?

-- Pierwsze piętro, pokój 102. Na końcu korytarza, drugie drzwi po lewej. Ale, proszę pana! -- zawołała, kiedy Edwin pobiegł korytarzem. -- Za dziesięć minut kończą się godziny odwiedzin.

-- W porządku. Nie zostanę długo. Przyszedłem tylko, żeby się pożegnać. -- I krzyżyk na drogę. I dziękuję. I pozdrowienia dla Olivera Reeda. I będę za tobą tęsknił.

I nigdy cię nie zapomnę. I, och, tak wiele innych mało ważnych banałów.

Ale Jacka nie było.

Uciekł. Edwin zastał pusty pokój, przewody elektrokardiografu wisiały bezwładnie, pościel leżała odrzucona na bok, a okno było otwarte. Ekran telewizora, w którym wyłączono dźwięk, rzucał niebieskie błyski na łóżko.

-- Zniknął -- powiedział oszołomiony Edwin. -- Uciekł. Wrócił do rejestracji.

-- On uciekł.

-- Znowu? Tak mi przykro. Czasami mu się to zdarza. Musimy mieć go na oku, ciągle usiłuje nam się wymknąć. Wiemy, gdzie jest. Na górze.

-- Na górze?

-- Tak nazywa to miejsce. Kiedy pierwszy raz przyjechał tu na badania, przynajmniej dwa lata temu, codziennie wdrapywał się na tę górę. Siedział tam i rozmyślał. To się zaczęło, kiedy postawiono diagnozę.

-- Na górę?

-- Tak, za szpitalem. Niezbyt wysoka, ale dosyć stroma. Tłumaczyliśmy panu McCreary'emu, że przy jego stanie zdrowia nie powinien się przemęczać.

Powtarzaliśmy mu to chyba ze sto razy, ale nigdy nie chciał nas słuchać.

-- Góra. Rzeczywiście jest tam góra?

-- Właściwie to tylko pagórek. -- Uśmiechnęła się. -- Niewielkie wzniesienie za parkingiem, na pewno mijał je pan po drodze. Jest tam ławka w cieniu i jeden czy dwa składane stoliki. Właściwie to nie góra, ale ponieważ okolica jest płaska, ze szczytu rozciąga się wspaniały widok. Widać niemal całą równinę, światła miasta, gwiazdy i wzgórza w oddali. To piękne miejsce. Nazywamy je Górą Jacka -- roześmiała się, ale przypomniawszy sobie, że rozmawiają o nieuleczalnie chorym pacjencie, dodała poważnym tonem: -- Bez urazy.

-- Oczywiście. A nawet gdyby -- Edwin się uśmiechnął -- to i tak nie szkodzi. Nie musi nikogo pani tam wysłać.

Sam pójde poszukać Jacka.

Podjęcie było strome: kręta ścieżka wiodła wśród kolczastych roślin i kęp kaktusów i Edwin zdążył nieźle się zdyszeć, zanim stanął na polance na szczycie.

Cicha noc. Powietrze napływające z równin niosło ze sobą zapach odległych pól.

Pod Edwinem jak wewnątrz radia tranzystorowego rozpościerała się sieć migoczących świateł miasta. Słońce już zaszło, lecz księżyc jeszcze się nie pojawił, a na niebie nadal widniała

miękką surrealistyczną poświata.

Jack McGreary siedział na ławce. Miał zgarbione plecy, twarz wystawił do wiatru, obok spoczywała laska. Kiedy Edwin nieco się zbliżył, usłyszał ciężki urywany oddech starca. Był to oddech człowieka, który dźwiga ogromny ciężar.

Jack nie odwrócił się, kiedy Edwin do niego podszedł. Siedział bez słowa, twarzą do wiatru.

-- Jack? To ja, Edwin.

-- Czego chcesz? -- Po operacji guza gardła niegdyś imponujący baryton Jacka przemienił się w słaby skrzek.

-- Przyszedłem się pożegnać.

Jack pokiwał głową, zmrużonymi oczami patrząc na znikający widok przed sobą.

Zapadło długie milczenie. Potem, jakby po namyśle, powiedział: -- Dobry, stary świat, co?

-- Oj tak. Dobry, stary świat. Jack znowu pokiwał głową.

-- A teraz się odpieprz i zostaw mnie samego. Zaskoczony Edwin chciał coś powiedzieć, ale starzec podniósł rękę gestem nakazującym milczenie.

-- Ale Jack... -- zaczął Edwin.

-- Nie słyszałeś? -- powiedział starzec, nadal spoglądając na gasnące światła. -- Powiedziałem: odpieprz się i zostaw mnie samego.

-- Jasna sprawa.

I z tymi słowy Edwin de Valu odwrócił się i ze śmiechem ruszył z powrotem ścieżką w dół. Śmiał się głośno, do rozpuku, z głębi duszy. Śmiał się, aż go rozbolała twarz, a serce boleć przestało. Śmiał się, aż świat rozmazał mu się przed oczami.

Podziękowania

Chciałbym podziękować mojej agentce, Carolyn Swayze, za wsparcie i entuzjazm, a także specjalistce od marketingu, Terrilee Bulger, której uwaga wypowiedziana mimochodem zainspirowała mnie do napisania tej książki.

Podziękowania kieruję również do Marka Olsona, który zapewnił mi zaciszny kąt, kiedy pisałem pierwszą wersję książki. Jestem wdzięczny również dyrektorowi do spraw produkcji, Shannon Proloux, za pomoc wykraczającą poza zakres jej obowiązków. I wreszcie dziękuję mojemu wydawcy, Michaelowi Schellenbergowi, który -- co śpieszę dodać -- nie jest pierwowzorem postaci Edwina.